

HENRYK RZEWUSKI.

PAMIĄTKI
STAREGO SZLACHCICA LITEWSKIEGO.

WARSZAWA.

NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

—
1877.



884-3

19203

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 Октября 1876 года.

Pamiętki Starego Szlachcica Litewskiego.

I.

Pan Ogiński.

Za dawnych czasów szlachcie z cierpliwością i statkiem, mógł zawsze sobie kawałek chleba zapewnić. Służba po pańskich dworach krzywdy nie robiła; pan był razem opiekunem sługi; a jeżeli jak ojciec karał, to i jak ojciec kierował i o losie pamiętał. Ale nie każdemu dostać się można było do pańskiego dworu; trzeba było mieć zasługi ojca lub krewnych za sobą, albo jakichś dobrodziejów, coby się chcieli wstawić. Co do mnie, Opatrzność mną kierowała. Bo cóż mówiło za mną? Ojciec mnie odumarł przy piersiach, a gdyby i żył, szlachcie z Zaścianku, spokojny, kawałka roli pilnował; gdzie prostaczkowi docisnąć się do pana! Moja matka powtórnie poszła za męża, ojczym nie bardzo był rad trzymać mię w domu, będąc ubogim a własnych doczekawszy się dzieci; ale Pan Bóg sieroty nie opuszcza. Miałem wuja woźnego, on miał dworek i ogród w Nowogródku; a chociaż miał dwoje dzieci, zlitował się nademną i zabrał mnie z Zaścianku do Nowogródku, kiedy siedm lat mi się skończyło. To ja potem wyszedłszy jakoś na człowieka, jego dzieciom choć w części przynajmniej wywiązałem się z tego com był winien ich ojcu, a moję wielką pomoc Pan Bóg tak pobłogosławił, że wnuki mojego wuja kłaniają się ludziom z grzeczności i z serca, a nie z potrzeby. Wuj żył z woźniostwa, i codzień jaki tyńf kapał, a czasem i czerwony złoty w domu się pokazał. Wujenka studentów trzymała. Ja, to buty dyrektorom czyszcząc, to w kościele z bractwem śpiewając, to w ogrodzie pieląc, z małego do pracy nawykłem; co mnie potem bardzo posłużyło. Dyrektor u nas ze studentami mieszkał, a sam był studentem w czwartéj klassie. Wyuczył on mnie czytać i pisać, tak, że księża jezuici przyjęli mię wprost do *Infimy* nie przechodząc *Proformy*. Uczy-

łem się naprzód z książki pana dyrektora, ale potem wujenka kupiła mi Alwara, i już swobodnie uczyłem się ze swego, i gorliwie; bo codzień mi wuj mówił: — Sewerynku, ucz się! ty nie masz nad czem próżnować. Pókiś mały, ja ci daję banicz i opończę, ale jak wyrośniesz, czego nie wypracujesz, chyba wyżebrzesz. — To ja bywało tak się boję, aby dziadem kościelnym nie zostać, że ucze się a ucze Alwara na pamięć aż płacze, tak że przed wakacjami na *gramatykę* uzyskałem promocję. Później nasz dyrektor wstąpił do zakonu, a ja na jego miejscu dyrektorem zostałem, i brałem po trzydzieści tynfów na kwartał. Wkrótce z własnej pracy przyszedłem do kontusika gredyturowego, dymowego żupanika i pasa półjedwabnego, a pałasz po ojcu oddał mi wuj, że jako w Niedzielę można było uczeniwie pokazać się między ludźmi. I wujaszкови chleba już darmo nie jadłem, bo przepisywałem mu relacje pozwów, przez co zawczasu przywykłem do prawa; a że z *retoryki* do palestry nie poszedłem, to dlatego, że następne wydarzenie na inny świat mnie zaniósł.

Jezuici w Nowogrodzku oddawna byli zaprowadzili Sodalisostwo Maryi; byłem i ja Sodalisem, i do dziś dnia odprawiam pacierze z pal-lacium. Po śmierci księcia Radziwiłła, ordynata Kleckiego a Trockiego kasztelana, prefektem kongregacji został JW. Ogiński, wojewoda Witebski; a ksiądz rektor w nagrodę, żem pracował i zasługiwał się profesorem, mianował mnie marszałkiem kongregacji; bo nas było dwóch marszałków, jeden z konwiktu, a drugi ze stancyjnych. Naszym obowiązkiem było nosić laski przed prefektem, i stać przy nim w czasie nabożeństwa. Kiedy JW. wojewoda przybył do Nowogrodzka w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny, z wielką solennością oddali mu OO. jezuici prefekturę kongregacji. Ja, jako marszałek, wystąpiłem do niego z mową łacińską, którą sam ułożyłem, bo trochę tylko ją poprawił ksiądz Narwojsz, profesor retoryki; a ja nauczywszy się jej na pamięć, wymówiłem ją śmiało i z dobrą, jak ludzie mówili, deklamacją, tak że zaraz wpadłem w oko JW. wojewodzie. Wypytał o mnie ksiądz rektora, który, jak się pokazało, dobrze mnie przed nim wystawił. Potem po nabożeństwie kazał mi przyjść do siebie, wy-badywał co umiem, i kazał mi pisać, aby się dowiedział, czy dobrą mam rękę. Napisałem mu kilka wierszy Kochanowskiego, a niżej po łaci-nie, że JW. wojewodzie było imię Bogusław, dodałem z własnego konceptu: *Ingentem Boguslao defero cultum, a me minimo excelsus tibi honor*. To mu się tak podobało, że posłał po mojego wuja, i powie-dział mu, że chce mnie umieścić w swoim dworze. Na te słowa, i mój wuj i ja padliśmy mu do nóg, i zaraz, już za pozwoleniem mojego pana, poszedłem z wujem zabierać moją mizeryę i pożegnać się z wu-jenką. Nie obeszło się to bez łez, szczególnie z mojej strony, bo dwa razy rozplakałem się; raz z czułości, drugi raz z bólu. Wujaszek dając

mi błogosławieństwo i cztery czerwone złote w podarunku, powiedział te słowa: — Sewerynku, staraj się o trzy laski. Popierwsze, o łaskę Boską; powtóre, o łaskę pańską; potrzecie, o łaskę ludzką. Wszyst-kie moje opiekuńskie prawa zlewam na JW. wojewodę, pana twojego, i abys służąc jemu, nie zapomniat, jaką jest władza opiekuńska, osta-tni raz jej użyję. — Kazał mi się położyć i trzydzieści batogów mi odliczył, których nigdy nie zapomnę, tak szczerze były dane. Dobrze tedy zapłakany wróciłem do klasztoru, gdzie stał JW. wojewoda, który widząc moje łzy miał je za dowód czułego serca, chociaż one nie były jedynie z czułości.

Rozkazał wojewoda podróżnemu koniuszemu, aby dał mnie konia, na którym kazał mi jechać przy swojej karcie. Lubo oprócz wujow-skich dwóch podjezdaków, co ich czasem bywało pławić wodzę, nigdy nie zdarzyło mi się siedzieć na koniu, zwłaszcza porządnym; jakoś ze krwi polskiej dobrze mi się udało. Bo kiedy wyjechawszy już o ćwierć mili za miastem, opatrzył się JW. wojewoda, że okulary zapomniat w klasztorze; zawróciłem konia, wypuściłem go ku miastu, piorunem stanąłem na dziedzińcu klasztornym, szkodę odszukałem, zatrzymałem się nawet przez pół *Zdrowas Marya* pod ratuszem, dla kupienia obwa-rzanków, i wróciłem do pana, okulary w rękę trzymając; a pan za to darował mi tego samego konia, na którym miałem szczęście pierwszą posługę mu zrobić. Przybywszy do Słonima, gdzie często JW. woje-woda jako starosta Słonimski przesiadywał, kazał zawołać p. Szukie-wicza, marszałka dworu swego, co go naówczas tytułowano łowczym Wendeńskim, a który umarł podstarostą Słonimskim, oddał mnie pod jego dozór, jako pokojowego, a razem oświadczył, że w jego prywatnej kancelaryi pracować będę. Pan łowczy Szukiewicz był starożytny szlachcie, i miał dwa folwarki swoje dziedziczne w słonimskim; był powiernikiem pana, który go często nawet do publicznych używał interesów, jako męża światłego i sumiennego, a liczny dwór on w wiel-kim rygorze umiał utrzymać. Naznaczono mi płacy po trzysta tynfów na rok, obrok na jednego konia, stancję z dwoma innymi pokojowca-mi, obywatelskimi synami, i miejsce u stołu marszałkowskiego. Był zwyczaj u dworu, że przyjętego szlachcica na pokojowego, marszałek oporządzał w mundur przyjacielski domu Ogińskich: kontusz z sajety perłowej, żupan atłasowy zielony, pas takż jedwabny z kwiateczkami i frendzlami złotymi, czapka zielona z kasztanowatym barankiem i czerwone buty. W tym stroju trzeba było być zawsze na pokojach, a ten ubiór nadal utrzymać ze swego. Ale na wstępie musiałem oblać ów mundur traktamentem dworzan i pokojowych, tak, że ze czterech czerwonych złotych, co mi wuj dał, zaraz trzy poszło.

Poznałem z blizka dwór magnacki i prędko się służby nauczyłem, a między dworzanami i pokojowymi będąc najuboższym, bo oni wszyscy

byli obywatelskimi dziećmi, niektórzy zaś i sami obywatelami, zasługiwalem się każdemu i uzyskałem łaskę ludzką, zaczynając od pana łowczego Wendeńskiego, który często sypał plagi na kobiercu moim kolegom, a na mnie się nigdy ani skrzywił. Nawet lubo, jako ojciec dzieciom, był oszczędnym, darował mi pas lity słucki, którego i senator nie powstydziliby się nosić. A to za to, że razu jednego będąc z nim w Stwołowiczach na kiermaszu, dla kupna sukien na liberyę dworską, gdy jeden towarzysz pancerny chorągwi JW. księcia Sapiehy, wojewody Trockiego, stojący tam na konsystencji, przyczepił się do niego i zaczął w mojej przytomności szukać z nim okazji, ująłem się za moim zwierznikiem. Zacząłem być od perswazyi, ale on zapamiętały w zachwalstwie nie poprzestał swego, i jeszcze natarczywiej laził mu w oczy. Ja, lubo towarzysz pancernego znaku więcej niż pokojowy, żem znał siebie szlachcicem, choć chudym pacholkiem, a do tego czułem, że trzymając się wielkiej klamki miałem plecy — dalejże do szabl na gołe łby. Noszę od niego pamiątkę na twarzy, ale i on porządnie dostał po ramieniu. Pan łowczy zawsze miał na uwadze, żem jego sławę zasłonił, i taki sam guza oberwałem; dobrze mię za to wystawił przed panem. Zjednało mi to wziętość i u moich kolegów; widząc bowiem mię potulnym a pracującego piórem, myśleli długo, że szablę miałem tylko dla ozdoby, ile że postanowiwszy sobie nigdy u dworu burdy nie robić, częstom przytyczki od nich cierpliwie znosił; ale kiedy gruchnęło, że pancernikowi dać radę nie było to dla mnie porwać się z motyką na słońce, zacząłem być u nich w poważaniu, jako człowiek spokojny z przekonania, a nie z bojaźni.

Tak tedy pracując pod ręką JW. wojewody, a nie mając niezyczliwych przeciw sobie, przyszedłem do tego, że chociaż młody pozyskałem zaufanie u mego pana, i gdyby nie był umarł w początkach konfederacyi Barskiej, byłbym może wyszedł na jaśnie wielmożnego. Codzień modłę się za duszę mego pierwszego pana, bo wiem, co myślał dla mnie zrobić; a to nadewszystko jemu winienem, żem spółobywatelom służył. Pamięć pierwszej dla nich usługi nigdy nie przestanie pieścić méj duszy, i niech ta moja relacya zajmując kiedyś wnuków moich, rozżarzy w ich sercu tę miłość dla swoich, którą do dnia dzisiejszego pałać ani na chwilę nie przestałem.

Po śmierci Augusta III, mój pan, jak wszyscy prawie panowie i my szlachta, życzył sobie, aby królewicz został obrany królem. Piszą tam szeroko, że Augustowie byli gnuśni, że rozpoiili Polskę, że naszego języka nie umieli, że taki nam lepiej mieć Piasta niż cudzego. Teraz i ja na to się zgadzam; ale dawniej jakoś to szlachta przywykła do rodu, który więcej lat sześciudziesiąt nad nią panował. Za królów Sasów była swoboda; było złe, ale było i dobre, a co więcej, za nami byli wszyscy. Przyzwoicięj było szlachcie i panom ze swoimi błą-

dzić, niż mieć słusność z cudzymi. Otóż więc stolnik Litewski na tron wstępował; prawie wszyscy panowie, temu nie radzi, ukartowali po całym narodzie konfederacyę rozszerzyć. Zjeżdżali się, wysyłali jeden do drugiego gońców zaufanych, i wszystko się gotowało do wybuchnięcia. Ale nie łatwo było rozpoczynać, bo kraj był napełniony wojskiem, że nie można było z jednego województwa przecisnąć się do drugiego bez spotkania komend; a te przejeżdżających zatrzymywały i trzęsły, czy jakich listów nie znajdują. Trzeba było robić ostrożnie, a tu książę wojewoda Wileński Radziwiłł i JW. Pac starosta Ziółowski, naglili a naglili mego pana, żeby zaczynać co prędzej; bo jego mieli za wielkiego ministra i dawali się jemu powodować. I słusznie, bo to była wielka głowa. Ale on wszystko kunsztował, żeby jeszcze czekać, aż odbierze wiadomości z Ukrainy i od hana Krymskiego, których spodziewał się każdej chwili. A pan Bohusz, co potem był sekretarzem generalnym konfederacyi Barskiej, ciągle przesiadywał u mego pana, i z sobą się naradzali, a lubo byłem użyty do pióra, ledwo przez dziesiąte domyślałem się, o czém oni konferowali, tak byli ostrożni. Aż tu jednego poranku, o czwartej z rana, przychodzi do przedpokoju sypialni pana, gdzie był na służbie, kozak jakiś, który poprosił mnie, aby się mógł natychmiast widzieć z JW. wojewodą. — Jakż masz interes do niego, powiedz bracie? — Oto wezu jemu hostynca od pana mojoho Potockoho, podczaszoho Litowskoho; win jemu przysłać dwi fury sływok. Na syłu tut prywiz, bo po dorozu wsiaki zaderżuje, a pytajetsia: majesz pismo? Oto jest' lyst od mojoho pana. To widbyrajut list, do starszyny nesut' a pisła widajut. Toho buło ze dwadycat raz, a szczo mene sływ pokrały! i połowyny ich nema. — Poczekajże, mój kochanku, niech się no pan obudzi. — Panyczu! pustite mene do jaśnie oświeconoho, bo ja ne mohu żdaty. — Ale, mój kochanku, czyś ty oszalał, żeby dla twoich śliwek budzić pana? Parę godzin poczekaj, a wolisz napić się wódki i śniadanie zjeść, niż nalegać, bym panu wezas przerywał. — Spasybi za waszu myłost', ale ani pyty ani istry ne budu, poki ne podywłusia na wojewodu. Bytesia Boha, pustite; myni treba zaraz jechaty do Bociok. Zbudite pana, bo prysiajbohu, że win na was serdytyś bude, koły sia doznaje, szczo wy mene zaraz ne pustylły; a koły ja breszu, to potim byjte mene w smert, sam sia nawit położu. — Odważyłem się wejść do sypialni pańskiej. — Co takiego? — zawołał pan. — Jakiś kozak przybył z Ukrainy do JW. pana, i ma list od JW. podczaszego Litewskiego. — Na to pan: — Zawołaj go tu natychmiast. — A sam zerwał się, chałat na plecy zarzucił, ale z takim pośpiechem, że zapomniał przeżegnać się wychodząc z łóżka. Ja zawołałem kozaka, ten przyszedłszy, padł do nóg wojewodzie i podał mu list na czapce. — Sewerynie, weź list i czytaj głośno. — Czytałem, w nim nic nie było, tylko prośba,

aby JW. wojewoda wypuścił w posesję starostwo Bobrujskie, które do podczaszego należało, bo on gwałtem potrzebuje pieniędzy; a niżej w *post scriptum* znajdowały się te słowa: Stosownie do twojego żądania, dwie fury śliwek węgierok posłałam ci z Murafy. JW. wojewoda powiedział: — Idź po Bohusza i przychodź z nim; — a sam został z kozakiem. Zastałem pana Bohusza już ubranego i piszącego coś przy kantorku. Natychmiast poszliśmy razem i znaleźliśmy pana nalewającego kielich wódki kozakowi. Jak tylko wszedł pan Bohusz, wziął go JW. wojewoda do okna, i zaczęli z sobą coś szeptać, po kilkakrotnie na mnie pokazując. Potem odezwał się pan: — Sewerynie, pójdz do tego gabinetu, znajdziesz wodę na fajerce, a przy niej mydlniczkę, mydło, pedzel i brzytwę. Przynies to wszystko i zabieraj się do golenia. — Zdziwiony, ale posłuszny rozkazowi pańskiemu, wszystko co potrzeba przyniosłszy, zacząłem brzytwę wecować na pasku, czekając aż pan siedzie; ale w wielkim strachu, bom w życiu nie golił nikogo. A pan powiedział: — Połóż, co trzymasz w ręku, na stole; a teraz przysięgnij mi na tę świętą Ewangelię, że nikomu nie powiesz, co będziesz widział i słyszał. — Ja natychmiast przysięgę wykonałem; pan dał znak, kozak kląkł na środku pokoju, który zewsząd wewnątrz pozamykał pan Bohusz, a JW. wojewoda powiedział: — Sewerynie, ogół głowę temu kozakowi. — Coraz w większym zadziwieniu, zacząłem golić, aż gdy się skóra pokazała, spostrzegłem litery serwaserem na głowie napisane. Przybliżył się pan z W. Bohuszem, i wyczytali następne słowa: „Pierwszego Września zaczniemy nasze działania, Porta da pomoc“. Pan natychmiast W. łowczego Wendeńskiego posłał do Nieświeża z listem nie nie znaczącym, ale z obszerną instrukcją. Pan Bohusz, raz za żyda, raz za cygana przebrany, to znowu w swój postaci, objeżdżał szlachtę; dość, że nie upłynęło trzech tygodni, a ruch był prawie po całej Litwie. Ale cóż? Porta pomocy nie dała; a tak wszystko się na nas skrupiło. I cuda mężstwa nie mogły przeważać liczby i okoliczności. Jednak udawało się nam czasem. W Swisłoczy, gdzie pierwszy raz poznałem się z kulami, napadliśmy na pułk piechoty; generał N. nim dowodził; kapitulował on i zaręczył podpisem i honorem, że ani sam, ani nikt z jego komendy, do końca wojny w Polsce, wojować nie będzie. My zawierzywszy, pozwoliliśmy mu wyjść, a on w kilka dni znowu się bił z nami. Byłem pod Kleckiem, gdzieśmy z milicją Radziwiłłowską i zbieraną drużyną szlachecką ośm godzin trzymali się przeciw całemu korpusowi; tam obie dwie siostry księcia Radziwiłła, z pałaszem w ręku, atakowały na czele jazdy; ale tak silna była artyllerya nieprzyjacielska, że nie było sposobu. W tej to bitwie Aleksander Odyniec, miecznikowicz Wołkowyski, co później zginął pod Stwołowiczami, miał konia pod sobą ubitego, i trzy palce u prawej ręki kartacz mu urwał. Gdyby Odyniec

młodo nie był skończył, na wielkiego wódza wyszedł. Kilka dni wprzód, pod Stołpcami napadł był na całą brygadę, w puch ją rozbił, obiedwie armaty zabrał, a nie mogąc ich uwieźć, zagwoździł. Pan Tadeusz Rejtan miał nad nim dowództwo pod Stołpcami, i tam nauczył się go cenić. Gdy przy Klecku obaczył go leżącego pod koniem, zaklinał wszystkich, żeby mu podali konia, i uratowali od dostania się w niewolę; a że nikt nie był rad poświęcić się, pan Rejtan, pośród ognia najokropniejszego, podał mu swojego konia, i sam na los spuszczając się, mówił: — On wam potrzebniejszy niż ja, bo nikt was tak nie poprowadzi; a mnie, czy wezmą, czy ubiją, mniejsza o to. — Gdyby po trzy palce utraciły wszystkie ręce przedajne, zamiast pocziwego Odynca, los byłby sprawiedliwszy. — Wtém, jak zaczęli na nas sypać a sypać kartaczami, straciwszy połowę naszych, jęliśmy się cofać w nieporządku. To jeszcze szczęście, że z obawy powstania Mińskiego, przestano nas ścigać i dano nam parę dni odpoczynku; miał więc czas księżę wojewoda nas zebrać i pójść na Ukrainę, dla połączenia się z podczaszym Litewskim.

II.

Pan Dzierżanowski.

Bitym charakterem na wołowej skórzeby nie spisać, jak i ile razy konfederaci Barscy popisali się. Gdzie tylko armat nie było, nigdzie nam nieprzyjacieli placu nie dotrzymał. A ludzi tak zgrabnych jak naówczas, to teraz i nie widać. Między zgrabnymi, jakże nie porachować pana Franciszka Dzierżanowskiego, herbu Grzymała, a pułkownika pułku gumbińskiego, u którego miałem wielką łaskę, gdyż mi się udało jemu raz życie ocalić, a przynajmniej wolność; ale taki życie, bo on nie był z tych, co ich łatwo żywcem dostać. Będąc ja z nim zażyły, ile że on był wielmożnym, mógłbym jego kronikę napisać. Jego ojciec był sługą i przyjacielem ordynatów Zamojskich, i od nich miał w dożywocie Sułowiec pod Zamościem. Miał kilku synów, co dobre wychowanie wzięwszy po pańskich dworach, potem na ludzi wyszli. Ba! brat jego najstarszy był u nas marszałkiem,

i o nim mawiano, że nawet był podobno gdzieś królem. Ale pan Franciszek z gramatyki uciekł i przystał na szeregowego do pułku Mirowskich. Ledwo czytać umiał, i to jak Pan Bóg dał; a kiedy co napisał, biesby się nie doczytał czego on chce; ale o dwadzieścia kroków na koniu siedząc, nigdy z pistoletu tuza czerwienego nie chybił. JW. Mniszech, podczaszy W. K. a szef pułku Mirowskich, miał sobie za zabawę szczególną widzieć go potykającego się w palcaty olejem i krędą namalowane; na niego bywało sześciu nasadzał, a on wszystkich sześciu krędą obznaczał, a jemu nie; co mu też na złe nie wyszło, bo JW. szef poruczeństwo mu w tym pułku kupił. Ale jak tylko konfederacya Barska nastała, on podmówiwszy swój szwadron, kasę pułkową zabrawszy, pułkownika swego Larzaka, do którego miał anse, dom zrabowawszy, z konfederatami się złączył. Nagradzając tę jego ku dobrej sprawie przychylność, generalność zrobiła go pułkownikiem powiatu Gubińskiego, upoważniając do werbowania pułku i wszystkich oficerów fortragowania; a wkrótce pan Franciszek stanął na czele pułku wcale pięknego, który aż do rozwiązania konfederacyi ciągle się popisywał. Co to były za piękne mundury! Czamarki i szarawary błękitne, żółte wyłogi; a sam pułkownik, prócz olstrowych, nosił jeszcze za pasem parę pistoletów, szablę u boku, a na plecach sztuciec, z którego bywało jak wystrzeli, jazda jak chrząszcze padała. Demurie (Dumouriez) wielce jego i jego pułk cenił, ale mu było przykro, że bez tłumacza nie mógł z nim rozmawiać. Demurie po łacinie gadał jak jezuita, i do nas tym językiem zawsze, ale pan Franciszek Pana Boga po łacinie nie umiałby nazwać, a cóż dopiero w dyskurs się wdać. Nadrabiał ci fantazyą, bo mocno to go sromało, że on jeden z ludzi stopniowych, co po łacinie ani słówka; ale temu nie można było zaradzić. Staliśmy obozem pod Tyńcem. Demurie miał nad nami komendę, nawet pan Kazimierz Puławski był jemu posłuszny. Owóż tedy wychodzi ordynans, aby nikt pod karą najsroższą nie ważył się po capstrzyku samopas z obozu się oddalać, a to z powodu, że nieprzyjacieli okolicy pładrował, a podjazdy odosobnionych chwytali. Ale ten ordynans nie był panu Franciszkowi po myśli, bo o półtóry mili od Tyńca, w Burzymowie, mieszkała pani sędzina Sulejowska, z domu Bonerówna, pierwszego ławnika Krakowskiego córka; wdowa w średnim wieku, urodziwa, dobrego rodu, bo jak wiadomo: *Civis cracoviensis nobili par*, i bogata; pomimo dożywocia na mężowskim Burzymowie, miała sto tysięcy własnego wniosku i porządków mnóstwo. Otóż pan Franciszek, poznawszy ją w Krakowie, do jój przyjaźni wzdychał. Stanąwszy tedy pod Tyńcem, a dowiedziawszy się w karczmie u żyda, że wielmożna sędzina tak blisko, niepospolitą poczuł ochotę oferta u nóg jój składać, ile że miał dobrą nadzieję, to jest z jój strony, bo co się tyczy jój familii, była zawsze przeciwna. Raz przy kielichu,

gdy panu ławnikowi oświadczał się prosząc o wsparcie, pan Boner spoliłtował, mówiąc: — Moja córka od siebie zależy, będąc wdową; a potem, panowie wojskowi żartować lubiecie. — I gdy na usilne naleganie konkurenta, zawsze mu jedno ni to ni owo powtarzał, tak pana Franciszka zniescierpliwiał, że mu powiedział: — A jużci, szabli mojej na łokieć nie zamienię, bom szlachcie całki, ale nie przez pół. — Tém sobie więcej jeszcze sprawę popsuł; chociaż, gdyby się był nie wiedzieć jak w baranią skórę podszył, niezémby nie wskórał, bo familia sędzińej miała wielką nad nią przewagę, a na takowe małżeństwo nigdyby nie zezwoliła, ile że pana Franciszka za nałogowego kartownika trzymano. W Krakowie po całych nocach grywał, i tak ślicznie się ograł, że gdyby mu pan Zareba nie był pożyczyl trzystu tynfów, nie miałby o czém na wiosnę wojny rozpoczynać. Otóż tedy pan Dzierżanowski tak wysunął nam się z obozu do Burzymowa, że prócz jego Gubińczyków, nikt się ani spostrzegł. Aż tu przededniem usłyszeli żołnierze strzały. Jego sztuciec ledwie nie jak armata hałasował, a że ci żołnierze byli z jego komendy, wiedzieli o co rzecz, i obudzili pana regimentarza Zarembe, u którego byłem na ordynansie. A ten do mnie: — Otóż ten szalałwila taki narobił! weźże waszmość dwudziestu Gumbinów i ratuj go jak możesz. — Ja w cwał z Gubińczykami; było cicho, ale ledwo półgodzinyśmy ubiegli, aż tu słychać znowu gęste strzały, i tuż tuż świtać zaczęło; aż tu widzimy chmurę dragonów. Jak huknę: — Nacieraj! Bóg z nami! — nieprzyjacieli w nogi, tylko pan Franciszek na koniu, koło niego kilka koni, a on między niemi jak furman na wozie. — Panie pułkowniku, jak się masz? — A on na to: — Niech ci Bóg odpłaci, i wam koledzy, otoś mi brat; ale mię djable pocałował, patrz! — W istocie, ramię miał skłute i krew się toczyła. Na ziemi trzech dragonów leżało, jeden się ruszał. — Dobijcie go, niechaj więcej nie kasa. — Tego Gumbincom dwa razy nie trzeba było powiadać. — Winszując, pułkownikowi; trzech położył. — Oho pójdz-no, bratku, o pół mili dalej, tam czterech leży; oto ich konie. Przez tę chudobę omal mnie kaduk nie spiskał. — Pokazało się, że gdy wracał późną nocą z Burzymowa do obozu, czterech rajtarów zrobiło zasadzkę; ale że chłop większy niż tuz czerwieny, wszystkich czterech położył; mógłby tedy bez szwanku do obozu powrócić, ale zrobił mu się żal opuścić konie, zatem powiązał ich cuglami do swojego; szczęściem tylko, że broń na nowo nabił, ale już wolnym musiał stąpać krokiem ku Tyńcowi, a tak inni mieli czas go doścignąć. Popłątany końmi, nie po myśli mógł się obracać; strzelalci wprawdzie, ale uciec nie było sposobu. Gdybym nie był przybiegł na ratunek, nie wiem co by się z nim stało, i dlatego silnie mnie polubił. Kiedyśmy już bezpiecznie wracali: — Sewerynie, bratku! — mówił do mnie — a co też będzie zemną w obozie, żem wylazł pomimo rozkazu? —

Pan regimentarz markotny, ale pułkownika kocha. — A on mnie: — Mniejsza o regimentarza, bo to szlachciec jak ja, i jak waszmość, porozumieć się łatwo; ale ten utrapiony Niemiec czy tam Francuz, żeby mię nie kazał na kobyłę drewnianą wsadzić dla przykładu. Powiedział mu, że ja jak na nią siadę, niechże pilnuje, żebym nie zlaźł, bo mu w łeb strzelę jak psu. — A ja jemu: — Panie pułkowniku, któż znów widział? i siebie zgubisz i sprawę oszpecisz. — Skończyło się na mniejszym: bo generał Demurie konie zabrane odebrał, a jego na dziesięć dni do aresztu zaparł, co mu było i potrzebne, bo dało czas plezier wygoić. On mnie chciał zrobić rotmistrzem w swoim pułku, i to mi było do smaku, że i mundur ładny był, i gotowe miałem zasługi; ale ludzie mnie odwiedli, a szczególnie wielmożny Korsak, porucznik Piatyhorców, który opiekował się mną i mnie świadczył zawsze. On mnie mawiał: — Żyj z Dzierżanowskim jak z kolegą, ale do jego pułku nie przystawaj, bo duszę zgubisz; on Pana Boga się nie boi, swoich i cudzych rabuje, a nierząd lubi, że aż zgroza. Już to różnie bywało, ale że wierzył po katolicku, tom świadek, bo i szkaplerz nosił, i pacierz mówił, tylko że był tęp do książki, a ktemu na miejscu ustać nie mógł; nadto krótko się modlił, dlatego miano go za heretyka, ale to niesłusznie.

III.

Pan Bielecki.

Wszystko dawniej szło lepiej niż teraz. Takie przestępstwa, coby je dziś miano za żart, to ludzi gorszyły, i widocznie kary od Boga ściagały; a teraz już namnożyło się tyle złego, takie szkaradztwa, których dawniej ani słycho, że Panu Bogu naprzykrzyło się karać; zdaje się mówić ludziom: *róbcie co chcecie*. A na co Pan Bóg ma widoczne kary zsyłać, kiedy w Niego niektórzy albo wcale nie wierzą, albo wcale nie tak, jak potrzeba?

Oto był u nas już niemłody konfederat, ale jeszcze czerstwy, nazywał się *Bielecki*; imienia nie pomnę. Że był dobrym szlachcicem, dowód, iż go tytułowano *sędzią grodzkim*; że był możnym, świadcza

trzydzieści jeźdźców zbrojnych, których aż z Mściśławskiego przyprowadził, a że był światłym, to powiem, że na własne uszy słyszał, jak z generałem Demulier (Dumouriez) po francuzku rozmawiał. Do tego pobożny jak ksiądz, i dziwnie łagodnego przystępu, a chociaż obywatel możny a k'temu urzędnik, pokorny jak kwestarz; my wszyscy za niego ubić się dali, a patrzeć jakich ten obywatel szczególnych doświadczał kolei. Oto był dworzaninem u króla Augusta II, i jego posiadał względy. Pan ten, acz wielkich enót, widać że z pierwiastkowego luterskiego wychowania przyniósł, Boże mu przebac, w łono Kościoła Bożego nieco skłonności do rozwiązłego życia. Pewnego wojewody żona wpadła mu była w oko, której nazwisko lubo mi wiadome, wymienione nie będzie, gdyż jej prawnuki teraz żyjące, ze wszech miar szanowne, nie radziły od przodka pochodzić, któremu się zdarzyło poślizgnąć; powiem tylko, że ta pani była urodziwą, rozumną, i długi czas nawet enotliwą; a król coraz silniejsze do niej czując zapęły, używał dworzanina swojego Bieleckiego, aby zabiegami swojemi torował mu drogę do cudzej własności; a pan Bielecki jakby nie wiedział, że co Bóg zabrania, z tego król rozgrzeszyć nie może, z wiernością sługi panu pomagał. To się wnącał do domu wojewody, nigdy przed szlachtą nie zamkniętego; to nakoniec rozmowami swemi, jak to zwykle wiele na wystawieniu rzeczy zależy, przyczynił się o ile mógł do osłabienia przekonania, i ztąd wielkie złe wynikło. Pan wojewoda, zelant o sławę swoją, jako chrześcijańskiemu senatorowi przystoi, zaczął żonę podejrzewać i mieć się na ostrożności. Razu więc jednego, gdy obaczył pana Bieleckiego wychodzącego z pałacu, kazał go schwycić przez hajduków swoich, i dopóty mu wytrząsać odzienie, aż z niego wypadł list wojewodziny do króla. Przeczytawszy go, i wiele złego wysłedziwszy, nie zważając, iż pan Bielecki się składał, iż jest szlachetnie urodzonym i komornikiem królewskim, kazał go zbieć na kwaśne jabłko, i wpół umarłego z bólu wyrzucić na ulicę, za dziedziniec swojego pałacu, a żonę natychmiast z Warszawy do dóbr swoich wywiózł, i tam osadził ją w klasztorze Panien Zakonnie, fundacyi jego domu, w którym to klasztorze dni swoje w wielkiej pobożności i skrusze zakończyła.

Pan Bielecki odszedłszy z bólu, nie mając nawet środka do poszukiwania swój krzywdy, napróżno od króla, pierwszej sprężyny jego nieszczęścia, był pocieszonym i obdarzonym; tyle doświadczał wzgardy i poniżenia od wszystkich (bo komuż jego wypadek był tajny?), że nie tylko dwór, ale świat nawet był mu w obrzydzeniu, i gdyby nie był natenczas żonaty, do klasztoruby wstąpił. Dobry król, litując się nad jego dołą, dawszy mu znaczną królewszczyznę w Mściśławskiem, wyjednał mu, iż go JW. Pociąg wojewoda instrumentował sędzią grodzkim tamecznym, a pan Bielecki z majątkiem i znaczeniem gotowem,

przeniósł się do tego województwa oddalonego, gdzie albo nie wiedzieć kiedy, albo i wcale się nie dowiedzą, co też to tam komu zdarzyło się w Warszawie. I długo też mu Pan Bóg szczęścił, bo znacznie majątek przyrobił, i do niemałej wziętości przyszedł u tamecznych obywatelów, co mówi za jego światłem, bo wiadomo, że na naszej Litwie, zwłaszcza zapadłej, nie łatwo szlachcie oswoić się z przybyszem. Ale po wielu leciach, jak to zawsze człeku złe na biedę dojrzewa, już nie wiem jaką drogą, a i tam doszło o wszystkich okolicznościach, które to niegdyś przebył w Warszawie, i rychło się po wszystkich uszach rozeszło i rozgnieździło się po pamięciach, i tak od niechętnych, na jakich i najłepszemu nie zbywa, do oziębłych, a potem do przyjaciół choć najgorliwszych, tak się wszystko roztrąbiło, że i tu w końcu oczu nie można było pokazać. Ani na kondyścensy zapraszano, ani u niego bywano; a kiedy na jaki sejmik jako sędzia grodzki przyjeżdżał, to choć nieborak ust nie otworzył, miał się czego nasłuchać od tych, co sprawy w Grodzie przegrywali; to go pytano: — Gdzie rzeźnię tańczy, czy w Warszawie, czy w Mścisławie? — To mu gadano o rozdziale XI artykule 27 Statutu Litewskiego. Na pochyłe drzewo, jak mówią, i kozy skaczą. Dosyć, że widząc pan Bielecki, iż między ludźmi poszedł w poniewierkę, i że trudno mu będzie dziatki, których miał dosyć, w przyzwyczajonych małżeństwach postanowić, a jeszcze trudniej między szlachtą promować, wielce się zasmucił; a nareszcie sędziostwo złożwszy, ślubował Panu Bogu, że jak niegdyś ksiądz Radziwiłł Sierotka, Grób Pański nawiedzi, tusząc, że za to Zbawiciel zdejmie z niego sromotę. I dobrze się na tę podróż gotował, siła nagromadził pieniędzy, że mógłby za nie ledwie nie drugie tyle dóbr nabyć, ile ich miał, choć miał ich nie mało, i już się zabierał do podróży, a właśnie wtenczas konfederacja Barska nastąpiła. Otóż pewien tamecznych stron dominikan, co był i wielki teolog i świętobliwy zakonnik, a któremu mocno pan Bielecki wierzył, zamienił mu ślub w ten sposób, iż mu rozkazał wszelki grosz, co go nagromadził, użyć na uzbrojenie ludzi do konfederacji, i samemu osobą swoją do niej akces uczynił. Zapewnił go, że działając w związku, takie same zyszcze odpusty, jakby na pielgrzymce. W czém, jak mi się widzi, ksiądz dominikan że był natchnionym pokazało się, że kilku- a może kilkunastoletni zamiar w jednej chwili przemienił. Tak więc pan Bielecki trzydziestu ludzi na dzielnych koniach uzbroiwszy, przeprowadził ich do generalności w Mohilowie nad Dniestrem znajdującą się. A chociaż od młodości będąc dworakiem, to urzędnikiem, sędziwego doczekał wieku bez żadnego doświadczenia rycerskich zabaw, ślubował jednak Panu Bogu, że przynajmniej trzy razy osobiście w boju nachodzić się będzie. Jakoż w ciągu naszej konfederacji trzy razy nachodził się gdzie ciepło, a na każdy raz nosi na sobie niezaprzecz-

nego świadka. Najprzód był przy Jarosławia zdobyciu, z panem Rudnickim, co się później spaskudził, ale u nas był bardzo dobrym, i tam dostał strzał w nogę; a gdy przyszedł do zdrowia, był z nami pod Lanekoroną, gdzie nam była wielka pociecha, jemu z bólem przyمیészana, bo kulę dostał w stawie od ręki. Gdyby to komu z nas, pewnieby ręka uschła, lecz on miał ku wszystkiemu sposób: załatawszy ranę naprędecie, kolasą na Bilsk się wywiózł, to tam Niemcy mu uradzili, że odrobinę władzy w rękę zachował. A tak po długiej kuracyi, gdy do zdrowia przyszedł, lubo jego ludzie ciągle z nami chodzili gdzie potrzeba, on pamiętał na ślub swój, że mu jeszcze jedna bitwa do rachunku nie dostaje. Aż w Częstochowie, pod okiem właśnie Najświętszej Panny, uzupełnił co Panu Bogu przyobiecał; bo gdy nas pan Kazimierz Puławski na wycieczkę wyprawił, on z nami wyruszył z własnej ochoty, a wystąpił wedle zwyczaju, jak do króla na biesiadę. Miał taratatkę ponsową ze złotem potrzebami, i pas lity. Pan Puławski, co skromnie się nosił, przepychów nie lubił, a był żartobliwym; powiedział mu: — Panie sędzio, opamiętaj się waszmość; cały jesteś w złocie, jak szeszupak w szafranie na wigilię; chcesz widzieć, aby cię miano hetmanem całego chrześcijaństwa. I przebierz się, panie bracie, a nie ucz cudzych kul, kogo najpierw witać mają. — A on mu na to: — Mości starosto dobrodzieju, wszak toć jam nie dzisiaj się urodził. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi; jak zechce, znajdzie on mnie, choćbym pod ziemią się schował, a jeżeli nie, to wyjdę bez szwanku. — A pan Puławski: — Jak książka mówisz, mój sędzio; kiedy tak dobrą masz wiarę, niechże w las pójdziesz moja przestroga. Kto robi co potrzeba, niech się nosi wedle woli swojej. A pokazało się, że każdy z nich był praw; bo dragon mu gębę przestrzelił w oczach naszych, jako pan Puławski ostrzegał, że go łatwo na cel wzięść; ale jak mówił sędzia, bez woli Pana Boga toby się stać nie mogło, o czém ani pułkownik, ani ja, ani żaden konfederat Barski nie wątpił. Gdy długo w Częstochowie wylizywał się; opowiadał nam wszystkie swoje zdarzenia, dodając: — Jużem teraz sobie rad, boć wszystko się dopełniło; zgrzeszyłem nogą chodząc gdzie nie potrzeba, ręką bom nosił listy ku złemu; a gębą, bo nie do dobrego namawiał: a gdzie zgrzeszyłem, tam mnie Pan Bóg dotknął, w czém niech Mu chwala będzie, a już ja do domu spokojnie wrócę. Jakoż zostawiwszy swoich ludzi, i na nich grosz panu Puławskiemu, z jednym pacholkiem puścił się do Mścisławia, z nami czule się pożegnawszy.

Właśnie trafił na sejmik, gdzie podkomorzego wybierano. Kilka było partyj i nie mogła szlachta się zgodzić, ale ledwo się zjawił pan Bielecki konfederat, jednomyślnie go obrano podkomorzym. A toż nie cud oczewisty! tu dopiero był u nich w takiej poniewierce, że aż Grób Pański chciał nawiedzić, a tu ci sami jego na pierwszy urząd

województwa wynoszą; dopiero tułacz, a teraz *princeps nobilitatis* jasnie wielmożny; jakim i umarł, a że w wielkiej pobożności, zdaje się, iż o tém nikt wątpić nie będzie.

IV.

Rejtan.

Śmieją się z nas starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych czasach, o dawnych ludziach. Ależ kiedy bo i czasy i ludzie, wszystko to było lepsze niż teraz! Wielkie Sądy Boże: Pan Bóg Sodomie był gotów odpuścić, gdyby się w niej przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych znalazło: czyż już i tak małej liczby u nas nie stało? Na to nigdy nie pozwolę. Nędza i ucisk częstokroć bywały zwiastunami wielkich pomyślności. Dlatego ludzie mądrzy w naukach Boskich, których zgłębić nie można jeno przez wielką niewinność serca, w monej są obawie, gdy się im wszystko dobrze wie dzie; jęczą, że tak powiem, pod niezmordowaną pomyślnością, i radzi są, kiedy jaki niespodziewany frasunek przerwie im cokolwiek pasmo, snute przez naczemniem ciągle przyjaznem.

Takim był JW. Rejtan podkomorzy Nowogródzki, którego w młodości mojej często miałem szczęście oglądać, chodząc do szkół ze wszystkimi jego synami, oprócz pana Michała, co się wychował w Nieświeżu z księciem Karolem Radziwiłłem, hetmanowiczem wielkim Litewskim. JW. podkomorzy był urzędnikiem, jakich i dawniej nawet niewielu bywało; bo i rozum nadzwyczajny i sprawiedliwość jego ledwie nie wyrównały wzorowi zostawionemu nam w świętych sędziach ludu Bożego. A pobożność i wiara! że gdyby nie pokora, umarłychby wskrzeszał. On to był szczególnym dobrodziejem OO. jezuitów w Nowogródzku, a ubogi tameczny klasztor dominikański przez jego szczerotę został jednym z bogatych na Litwie. Bywało co miesiąc sprowadza zakonników do Hruszówki, by z nimi rekolekcyę odprawiać, i wtedy dyscypliną chłoscze się, jakby jaki winowajca; nie tylko on, ale cała czeladź. — Mój chleb jecie — prawi — potakujecie więc za mną. — Strach w całym dworze, kiedy się jaki

dominikan lub jezuita pokaże, a żaden sługa go nie opuścił; starzeli się i umierali u niego, i byli przywiązani, że w ogieńby za niego skoczyli, chociaż był groźny, że nie tylko słudzy, ale żona i dzieci były *czuj duch* przed nim. Nadzwyczajne miał on szczęście: z rodziców już bogaty, majątek powiększał ciągle, lubo zdawało się, że o niego nie dbał. Ani spyta co się na poletkach dzieje; dyspozytorzy jak chcą rządzą, a on powiada: — U mnie Pan Jezus gospodarzem, Najświętsza Panna gospodynią. — Jakoż zdawał się na nich tak dalece, że miał dobra Berezdów w województwie Połockim, niedaleko Wielkich Łuk, do których przez całe życie swoje raz tylko na parę tygodni zawitał; a przecie kiedy je obiał po ojcu, sześć folwarków tam było, dzieciom zaś zostawił jedenaście. Miał on jeszcze po ojcu Hroszówkę, w której mieszkał, trzysta chat w Mozyrskim z własnego nabycia, i dożywocie na Rubieżewiczach od księżny kanclerzyny Radziwiłłowej, która za jego dobrei radami miliony ocaliła. Nie znał wszakże zabiegów, o nie nie prosił, i o własne się interesa nie troszczył. Na zaszczyty równie był obojętny; dwa razy obrano go deputatem, raz posłem, potem sędzią ziemskim, nakoniec na najpierwszy urząd województwa wyniesiony został; a na żadnym z tych sejmików się nie znajdował. Każde *laudum* i każdy *przywilej* szukały go w Hroszówce, a nie on ich w Nowogródzku albo w Warszawie. Frasował się nieraz, że tak ciągła pomyślność nigdy się nie przerywa. Razu jednego zgorzał mu magazyn wódeczany, w którym kilkoletni zapas był złożony. Nie z niego nie uratowano; na trzydzieści tysięcy przeszło poniósł szkody; cały dom był w smutku, on jeden wesół rzekł: — Przecież choć raz się nie powiedło. Sobiem rad, bo Pan Bóg o mnie pamięta. — A to był jak żarek Opatrzności; bo doby nie minęło, aż odbiera przywilej na starostwo Krzyczowskie, które na rok przynosiło więcej, niż co dopiero utracił. Wszysecy się w domu cieszyli, prócz niego. To mu spadło jak kamień z nieba, bo ani się starał, ani stosunków nawet nie miał u dworu. A w pożyciu domowem jaki szczęśliwy! Żona, to był anioł w ludzkim ciele, tak enotliwa i piękna; syny kawalerowie wzięci, że każdy ojciec mu ich zazdrościł; a córki były trzy piękne panny, co wyglądały jak młodsze siostry przy matee. Za życia powydawał je za potomków pierwszych domów naszego województwa. Jednę wziął pan Paweł Jeśman, chorąży Słomimski, którego przodek był wojewodą Smoleńskim; drugą wydał za pana Kazimierza Haraburdę, starostę Wiladymowskiego, którego ród w całej Litwie nie ma nad sobą starożytniejszego; trzecia poszła za pana Joachima Rdułtowskiego, kasztelana Nowogrodzkiego, co po śmierci teścia został podkomorzym naszym. A do tego taki był zdrów, że już mu było niedaleko osiemdziesiąt lat, a lekarstwa nie znał. To kiedy zapadł na słabość, która go przez cztery lata w łóżku trzymała

i na koniec życia pozbawiła, będąc okryty ranami i wielkie boleści cierpiąc (jak lekarze mówili, bo po nim tego nikt się nie mógł domyślić), gdy wszyscy płakali, on weselszy niż kiedykolwiek, powtarzał: — Oto mi teraz dobrze, że Bóg przecie do żywego mię dotknął: dopiero zaczynam dobrze tuszyć o moim przyszłym losie, kiedy mnie tu boli; dawniej sam siebie musiałem chłostać, a teraz mój Pan łaskawy mię chłoszcze. — To też Pan Bóg, jako zapewne duszę jego zabrał do swojej chwały, tak i na ziemi pobłogosławił jego pamięci, między tylu godnymi dziećmi dawszy mu Tadeusza, jednego z największych mężów wieku.

W szkołach panu Tadeuszowi wszyscyśmy nad sobą wyższość przyznawali, lubo do nauk był dość tępym, a w zabawach najczęściej zamyślony, nawet ponury; nie miał téj giętkości towarzyskiej, innym niezbędną dla otrzymania popularności. OO. jezuici długo usiłowali oduczyć go od ustawicznego zamyślenia się, ale przekonawszy się, iż to było na próżno, dali mu pokój; a że w postępках swoich był bardzo łagodny i pokorny dla zwierzchności szkolnej, chociaż jezuici dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a pan Tadeusz ani razu nie był strofowany. Raz tylko odebrał karę silną, z następnego powodu: między konwiktami był już w czwartej klasie pan Władysław Oskierko, kasztelan Nowogrodzki, którego ojca, ponieważ rodziła ostatnia z domu Gąsiewskich, znaczną swoją ojcowiznę Oskierkom przyniosła. Był to chłopiec wielkiej roztropności i dziwnie bystry w naukach. Otóż na majowej rekreacji zaczęto mówić o hetmanie Gąsiewskim, o jego sławie i zasługach. Jeden z uczniów odezwał się, że zrobiwszy akces do konfederacji Tyszowieckiej, od téj pory zmazał plamę swojego związku ze Szwedami. Kasztelanie w tym względzie bronił swego przodka; dowodził, że uleganie okolicznościom było całą jego winą, i że przodek jego widząc, że siebieby zgubił a nie zbawił kraju, bardzo roztropnie zrobił, kiedy wszedł w układy, aby się zachował na czas sposobniejszy. Na to pan Tadeusz tak się oburzył, że porwawszy kamień, cisnął nim w głowę kasztelanicowi, aż ten się krwią oblał. Wielki z tego zrobił się rozruch w całym klasztorze. Postępek pana Tadeusza tém gwałtowniejszym być widziano, że kasztelanie z łagodnością się tłumaczył. Sam rektor sęwicył pana Tadeusza, a potem kazał mu klęcząc przeproszać ukrzywdzonego kolegę. Ale pan Tadeusz pod plagami ani jednę łzy nie puściwszy, powiedział: — Nie przeproszę. — Kilkakrotnie był bity, a nie go przemódz nie mogło. Jak się uparł, stał jak opoka nieporuszonym. Przestał go bić ksiądz rektor, aby mu zdrowia nie nadwątlili; ale go do kozy zaparł, z kąd tylko na naukę wychodził: chcąc go tym sposobem do upokorzenia się zmusić. Cztery tygodnie wytrzymał wszystko statecznie, aż JW. Oskierko kasztelan Nowogrodzki przyjechałszy do

szkoły i dowiedziawszy się o wszystkim, sam go wyprosił. Bywały częste zatargi między studentami a przekupkami i żydami, i o to tak gęste skargi do professorów, że rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Jezuici wpadli na myśl szczęśliwą, której skutecznienie wyrobili u JW. Jabłońskiego, wojewody naówczas Nowogrodzkiego; a to, aby był sąd szkolny przez studentów z pomiędzy nich samych wybrany, coby wszelkie sprawy ich z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki być w sprawach swoich na dyskrecyi studentów; ale wkrótce błogosławiły téj ustawie, bo większej sprawiedliwości pod słońcem znaleźćby nie mogły. Popołudnia czwartkowe były przeznaczone na sądy, składające się z prezydenta, czterech sędziów, dwóch pisarzy i regenta. Studenci indukowali sprawy, a nawet żaląc się stronie sąd dodawał obrońcę studenta. Wszystko tak szło porządnie, jakby w grodzie; a tym sposobem młodzież wprawiała się do znajomości prawa i do mówienia publicznie. Co roku sejmikowaliśmy dla wyboru urzędników, ale jakieśmy raz wybrali prezydentem pana Tadeusza, nie przestał nim być aż do wyjścia swego ze szkół. Raz nawet przekreśkował księcia Radziwiłła, marszałkowieza nadwornego, co potem był koniuszym Litewskim, lubo za nim sami księża jezuici forsowali. To pan Tadeusz bywało, aż mu książki z rąk wydzierają professorowie, tak się prawa uczy, aby do niego dekreta swoje stosował. Razu jednego brat jego pan Józef, przez swawolę jakiegoś przekupce garnki porozbijał, i o to się sprawa wytoczyła. Pan Tadeusz wstał, a przekupka tyle ufała w jego sprawiedliwość, że się upierała, aby koniecznie sądził; ale on tego nie przyjął, mówiąc: — To nie idzie o ufność, ale aby robić jak prawo każe; a prawo nie pozwala, żeby powinny powinnego sądził. Wolę prawa pilnować, niż się cieszyć chlubą, że w sądzie na rodzono brata nie oglądałem się.

Po rozwiązaniu się konfederacji Barskiej wrócił pan Tadeusz do domu, osiadł w Hroszówce; ale to pasowanie się ciągle, a świeżo odbyte, to zranienie najdrażliwszych uczuć, znacznie mu zdrowie osłabiało. Przy innych boleściach, często cierpiał zawrót głowy, a w ciągłych zadumaniach noce bezsenne przepędzał. Nikomu do siebie przystępu nie dawał. Gdy się odezwał, że żyć nie chce, zaczęli bracia mieć go w pilnej straży. Kiedy ośmieliłem się go nawiedzić, gdy mię jemu oznajmiono, przypomniał mnie sobie. — Pan Seweryn! to kolega szkolny i wojskowy; a dobrze, niech wejdzie! — Uprzejmie mię powitał, i z początku spokojnie rozmawiał; ale wkrótce zaczął drżać na sobie wszystko i porywać się, że gdyby słudzy nie przytrzymali, na mnieby się rzucił. Ze łzami go pożegnałem. Jakoż wkrótce skończył swoją pielgrzymkę na tym padole płaczu. Wpadł w jakieś zapamiętanie,

i szybę u okna rozbiwszy, szkłem uraził sobie jelita. We dwa dni po tym przypadku, ducha Panu Bogu oddał. Mówię Panu Bogu, bo na kilka godzin przed skonaniem, zupełna przytomność mu wróciła i najprzykładniej gotował się na śmierć.

V.

Ksiądz Marek.

Co też to się dzieje na świecie! Już i cierpliwości nie staje patrzeć na czyny ludzkie, a słyszeć ich gadania. Takie zapomnienie o Bogu, taka obojętność dla Jego praw! Oj rozumni ludzie, rozumni ludzie! ciężko Panu Bogu odpowiecie, że tak świetne dary, coście z Jego łaski otrzymali, naprzeciw Niemu obracacie, gorsząc tyle półgłówków, którzy przez was bałamuca się tylko: a najczęściej z obawy by za głupców nie uchodzić, wolą potakiwać waszej lekkomyślności, niż się trzymać tego, czego ich wiara nauczyła.

Wedle nich euda, to są urojenia ciemnoty. Bóg raz porządek ustanowiwszy, jego nie odmieni; módl się sto razy, czego swoim rozumem i pracą nie dostaniesz, tego nie wymodlisz. Święci, to byli poczeiwi ludzie, stosowali się do ducha czasu, do ówczesnych wyobrażeń; ludzie im coś nadzwyczajnego przyznawali, ale te ich dzieje przed rozsądkiem zniknąć muszą. Obrządki, Sakramenta, są to zbawienne ustawy dla gminu, które człowiek światły szanować powinien i nie więcęć! Tak plotą o rządach Boga, jakby przy Nim była rada nieustająca, w którejby oni zasiadali.

Słyszałem ja to nieraz, ale na mnie żadnego wrażenia nie robiło. Człowiek poczeiwy, a do tego szlacheć, czyżbym już tyle dał się owładać, bym odstąpił od tego, co tyle wieków, tyle podań, tylu mądrych a cudownych mężów, tyle cnot nadzwyczajnych, tyle niewinnej krwi na świecie utwierdziło? Ot tobym zasłużył, aby mnie do ezubków zaparto.

W czasie konfederacji Barskiej, pan August Sielnicki wojewodzie Podlaski, co był prawym obywatelem, a naszym kolegą, ale któremu

podróże po zagranicznych krajach oczmuciły były rozum, że bez potrzeby wszystko nim świdrzył, bywało po swojemu chce nam wszystko tłómaczyć; nieraz uszy sobie zatykamy, tak nam dokuczy. Czasem też i obrywał za swoje. Ofuknął go porządnie za takowe gadania JW. Krasieński marszałek generalny: — A co to waćpan za prorok — powiedział mu raz — abyś nowęj wiary nauczał? My się naszą trzymamy i za nią bijemy, a jeśli waćpan ję nie rad, to wracaj do stolnika Litewskiego; tam znajdziesz dość farmazonów i przechrztów, co ci potakiwać będą. — A i ów pan Sielnicki, że te swoje nie do rzeczy plótł, więcęć aby tém za rozumnego uchodził, niż z wewnętrzne go przeświadczenia, o tém się przekonałem. On to zaczepiał księdza Marka, który go z wielką cierpliwością zbijał, ale nakoniec i cierpliwości mu nie stało zawsze jedno i jedno odpięrać; ile że w każdej rzeczy świadomemu, trudna sprawa wdać się w certament z takim, który tylko coś nachwytał. Razu jednego wyzwał go na dysputę wedle swego zwyczaju, i dowodził mu, że tylko w Boga wierzy, a więcęć w nie. Ksiądz Marek tłómaczył mu z początku, że tego nie dość, ale widząc go upartym, zapytał raptem: czy dawno się spowiadał? Coś mu na to odpowiedział wojewodzie ni siak ni tak, a ksiądz Marek jemu: — Jutro przyjdiesz do kościoła, ja waćpana wyspowiadam; a teraz idź do siebie, by się na jutro przygotować; to lepiej niż fatalaskami trąbić w uszy tym, co te rzeczy lepiej od waćpana rozumieją. — Zmieszzał się wojewodzie; my byliśmy ciekawi co z tego będzie. Poszliśmy z rana do kościoła, i zastaliśmy go przy konfesyjonałe spowiadającego się księdzu Markowi. Nie rozpierał się z nim, ale bił się w piersi, a jaki z niego zdawał się bezbożnik! Czy to wszystkiemu wierzyć, co kto o sobie mówi? Dobrze, że trafił na świętego męża, co go na drogę zwrócił; ale czy jest roztropnie, aby dla dogodzenia językowi żartować około zbawienia? Co do mnie, gdyby nie tyle innych gruntownych pobudek, samo patrzeć na to, co zrobił ksiądz Marek, byłoby mnie przekonało, że są ludzie którym Bóg użycza władzy nadzwyczajnej. To co opisywać będę, wszystkim współczesnym było wiadome, i teraz wielu jest jeszcze takich, co to słyszeli od ojców swoich, naocznych świadków. Już w tém był cudownym mężem, że najdumniejszych panów i najburzliwszą szlachtę tak był radą swoją zhołdował, taką ufność ku sobie zyskał, że chyba gdzie go nie było, tam się jedność przerywała.

Staliśmy obozem pod Jędrychowem, gdzie mieszkał JW. Ankiewicz kasztelan Sandecki, pan godny i nam sprzyjający. Pan Bóg nie pobłogosławił go w synie; on w jego ślady nie wstępował, ale pokój umarłym. Otóż ten zasłużony senator starszyzną naszą zaprosił na wielki obiad do swojego zamku, a dla nas na dziedzińcu były zastawione stoły, bo wszystkim nie było sposobu pomieścić się razem. Cieszyli-

śmy się w Bogu, a w sali za stołem siedział między panami ksiądz Marek, o którym wiedział JW. kasztelan, co to był za człowiek. Spełniano rozmaite zdrowia wodzów; po każdym zdrowiu wiwatówki słyszeć się dawały; aż ksiądz Marek powstawszy a nalawszy kielich: — Jasnie wielmożni panowie — odezwał się — pozwólcie mnie wnieść jedno zdrowie — i zaprosił ich z sobą na ganek; tam podniósłszy oczy do góry, chwil kilka zostawał jakby w jakimś zachwyceniu, a potem: *Chwała wieczna Przenajświętszej Trójcy!* i spełniwszy kielich, przeżegnał nim chmurkę nad nami wiszącą. Natychmiast jak zaczęło błyskać a grzmieć, raz po raz siedem razy piorun uderzył, że aż wszyscy zaczęli tulić się do księdza, prosząc go by dał pokój, a wyznając, iż się mocno przelekli. Ksiądz Marek na to: — Nie bójcie się, moje dzieci, Pan Bóg błogosławi zabawy nasze — i przeżegnawszy chmurę drewnianym krzyżem, co go z paciorkami nosił u boku wedle karmelitańskiego obyczaju, ona wnet się rozeszła, i najpiękniejsza wróciła pogoda. To się działo w oczach naszych.

A pod Rzeszowem jeszcze lepiej mu się udało. Nasz obóz przytykał Rozwadów. Nieprzyjaciół pokusił się nas z niego wyparować, i była o to przeprawa, ale my go porządnie przywitaliśmy, że aż ze wstydem musiał się cofać do swoich szaniec pod Przeworskiem; więcej stu ludzi zabraliśmy w niewolę, nie licząc cośmy nabili. Ksiądz Marek na koniu, a zamiast szabli krzyż w rękę trzymając, pokąd potyczka trwała, wszędzie się znajdował i kilka razy był oskoczony. On był dla wrogów łakomą zdobyczą, gdyż wiedzieli co to było z niego, i że on dla nas lepszy niż sto harmat. Tak na niego ostrzyli zęby, że gdyby on i jakikolwiek z naszych wodzów, ledwo nie sam pan Kazimierz Puławski, uciekali przed niemi, a każdy inszą stroną — nie wiem jeszcze za którym prędzejby poszli w pogoń; lecz nie znali jego świętobliwości, ale myśleli że on sobie czarta zhołdował, a ten za jego rozkazem te wielkie sprawiał dziwy, na które patrzali. Oskoczyli go, my też dzielnie jego bronili, a on nam: — Nie uważajcie na mnie, moje dzieci, a swoje róbce; oni mi rady dziś nie dadzą. — My go posłuchali; a jak takiego nie słuchać? i to nam posłużyło, bo wielu z nich za nim się cietrzewiło, a my to dusili jak swoich. Co natrą na księdza, by go porwać, to bagnety powietrze kołają mimo habitu, a ksiądz się tylko uśmiecha, że nieprzyjaciele ze złości aż od rozumu odchodzą; a na końcu widząc, że lubo ani żelazo ani otów jemu nie szkodzi, ale że przecież nie złego imże samym się nie robi, dawaj próbować rękoma go porwać; ile że koń księdza Marka nie był zwinny, a on sam, jako zwyczajnie kapłan, po łacinie siedział; ale co który się przybliży, jak go swoim krzyżem przeżegna, to na ziemię bęc jak długi, a koń jego w cwał, nie nazad, ale do naszych. i tak kilkunastu położył, że każdy lubo bez szwanku wstał, ale utracił

konia. Dopiero zaczęli co prędzej uciekać do swoich, a my za niemi, że gdyby nie ich przeklęte armaty, obóz byłby się nam dostał.

Ale nie na tém koniec. My ze sławą i zdobyczą wrócili do naszych. Pan Kazimierz Puławski kazał otrąbić capstrzyk, po którym już nikomu nie było wolno wyjść z obozu, i sam poszedł do swojego namiotu z panem Goreckim, co jako oboźny był od niego nieodstępny. Zabierał się do wezasu, aż ksiądz Marek brewiarz swój przy ognisku obozowem odprawivszy, poszedł do namiotu naszego wodza, a zastawszy już go leżącego: — Przepraszam pana starostę dobrodzieja, że tak późno przychodzę mu dokuczać, ale go mam o wielką łaskę prosić. — Mów, księżu; co mamy i co moje, jest na twoje rozkazy. — Proszę mi pozwolić wyjść z obozu. — A dokąd myślisz się udać? — Zaraz trzeba mi być w obozie nieprzyjacielskim. — W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! a ty tam po co, mój księżu? jaki interes? — Wielki interes, panie starosto, bo Pan Bóg mnie tam iść kazał; ale ani z klasztoru bez woli przeora, ani z obozu bez woli wodza, wychodzić nie pozwala. Pan Bóg dopiero mi objawił, że we wczorajszej potyczce jeden ich pułkownik śmiertelną ranę odebrał, i przededniem się skończy. On z naszej wiary, a chociaż między niemi się zepsuł, Bóg łaskawy pozwolił mu pragnąć księdza. Trzeba mi go na śmierć dysponować. — Księżu, ty lepiej znasz swoją rzecz, niż ja; ale pozwól sobie tylko powiedzieć, że blisko trzech mil do ich obozu. Jeśli ma przededniem umrzeć, byś i jak leciał, w porę nie trafisz, trupowi nie pomożesz, a wpadniesz w ręce co ciebie umęczą. Czart go porwij, a wolisz się wyspać. — A nie godzi się tak mówić, panie starosto. Pan Jezus dał się umęczyć za tych przestępców, jak i za nas. A że czasu mało, to pokój dobry. Kiedy Bóg każe mi iść za Sobą, poradzi, bym w porę trafił; a ja dlatego jutro będę miał Mszę Świętą w naszym obozie. — Ale czy tylko powrócisz? — Na którą godzinę pan każesz wyjść ze mszą świętą, wyjdę. A kiedym to ja panu był nieposłuszny? — Kiedy tak, każę ci na ósmą z rana powrót twój mi zameldować. Ruszaj więc z Bogiem, dokąd On ciebie poprowadzi: ale pamiętaj, że mnie w wielkiej niespokojności zostawiasz. Weźże przynajmniej jakiego mojego konia, bo z twoim podjeżdżkiem niedaleko zajedziesz. — Ja piechotą trafię, byle pan mię kazał przeprowadzić za przednie czaty, aby mnie nikt nie zatrzymał; bo tu tylko pan masz prawo rozkazy dawać. — Panie Januszu! — obrócił się pan Puławski do pana Goreckiego, obecnego téj rozmowie — każ księdza Marka przeprowadzić po za obóz. — Ale pan Janusz, co na nikogo nie nie zdawał, sam go poprowadził, by przytém jeszcze się przekonać, czy straż swojej powinności dopełnia. A ksiądz Marek ostatniego szyldwacha przeszedłszy, pożegnał godnego przewodnika,

a że było ciemno jak w worku, natychmiast zniknął z przed jego oczu.

Jak się on tam dostał, to tylko jemu i Panu Bogu wiadomo; dość, że chociaż w obozie nieprzyjacielskim były straże, przychodzący nawiedzać umierającego pułkownika z wielkiem podziwieniem zastali księdza przy chorym, który go słuchał z wielką pobożnością i skruchą; a pomimowolnem uszanowaniem przejęci, stali przy wejściu do namiotu, aby im nie przeszkadzać. Tak ksiądz Marek, wedle woli Pana Boga, którego z sobą przyniósł, ocalił choremu duszę, opatrzył go Sakramentami, i nie opuścił pokąd ducha oddał, co rychło nastąpiło. Dopiero ci co namiot otaczali, do niego, bo go poznano; a byli tam tacy nawet, których przeżegnaniem z koni pozsadzał, a oprócz tego, imię księdza Marka było głośnie między niemi. — A to ty, co czartów na nas zwabiasz? Obaczmy, czy oni ciebie z rąk naszych wyrwą — i zbliżali się do niego, jednak z obawą; ale że nie zniknął im z oczu, a żadnemu nie złego się nie stawało, ośmielili się i wzięli go w swoje ręce. Oto była pociecha, że im się udało! — Przecież — mówili — nie zawsze czart tobie dopisuje. — A radość w całym obozie, że takiego pojмали braniec. Wyprawiono go zaraz do Lwowa, związali mu nogi i ręce, i posadzili na wozie między dwoma kapralami, jakich znaleźli najdoświadczeńszych, a pięćdziesiąt koni otaczało wóz, żeby go nikt widzieć nie mógł, i by go po drodze nie odbito. Choć między Lwowem a Przeworskiem żadnego z naszych nie było, ale strach ma wielkie oczy. Ksiądz Marek nie był rad rozmawiać ze swemi asystentami; ale oni ciągle gabali go, że była gadka między niemi, iż jak się zamyśli, z czartem rozmawia i w ptaszka umi się przerzucić: więc ile razy się zamyślał, szamotali go kaprale, aby im nie uleciał, i ciągle go ściskali rączyskami, że aż sińców podostawał.

Jadą tedy do Lwowa, jadą, aż ledwo siódma wybiła, i komenda i wóz wjeżdżają... gdzie? może do Lwowa?... wcale nie, ale prosto do naszego obozu, gdzie dnia tego straż trzymali ludzie pana Franciszka Dzierżanowskiego. Kaprale dopiero się opamiętali, kiedy pułkownik przybliżył się powitać księdza i krzyknął głosem piorunującym, pokazując na nich: — Ściągnąć mi natychmiast tych łotrów z wozu! — A rajtary co na koniu siedzieli nazad w nogi. Pułkownik, co nigdy ze swoim sztucem się nie rozstawał, dał ognia, ale spudłował; kazał za niemi w pogon, ale nim się nasi zebrali, rajtary z przed oczu zniknęli, wicher chyba ich dognał: a kapralów kazał odprowadzić do pana Puławskiego, który sam przybiegł na hałas strzału, by się dowiedzieć co to jest, i my za nim. Tam dowiedzieliśmy się o wszystkiem, i obaczyliśmy kapralów powiązanych a pomięszanych, i w lewo w prawo obłąkanym wzrokiem obracających. Ksiądz Marek do pana Puławskiego: — Proszę pana starosty kazać rozwiązać

moich przewodników i swobodnie ich odpuścić: oni na moję wdzięczność zasługują, wszakże oni mnie tu przywieźli. — A że nikt u nas księdzu Markowi się nie opierał, pan starosta kazał ich puścić, z wielkim żalem pułkownika Dzierżanowskiego, co koniecznie przekładał, że to byli braniecy jego ludzi, zatem że do niego należą. Ale z panem Kazimierzem Puławskim krótka sprawa; puszczone ich na wolność wedle woli księdza Marka, a oni wszystkim do nóg, a najwięcej jemu, przepraszając go, iż wazyli się porywać na cudotwórcę; a potem ze łzami poczęli go błagać, aby im swoje czapkę podarował, że oni ją między siebie podzielią, a tём się zastonią od kary, która na nich czeka w ich obozie, za to że rozkazu nie dopełnili. Nie mógł się oprzeć ksiądz Marek, i oddał im co żądali; ale jak tylko odszedł, by się do mszy gotować, pan Franciszek Dzierżanowski czapeczkę kazał im odebrać. — A co to? — mówił — my na siebie mamy broń oddawać tym hultajom? — Odebrał także raport przy nich będący, ale ich samych puścił, jako na to miał rozkaz. Jakiśmy się później dowiedzieli, i kapralów i ich komendę bardzo źle traktowano w obozie, i na tём się skończyło.

Taki-to był człowiek ksiądz Marek, którego prorocтва dotąd między ludźmi krążą, a którego imię tak jest związane z naszą Barską konfederacją, że kto sumienny i świadomy, a będzie pisał o jednej, musi wspomnieć o drugim. Znajdą się tacy, co to słysząc ramionami ruszą, i ubolewać będą, żeśmy śmieli takowe rzeczy powtarzać. Czego ludzie nie zaprzeczają? ale mniejsza z tём: trudno nie wierzyć temu, na co się patrzyło nie samopas, nie we śnie ani gorączce, ale przy tylu świadkach, na jawie, przy zdrowiu dobrém a umyśle przytomnym. Mało dbam o zdania tych niby mędrków; a między nami mówiąc, lituję się nad niemi; a nie przestanę błogosławić Pana nad Pany, co przez służbę swojego Marka tak wielkie działał rzeczy.

VI.

Kazanie księdza Marka.

Było to roku 1769, czwartego listopada, w sam dzień świętego Karola, a tak pamiętam, jakby to się działo onegdaj. Słuchaliśmy

mszy świętej w kościele OO. Bernardynów w Kalwarii; kościół był jak nabyty szlachtą, której mnóstwo panów przewodniczyło. Siedział w ławach książę Karol Radziwiłł wojewoda Wileński, solenizant, i Potocki podczaszy Litewski, i Potocki wojewoda Kijowski, i Pac starosta Ziołowski, marszałek generalny konfederacji, i Rzewuski chorąży Litewski, a któż wymieni wszystkich tych panów? I na sejmach więcej ich nie widać: oni siedzieli w ławach, a my stali, ba nie tylko my, ale i urzędnicy nawet stali, bo do ławek niełatwo było się docisnąć. Po mszy świętej książę Marek karmelita, na którego cuda zaci ludzie patrzali, zaintonował *Te Deum laudamus*, a my szlachta śpiewali wtór i niektórzy panowie nawet; wszyscy śpiewaliśmy ochoczo, bo też było za co Panu Bogu dziękować. Przed czterema dniami, w sam dzień Wszystkich Świętych, jak na wiązanie JO. i JW. panom, nie zapominając i o nas szlachcie, pan Kazimierz Puławski starosta Warecki porządnie był wytłukł nieprzyjaciół pod Lanckoroną, i aż do Myślenic gonił, a i ja tam swoim nie szkodził, co mi trochę zaszczytu i nieco nieprzyjemności przyniosło, jak się o tym powie. Po hymnie wstąpił ojciec Marek na ambonę; my wszyscy natężyli uszu: raz że i ślać trzeba za słowem Bożem, powtóre byliśmy ciekawi, co też powie z powodu rocznicy urodzin JO. księcia Karola Radziwiłła, co był pan wielki, pobożny, dobrodziej szlachty i filar naszej konfederacji, a którego w dniu tym przepomnieć nie zdawało się nam aby było do rzeczy. Przeżegnał się ojciec Marek, i tak powiedział: — Święty Jan Ewangelista mawiał: *Dziateczki! kochajcie jedne drugich*, a ja wam to mówię, a raczej wymówię, że tak nie robicie. Kochamy naród! mówicie, a między sobą życie w ciągłych swarach! Pięknaż to miłość ziemię kochać, a z ziemianami się kłócić; a wy panowie naczelnicy związku, pod hasłem *wiary i wolności* ustanowionego! zamiast cobyście mieli dobry przykład dawać szlachcie, to albo sami ogień tworzycie, albo do gotowego drevka przykładacie. Czyż wy usadziliście się znękać cierpliwość i miłosierdzie Boże, aby inne narody nauczyć, ile to trzeba grzechów, żeby aż kraj zatracić? Wy się cieszyacie wygraną pod Lanckoroną, a ja się smucę, bo ten dar Boży, będzie wam powodem nowej Boga obrazy, powiększy waszą pychę, waszą swawolę, waszą rozpustę! A kiedy bieda was nie poprawi, cóż to będzie z pomyślnością? Lękamy się Boga, mówicie; za wiarę walczymy i krew przelewamy. Bodajby tak! A to, co się u ciebie zrobiło na obiedzie, dzień trzeci temu, JW. marszałku Lubelski? Jak dwóch rotmistrzów związku twojego powadziło się, kiedy zapomniawszy o Bogu, z cierpkich przymówek przyszło do odgrażania się, do korda, to ty marszałku, cobyś miał mitygować, godzić, bronić nareszcie, jako pocziwy gospodarz, cóżś uczynił najlepszego? Toś sobie z tego zabawkę robił! toś drugich panów zapraszał, ażeby byli świadkami,

jak się Lubelezyce tego w kordy biją! A o cóż to się bili? Czy o honor Najświętszej Panny? Nie, o głupstwo, aby wam panowie czas przyjemnie schodził. Krew szlachecka dla pańskiej zabawy niech płynie! Tak to niegdyś w Rzymie, nim papież nastali, bawili się poganiścy panowie, patrząc jak szermierze się zabijają. A i ci przecie krew szlachecką szanowali: bo szermierze byli braniecy narodów, Rzymowi obrzydłych, ale nie szlachtą rzymską. Otóż to wasza wolność! wasza równość! wasza wiara! Wkrótce ja pożegniam was; powrócę do klasztoru Berdyczowskiego, z którego bodajbym nigdy był nie wyszedł! a tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą; tak, za sobą, bo samo patrzanie na wasze grzechy zmazało duszę moją. To wy ją nazywacie Królową?... pięknych Ona ma z was poddanych! Dziewica przeczysta i panińskiego serca, ma panować nad wszetecznikami i burdami? Złóż Ona wkrótce niegodną koronę, a wy raczej nierząd królem, a rozpustę królową ogłoście. To będą godni was panowie: jaey poddani, tacy monarchowie! A więcej nie powiem wam, niegodny sługa Boży.

To wyrzekłszy, zszedł z ambony, i przed wielkim ołtarzem uklękawszy, zaczął śpiewać: *Przed oczy Twoje, Panie!* Wszyscy stali jak wryci; nie mogłem widzieć co się natenczas działo z JW. Granowskim marszałkiem Lubelskim, ale jak mi później mawiał pan Mikołaj Móraski, natenczas poręcznik pancerny księcia Karola Radziwiłła, który w asystencji stał przy jego ławie, że pan Granowski tak się pocił, jak gdyby w łaźni siedział, a przecie to był czwarty listopad i dobry przymrozek na dworze; taki mu był wstyd. A nie bez słuszności, bośmy wszyscy wiedzieli, o co rzecz. W sam Dzień Zaduszný zaprosił był na obiad obozowy panów i urzędników, i tych co się dnia poprzedniego popisali pod Lanckoroną, co i mnie dało wstęp do jego stołu, a swoich Lubelezyków wszystkich. Otóż między niemi był pan Snarski, tęgi jeździec nie ma co mówić, i łebski w potyczce, ale zwłaszcza przy kielichu wielki kłótnik. Już to on i do mnie u stołu strzelał przymówkami, ale ja szanując gospodarza i dostojnych gości, wszystko mimo siebie puszczałem, raczej przysłuchując się dyskursom zacnych, niżbym się miał oglądać na jaką siaką przymówkę. Tak tedy nie doczekawszy zemną zwady, i innych napróżno tentując, aż nakoniec dostał czego żądał od jednego ze swoich. Pan Bolesta, *Mańkutem* przezwany, lubo opodał od Snarskiego siedział, usłyszał iż ten się odezwał: — Wiwat powiat Urzędowski! czolo województwa Lubelskiego! — A że był ziemianinem łukowskim, markotno mu się zrobiło, i to mu wymówił. Od przymówek do wymówek, przyszło do tak grubych wyrazów, że zgroza było słuchać; a z tego gospodarzowi jeszcze większy śmiech. Wyszli z izby: a porwawszy się do szabel, przy nas bić się zaczęli. Urzędowczycy swego,

a JW. marszałek obudwóch zagrzewał. Ślicznie się obadwaj składali. Panie Boże, przyjm to za żart! aż miło było patrzeć. Ale nakoniec silnie po łbie dostał Snarski; jak długi padł, krwią obłany. Myśleliśmy że już po nim, ale jakoś przyszedł do siebie; a potem cyrulik tameczny, jak zaczął mu chleb z solą do rany przykładać, a krew puszczać z ręki, cierpiałci on jak w Czyśćcu, alem go jeszcze kilkanaście lat potem widział na kontraktach dubieńskich wojskim Urzędowskim, z głęboką kresą, ale zdrowego i opamiętałego. Jak ludzie mówili, bardzo był szacowany w swoim powiecie; a co się zrobiło z Bolestą, prawdziwie do dziś dnia nie wiem; ale dawno musiał umrzeć.

Wracam do swego. Ksiądz Marek śpiewał, ale sam jeden; bo my wszyscy tak się zadumali, że muchęby można usłyszeć; lubo nas była ćma, bo żaden z kościoła nie wyszedł. Ksiądz Marek po odśpiewaniu pieśni znowu na ambonę powrócił, co nawet starych zdziwiło, bo nikt nie słyszał, aby kiedykolwiek ksiądz lub zakonnik, jednego poranku dwa razy kazał. Dosyć że ksiądz Marek powróciwszy na ambonę, tak mówił: — W piersi uderzyć się muszę, że w dniu urodzin i imienin twoich, JO. książę wojewodo Wileński, dostojny wodzu naszego związku, zdawałem się na chwilę o tobie zapomnieć. Twoje i twoich przodków zasługi, poświęcenie się twoje, miłość szlachty i ta żywa wiara, którą ci Bóg pomimo twoich błędów zostawia, warte, ażebym się z tego przed obliczem was wszystkich skruszył. Dam ci więc w dniu, tak dla ciebie, a więcej jeszcze dla nas uroczystym, wiązanie najdroższe, bo go nigdzie nie otrzymasz, jeno w domu Bożym! To jest prawda, że jako prawy pan, gościnne i czynne twoje serce żadnej korzyści mieć nie chce, z którejbyś drugim udziału nie zrobił. Wielce mnie pochwalisz, że w tej prawdzie, w tém wiązaniu tobie ofiarowałem, inni dostojni koledzy twoi swój także udział otrzymują. A jeżeli ciebie i kolegów twoich nie przekonam, że to co mówię, jest prawdą, każdemu z was wolno mię zawstydić, mieniać mnie kłamcą. Bóg często dla korzyści drugich, niegodnym sługom swoim wielkie rzeczy objawia. W tym względzie doświadczałem i ja Jego łaski. Oto rok siódmy temu, gdy w celi mojej gorzko płacząc, wzywałem opiekuna tej ziemi; widziałem go, tak jak na was przytomnych patrzę, a Bóg raczył udzielić siły, żem mógł znieść oblicze tego mocarza niebieskiego. Wiele on rzeczy mnie powiedział, których objawić mi nie wolno; ale to co mi się godzi, to wam powiem bez ogródek: bo anioła rzecz ani szlachcica, ani pana, ani króla nawet obrazić nie może; wszak każdy jest kmieciem przed nim. — Marku — powiedział mi anioł — źle się dzieje z nami. Nierząd nas zgubi. Wszyscy pragną rządu, a żaden z pocziwych rządzić nie chce. Król Sas, którego wszyscy kochają, a nikt mu nie pomaga, lada dzień zamieni koronę

doczesną na wieczną, i będzie to co jest; rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce, aby go podjął. Pod różnemi postaciami do wszystkich waszych panów udawałem się; zawsze ta sama odpowiedź: przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo! Byłem u Radziwiłła wojewody Wileńskiego; mówiłem, błagałem: jedź do Warszawy! zajmij się rządem!... cała Litwa twoja! ratuj koronę!... Aż płakał tak się rozczulił: ja z torbą pójdę, a niech korona będzie cała. — Ale tu nie idzie o ofiary z majątku, lub narażania życia; siedź w Warszawie i zajmuj się rządem. — Oto wiesz com wycisnął nakoniec? — *Panie Kochanku*, ja będę w Warszawie rządził, a mnie pan Michał Rejtan w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije. — Udałem się do wojewody Kijowskiego. Pan obszernych włości i coby je chętnie dla dobra kraju poświęcił; ale *uczciwszy uszy*, jakże to siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł po kilka dni ciągle z panem miecznikiem Ciesielskim pić w Szorsztynie, kiedy pani wojewodzina myśli, że mąż folwarki objeżdża? — Byłem u marszałka Mniszcha. Nie może! Kocha kraj, ale *świnia bura*, rządząc nie można mieć processów, a jakże żyć bez codziennych konferencyj z jurystami? — A pan Wielopolski krajeży koronny, kocha kraj, ale *bała bała*, jak zasiądę się w Warszawie, kto będzie dyspozytorów co sessyi do roboty napędzał? — A pan Krakowski? *Moja Panno*, niech-no się obmuruję w Białymstoku, to i o kraju pomyślę. — A ksiązę Sanguszko starosta Czerkaski? *Mopanie*, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje. — Otóż taka wasza miłość, i dlatego tułacie się, żeby odzyskać coście dobrowolnie utracili. Niechże to za naukę wam posłuży nadal i waszym potomkom; pływicie na desce, kiedy już wygodny okręt przez niedbalstwo wasze odbiegł od lądu.

Mówił ów ksiądz Marek wiele jeszcze innych rzeczy pięknych. Płakaliśmy, a razem pocieszaliśmy się. Myślałem, że panowie których wytknął, rozsierzdzą się na niego, ale nie. Owszem, każdy z nich wychodzącego uprzejmie powitał i w rękę pocałował, a solenizant na obiad zaprosił; gdzie, jakem się później od pokojowych dowiedział, kolejnym kielichem wszyscy panowie zdrowie księdza Marka spełnili.

VII.

Pan Rewieński.

Nigdy bez łez nie mogę wspomnieć sobie o ś. p. Ignacym Rewieńskim, co za jednomyślną wolą całej szlachty księstwa Nowogrodzkiego otrzymał sęztwo ziemskie, i był wzorem dobrych urzędników. On przy pewnej oszczędności żył ledwo nie po pańsku. Wystarczyły mu dochody, i długów nie zostawił, chociaż dom jego przed nikim nie był zamknięty i częste bywały u niego zjazdy, a każdy był nakarmiony, napojony i ugoszczony jak się należy.

Otóż sędzia, przy końcu kadencji trzechkrólewskiej, powiedział mi po sessyi: — Panie Sewerynie, proszę waćpana na zapusty do Omniewicz, ale przywieź nam i żonkę. — Skłoniłem się sędziemu dziękując mu, iż raczy o nas pamiętać. Albo to tacy byli sędziowie jak dziś! Tedy z moją Magdusią, bryczką krytą (którą mi W. wojski Jabłoński dał *pro honorario* za odbytą kondescensję na gruncie z ojcami Domikanami Nowogrodzkiemi) puściłem się do Omniewicz. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach bryczka kryta nie była rzeczą powszechną, i że palestra nasza, choć z obywatelskich synów złożona, ślicznie wózkami ruszała; ale gdy mi bryczkę dano, czemuż miałem jęć sobie i żonie żałować?

Sędziogo dom nie był pałacem, ale ileż tam mieściło się gości! Dziśby tego nikt umieścić nie potrafił; a jaka uprzejmość, jaka szczerść, jaka wesołość! Ja z żonką stałem na folwarku u dyspozytora, który jak to wtenczas bywało, nie sługą, ale przyjacielem był pana, nawet miał z nim jakieś powinowactwo. Oprócz nas jeszcze troje małżeństw mieściło się w pokoju, a dwoje w alkierzu z ekonomstwem. A co też tego było we dworze! W sali jadalnej pięć stadeł. Młodzież roztasowała się po chłopach. To codzień z rana W. sędzia wszystkich objechał, i każdemu dzień dobry zaniósł, przepraszając za niewygody, chociaż nie było za co przepraszać. Pewnie nikt się nie obudził przed sędzią, bo to u nas był wielki wstyd, żeby gość był wprzód na nogach, niż gospodarz. A W. sędzina wszystkie obywatelki objeżdżała z sędziankami, i niejedną w łóżku zastała, chociaż już i pacierze odbyła i kawę kami, i śmietanką wszystkim gościom sama poroższała. Około dziewiątej z rana wszyscy zbieraliśmy się na pokojach, gdzie już i sędzina i sędzianki poubierane siedziały, a żeby gości bawić, a gospodarz przy-

mował ich w sieniach i wprowadzał do żony każdego, nie wchodząc w jego godność. Bo chociaż my niżsi umieli czeić powagę urzędu, znaliśmy dobrze, że jako szlachta wszyscyśmy byli równi. Otóż ja, co tylko susceptiblem byłem, to kiedy mnie W. sędzia, tak majetny i dostojny obywatel, w sieniach witał i nisko kłaniał się, i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzeczność i w kolanom go pocałować: a przecie, gdyby mię inaczej przyjął, poczytałbym się za silnie ukrzywdzonego. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym, pocałowaliśmy rączki wszystkich pań, poczynając od gospodyni i jej córek. Sługa wszedł z gorzałką i zakąskami. W. sędzia odezwał się: — Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć — i odpasał szablę, a my wszyscy poszli za jego przykładem, i w kątyśmy je postawili, ale tak, żeby każdy o swojej szabli wiedział, bo jak tylko jaki senator albo wysoki urzędnik przyjeżdżał, trzeba było nam wszystkim szablę przypasać, biedz do sieni za gospodarzem dla przyjęcia gościa, i wprowadzić go do pokoju, a dopiero odpasać się, gdy on sam się odpasze. Ale ta grzeczność obowiązywała tylko względem ministrów, senatorów, dygnitarzy i podkomorzego; a nas palestrę także i względem urzędników sądowych, jako nad nami zwierchność mających. W. sędzia, gdy widział wszystkich rozgoszczonych, nalał kieliszek gorzałki, i spełniwszy go oddał wraz z faszką gościowi, którego uważał być najpierwszym, a ten toż samo zrobił: tak, że każdy z nas z jednego kieliszka pił, i dopiero ostatni wypiwszy, służącemu nalał, który po spełnieniu, odnosił gorzałkę do kredensu, a wszyscy się brali do wędlin. Wiedzieć potrzeba, że jeżeli się znajdował ksiądz, co zawsze bywało, od niego zaczynało wódkę; chyba, że był senator, a i ten jakieś ceremonie z księdzem robił. I to się chwali: bo ksiądz do świata nas wprowadza, i daj Boże, aby ze świata nas wyprowadził; a potem, nie wiecie co to był ksiądz za naszych czasów. To bywało książę Karol Radziwiłł wojewoda Wileński, na którego często patrzyłem, a nigdy bez strachu, choć go z serca kochałem, jak i wszyscy co go znali; miał dziewięć tysięcy ludu w swojej milicyi, a że nikt nie jest bez ale, był porywczym; to jak się rozda na kogo, czy to z plotki, jak po wielkich dworach bywa, czy z jakiego widzimisie, wié Bóg jaki rozkaz na niego wyda, i pod ziemią szlachcie nie byłby bezpiecznym; a jak takiemu dać radę? Perswadować, to zamiast jednemu dwom byłaby bieda. Oto udawano się do księdza Kantembrynga, proboszcza Nieświeżskiego: — Książę chce mię ukrzywdzić pobudzony przez złych ludzi, ratuj mię! — A on natychmiast do księcia: — Mości książę, czy to się tak godzi? Wszak W. K. M. nie pierwszy ordynat nieświeżski: gdzie się podzieli antenaci jego, tam i książę pójdiesz; a jak się Panu Bogu pokazać, nosząc na sobie płacz ludzki! Zaniechaj książę tych impetów, a w imię Zbawiciela proszę cię, abyś

rękę podał struchlałemu nieborakowi, którego gniew W. K. Mości tak przeraził, że nie wie gdzie się podział. — To książę rad nierad reflektować się musiał, jeszcze chudego pacholka obdarzył, nagradzając mu strach, a wszystko przyzwyczajenie się kończyło. Po gorzałce zaczęły się zabawy przedobiedne. JW. Jeleński kasztelan Nowogrodzki, który zaszczycał towarzystwo naszą bytnością, siadał do maryasza w pulę z gospodarzem i W. Rdułtowskim chorążym Nowogrodzkim, którego żona była siostrzenicą księcia Radziwiłła, a on sam był orderowy pan. A choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali; bo to była u nas wielka sromota w karty się zgrywać: nie tak jak teraz, co lada szlachcic, często i nie osiadły, złoto na karty sypie. Prawda, że i za naszych czasów niektórzy panowie w Warszawie poprzyuczali się szulerki, ale to im się nie chwaliło. Książę biskup Ignacy po całych nocach bywało grywał w swoje francuzkie karty. A w Nieświeżu francuzkich kart dostać na lekarstwo nie można było, bo książę tego towaru srogo żydom zakazywał, i za to niemiłosiernie plagami ich karał. Więc panowie maryaszem, a my niżsi rozmową starszych zajmowali się. Mówiono o sejmach, o posłach co się na nich wstawili, o prawach naszych, o konfederacji świeżo rozwiązanej. Potem zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się mieszały. Pani sędzina zaczęła się popisywać, wynosząc rozmaitych kształtów moteczki i płótna swojego urzędzenia. Wszyscyśmy chwalili jej pracę, a ojciec gwardyan z Iwieńca, co przez ten cały czas trzy mając na kolanach małego sędzica obrazkami go bawił, odezwał się: — *Laus tibi, Christe*, żeś mnie do Omniewicz przyprowadził. Właśnie nasza zakrystya obdarła się; w łatanych albach za dobrodziejów Boga prosić przychodzi, a tu piękne lniane płócienka tęsknią do kościoła, i same proszą, ażeby zemną pojechały do Iwieńca. — A sędzina mu na to: — Weź ile chcesz sobie, ojcze gwardyanie, masz do tego prawo; wszak ja wasza dłużniczka za cebulki tulipanowe, coś mi dał w jesieni. — Pan sędzia odezwał się: — Ale wybierz-że ze wszystkich pół setków najcieńsze; bo jak mi się nie popiszesz, to będę się skarżył kapitule, że nam takich gwardyanów przysłała, co się na gospodarstwie nie znają. — W tém Wawrzyniec kredensarz wszedł z serwetą na plecach, i coś sędziemu szepnął, a sędzia wstawszy powiedział żonie: — Kochanko, proś JW. kasztelana do stołu. — Za przykładem pierwszej pary, my wszyscy wzięwszy kobiety pod rękę, poszliśmy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy nim stołki i ławki. Siedzieliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, który jako gospodarz, chodził od jednego do drugiego w około stołu, aby usługi z oka nie spuścić. Nadmienięm o Wawrzyniu kredensarzu, bo tego sługę znała cała palestra nowogrodzka. On na rękach kiedyś nosił sędziego, a u nieboszczyka wojskiego Rewieńskiego, wiel-

kiego myśliwego, był dojeżdżaczem, potem lat kilka furmanem i woził go do Warszawy. Była to kronika żyjąca domu Rewieńskich. Pamiętał kiedy nieboszczka wojska w ciąży chodziła z sędzią, jak cyganka jej wróżyła że będzie miała syna, co w zaszczytach przejdzie ojca swego; i to często młodemu paniczowi przypominał. Otóż kiedy ten później wybrany został sędzią ziemskim, pierwszą rzecz co zrobił, to że całą familię Wawrzyńca od wszelkiej robocizny uwolnił, a jego samego z furmana na kredensarza postąpił. Co kadencyi Wawrzyniec z panem swoim przyjeżdżał do Nowogrodka; to my codzień bywało na attencję do sędziego chodząc, którego choć czasem we dworku nie było, Wawrzyniec nas wszystkich wódką traktował; a sam nie wiem czy jej smak znał, tak był trzeźwy. Lubił on tylko o starych rzeczach gadać, osobiście o polowaniach nieboszczyka. Za stołem u obiadu stojąc, do dyskursu się mieszał, ile razy o nieboszczyku mówiono; bo sędzia jemu wielkić do siebie konfidencyi pozwalał, że był bardzo do państwa przywiązany i tego znał służbę. Czasem kilkadziesiąt gości u sędziego podochociło się, a pewnie ani jedna butelka na bok nie poszła. Do tego psy na nosaciznę, a konie na robaki miał sekret leczyć: czego sam kilka razy byłem świadkiem. Przy obiedzie po pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich niewielki zaczął kolejno obchodzić; jedni winem, drudzy miodem, zdrowia rozmaite pili. Gospodarz zaczął, JW. kasztelan w ręce chorążego Rdułtowskiego, a wkrótce potem w ręce kasztelana spełnił zdrowie chorążego, następnie kasztelan zdrowie gospodarza, a chorąży gospodyni; gospodarz znowu rozmaitych zasłużonych a obecnych obywateli; z rąk do rąk kielichy szły, a każdy skrupulatnie swój wychylał, bez wylewania na ziemię, bez domieszki wody i innych podobnych obłud, jakich później namnożyło się, nim przyszło do tego, że gościa bodaj i najzacniejszego, przyjmuje się bez picia jego zdrowia, co ma być dowodem, że teraz więcej grzeczności, niż za naszych czasów! Po obiedzie zaczynały się płasy, tańce i mazur, na przemianę. A tak i młodzież i sędziowie bawili się, a kielichy ciągle chodziły aż miło. Zabawy były niewinne, szczere; każdy serce na ustach nosił, bo nie miał potrzeby go zakrywać. Kiedy podochoceni zaczynaliśmy śpiewać *Kociubrychę*, a przyszło do ostatniej zwrotki: *Kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami*, a hukniem razem: *kochajmy się!* to nie był czczy wyraz, ale można było być pewnym, że każdy dla wszystkich, a wszyscy dla każdego choć w czyściec. Otóż tak było w Omniewiczach. Moczarze zazdrościliby szlachcicowi polskiemu, gdyby byli świadkami jak umiał siebie i gości bawić na łonie równości.

W ostatni poniedziałek z rana, gdyśmy byli zebrani u sędzinie, sędzia wpadł z obliczem uradowanem i powiedział: — Kochanko, baw gości, bo muszę natychmiast konno wyruszać naprzeciw dostojnego

gościa, co swoją osobą chce zaszczyścić ubogi nasz domek. JO. ksiązę Radziwiłł wojewoda Wileński w samo południe tu będzie, zatem na granicy mojego dziedzictwa biegnę go przyjąć. — Ledwo to wyrzekł, prócz JW. kasztelana Nowogrodzkiego, co jako senator w domu został, i kilku starszych, wszyscyśmy się upomnieli, by W. sędziemu asystować. Niektórym wystarczyło sęzkich koni, reszta każdy zaprzęgnięgo konia uchwyciwszy i okulbaczwszy pierwszemu siodłem lub terlicą, na którą napadł w masztarni sędziego, ruszał na spotkanie księcia, a nie jeden i oklep; bo choć masztarnia była porządna, gdzieby wszystkim nastarezyć; więcej niż w pięćdziesiąt koni ruszyliśmy. Droga była kopna, a my ciągnęli się sznurem; konfederacyę Barską mnie to przypominało, ile że biegłem naprzeciw jednego z najgorliwszych jej wodzów. Niedaleko Naci, przy karczynie *Czarnoszczenie* zwaną, z powodu, iż prostota powtarza, jakoby kiedyś djablica miała się oszczeni obok tej karczmy, na tym samym miejscu, gdzie teraz stoi św. Jan Nepomucen, spotkaliśmy pierwsze sanie orszaku księcia, a ostatnich jeszcze okiem dojrzyć nie można było. Więc my ustąpili z drogi, czekając aż sanie samego księcia nadejdą. Śniegu koniom było po brzuch; sędzia z urzędnikami stał przodem, a my z tyłu. Gdy się przybliżył sam książę, huknęliśmy wszyscy razem: *Niech żyje nasz książę, ozdoba prowincyi Litewskiej!* i wszyscyśmy pozsiadali z koni, ażeby go powitać. Sędzia z mową wystąpił, aż książę do łez się rozczulił, powtarzając po kilkakrotnie: — Panie kochanku, czy ja wart, żebyście mnie tak przyjmowali — a pomimo nalegań sędziego, wysiadł sam, nie uważając że śnieg. Witał nas każdego chrześtnym imieniem zowiąc. Więcej godziny witania trwały, aż nacałowawszy się i naścisnąwszy się z bracią szlachtą, książę krzyknął na koniuszego swego, żeby konia wierzchowego podał. A że sędzia nalegał, aby w saniach jechał jak wprzód, książę na koniu, chcesz żeby Radziwiłł na ciebie, panie Ignacy, kiedy szlachta na koniu, chcesz żeby Radziwiłł na wozie siedział jak żyd — i lubo był otyły, skoczył na konia jak za dobrych czasów, i zażył go, jakby żadnemu z nas lepiej się nie udało. Potem stępo wedle powagi swojej ciągnął do Omniewicz, ustawicznie coś prawiąc sędziemu i jego otaczającym. Przykro mi było, że byłem opodał, bo radbym wszystkiemu się przysłuchał, ile że co tylko nasz książę powiedział, warte było być rytym na kamieniu. Książę był wzrostu słusznego, otyły: głowa ogromnej wielkości i tak ogolona, że na wierzchu kilka włosów tylko zostawało; wąs duży i zawieszisty, który głąkał gdy był wesoły, a zakręcał do góry, kiedy bywał mroczny lub poruszony; płeć biała jak u kobiety, nos długi, oczy jasno błękitne duże, najczęściej pełne wesołości. W ochędóstwie wykwinął, bo zawsze przynajmniej dwa razy na dzień bieliznę odmieniał; a był ubrany dnia tego w mundurze ulubionym województwa Wileń-

skiego, to jest: kontusz granatowy kusy, podszewka, żupan i wyłogi amarantowe, pas srebrny w amarantowe kwiateczki, szabla w jaszczur oprawna, buty żółte ze srebrnymi podkówkami; na tym wszystkiemu płaszcz z grubego sukna szarego, kuczbajem podszyty, a po wierzchu zarzucona burka, spięta pod szyją srebrnym radziwiłłowskim orłem. Nosił jeszcze wielkie szarawary płócienne, oskurem wyżej pasa zwiazane, a to, żeby kontusza w podróży nie brukać. Do tego czapeczka karmazynowa, czarnym barankiem okolona, kitajką bez waty podszyta; kładł ją na bakier na samym wierzchu głowy, ucha nie dotykając, chociaż mróz był dobry. Na bucie berlacz sukienny, rękawiczek nie znał, lubo znaczną część zimy pod gołym niebem przepędzał łowami zajęty. Miał dowcip bystry, łatwo obejmował rzeczy, z historią narodu był obeznany; a nie tylko że znał doskonale procedenę i powinowactwa swojego domu, ale nawet i domów szlacheckich. Szlachcica najuboższego, byle karmazynowego, uważał być sobie równym i obcował z nim poufale. Do ludzi podejrzanego szlachectwa, jako neofitów i Niemców, czuł wstręt i do siebie przystępu im nie dawał. Z prawem krajowym był dobrze obeznany, a przewodząc po dwakroć trybunałowi Litewskiemu, w tym urzędowaniu okazał się czynnym, umiarkowanym, i w zdaniu raz przyjętym niezachwianym. Na obradach publicznych mawiał często, zawsze nieprzygotowany, a zawsze do przekonania. W obcowaniu pełen konceptów, a lubiąc z drugich żartować, nigdy się sam nie obrażał, kiedy się mu kto odcinał. Pan dobry i kochający sługi jak dzieci; to też i oni za niego ubieży się dali. A choć był porywczy, że dobre miał serce, byle czem dawał się ublażać; nie tak, jak jego stryj książę chorąży, co po lat kilkanaście trzymał w łańcuchach wykraczające sługi. Kiedy szlachcie u księcia wojewody służbę dostał, mógł być spokojnym o los swych dzieci. Dla kobiet był tak grzecznym, że każdą z uszanowaniem w rękę całował, choćby żonę dyspozytora, byle szlachciankę. Obserwował pilnie przepisy religijne; codzień z szatnym śpiewał Godzinki Niepokalanego Poczęcia, sobotę suszył, a w wielki piątek nawet dyscypliną się chlostał; za co też wielkich od Boga doświadczał błogosławieństw. Pił dużo, i nie łatwo było dotrzymać mu plaču. Jednemu tylko Leonowi Borowskiemu nie mógł dać rady; ten zawsze go zwyciężał kielichem; ale z pomiędzy sług i przyjaciół on był jeden, co tego dokazał. Kiedy się kawalkata już do omniewiczowskiego dworu zbliżała, sędzia puścił konia w cwał, żeby księcia przed domem przyjąć; jakoż jego i niektórych gości zastaliśmy przy ganku. Sędzina i wszystkie damy wyszły także na spotkanie gościa. Książę, zsiadłszy z konia i po kilkakrotnie nacałowawszy znowu gospodarza, wszystkie kobiety, zacząwszy od gospodyni, w rękę pocałował; dostało się i mojej Magdusi. Potem wszedłszy do pokoju, a obaczywszy Wawrzyńca: — Jak się masz

waszeć, kumie — powiedział mu. — W istocie przed trzema laty chłopca mu do chrztu trzymał. Wawrzyniec jak długi padł księciu do nóg i rozbierał się. Książę podniósłszy go, zaczął łaskawie pytać o żonę i o dziecko, a kazawszy sekretarzowi swemu Mikuciuw odliczyć mu sto złotych, dodał: — Zanieś to odemnie twojej żonie. — Wawrzyniec ledwo nie oszalał i cały dzień chodził nabuńczuczony jak indyk.

Książę był ciągle w przedziwnym sosie, animował do kielicha, tak, że sędzia aż płakał z rozrzewnienia. Między inne zdrowia książę sam wniósł prześwietną palestrę, i każdemu z nas jakąś grzeczność powiedział; a gdy ja z innymi przybliżyłem się do niego, rzekł: — Sewerynie kolego, wasze był kiedyś *de hajda*, a teraz *de jure*; kiedyś to my nieprzyjacielskie łby płatali, a teraz nieprzyjacielskie lampy. — Ja mu padłem do nóg. — Niech książę pan tylko piśnie, dobre czasy nam wróć, a pan stolnik Litewski pójdzie fora ze dwora! — Książę wąsa do góry pokręcił, bo już był przyrzekł królowi więcej nigdy na niego konfederacyi nie podnosić, i mawiał często: — Robiło się co można, ale teraz kto kocha kraj swój, niech wiary królowi dochowa; Panie kochanku, lepszy rydz jak nie.

Wśród zabawy było się trochę zachmurzyło z następnej przyczyny: JW. Jeleński kasztelan Nowogrodzki, przed kilkoma niedzielami, jako członek nadwornych sądów, był zjechał do Nieświeża na kommisję księcia z kahałem nieświeżskim, i zakończył interes zapewne sprawiedliwie, a przynajmniej wedle przekonania; ale książę jego nie lubił, bo w czasie bezkrólewia był z małej liczby Litwinów, adherentów partyi księciu przeciwniej, która go prześladowała, za co z łaski króla otrzymał wysokie w prowincyi nasze krzesło. Książę więc przy kielichu wspominając o świeżo odbytej kommisji, powiedział mu: — Powiedz prawdę, Panie kochanku, wiele *rebochem* wzięłeś od żydów? — Na to silnie się obruszył kasztelan, i pomimo prośb gospodarza chciał natychmiast wyjechać; ale książę, widząc frasunek sędziego, ułagodził kasztelana mówiąc: — Panie kolego, odpuść mnie to, co żartem powiedziałem — i na tém poprzestał kasztelan. Czyż konfidencya księcia mogła kogo obrażać? My też wszyscy zrozumieli, że jeśli książę niby się uniżył, więcej to uczynił dla sędziego, niż dla niego samego. Z tego powodu niedługo potem na ustępie wyszturchaliśmy porządnie pana Adamowicza, plenipotentę kasztelana, który po swojemu o tém zdarzeniu rozpowiadał z krzywdą księcia, ale jako o słyszanej rzeczy, bo on z nami w Omniewiczach nie był. Skutkiem tego wypadku kilkunastu nas jurystów pozwano na takty, a na mnie się zmleło. Bo gdy wizya odkryła, że Adamowiczowi część czupryny wyrwano, zarzucił mi, iż te włosy w mojem ręku zostały; nie śmiałem odprzysiądz się, lubom tego nie pamiętałem, bo w zapale być to mogło; skazany więc zostałem na sześć niedziel więzy i zapłacenie

tysiąca grzywien. Grzywny chorąży Rdułtowski za mnie zapłacił, a więzę musiałem odsiedzieć; alem tego nie żałował. Książę pan, pamiętny, żem cierpiał za jego sławę, kazał mi wypuścić Doktorowicze, ale tak, że gdyby człowiek nie chciał, to majątek sam z siebieby się zrobił. To też przy łasce księcia Jmci (niech go Bóg błogosławi na wieki), a przy pomocy Boskiej, z tego się zrobiło wszystko, co jest. Co się zaś tyczy JW. kasztelana, przeprosiny księcia dały mu się we znaki; bo książę na ich dopełnienie z całym swoim dworem pojechał do Dunajczyc, rezydencyi kasztelana, który będąc wielce oszczędnym, niemało w duchu się nafrasaował, że trzeba było przez dni kilka okazałego i liczego gościa swoim chlebem przyjmować, a rad nierad musiał się okazywać wesołym. Ja z boku słyszałem, że ta wizyta kosztowała go do trzydziestu tysięcy, bo był pysznym i chciał po pańsku wystąpić. Dobrze tedy opłacił swoją obraźliwość, a nie było kogo żałować, bo był bezdzietny, i oprócz porządnego spadku, miał kilka intratnych królewskich.

Tak więc, gdy chmura rozpędzona została, już nie zabawom naszym nie przeszkadzało, i owszem z powodu zgody, jeszcze gościeli kielichy krążyły; nawet przy końcu wzięli się do kijów szklanych. Był to w dawnym obyczaju najwyższy stopień podochocenia. Kij szklany był dęty; gdy napełniwszy go winem przykładano do ust, trzeba było wypróżnić jednym tchem; inaczej pijący został obryzgany, a za karę wlewano mu za kołnierz kielich wody. Wszyscy popiliśmy się okropnie, gospodarza bez przytomności wynieśli. Książę jeden został przytomny, a nie mając już z kim pić, na znak zwycięstwa jeszcze kielich wypił do Wawrzyńca, i jemu go oddał napełniwszy swoją ręką; o własnej sile poszedł do sędziniej, z nią zmówił Litanię do Najświętszej Panny; to wszystko odbywszy, zjadł ogromną misę kapusty kwaszonej i spać się położył, zdrów jak gdyby nie pił.

Nazajutrz, w ostatni wtorek, był z rana obrządek solenny dla gospodarstwa i ich przyjaciół: zaręczyny pana Symeona Mogilnickiego, cześnikowicza Nowogrodzkiego, z panną Agnieszką Haciską, rodzoną siostrzenicą sędziego, a w jego opiece będącą. Jój ojciec, chorąży pancerny, szanowny obywatel, miał piękne dziedzictwo, ale w czasie konfederacyi Barskiej znacznie je odłужył, swoim kosztem sztytując chorągiew, na czele której pod Sochaczewem poległ. Majątek jego okropnie spustoszony został, zgoła, że prawie bez sposobu zostawił żonę z czworgiem drobnych dzieci, a i ta niedługo płacząc, złączyła się z godnym małżonkiem, polecając biędne sieroty pieczy brata swojego, co lubo młody, już najsejdiwsiych posiadał szacunek. Jakoż się nie zawiodła, bo pewnie o własnych dzieci dobro sędzia więcejby się nie troszczył, jak o siostrzanów. On to posag ich matki

wydzwignął, gdyż cały ojczysty majątek poszedł na satysfakcję wierzycieli; nawet kilkanaście tysięcy spadłych długów, własnym funduszem zaspokoił, ażeby duszę szwagra oczyścić, a jego dzieciom dać wychowanie przystojne. Starszy syn, wyewiczywszy się w palestrze, został rejentem grodzkim Nowogrodzkim; młodszy był pokojowym u księcia wojewody. Starsza córka Katarzyna, lubo trochę ułonna, wielkie szczęście miała do ludzi. Niejeden majątny kawaler o jej przyjaźń się starał, ale ona najlepszymi postanowieniami wzgardziwszy, Bogu czystość ofiarowała. Sam byłem na jej obłóczynach w klasztorze panien Benedyktynek Nieświeżskich. Sędzia chciał być na nich jako wuj, ale nie mógł dotrwać do końca; bo lubo nie sprzeciwiał się powołaniu Boskiemu, tak go czułość za serce ścisnęła, że aż musiano go wyprowadzić z kościoła. Najmłodsza była panna Agnieszka, dopiero siedemnaście lat mająca, której zaręczyny z W. cześnikowiczem się odbywały. Z rana, gdy się wszyscy zebrali, pan cześnik Mogilnicki oświadczył, iż widząc przywiązanie syna do panny chorążanki, a przekonany będąc, że z nią dożywni związek największe mu szczęście zapewni, tak z powodu cnót i wychowania chorążanki, jakoteż koligacji z zacnym w województwie domem; więc dla syna o jej rękę prosi W. sędziego, jako drugiego ojca, a razem księcia wojewodę o wstawienie się, aby raczył wesprzeć dobrem słowem tę prośbę sługi swego. Nie można było bardziej uradować księcia, bo co najlepší lubił, to kochać małżeństwa. To też natychmiast wstał, i w pół ścisnąwszy sędziego, rzekł: — Panie Ignacy, wybornie się zdarza dla Jagusi; Mogilnickich dobra krew: niech się przyjaciele Radziwiłła łączą. Zezwól, a prędko: bo jak zaskoczy popielec, na czterdzieści dni klamka zapadnie. — Ojciec i syn ucałowali kolana JO. swata za wstawienie się łaskawe; a gdy pan sędzia oświadczył, że i on i żona za zaszczyt poczytują sobie, iż tak zaeny obywatel, jak W. cześnik, szuka w ich domu szczęścia dla syna swego, i w nadziei, że Jagusia wstrętu do tego nie czuje, chętnie błogosławieństwo swoje jako wuj i opiekun daje. Pan cześnikowicz jak długi padł mu do nóg, i toż samo sędzinę. Książę wziął za ręce chorążankę, która drżała jak liść osiny, i zapytał ją: — czy zgadza się z wolą wujaszka iść za cześnikowicza? — Chorążanka w płomieniach ustami ruszyła, ale nie można było nie usłyszeć. Książę: — Głośniej Jagusiu — a ta jeszcze więcej się zmieszała. Książę tedy: — No, kiedy się tak wstydzisz, powiedz mi na ucho; ja powtórzę głośno, a mnie uwierzą — i wzięwszy ją w pół, ucho do jej ust przyłożył. Po niejakiu czasie odważyła się coś szepnąć księciu, dopiero książę wyrzekł: „zezwała“. Biedna chorążanka ledwo że nie zemdląła, kiedy cześnikowicz padł jej do nóg. Zaczęto mówić o postanowieniu państwa młodych, a chorążanka wysunęła się z pokoju. Pan cześnik

oświadczył, iż z dwóch wiosek które posiadał, jedną spuszcza synowi. — Co do mojej siostrzanki — rzekł sędzia — jej posag aktom wiadomy; ma ona swoich dwadzieścia pięć tysięcy złotych, które po zapisaniu ewikcyi panu cześnikowi wręczone zostaną; a ja z afektu wujowskiego wyprawę sprawuję. — Wtenczas książę odezwał się: — Na co pan Karol ma ewikcyą obciążać swój majątek? Ja sumę przyjmuję, a w procencie wieś przyszłej cześnikowiczowej wypuszczę. — Wszyscy się pokornie skłonili; książę powiedział panu Mikuciovi, że jedną ze wsi, które są do wypuszczenia, wypuszcza w zastaw pannie Agnieszce Haciskiej, a jej posag do siebie przyjmuje, i dodał: — Niech inwentarz będzie przyjacielski. — Pan Mikuć podał regestr folwarków do puszczenia będących (który to regestr zwykle przy sobie nosił), a gdy pan cześnik wybrał Borewicz, folwark w Słuczyźnie trzydzieści chłopów mający, książę powiedział: — Jaki addyament roczny będzie się należał do mego skarbu, połowę z niego daruję Jagusi, aż do czasu wykupna Borewicz. — Po najpokorniejszych dziękach, pan sędzia wyrzekł: — Wasza książęca mość, i wy szanowni goście, raczcie mi pozwolić, abym w ich przytomności sam intereczę pisał. Rad jestem to własnoręczne moje pismo na pamiątkę mojej Jagusi zostawić — a wzięwszy pióro, od razu zaczął pisać tranzakcyę, wedle zwyczaju poczynającą się od procedencyi państwa młodych. Dziwną łatwość miał sędzia do napisania; nie go rozerwać nie mogło; nieraz pisząc do dyskursu się mieszał, a omyłki nie robił. Wszystkie prawa z pamięci przytaczał, i dość obszerną intereczę w pół godziny skończył. Po głośnem jej przeczytaniu, a przez strony podpisaniu, nowy kłopot dla chorążanki. Sędzina wyprowadziła ją z garderoby; trzeba jej było z narzeczonym zamienić pierścionki, klęknąć z nim przed wujostwem i ojcem, dla przyjęcia błogosławieństwa, a potem przed księciem z intereczą w rękę, by podziękować mu za szczodrość i prosić go o podpisanie się za świadka: co JO. książę uczynił, naprzedzając wyszy chorążankę żarcikami. Podpisał się także kasztelan Jeleński i chorąży Rdułtowski. Nie codziennie czyta się taka interecza; bo mieścił się w niej porządną kawał chleba, a zdołały ją mitry, krzesta i ordery. Zaręczyny się odbyły, a ślub naznaczony został na Wniebowstąpienie Pańskie, z woli sędzinę pomimo licznych prośb, aby go przyspieszyć, a to z powodu, iż w dniu tym z mężem przyjęła błogosławieństwo. Ucałowawszy rękę męża, rzekła: — Dzień to szczęśliwy, mój Ignasiu. Już zbliża się rok szesnasty, jak z sobą mieszkamy, a momentu smutku nie doświadczyłam. — Sędzia rzucił się w jej objęcia i rozplakał się, my wszyscy się rozrzewnili, i księciu wojewodzie kilka łez na wus upadło. Jeszcześmy nie odeszli z rozczulenia naszego, gdy pora obiadowa złączyła nas wszystkich za stołem. Już sama wesołość panowała. Pierwsze zdrowie było przyszłego szczęścia

państwa młodych; piliśmy także: „niech żyją połączone domy“, a gdy przyszło do płasów, którym książę dał hasło w pierwszą parę wzięwszy pannę chorążankę, i coraz lepsza ochota nas zagrzewała, piliśmy z trzewika panny Agnieszki, piliśmy także z bóta księcia wojewody, i naprzemian szły tańce, mazurki, krakowiaki, przeplatane kielichami. Dopiero w samą północ, na zakończenie zapust, książę wzięwszy panią sędzinę, a każdy z nas damę swoją, poszliśmy drabanta, po którym muzyka się rozeszła, a zwykłym natenczas obyczajem, książdz gwardyan Bernardyn miał do nas egzortę.

Ostrzegłszy on nas, że o zabawach trzeba zapomnieć, bo nadszedł czas pokuty i postu, zaprosił wszystkich do modlitw. Słudzy zaczęli wypuszczać z klatek wróble, a my z księdzem zaczęliśmy śpiewać *Gorzkie żale*, aż ściany się trzęsły. Donośne głosy księcia wojewody i ojca gwardyana nad naszymi wszystkimi się unosiły. W kilka godzin udaliśmy się za gwardyanem do cerkwi niedaleko dworu będącej. Tam ojciec gwardyan miał mszę o czwartęj z rana; sędzia służył mu do mszy. Kiedy przyszło do tych słów: *cum jejunatis, nolite fieri sicut Pharisaei*, wszyscyśmy do pół szabli z pochwę wydobyli, głowy czapkami nakrywając, a to na znak, iż gotowi jesteśmy orężem walczyć za święte słowa Zbawiciela naszego. Po skończonej mszy, książę wojewoda z JW. kasztelanem Jeleńskim, po nich stan rycerski, urzędnicy wprzód, dalej my szlachta, potem słudzy, ordynkiem po dwóch przystępowali do ołtarza dla przyjęcia popielcu; dopiero po nas kobiety. Kiedyśmy wrócili do dworu, to już było około szóstej z rana. Jak w pierwszy dzień postu, bez żadnego posiłku poszliśmy spoczywać kilka godzin, aż zebraliśmy się w sali obiednej. Siedliśmy do postnego obiadu, wszystko było na oleju; ale część gości i sami gospodarstwo, mając zwyczaj dzień popielcowy suszyć, grzankami się tylko posilali. Gdyśmy spostrzegli, że książę wojewoda także się od innych pokarmów wstrzymuje, zbudowani pięknym przykładem, nie odważaliśmy się dogadzać żołądkowi; a choć tém małym umartwieniem, każdy rad był przysłużyć się Zbawicielowi swojemu. W dniu tym wina nie było widać u stołu, tylko miód i piwo. Po obiedzie wszyscy rozjechali się. Ja z moją Magdusią puściliśmy się do Nowogródka, gdzie dość późno stanęliśmy w naszym dworku.

VIII.

Książę Radziwiłł,

Panie Kochanku.

Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka; w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsowny; kilka tysięcy szlachty zjechało się na wybory pisarza ziemskiego. Po śmierci pana Tadensa Danejki, książę wojewoda Wileński prowadził pana Rejtana, a że zwykle u nas wybory były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło, ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecież zrobiło się inaczej. Przykro było JW. Niesiołowskiemu i JW. Jeleńskiemu, jednemu wojewodzie, drugiemu kasztelanowi Nowogrodzkiemu, że najmniejszych wpływów w sejmikach swojego województwa nie mieli, i że dla zachowania jakiegś powagi, radzi nieradzi, musieli się księciu Radziwiłłowi kłaniać. A że Rejtany z licznymi swoimi kolligatami rej wodzili w partyi radziwiłłowskiej, usiłując JW. Niesiołowski ją rozdzielić, namówił pana Kazimierza Haraburdę, męża rodzonej siostry Rejtanów, aby oświadczył się o ten urząd dla siebie, co nie mało zgorszenia przyniosło województwu, okazując szwagrow zawziętych, jeden drugiemu szkodzących. Starali się obu stron przyjaciele namówić pana Haraburdę, ażeby téj krzywdy szwagrowi nie robił, kiedy już tamtego po kilkakrotnie pito zdrowie, jako przyszłego pisarza; że on sam z początku nie był mu przeciwnym, że ta braci niezgoda wszystkich gorszy, a nakoniec, że nie ma podobieństwa, ażeby przeciw panu Michałowi się utrzymał. Wszelka usilność była daremną; gdy obywatele zjechali się w Nowogródka do klasztoru Bernardyńskiego na Poreyunkę, a między niemi znajdowali się obaj szwagrowie, tam starano się ich pojednać; ale jak zaczął pan Haraburda wyrzucać szwagrowi, to że go ukrzywdził w wypłacie posagu, to że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami siedzieć, a nie mozolić się nad dokumentami, to że choć pan Michał zausznikiem nieświeżskim, on nie traci nadziei w swoich nikomu niepodległych przyjaciółach, pan Michał porwał się do szabli, i gdyby Bernardyni nie byli wyprowadzili pana Haraburdę, podczas gdy pana Michała mitygowała szlachta, refektarz zostałby skrwawiony. Już tedy nie było podobieństwa ich pogodzić,

a czas sejmikowania nadechodził; właśnie wypadła okoliczność, z której JW. wojewoda Nowogrodzki wielką sobie robił nadzieję, i któraomal nie przyczyniła się do uczynienia twardym pana Haraburdę. A to był postępek księcia wojewody Wileńskiego, z wielmożnym Józefatem Tryzną, strukeczaszym nowogrodzkim, który to postępek wielu gorliwych przyjaciół radziwiłłowskich oburzył, z czego zrzeczenie umiała korzystać partya księciu Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z radziwiłłowskim nawet skoligaconego. Wszakże to Naliboki przez Tryzniankę w dom radziwiłłowski weszły, a większa część funduszów klasztoru żurowieckiego była darem Tryzny, antenata strukeczaszego. W kantyczkach żurowieckich jest o nim wzmianka: *Któż nie przyzna, że pan Tryzna, był mąż świętobliwy etc.* Otóż pan strukecaszy, prócz summy zastawnej na radziwiłłowskim Kołdyczewie nie miał; zastawa była jak może być najtańszą, i kto inny mógłby z niej na szerokie wyléże dziedzictwo; ale pana Tryzny pieniądz się nie trzymał. (Maciek zarobił, Maciek zjadł), a często więcej zjadł jak zarobił. Już to tam i moich parę tysięcy na tamten świat z sobą zaniósł; ale na ostatnim sądzie pewnie upominać się nie będę, bo z nim i beczkę soli zjadłem i więcej niż beczkę wina wypilem. Że on nie miał prócz jedynaczki córki żadnego potomstwa, że na nim dom się kończył, a że panna z urodą i tak dobrego gniazda nie potrzebowała posagu, aby się w dobrém małżeństwie usadowić, jakoż później za bardzo możnego Witebszczanina Syrucia starostę Czuchłowskiego wyszła; więc ponieważ był wymówionym nasz strukecaszy, że się na przyszłość nie oglądał. Pan Tryzna był ludzki, wesoły, ale czasem popędliwy. Razu jednego, w same żniwa, księżę wojewoda Wileński nie uprzedziwszy go, właśnie jak piorun wpadł z liczném myśliwstwem, aby spłować lasy kołdyczewskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia podstarościemu, by żniwiarzy naglił do roboty, i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze księcia, wymagając, by natychmiast obławę do lasu posłał; a że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoś tam eierpko dopominali się u niego, iż go zniercierpliwili. Odmówił im ludzi, ofuknął ich, i miał niby powiedzieć wedle ich relacyi: że kto w czasie żniwa poluje, temu piątą klepkę nie dostaje. Jak wrócili dojeżdżacze, a ich relacya zaczęła biedz po szczeblach dworskich, a ciągle rosnać, ile, że pan Mikuć sekretarz księcia miał żal do pana Tryzny, z powodu iż konkurując o jego córkę, w jego domu był traktowany harbuzem, więc dogadzając zemście, udał go przed księciem. Księżę tak mocno to uczuł, że jak mnie twierdzili przytomni, przez kilka *Zdrowaś Marya* mowa mu była odjęta, a potem jak zaczął ryczyć, to się lasy kołdyczewskie zatrzęsły. W niepohamowanym popędzie rozkazał natychmiast odebrać posłuszeństwo panu Tryźnie

i wypędzić go z majątku. To się natychmiast dopełniło, nawet z nie-ludźkością, bo aż lękając się o skórę pan Tryzna uciekł z tém tylko co miał na sobie; to jeszcze szczęście, że wielmożna strukecaszyna z córką były wyjechały na odpust do Pińska. Zgoła, że piechotę gospodarz umknął, i aż w okolicy Rajców się oparł, a ztamtąd dostawszy podwodę udał się do Nowogrodka, gdzie manifest zaniósł przed grodem, a razem i pozew po księcia o irytację kontraktu i ekspulsyę.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem attentować od księcia i przed strukecaszym samym łzami się zalałem, błagając go że tak powiem, aby mnie odpuścił, że z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać, bo znałem dobrze, że nasza sprawa była nie potem, ale cóż? czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż pan strukecaszy nie miał mi tego za złe, i gdy się wszystko skończyło, nie przestał mnie zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunek, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy, z własnego przekonania czynilem ofiarę. A i przekonaniu umiałem zadość uczynić, bo przytomny będąc konferencyi poprzedzającej kroki prawne, odezwałem się przed wielmożnym Radziszewskim chorążym Starodubowskim, a jeneralnym księcia plenipotentem, że niewiele mam ufności w prawności naszej; jeno on mnie zaraz zwrócił na drogę, mówiąc: — Waćpana rzecz attentować i bronić sprawy księcia, a nie jój przyganie, i na to jesteś płatny; a tém mnie zamknął gębę. Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją wprowadzić do ziemstwa, bo gród nowogrodzki był juryzdykcyą wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sądził, a jakie takie nadzieje mogliśmy mieć w ziemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać ją z grodu, gdyż do niego poszły pozwy powodowe; nakoniec sprawa ekspulsyjna, uczynkowa, w samej rzeczy do juryzdykcyi grodzkiej należy; i lubom stawał na tém, że już została z naszej strony podana illacya do trybunału *pro determinatione fori*, nie zważając na to sąd grodzki, kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a pan strukecaszy zyskał na księciu Radziwille kondemnację. Ale cóż?... cieszył się kondemnata nieborak na bruku osadzony, a księżę jak zajął Kołdyczew, tak go trzymał. Na następnej kadeneyi, widząc że nie ma sposobów utrzymania się w zaprzeczeniu *forum*, innego skoku próbowałem. Chcąc zerwać komplet, podałem obmowę na jednego z członków sądu, zadając mu iż jest krewnym strony powodowej. Pokrewieństwo było dalekie, bo pan Kajetan Uzłowski sędzia grodzki, na którego podałem obmowę, miał żonę Ancutównę, a nieboszczka krajeżyna Tryznina, macocha strukecaszego, *primo voto* była za Ancutą. Jednak takowa obmowa była dostateczną dla zerwania kompletu, bo pan sędzia oświadczył: że ponieważ księżę wojewoda w nim ufności nie ma, a obok tego nie wypiera się zaszczytu kolligacyi jemu zarzuconej, więc sądzić nie

będzie, i ustąpił ze swojego miejsca; a że już kompletu nie było, sprawa poszła w *non sunt* i kadencya spełzła. Było trochę krzyku za to na sędziego, i strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dlatego uchylił się, bo sędzina chce być na św. Karol w Nieświeżu, ażeby córki produkować. Mówiono także, że pan Leon Borowski ofiarował mu za to szubę rysią; ale pokazało się później, że to była potwarz.

Aż tu nadszedł sejmik na pisarstwo ziemskie, na który książę wojewoda wedle zwyczaju swego zjechał; tém więcej, że chciał utrzymać pana Michała Rejtana, co był Radziwiłłowskim duszą i ciałem. Zjechał książę w kilkanaście pojazdów do klasztoru Bernardyńskiego, którego był syndykiem, i całkowity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których jak mogli cisnęli się zakonnicy; bo oprócz księcia, pokotem leżał pan Michał Rejtan, Bukowski szatny, i ojciec Idzi, co był wielkim egzorcystą; a że książę złych duchów się obawiał, wymówił sobie, aby w celi blisko niego spał, i do tego Nepta, ogromna wyżlica, faworyta księcia. Opowiadał nam pan Rejtan, że przez cały czas sejmiku oka nie zmrużył, takie okropne były chrapania księcia, ojca Idziego i Nepty. Szlachta okoliczna, co za księciem piechotą przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym, na którym stało kilkadziesiąt fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni codziennie dla księcia dwa woły rznęto. Książę dwa razy na dzień obiadował; raz ze szlachtą okoliczną z kotła zjadał krupnik i flaki; a potem w refektarzu z obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną, bo szlachta taki na to krzyczała, a sam nie śmiał przed księciem z tém się odezwać; namówił ojca Idziego, aby przy pomyślniej okoliczności jakoś bąknął księciu, aby się dał przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego Bernardyn, i to co napisze, jest słowo w słowo, tak jak pan Bukowski szatny opowiadał, będący naocznyim waszyńskiego świadkiem. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, książę odezwał się: — Ojcie Idzi, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. — Na wieki wieków; co książę rozkaże? — Czy nie słyszysz waszecz, jak moja Nepta warczy? zapewne nieboszczyk Wołodkowiec mnie nawiedza. — Na to pan Michał Rejtan przeżegnawszy się: — Co też się marzy waszej książęcej mości? ludzie się szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich, już zaraz ma być pan Wołodkowiec! — Milczałbyś, panie kochanku; że umiesz grać we francuzkie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do wasci mówię, ale do ojca Idziego. — Ojcie Idzi, wszak prawda, że dusze z Czyśca wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić; żeby temu przeczyć, trzeba być księciem biskupem Ignacym, albo Marcinem Lutrem. — Tak jest JO. książę, bywa to, by-

wa. — Słyszysz, panie Michale? aż miło spać z teologiem, bo i oświeci i uspokoi. — Ojcie Idzi, zawsze nieboszczyk Wołodkowiec stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! gdybym go mógł wskrzesić, oddałbym co mam, a sam do was na braciszkabym wstąpił. Za życia nieboszczyka księcia najechałem po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. Pan Kotwicz na mnie namalował sto tysięcy pretenzji, i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapozwie. Ja byłem goły, bo nieboszczyk książę był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem miecznikiem Litewskim i orderowym panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił batogami. Co tu było robić? A mój Wołodkowiec dwa folwarki swoje własne zastawił i zagodził Kotwicza. (Tu słyhać było jak książę zaszlochał.) I czy to raz za mnie się poświęcił? Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że niedługo będziem z sobą, powiedział: — Książę Karolu, ty dłużej odemnie żyć będziesz; jak umrę, pamiętaj o mojej duszy. — Otóż kiedy partya, którą ten łotr, ten szuler Ignacy prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowieca, a potem rozstrzelała go tu w Nowogródku, gdzie tego samego wieczora przybyłem, ale zapóźno, przysięgłem pomścić jego krwi na głowie niegodziwca, i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu podziękować na pierwszej sosnie za miastem. Już szedłem ku Wilnu, ale na pierwszym noclegu we śnie pierwszy raz pokazał mi się Wołodkowiec, prosząc mnie za łotrem, i wyraźnie mi powiedział: że jak go powiesz, to memu Wołodkowiowi będzie gorzej na tamtym świecie. — Ojcie Idzi, wszak prawda, że on dotąd w Czyścu? — A któż to przeniknie Sądy Boże, książę panie? I sprawiedliwość, i miłosierdzie wielkie u Niego. To tylko wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odsęła do Nieba, albo do Czyśca, albo do piekła — uchowaj nas od tego Jego miłosierdzie. — Jużci Wołodkowiec do piekła nie poszedł, panie kochanku? Daj Boże wam wszystkim zakonnikom być tak gorliwymi jak on w wierze. To co ja, ojcie Idzi, za spoczynek duszy Wołodkowieca robiłem, toby wystarczyło aby całkowity Czyściec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczyźnie trupy z dżumy poległe, własnymi rękami, na jego intencję, a rocznie jego śmierci suszę. Wieś dałem dominikanom Wołkowyskim, u których groby Wołodkowieców; a co mszy, ekzekwii, jałmużn, lamp; to tego i pan Michał Rejtan, choć wielki rachmistrz, nie policzy; a jednak dusza jego nie przestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta tak jego zna, że jak się zbliży, odzywa się na niego jak na grubą zwierzynę. Ojcie Idzi, daj mi na to radę, a ja za to wasz klasztor gdańską dachówką pokryję. — Niech Bóg odpłaci waszej książęcej mości jego wspaniałość dla nas; każdy dar jest Panu Bogu miły, ale im większa ofiara tém skuteczniejsza. Niech książę pan robi na intencję nieboszczyka,

jaką ofiarę z gniewu; na przykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tén najlepiej uwolnisz duszę przyjaciela. — Otóż już do mnie waszeć mówisz językiem księdza Kantembrynga, co całe życie u mnie za lada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia najlepsza moja charcica, wiatrówka, zdechła z niepilności Grzesia psiarza; kazałem go być zakuć w łańcuchy; po sprawiedliwemu warto było ze skóry go obedrzeć, a ksiądz Kantembryng, jak zaczął mi prawie antyfony, a prosić, a straszyć, a kruszyć; a djabli mi nadali, że ktoś mnie w mówił, że on wielki teolog; to choć powiedziałem: nie odpuszczę, jakem Radziwiłł, — tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie. Ale przynajmniej dobrze złajałem księdza Kantembrynga; onby rad, żeby mnie we własnym domu rozbijali. To już i waszeć tą drogą zachodzisz? To już i bernardyni filutują jak jezuici? Tylko tego przed księdzem Kantembryngiem nie paplaj; ale szczęście, że u mnie furdynka pusta, i na nikogo się nie gniewam. — Jabym się odezwał z czémś, ale nie śmiem. — Mów śmiało, mów śmiało, ojcze Idzi; wszak na swoim dziedzińcu i wióry biją, a ja u was na gościnie; mnie o waszą łaskę, nie wam o moje dbać, a potem swemu syndykowi trzeba prawdę mówić. — Kiedy mnie książę pan pozwała tyle śmiałości, to niech wasza książęca mość sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził? — Ja, panie kochanku, nikogo nie ukrzywdził, mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Pana Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapałem, chociaż mnie ta mała poznańska, ten Kaszuba Szulkowski nazywa w Warszawie *niedźwiedziem litewskim*; ale podrapię jego dobrze, jak do Grodna na sejm przyjedzie. Ale to do wasześci, ojcze Idzi, nie należy, bo waszeć nie wielkopolski bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja pokorny jak dziecko, panie kochanku; ksiądz Kantembryng ciągle mnie z ambony przymawia, a ja się na niego nie krzywię; a pan Leon Borowski mało mi się worał w moje grunta? A pan Jerzy Białopiotrowicz mało mi się worał w moje grunta? A pan filozof co tu śpi, Michał Rejtan, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach, i bobrów wyłowił w Łachwie? A ja się nie odzywam; tylko przed Panem Bogiem czasem zapłacę. Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzi, wystrzeż się, aleś spudłował. Słuchaj bernachu, tobie się podobał mój pas, com go miał wczoraj na sobie; mówiłeś, że byłby z niego ornat, jakiego w Wilnie w zakrystyi katedralnej nie ma; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew, rozumie się w Litwie, to ci go dam; a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dysceplin na intencję Wołodkowicza. — Zgoda, książę panie! pas będzie nasz, a ja taki dysceplinować się będę na intencję nieboszczyka; tylko się boję odezwać, bo nuż książę pan się obrazi? — Mów śmiało; nie będę się gniewał, jakem Radziwiłł. — Kiedy mnie książę pan ośmielasz, to powiem,

że był zaenry obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało furi z jego śpichrza idą do klasztoru; a teraz my musimy udzielać mu z jałmużną, bo z głoduby umarł, a to dlatego, że książę pan wypędził go kazał z zastawy, i prawie w jednej koszuli do Nowogródka uciekł. Pozywa się teraz z księciem, a kawałka chleba nie ma pan Strukezaszy Tryzna. — Tu mu przerwał książę: — Co ty się wtrącasz klecho nie w swoją rzecz! Ja cały majątek stracę, a na swoim postanowie. On, okryty moimi dobrodziejstwami, on, co prawie darmo Kołdyczew trzymał, odmówił mi ludzi na obławę, sług moich z błotem zmieszał, i mnie głupcem nazwał! Albo ja, albo on z torbą pójdzie. — Już on poszedł z torbą, książę panie; ale niech wasza książęca mość przypomni sobie, że przynajmniej dwa razy na dzień mówisz Panu Bogu: *odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy winowajcom naszym*. — Otóż ja odtąd wolę pacierza nie mówić, a taki nie odpuszczę. — Ale, książę... — Cicho mnie zaraz! precz ztąd Bernachu! nie suszyć mi głowy!... — Tu milezenie przez chwil kilka nastąpiło, aż dały się słyszeć kroki. — Wszelki duch Pana Boga chwali!... — I ja go chwale; to ja, książę panie, wychodzę na rozkaz waszej książęcej mości; a to trepił moje, co z przeproszeniem jego uszu, troszkę hałasu narobiły. — Proszę wasześci, panie kochanku, nie odchodzić z celi; śpij ze mną, bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, bez ciebie, mój książę, zachoruję z żalu. Ja z tym heretykiem Rejtanem, co z upiórów żartuje, sam na sam nie chcę być w nocy; a Bukowski śpi jak zabity. Kładź się, ojcze Idzi, i nie gniewaj się. Gdyby się przynajmniej Tryzna upokorzył.... ale taki z tego nie będzie. Potem, wedle relacji p. Bukowskiego, nastąpiła cichość, a zaraz potem zwykły koncert księcia, ojca Idziego i Nepty. Ale pan Bukowski, co znał księcia na pamięć, a dobrze życzył p. Strukezaszemu, i p. Michał Rejtan, już mieli dla niego dobrą nadzieję; tylko szło o to, aby p. Tryznę namówić, by jakiś krok do księcia zrobił; co nie było łatwe; bo choć podupadły, znał siebie magnatów kolligatem, i do naginania się nie był skłonny. Ale jakoś dobrze się nakartowało: bo nazajutrz po tej rozmowie, o której pana Tryznę p. Michał Rejtan, i podobno sam ojciec Idzi uprzedził, kiedy zagaił sejmik JW. Rdultowski chorąży Nowogrodzki (bo JW. Niezabitowski podkomorzy, będąc zapozwanym *de malo gesto officio* przez JW. wojewodę Niesiołowskiego, pod procederem takowego gatunku nie mógł urzędowania dopełniać), — po zagajeniu, zaprosił zwykłym trybem urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księstwa Nowogrodzkiego, do obierania marszałka sejmiku. Po całym kościele huknęły głosy: „JO. księcia wojewodę Wileńskiego prosimy na marszałka! — Zgoda! zgoda!“ — zaczęła krzyżeć szlachta; aż tu pan Kazimierz Haraburda, przybliżywszy się do koła: — Nie ma zgody! lubo nadto byłbym szczęśliwy przyeznić

moim głosem do zaszczytowania województwa tak wielkim i świetnym marszałkiem, jakim jest JO. książę wojewoda, ale sumiennie skłonność własną woli prawa poświęcić muszę; a prawo mówi wyraźnie: że obywatel pod kondemnata będący żadnego urzędu sprawować nie może. — Na to my wszyscy słudzy i przyjaciele księcia dobyliśmy szabel, i bylibyśmy w puch rozbili partję pana wojewody Nowogrodzkiego; ale pan Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowany, uprosił nas, aby pochwować szablę, i ażeby koło rozstrzygnięto zarzut pana Haraburdy. Zaczęliśmy wołać: — Prosimy p. Haraburdę, aby złożył kondemnata, jaką uzyskał na księciu wojewodzie. — Na to on: — Ja nie otrzymałem kondemnaty, i tegom nigdy nie mówił; ale W. Tryzna nasz strukczaszy, co w tém kole zasiada, otrzymał ją w grodzie. — Pan Michał Rejtan rozgniewany, odezwał się do pana Haraburdy: — Jeżeli kondemnata do waćpana należy, złoś na nią ustępstwo od W. Tryzny, a jeżeli jego nie masz, z cudzą kondemnata się nie popisuj i milez! — Waćpan sam milez, kiedy ci język nie świerzbi! a nie ucz rozumu tych, co go mają tyle ile waćpan! Ja z mojego miejsca dopraszam się, aby W. chorąży raczył od pana Tryzny zażądać, aby złożył kondemnata, jaką ma na księciu. — Tu zaczęliśmy wszyscy krzyczeć, że wniesienie pana Haraburdy nieprawne; bo pan Tryzna sam wie co jemu należy i o swoje upomnieć się potrafi. Książę pomiędzy nami stał mocno poruszony, i wesa do góry nakręcał, aż tu W. Tryzna, który jako strukczaszy w kole zasiadał, a dotąd milezał, powstał i głosem drzącym, w którego dźwięku głęboki żal się okazywał, powiedział te słowa: — Mamei wprawdzie kondemnata na JO. księciu wojewodzie Wileńskim, i tu ją składam; krwawo czuję się być uciśnionym, ale jako obywatel obowiązany jestem moje prywatne uczucia ustąpić dobru publicznemu, a przekonany będąc, że nic nie może być lepszym dla naszego województwa, jak poruczyć przewodnictwo naszego sejmiku JO. księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi; na boku zostawując moję krzywdę, i mimo siebie puszczać, ile uciążliwych przewłók dla mnie wyniknąć może, oświadczam się, że JO. księcia wojewodę z otrzymanej nad nim kondemnaty kwituję. — Książę wojewoda przybliżył się do koła, i tak był rozezulony, że nie mógł więcej powiedzieć, tylko: — Chociaż żal czuję do W. strukczaszego, ale ten krok jego życzliwości i zaufania będę się starał wywdzieńczyć. — Po całym kościele dały się słyszeć licznie powtarzane okrzyki: *Niech żyje książę, marszałek sejmiku! Wiwat Tryzna strukczaszy!* — Książę rozpoczął swoje urzędowanie, ale że już było koło pierwszej z południa, więc solwował sessję do ósmej z rana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorążego Rdułtowskiego, gdzie na dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta tam się zebrała. Był i pan strukczaszy, i przy kielichach zaczęto

godzić go z księciem. Książę powiedział: — Ja pana Józefata kocham; to krew nie woda, Panie kochanku; moję prababkę Tryznianka rodzi. Oddaję Kołdyczew, a pretensye jakie mieć może za irytację kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług zbeształ, i kazał im powiedzieć: że mnie piątęj klepki nie dostaje. My obaj szlachta, zatem niech nas szabla rozprawi, i to natychmiast. — Napróżno się tłómaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan chorąży i pan sędzia Rewieński perswadowali; musiał dobyć pan Tryzna szablę, i bić się zaczęli w naszej przytomności. Panu Tryźnie pękła klinga, tak silnie uderzył po nią książę wojewoda; a pan sędzia pana Tryzny rozbrojonego złożył swoją szablę. Książę odezwał się: — Mam zupełną satysfakcję — i ucałował Tryznę; przeglądał szablę i powiedział: — To szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem; przyznaj panie Józefacie, że umiem się składać. — Potem dawaj pić na zgodę. Książę był w przedudnym humorze. — Panie Michale — mówił — bądź spokojnym o pisary ziemską; ja sam jeden z moją batorówką całą partję wojewody Nowogrodzkiego rozpędzę. — Książę i pan Tryzna zapisali się na kompromis na pana Białopiotrowicza, i już tylko sejmikiem byliśmy zajęci.

Szlachta ucieszona postępkiem księcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Słysząc było, jak między sobą rozprawiali: — A co nasz książę, czy nie tęgi rębacz? klingę jak masło przeciął. A i pan Tryzna przecie gracz; dwanaście świec łojowych od jednego zamachu ścina; ale kto naszemu księciu da radę? — Już to trzeba wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękkiego żelaza, bo bić się nie spodziewał; ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo książę bardzo go polubił, i bywało zawsze potem powtarzał przesładując, że gdyby nie pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciał.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy na dziedziniec Bernardynów, gdzie lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, *de noviter repertis* piliśmy. Już tam była mięszanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki, byli brat za brat. Książę napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartej czapce, zdarł ją z niego, na swoją głowę ją włożył, a oddał mu swoją aksamitną. Na to hasło, zaczęliśmy mieniać między sobą czapki, a pić; ale tak, że w momencie, każdy z nas inną czapkę miał na głowie. Potem książę, dobrze pijany, zaczął się rozbierać, besztając szlachtę z dobrego serca. I tak, jednemu dał swój pas, mówiąc: *daruję ci...*; drugiemu kontusz, *masz...*; temu spinkę brylantową, *trzymaj...*; a innemu żupan, *weź...*; tak, że został w hajdawerach amirantowych i w koszuli, na której wisiał ogromny Szkaplerz, i tak wlaź na wóz, na którym była kufa napełniona winem. On siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nastawiał,

a książę czop od kufy odtykał i perorował; prosząc szlachtę, by mu dopisała, żeby pana Michała Rejtana na Pisaryi utrzymać, a nie dać Radziwiłła na pastwę nieprzyjaciół: — Panie kochanku — mówił — widziecie ten mój szkaplerz; ja go w sukcesyi noszę po moich antenach. Lizdejko mój protoplasta, nosił go wprzód jeszcze, nim rewokował Władysław Jagiełło. Sierotka z nim do Betleem chodził. Szkaplerz jest wielki. Ja kocham naszych braci Koroniaszów, Panie kochanku, ale nie ma jak nasza Litwa. Ja i w Koronie mam kawałek ziemi, ale djabełby w niej siedział. Tam łatwiej o kuśnierza, niż o dojeżdżacza. Kiedy my niedźwiedzie bijem, to tam z rozjazdem na przepiórki chodzą. U Koroniaszów susły to gruba zwierzyna. To panie, jak zaczął mnie prześladować książę biskup Wileński, szwagier wojewody Nowogrodzkiego, który się usadził teraz na nas, aby nie pan Michał Rejtan, ale pan Kazimierz Haraburda dekreta nam pisał; to już z rozpaczę chciałem dla Korony Litwę opuścić, i tam intratne opactwo mnie dawano za to, że wiersze piękne piszę. Ale razu jednego, kiedym się zaczął modlić Panu Jezusowi w Boremli, On się do mnie odezwał: — Radziwille, wracaj na Litwę, bo tu nie nie wskórasz; tu szlachectwo śmierdzące. *Ostende patrem patris*, to wielka filozofia u szlachty tutejszej, nie tak jak w naszej Litwie (bo moja prababka była Litewka) co od dziadów i pradziadów, każdy na swoim gruncie siedzi. Wracaj tedy na Litwę, i kłaniaj szlachcie nowogrodzkiej odemnie. — A ja Mu na to, padłszy krzyżem o ziemię: — Panie! a jak powrócę na Litwę, kiedy mnie Twój biskup prześladowe? — A On mnie: — To nie mój biskup, to grzesznik; ale on naprzeciw ciebie nie nie dokaże. Wracaj Radziwille na Litwę, a niech mnie... jeżeli ty nie będziesz Radziwiłłem po dawnemu, a on jak był... tak i będzie... — Otóż panie kochanku, ośmielony obietnicą Pana mojego, do was wróciłem, i Pan mój nagroził moje wiare, bo nigdy nie wątpiłem o jego słowach; a moich wierszy odstąpiłem księdzu Naruszewiczowi, bo on krew i czeladka radziwiłłowska, i za moje wiersze dostał biskupstwo Smoleńskie. — A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić, a nadstawiać uszy, a rozdziawiać gęby, ba nie tylko nasza, ale i partyi przeciwniej; nawet zaścianki co samą Woroneży dotykają; można było widzieć, że wygrana nasza, i że darmo poszły ekspensa senatorów Nowogrodzkich.

Do dziewiątej w nocy tłumy assystowały księciu, pijąc, hulając po ulicach i śpiewając, że przyjaciele wojewody Nowogrodzkiego bali się, by ich nie podpalono. Ale wszystko się odbyło porządnie, i nikt gwałtu nie doświadczył. Odprowadziliśmy księcia zawsze na kufie, ale już próżnej, do klasztoru, gdzie on jeszcze na dziedzińcu dokazywał; a stanawszy przy studni, zdjął szkaplerz, zrzucił hajdawery i koszulę, i kazał się zlać wodą. Czém wytrzeźwiwszy się, poszedł do

celi, gdzie podkurka zjadłszy, i z ojcem Idzim pacierze odmówiwszy, spać się położył, pamiętny że na ósmą z rana trzeba mu być w kościele.

O samą ósmą nazajutrz, zebraliśmy się do sejmikowania, a książę zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagał sejmik temi słowy: — JJOO. JJWW. i WW. nasi wielce moiściwi panowie i kochani bracia! Z rozkazu waszego objąwszy przewodnictwo sejmiku, w celu wyboru pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić, iż dwóch kandydatów jest wam podanych. Jeden pan Michał Rejtan, szambelan J. K. Mości, niegdyś nasz deputat na trybunale Litewskim, drugi pan Kazimierz Haraburda starosta Wilanowski. Zatem, panowie bracia, racie oświadczyć, którego z nich życzyście sobie na pisarza ziemskiego. — Pana Michała Rejtana prosimy! — odezwali się Odyńcowie, Mickiewicz, Siemiradscy, Czeczoty i my wszyscy. — Zgoda! zgoda! — odpowiedziała szlachta z wielu zaścianków — pana Rejtana prosimy! — Nie ma zgody! — krzyknęli Jeśmany, Służkowie, Kobylińscy — pana Haraburdę prosimy! — ale głosy były słabsze. Nikt z naszych szabli nie dobył, bo książę wszystkich nas zaklął, aby żaden do gwałtu nie dawał pobudki, chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Zatem powstawszy książę powiedział: — Bywał zwyczaj w naszym województwie, że *unanimitate* wszystko się robiło, ale *nemini vox deneganda*; zatem zapraszam panów braci do wotowania. — Szlachta zaczęła głosować, ale wkrótce się upewnił pan Haraburda, że niepodobieństwo się utrzymać, i że wszystkie zaścianki go zawiodły; więc nie chcąc objawić słabości swojej partyi, przybliżył się do koła i zabrał głos, w którym oświadczył: iż nie chcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje. I zaraz wyszedł z kościoła, i wyjechał na wieś; nie bez żalu na JW. wojewodę Nowogrodzkiego, iż go zaryzykował. Ale wkrótce potem tenże wojewoda instrumentował go sędzią grodzkim. Lepszy rydz jak nie, i tąd go ukoił; a pan Michał Rejtan został pisarzem ziemskim.

Jeszcze sześć dni niby trwał sejmik; ale w istocie już była tylko hulanka. Jednak i ta hulanka nie była bez pożytku; więcej albowiem trzydziestu spraw, za namową szczególnie wojewody, poszło pod sądy kompromissarskie, a były niektóre zadawnione i bardzo zawzięte. Większej części superarbitrem był pan Jerzy Białopiotrowicz, istotny pacyfikator województwa.

IX.

Trybunał Lubelski.

1.

Osiemdziesiąt lat mija jak bieduję na tym padole płaczu, a i drugie i trzecie i trzecie lat tyle przeżyłbym, a nigdybym nie zapomniał wrażenia, jakie na mnie zrobił trybunał Lubelski, chociaż na nim byłem nie dzieckiem ani młokosem. Lubom starzec, nie zazdrościć młodzieży naszej że mnie przeżyje, bo nigdy widziéć nie będzie tego, na cośmy patrzali. Doczeka i ona swego czasu czegoś dobrego, ale taki nie będzie to, co było. I nasze trybunały były pełne powagi, i było na co patrzéć, ale trybunał Koronny był nierównie okazalszy, bo starszy wiekiem i więcej narodom sprawiedliwość wymierzał. Na Litwie dziesięć województw, a w Koronie ledwo nie trzydzieści. Otóż kiedy konfederacja się rozwiązała, a mój pan już nie żył, osiadłem, jak to powiadają, *jak na łodzi*. Miałem ja chętkę i w wojsku rzeczywolitéj służyć, i o tom się starał; ale departament przyjmował konfederatów z równą uprzejmością, jak pies jeża. Cóż tu było robić? Przypomniałem sobie czasy dawne, jak to ja kiedyś u wuja relacje pozwów przepisywałem; pomyślałem sobie: pójdę do palestry obywatelom służyć. Coś się z prawa pamięta, reszty się douczy; nie święci garnki lepią — pomagali mnie téż ludzie. W Polsce, kto się bił za sławę, a jeszcze coś dla niej oberwał po kościach, między swoimi z głodu nie zginie. Pan Fabian Wojniłowicz rejent Ziemski, wziął mnie na dependenta; a przy takim łepaku kto nie chciał prawaby się nie nauczył, a cóż dopiero fałdy przysiedziawszy! Wkrótce człowiek wprowił się stawać jak potrzeba, a że w kieszeń pacyentom nie bardzo zazierał, szlachta powierzała interessa. Właśnie wtenczas na rękę mi poszło, że pan Stefan Oborski, plenipotent księcia wojewody, ożeniwszy się z panią Chrapowicką, bogatą wdową, której wydzwigał majątek nieco zawikłany, musiał się przenieść na Białą Ruś, a zatem księciu podziękować. Wielu było ubiegających się, aby jego miejsce zastąpić, i mocne były intrygi. Ale książę z własnego instynktu, przypomniawszy sobie, że widywał mnie w bitwach, i że parę razy byłem

do niego posłany z sekretnymi instrukcjami przez JW. Ogińskiego wojewodę Witebskiego, wówczas pana mojego, przez wzgląd na te moje jakieś zasługi, powierzył mi attentowanie wszystkich spraw, jakoby mógł mieć tak w ziemstwie, jak w grodzie Nowogrodzkim.

Już od lat kilku chodziłem koło pańskich interesów, kiedy książę mi kazał jechać do Białej z częścią swojego dworu, i tam na niego czekać. Książę przybywszy do Białej, niedługo w niej gościł i pojechał do Lublina, gdzie finalnie sądzona być miała jego sprawa zadawniona, która przez wielkie forsy przechodziła. Sięgała ona jeszcze czasów księcia Radziwiłła Sierotka, a okoliczności, z których wynikała, głośnemi są dotąd na Litwie. Książę Sierotka żył w ścisłych stosunkach z JW. Iliniczem, wojewodą Brzeskim Litewskim, co miał wielkie dobra, a między innemi Białę, w której mieszkał; kiedy więc powziął zamiar odbycia pielgrzymki do Ziemi Świętej, powierzył go przyjacielowi swemu. A że w kraju, gdzie barbarzyństwo pogańskie panuje, gdzie morowe powietrze nie ustaje, gdzie dostać się nie można, jeno przebywając góry, morza i pustynie, podróż tak jest niebezpieczna, iż można było zakład trzymać, że się z niej nie powróci. Książę będąc kawalerem, a mając blizkich książąt Radziwiłłów upartych kalwinów, którzy go z powodu że rewokował, ile mogli prześladowali, a tém i on do nich niewiele miał serca, i nierad był, aby po jego śmierci ogromne spuścizny miały wzbogacić nieżyjących krewnych, umyślił majątkiem swoim obdarzyć przyjaciół. Te wszystkie okoliczności przyjacielowi wynurzając, prosił go o radę. Na to pan Ilinicz: — Jak zrobisz testament, mój książę, a Pan Bóg ciebie do kraju nie wróci, ci, których obdarzysz, nie będą korzystali z twojej szcudroty. Ty wiesz, że w prawodawstwie naszym, żaden testament nie jest tak mocnym, aby *interpretationi* nie podpadał: krewni twoi Radziwiłłowie birzańscy są silni, oni rej wodzą nad dyssydentami obu narodów, a w Litwie i katolik nawet po twojej śmierci ich nie odstąpi; zwałą twój testament, owładną twoje dobra, i napełnią je bombizami. Jabym ci radził, nie testamentem, ale formalną tranzakcyą rozporządzić majątek. — A to jakim sposobem? — zapytał książę. — Ty nie żonaty — odpowiedział JW. Ilinicz — ja dzieci nie mam: zróbmy więc między sobą tranzakcyę na przeżycie. Ja pierwój umrę? wszystkie dobra twoje; Pan Bóg ciebie wprzód zawoła do chwały swojej? Nieśwież, Świerzeń, Korelicze i co tylko teraz posiadasz, będą moje; a obaczysz, czy Radziwiłłowie dyssydentskiego wyznania choć jedną piędź twojej ziemi wydrą. — Zgoda — powiedział książę. — Zaraz obaj panowie pojechali do Brześcia dla przyznania sobie tranzakcyi. Książę Sierotka puścił się na pielgrzymkę. Minał rok jeden i drugi, już tedy JW. Ilinicz wyglądał tylko pewnego doniesienia o śmierci księcia, bo chodziły wieści: raz, że okręt, na którym płynął, roz-

bitym został; raz, że z dżumy umarł; inny raz, że bisurmanie go zabili. A że wojewoda był łakomy, bardzo niecierpliwie musiał oczekiwać dokładniejszej wiadomości; całe księstwo i kilka hrabstw nie piechotą chodzą! Ale *człowiek sporządza, Pan Bóg rozrządza*. Książę Sierotka wszystkie trudy i niebezpieczeństwa przy pomocy anioła swego przebył i zdrów wrócił; szukał śmierci po szerokim świecie, i jej nie znalazł; a ona pana Ilinicza w jego własnych dobrach wytropiła. Bo kiedy książę Sierotka już wracał do Nieświeża, w Krakowie ledwo kilka dni zatrzymawszy się, obrócił podróż na Białą, aby przyjaciela uściskać; aż wjeżdżając do miasta, spotyka kondukt bardzo okazały; zapytuje kogo to prowadzi, i dowiaduje się, że JW. wojewodę Ilinicza, którego przed dwoma dniami na polowaniu niedźwiedź rozdarł. Oddał mu ostatnie posługi książę, i szczerze po nim płakał, bo był czułego serca; jako o nim piszą, że nie było cnoty, którejby nie posiadał. Ale że tranzakcyja jak wół, była wyraźna, dostało mu się czem łzy obetrzeć, i ubogim za duszę nieboszczyka świadczyć. Biała, Sławiatyce, Czarnowczyce, Mir i tyle innych dóbr iliniczowskich weszły w dom Radziwiłłów. Tak jemu pielgrzymka i na ten, i na tamten świat pomogła, bo wart był tego. Żona wojewody Ilinicza, Tarłówna z domu, miała posag swój oparty na dobrach męża; książę Sierotka, chociaż ona nie miała dożywocia, pokąd żyła, nie tykał ich, zostawiając jej wszystkie dochody; a ona wywdzięczając się za tę łaskę, listem własnoręcznym zapewniła księcia, że ani sama, ani jej sukcesorowie, o jej posag nigdy upominać się nie będą, gdyż aż nadto została zaspokojona. Ale potem Tarłowie zaczęli pieniać księcia, jakoby takie ustępstwa kobiece, nie listem, ale tranzakcyą przyznana w ssystencyi krewnych, mają się robić. Przez lat półtorasta o to, wszczynwały się i urywały sprawy. Książę Michał Radziwiłł, hetman wielki Litewski, ojciec księcia wojewody, na trybunale Lubelskim zjechał się był z Tarłą wojewodą Lubelskim, który mu niemało nadokuczał, będąc najzuchwalszym z ludzi; ale wtenczas na niczém spełzło, a wkrótce JW. wojewoda Lubelski, ostatni z domu Tarłów po mieczu, zginął na pojedynku od JO. księcia Poniatowskiego podkomorzego Koronnego, o którym to pojedynku wiele było gadania. Sprawa dostała się w spadku JO. księciu Lubomirskiemu marszałkowi wielkiemu Koronnemu. Jeśli świadomy jestem tego wszystkiego, nie dziw, bo od deski do deski sto razy może przeczytałem wszystkie dokumenta dotyczące się tej sprawy.

Pojechaliśmy więc do Lublina za księciem. Do bryki w której siedziałem, dodano mi pana Bartłomieja Chodźkę, dworzanina księcia. Dobry chłopiec, ale paliwoda, jakiego świat i korona Polska nie widziały. Ojciec jego, sędzia ziemski upitski, miał piękny majątek i kilka razy deputował na trybunał. Mógłby on sam wy kierować syna, ale rady mu dać nie mógł, taki był zabijaka. Oddał go do pale-

stry, chcąc mieć niedaleko swego oka; ale ten więcej szabelki, niż pióra pilnując, tyle ponakrawał łbów, że w jednym roku do trzydziestu tysięcy musiał zapłacić za jego burdy. Naprzykrzyło mu się; a że był spadkowiec przyjacielem domu Radziwiłłów, a książę Radziwiłł lubił szlachtę łapczywą do korda, więc go oddał do Nieświeża. Wzrostu był małego i sucharlawy, figura niepoczesna, ale mało ludzi równą siłę i tak szablą robiących. Miał on pałasz cieniutki, który *smyczkiem* nazywał. Najmilsza jego zabawka była wpaść między nieznanomych, i udając mazgaja przyjść do zaczepki. Pozwalał naprzód z siebie żartować, potem odciął się czem grubém, żeby być wyzwany, dopiero minę tchórza przybrawszy wyprasał się od pojedynku, a nakoniec z musu niby bił się i kaleczył tych, co się na nim nie poznali. Ja, że byłem już ojcem dzieciom, a do tego zaszczycony przyjaźnią W. sędziego upitskiego, więc miałem przewagę nad panem Bartłomiejem, i wierzył mnie. Bywało nieraz umityguję go, kiedy przyjechawszy do Nowogródka wpadnie w burdę, bo on zawsze do mnie zajeżdżał, jako do sługi jednego dworu. Więc z nim na bryczce siedziałem, a on że nigdy dotąd z Litwy nie wyjechał, wypytywał mnie w drodze o Koronie. Razu jednego mówi do mnie: — Wybacz, panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z Koroniaszami; szczególnie radbym poznał jakiego Łęczycanina. — A to czemu? — Temu, że kiedy mnie w szkołach męczono, wyczytałem w Trocu, że Francuzi mówią: bić się po djabelsku; a Polacy: bić się po Łęczycku. Tyle mi zostało z całej francuzczyzny. Otóż radbym się przekonał, czy lepsi gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu. — Ej! porzuć, panie Bartłomiej, pleść takie koszałki opalki. Czy nie wiesz, że pod boki trybunału burdę robiwszy, można się przed czasem obaczyć z Trójcą Świętą? Waćpan całe życie guza szukasz; a jak staniemy, powiem ja księciu panu, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie: to książę waćpana nie każe wypuścić ze stancyi. — Panie Sewerynie, ja tak żartuję tylko, aby czas prędzej schodził. Ktoby tam o burdach myślał! Bądź spokojny, ja pana ciągle się będę trzymał; ale dla Boga księciu panu o niczém nie wspominaj. — Myślałem, że się panicz utemperował, bo spotykaliśmy po karczmach szlachtę łukowską przy kuflu, a przecie pan Bartłomiej nikogo nie zaczepił. Przyjechaliśmy do Lublina w sobotę wieczorem; ja byłem rad, że nazajutrz była niedziela, bo dojeżdżając do Lubartowa, gdyśmy spuszczały z góry, naszymi pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiej śmiał się, ale ja przeląknętem się mocno, i zrobiłem intencję, że jak Pan Bóg wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina, nazajutrz pójde do Spowiedzi i Kommunii. Jakoż lubo bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wszyscy wstaliśmy bez szwanku. Ale w niedzielę ledwo przez pół mogłem dopełnić mojej intencji, bo książę

kazał z rana przyjść do siebie, aby pomagać panu Radziszewskiemu w tłumaczeniu interesu przed panami Hryniewieckim i Koźmianem, co później zostali jeden wojewodą, drugi kasztelanem Lubelskim, a byli pierwszymi mecenasami w Lublinie, i księcia pana wielkimi przyjaciółmi. Szczęście, że ksiązę miał kapelana i ołtarz podróżny z wielkimi przywilejami od nuncjusza, bo inaczej byłbym mszę świętą przypiekl. W istocie konferencya po dwunastej się zakończyła. Ja z panem Bartłojem poszedłem do OO. Bazylianów, i trafiliśmy pod sam koniec nabożeństwa. Uprosiłem księdza, że mnie wypowiadał, ale przyjęcie Ciała Pańskiego do jutra odłożyć musiałem. Trybunał w tym roku odbywał się pod łaską JW. Chołoniewskiego, starosty Kołomyjskiego, co miał jakąś kolligacyę z księciem panem. Prezydentem był kanonik Wodzicki, opat Hebdowski, u którego przez czas urzędowania tyle się starego wina wypiło, że parę niedziel koło młyńskie mogłoby się niem obracać. On to mawiał, że wino przynajmniej jednym rokiem starsze być powinno od uprzejmego gospodarza. Otóż JW. marszałek trybunału tyle miał szacunku dla dostojnego swego kolligata, że pierwszy go nawiedził i zaprosił do siebie na obiad. Ksiązę pan przyjął go przed kamienią, żaląc się iż go uprzedził, a potem z JW. marszałkiem pojechał do przewielebnego prezydenta. Że zaś pan Koźmian zaprosił do siebie na obiad WW. Radziszewskiego i Rupejkę, Ciwuna ejragolskiego, co z przyjaźni dla księcia urząd marszałka dworu interymalnie sprawował; więc przy mnie, jako plenipotentie specyjalnym, zostawało pierwszeństwo nad dworem, i u stołu marszałkowskiego byłem gospodarzem. Po obiedzie poszedłem miasto poznać, a jednak nie bardzo dowierzając panu Bartłojowi co do obiecanego statku, zaprosiłem go, by mi dotrzymał kompanii. Poszliśmy więc; ale że jako w niedzielę wszystkie jurydykcy były pozamykane, a urzędnicy, pacyenci i palestra biesiadowali, — okrom tego nie mieliśmy znajomych, więc z panem Bartłojem wyszliśmy sobie za miasto od gościńca lwowskiego, aby okolicę obejrzeć. Kilkaset kroków uszedłszy, natrafiliśmy na kilka starych lip, za którymi była karczma, a przed lipami na samym gościńcu leżał wielki kamień młyński. Pan Bartłoj odezwał się: — Nieźle byłoby się na tym kamieniu pod cieniem, i napić się piwka. — Dobrze mówisz; poczekajże na mnie, a ja pójde do gospody i każę go wynieść. — Przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży do palestry należące, jakem wnosił z ich paśowych lubelskich kontuszów. Ja im się uklonił, oni mnie, i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip: widzę pana Bartłoję siedzącego na kamieniu jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyźbie przed

karczma. Stali koło niego, a on na nich poglądał jak gap. Jużem poznał, że to będą nie przelewki; przybliżyłem się do niego, a on do mnie, mazgaja minę robiwszy: — Panie Sewerynie dobrodzieju, coś ci panowie mówią koroniaszowskim językiem; powiedz panie, czego oni chcą odmnie. — A jeden z paśowych panów: — Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy jurydykcy trybunałska; to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi ztąd wyjść albo mąką albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedźcie, którego mamy zmléć, a którego zkrupić? — Ja im na to: — Moi panowie, jam już za stary, abyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do Kommunii przystępuję. Powtóre, będąc tu w interesie księcia Radziwiłła wojewody Wileńskiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozporządzać przed końcem jego sprawy. A oto jest pan Chodźko, sędzie ziemski upitski, dworzanin JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi, panowie, puśćcie nas z Bogiem. — Między niemi był, jakem się później dowiedział, dependent pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski z Bracławskiego, który wiedział że jego mecenas chodzi około interesów księcia. Ten się odezwał: — Panowie koledzy, to jest umocowany księcia; ja za nim proszę, ile że on się nie dotknął naszego kamienia; ale pana sędzica upitskiego, co tu na tym kamieniu siedzi, będziemy mléć bez ceremonii. — A czyście mnie ze swego śpichrza wynieśli, żebyście mnie mléć mieli? — Ty się naszego kamienia dotknął, to jużes nasz. — A jakże wy mnie mléć będziecie? — Powiedzno bracie, czy ty karabełę nosisz tylko dla ozdoby? — Czy waćpan ksiądz, żebym mu się spowiadał? — My z tobą w rozprawy językowe wdawać się nie będziem: wstawaj i dobywaj szabli, a reszty się domyślisz. — A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się odemnie, a zmléć kogo z waszych? bo zboże litewskie ususzone i twarde. — Obaczymy! — odezwał się jeden — czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, zemną trzeba zaczynać; wstawaj więc bracie. — A kiedy ja się asandzieja boję: wolę przeprosić, niż bić się. — Już to za późno, bić się musisz; chyba zezwolisz abyśmy ciebie wypłazowali. — No, kiedyście tacy zawzięci, czy nie ma między wami Łęczycanina jakiego? — i zaczął chustką niby łyż z oczu ocierać dodając: — Oj, biedna moja matulo, jakże będziesz płakać po swoim Bartku. — Tak ja: — Panowie dobrodzieje, posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was starszego. Wszak to w tym samym Lublinie zrobiła się unia Korony z Litwą; porusza się zwłoki naddziadów, jak się Litwini z Polakami w témże mieście powadzą. Czyby nie lepiej na pamiątkę Ludwika, ojca królowej Jadwigi, a teścia Jagiełły, wezwać węgrzynów aby nas pogodzili? Dajcie pokój temu chłopcu, a pozwólcie, żebym posłał po wino i was uczęstował w tej gospodzie. — Zaczęła

miękczyć palestrę, i niektórzy odzywali się do marszałka: — Puść z Bogiem tego pocziwego Litwosza; on nie wiedział o prawach naszego młyna. — Tu się zaczął obawiać pan Bartłomiej, aby burda na niczem nie spełzła, i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się drapiąc głowę: — A to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? winszuję: ale na Litwie mielnicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie. — Słuchaj, bracie gapiu: przez wzgląd na twego poważnego kolegę, całego cię puszcza; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich, jakiś sam. — Nie gniewaj się W. marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko seryo mówię. A wiesz, dlaczego wołałbym z biędzy potykać się z Łęczycaninem, niż z waćpanem? Bo mówią, że Łęczycanie mają rozum; a oto świadek mój kolega, że kiedyś jechał z Litwy do Lublina, cyganka mi wróżyła, że z rąk wielkiego błazna mam zginąć; to jakem spojrzał na W. marszałka, bardzom się jego przestraszył. — Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości, i dobywszy szabli, z największym impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć, dobył swojego smyczka plunawszy w rękę, i od pierwszego składu tak dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiązywali marszałkowi rękę, a on nie tyle z bólu, ile z konfuzji, stał jak wryty. — A nu! — odezwał się pan Bartłomiej — myślałem, że bić się z Koroniaszem wielka filozofia, a tu marszałka oporządzić mniej trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować. — Poczeka, gburze, dam ja tobie! — zawołał drugi — i z ogromnym pałaszem na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, smyczkiem po łbie dostał. Stanął trzeci: — Chciałeś mieć do czynienia z Łęczycaninem, oto masz go tu. — Trochę dłużej trwało, ale i ten po łbie oberwał. — A to djabeł, nie Litwin! — odezwali się Koroniasze. — Słuchaj panie bracie, tyś zadrwił z nas; udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastej próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od wszelkiej prepedyi. Jeżeliś temu rad, ofiaruję ci naszą przyjaźń; jeśli nią gardzisz, chociażęś tęgi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziemy. — *Omne trinum perfectum* — odezwał się — będzie z waćpana, panie Bartłomieju, a pocałuj się z tymi zaenymi panami. — Zgoda — odpowiedział pan Bartłomiej. — Jak ja mam sobie za zaszczyt, że się z wami pobawił smyczkiem, tak jeszcze za większy poczytuję waszą przyjaźń. — Zaczął się z niemi całować, przeproszać tych, co obznaczył, a szczególnie marszałka. Ja aby ich pocieszyć, powiedziałem: — Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie. — Jakoż się szczerze pojednali, i odprowadziliśmy do kwatery marszałka, jego samego i kolegów ranionych; my piechotę, a ranieni na furmance u żyda najętą. Palestra fundowała nam hulankę, że dobrze

podochoćeni wróciliśmy do siebie. Po drodze strofowałem trochę pana Bartłomieja, ale go jeszcze więcej niż wprzód pokochał, bo taki honor prowincyi Litewskiej utrzymał.

Nazajutrz odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków trybunału; mnóstwo było palestry i pacyentów w ustępniej sali; było tego więcej tysiąca, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wszędzie, wszystko nam tłumacząc. W sali sądowej stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis wielkimi złotymi literami: JUSTITIAS VESTRAS JUDICABO. To nas uderzyło, że Chrystus Pan miał twarz odwróconą tak, że jój rysów nie można było widzieć; ale nasi przyjaciele powiedzieli nam, że snyderz nie był go tak wystawił; i owszem, Chrystus pan wprzód na trybunał patrzył, ale przed laty pewien wypadek stał się przyczyną tej zmiany. Była wdowa szczupłego miana, uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jój sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat, zobowiązawszy wszystkich członków trybunału, zyskał dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszcześliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: — Gdyby mnie sądzili djabli, sprawiedliwszy byłby dekret. — A że sumienie kłóło nieco deputatów, na roki jój nie pozwano, i wszyscy udali jakby nie słyszeli, z czem się odezwała; a że to było pod koniec sessyi, porozjeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni jako i świeccy, została tylko kancelarya i pisarze trybunalscy. Aż tu zajeżdża przed trybunał mnóstwo karet; wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokietach, z rogami na głowach i ogonami, które się z pod sukien dobywały. I zaczynają iść po schodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej, zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów. Pomarkowali się pisarze i kancelarya, że to byli djabli, i w wielkim strachu przy stołach swoich siedząc, czekali co z tego będzie. Wtém djabeł co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę téjże wdowy. Przystąpiło do krutek dwóch djabłów jurystów; jeden *pro*, drugi *contra* stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie djabeł marszałek przywołał pisarza województwa Wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie djabła, i kazał mu się za stołem i wziąć pióro. Zbliżył się pisarz w pół umarły z bojaźni, i przymrużając oczy, zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że djabli byli sprawiedliwsi niż trybunał, Przenajświętszą Kwią Jego wykupiony, i w którym tyłu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił, i oblicza Swego nie pokaże (jako miał o tém objawienie świętobliwy jeden

Bazylian Lubelski), aż naród się pozbędzie zaprzędałości w sądach, łakomstwa w księżach i pijaństwa w szlache. Ów dekret djabli podpisali, a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu, i położywszy go na kobiercu, który pokrywał stół trybunalski, zniknęli. Następnej sessyi trybunał znalazł djabelski dekret, gdzie był położony; bo rozumieli się, że nikt z kancelaryi ruszyć go nie śmiał. Złożono go w archiwach, a że akta nikomu nie są wzbronione, kto zechce może go odczytać, nawet ekstraktem wyjąć.

Podczas gdyśmy się zastanawiali nad tak niesłychanym wypadkiem, usłyszeliśmy woźnych różnemi tonami powtarzających: — Mości panowie, ustąpcie się, ustąpcie się! JW. Sandomierski idzie; — a potem znowu: — ustąpcie się, JW. Poznański idzie; — i tak ciągle coraz innego JW. mianuje. My czém prędzej wrócili się do sali ustępnej, przez którą między dwiema liniami palestry i pacyentów, poprzędzani przez woźnych, szli poważnie deputaci do sali trybunalskiej, lekkim skinieniem głowy odpłacając niskie ukłony z prawej i lewej strony odbierane. Aż huk bębnow i gęste wystrzały oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźni wszyscy odezwali się jednym głosem: — Mości panowie, ucieście się, ucieście się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie. — I prawda, że w tak licznej zgromadzeniu takie milczenie towarzyszyło przybyciu JW. marszałka, że muchę latającą usłyszećby można było. Prawy i lewy szereg, między którymi przechodził, ukłonem ziemi prawie dotykał, i dopiero kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim powstawał, a tak regularnie, jakby za pociągnięciem sznurka. Za marszałkiem kilku magnatów przybyło, i między nimi JO. książę wojewoda Wileński z JO. marszałkiem wielkim Koronnym szli razem, po przyjacielsku rozmawiając, chociaż się prawowali, bo wielki dla siebie wzajemnie znali szacunek, ile że pomimo kilkakrotnych krwi związków, JW. Rzewuski hetman polny Koronny, a księcia wojewody szwagier, miał wkrótce łączyć się w dożywotniej parze z córką księcia marszałka, księżniczką Konstancją, panią, która i pięknoscą i rozumem wszystkich zachwyciła. JW. Marszałek trybunału zaprosił księcia marszałka W. K., księcia wojewodę Wileńskiego, i innych znajdujących się senatorów za kratę, aby raczyli zająć miejsca w izbie trybunalskiej, a woźni im krzesła poustawiali: bo ministrów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, sami chyba przez delikatność usuwali się. Gdy trybunał zasiadł, JW. przewielebny prezydent zaintonował *Veni Creator*, a deputaci duchowni wszyscy i niektórzy świeccy, jakoteż wielu z palestry i pacyentów, wtórowali, że po całym rynku hymn dał się słyszeć. JW. marszałek uderzył laską i rozkazał woźnemu, aby ogłosił gotowość sessyi, a ten stanawszy na progu ustępnej sali, tubalnym głosem wykrzyknął: — Mości panowie! naj-

jaśniejszy Trybunał przywołuje was do attentowania i słuchania spraw. Agitować się będzie registr ordynaryjny; kolój przypada na województwo Krakowskie. Mości panowie, gotujecie się. — Regent trybunalski głośno przeczytał wokandę, a sprawa JW. Wielopolskiego, marszałka nadwornego koronnego, powoda, z WW. Dembińskimi chorążycami krakowskimi, o *awulsja* margrabstwa Pinczowskiego, wprowadzona została. Pan Koźmian stawał od strony powodowej, a pan Plichta bronił WW. Dembińskich. To lubo było indukta, ani Demostenes, ani Cycero lepijby nie mówili. Odbyło się jeszcze kilka innych na tej sessyi; bo JW. marszałek był czynny, i co sessyi kilka dekretów ogłaszał. A co to była za okazałość! Deputaci duchowni w rękawach koronkowych, deputaci świeccy w mundurach swoich województw, a palestra cała w mundurze lubelskim: kontusze ponsowe, kołnierze i podszewki zielone, białe żupany. Taki to mundur nosił tego dnia i nasz książę, jako obywatel województwa Lubelskiego, w którym oprócz innych dóbr miał hrabstwo woszczatyńskie, także po linieach, i na tym to hrabstwie pozwy od sukcesorów Tarłowskich były kładzione. Po sieniach hajduki, pajuki, węgrzynki, a strzelców, a hałustry, a kozaków co niemiara; na rynku karety, kolasy, a konie! — Papież nie powstydziliby się niemi jeździć; a srebro, a złoto wszędzie aż kapalo. Na trybunale szlacheie poznawali wielkość swojego kraju. To kiedy po sessyi wracając na kwatery, przechodziłem po pod sklepami, gdzie Niemcy i Francuzi towarem zagranicznym handlują i wzbogacają się naszym groszem, tam z litością na nich patrzyłem, i pomyślałem sobie: — nie zazdrościm wam, że u was każdy, jak mówicie, w kamienicy się rodzi, i że u was obfitość figielków stalowych i kościanych. Coby wam było z waszego dowcipu, bez naszych pieniędzy! Ani macie, ani mieć możecie tego co my. Gdzie się jaki nasz pan pokaże, to się ani opędzi od Francuzów, Włochów, Niemców; a żaden z nas do waszych panów nie lęzie.

Tego dnia był obiad wielki u JW. prezydenta, na którym był nasz książę i JO. jego antagonistą; tam się też zrobił początek zgody między nimi. Książę Bykowski, deputat kapituły łuckiej, a który dzierżał Infule ołycką z kollacyi JO. księcia wojewody Wileńskiego, W. Radziszewskiego i nas wszystkich dworzan księcia zaprosił do siebie na obiad, gdzie było kilku deputatów i mecenasów. Ciągłe dawały się nam słyszeć wiwaty z harmat tym, których zdrowia spełniali u JW. prezydenta. Tego wieczora byłem na teatrze, i przyznaję się, że się bardzo niecierpliwiłem. Bo człowiek radby wiedział o sztuce graniej, i nakoniec na to zapłacił, ale nie było sposobu. Co zaczął słuchać, to w prawo i w lewo taki hałas, że człowiek nie wie, gdzie się znajduje. Jak pokaże się wyżej czy deputat, czy jakiego deputata

żona, krzycząc z dołu *wiwat*, że aż ściany się trzęsą; a niektórzy wina każą przynieść i wołają na komedyantów, żeby granie przerwali, póki kielich rąk nie obejdzie. Dopiero potem pozwolą biedakom dalej rzecz swoją prowadzić, póki jej na nowo nie przerwą. Tak sztuka około jedenastej się skończyła, a tyłem o niej wiedział powracając z teatru, jakbym nigdy ze stancyi nie wychodził. Postanowiłem sobie, póki będę w Lublinie na teatr nie chodzić, i czterech złotych w wodę więcéj nie rzucać.

Nie długośmy bawili w Lublinie; bo jak przyjechał brat JO. księcia marszałka, pan Krakowski, i JW. hetman polny koronny, to sprawa, która od dwóchset lat trwała, w kilku godzinach się skończyła; książę wojewoda Wileński odstąpił na rzecz książąt Lubomirskich wszystkich praw, jakie miał wspólnie z nimi do sukcesyi po Szydłowickich; a książęta zakwitowali go z posagu JW. wojewodziny Illniczowej. Komplanacyę sam JW. marszałek trybunału swoją ręką napisał, a strony ją podpisawszy, osobiście przyznały. Ekstrakt komplanacyi przynieśli księciu plenipotenci książąt Lubomirskich, którym nasz książę rozdał do tysiąca czerwonych złotych; a my podobnież takowy ekstrakt zanieśli książętom Lubomirskim, co była dla mnie wielka radość, bom jeszcze dotąd nigdy nie widział żadnego kasztelana Krakowskiego, który z urzędu swojego jest *Princeps Senatus* obojga narodów. Co dostał W. Radziszewski i inni, w tom nie wchodził; wiem tylko, że pan Husarzewski, marszałek dworu księcia Lubomirskiego, wręczył mi tabakierkę papierową, ale ciężką, bo w niej było sześćdziesiąt czerwonych złotych, z których tego dnia użyłem dwadzieścia i cztery na kupno antała wina u Jokisza Węgra, a to prawdziwego maślaczu, bo mi się tegoż samego roku dziewczka urodziła. Ten antał wyprawiłem na Litwę z transportem księcia pana: takim sposobem dostał się do Doktorowicz, że o nim nikt nie wiedział, póki na weselu téjże córki łaskawi przyjaciele ze mną go nie wysuszyli.

2.

W czasie naszego pobytu w Lublinie, cudowny zdarzył się wypadek. W. Kurdwanowski, możny obywatel, który rej wodził partyi hetmana Branickiego, był wielkim pieniaczem, i ani w Żytomierzu, ani we Włodzimierzu, gdzie miał dobra, nie było kadencyi bez kilku-nastu jego wpisów; toż samo i w Trybunale. Plenipotenci hetmana

jego spraw attentowali, plecy miał silne: biada szlacheicowi, co z nim sąsiadował; a taki był uparty, że nie znał co to się zgodzić, i pienieł się do upadłego. Była wdowa mająca wioseczkę niewielką w środku jego dóbr, którą bardzo życzył nabyć W. Kurdwanowski, i kilkakrotnie o to się zgłaszał; ale ta wdowa, nazwiskiem Glinkowa, zbyć nie chciała swojej wioski, lubo jej wartość pewnie nie dochodziła kwoty za nią ofiarowanej. Otóż rozgniewany W. Kurdwanowski tym, jak go nazywał, uporem wdowy, ułożył sobie procederem wydrzeć, czego pieniędzmi dokazać nie mógł. Miał on sobie obowiązany neofitę Ramowicza, który liźnawszy jurysteryi, do wszystkich brudnych interesów był sposobny: jakoż podobnemi na obywatela się wykierował, że już miał pod Berdyczowem kilka wiosek, a przecie niczego nie opuścił: byle mu coś kapnęło. Dobrawszy więc sobie takiego niecnotę, układa z nim następną machinacyę. Dziad pani Glinkowej od antecessorów pana Kurdwanowskiego kupił tę wioskę, która go teraz tak mocno tentowała; a donacya, kontrakt rezygnacyjny i kwit *de pretio*, były na to w Aktach żytomierskich. Przekupują tedy niejakiego Pazurkowskiego, plenipotentę pani Glinkowej, aby oryginały z pomiędzy jej papierów wydobyl i im oddał, które dostawszy, jadą natychmiast do Żytomierza, i tam za tysiąc czerwonych złotych wyrabiają od Rojeckiego, pisarza ziemskiego tamiecznego, iż z akt wydiera oblatę tychże dokumentów. Tak zatarłszy wszelki ślad nabycia wsi, zapożywa W. Kurdwanowski panią Glinkową o nieprawne posiadanie *sine nullo dato et accepto*, jego majątku. Napastowana wdowa, ufna w świętość swojej sprawy, a niemniej w światło i przyjaźń Pazurkowskiego, czeka wyroku, co jej spokojność ma powrócić. Ziemstwo nakazuje stronom komportacyę dokumentów. Pan Ramowicz, jako plenipotent, przysięga, bo taki W. Kurdwanowskiego sumienie ruszyło i nie był na sprawie; pan Pazurkowski zaprzysiągł także komportacyę dokumentów będących w jego ręku, z których zniszczył te właśnie, co stanowiły cały interes jego pryncypałki. A tak Sąd ziemski, do którego dobrze panu Kurdwanowskiemu forytował Rojecki Pisarz, a który nakoniec może i sumiennie postępował, bo taki sądzi się z dokumentów, nie z własnej wiadomości, przysądził panu Kurdwanowskiemu wieś z kalkulacyą od lat kilkudziesiąt. Majetna wdowa, zagrożona tym dekretem z trojgiem dziatek być bez kawałka chleba, appellowała do trybunału, a trybunał potwierdził wyrok sądu ziemskiego. Ale w Koronie dwa dekreta trybunalskie *conformiter* zapadłe, stanowią dopiero konwikę. Właśnie kiedyśmy byli w Lublinie, ta sprawa na stół przychodziła. Śpieszył na nią pan Kurdwanowski w dobrej nadziei, bo wsparty dekretem ziemskim i jednym trybunalskim. Miał przytém wielu deputatów za sobą i miał czém ich nabywać; a sumienie swoje już był zwyciężył.

Jadąc do Lublina, gdy mu nocleg w Piaskach wypadł, marzy mu się we śnie, ale tak wyraźnie, jakby to się działo na jawie, że się znajduje w sali trybunalskiej. Tam widzi marszałka i deputatów miejsca zajęte, ale przez osoby jemu nieznajome. Marszałek ogłasza, iż sędzić się będzie regestr taktowy, i każe czytać wokandę. Pierwszy wpis wychodzi pana Pazurkowskiego. Jakież było zdziwienie pana Kurdwanowskiego, słysząc prowadzenie jego sprawy, ze wszystkimi okolicznościami jego zaprzeczności i wydania oryginalnych dokumentów na zgubę pryncypalki! Po wysłuchaniu tej sprawy, w kilku słowach marszałek ogłasza dekret skazujący na śmierć Pazurkowskiego; a po jego przeczytaniu, każe wprowadzić sprawę następnego wpisu. Wprowadzają sprawę pisarza Rojeckiego. Słyszy W. Kurdwanowski (choć we śnie, ale silnie przerażony), jak Instygator dowodzi, że pisarz wziął tysiąc czerwonych złotych, które mu sam Kurdwanowski wręczył, jak pofalszował akta, i t. d., a marszałek równiej krótkości dekret jak poprzedzający ogłosił, pana Rojeckiego też samo na śmierć skazując. Czeką więc (zawsze we śnie), co tu dalej będzie. Słyszy, że z kolei Rejent czyta dwa następne wpisy: Urodzonego Ramowicza i W. Kurdwanowskiego; marszałek oba wpisy łączy, i każe wprowadzić sprawę. Tu słyszy W. Kurdwanowski Instygatora, tłumaczącego całą rzecz i dowodzącego z wymową niepospolitą, ale tak, że aż mrowie po nim przechodziło, iż trybunał wskazawszy na śmierć patrona Pazurkowskiego i pisarza Rojeckiego, nie może mniejszej kary naznaczyć Ramowiczowi, co był główną sprężyną całej tej zbrodniczej tajemnicy; a cóż dopiero W. Kurdwanowskiemu, który pieniędzmi swojemi, jako istny szatan, tych wszystkich nieczemników skusiwszy, przywiódł ich do najszkaradniejszego występku: on, co będąc ze starożytnego na Podlasiu rodu, powinienby przykładem do enoty wszystkich zagrzewać, związał się z przechrztami i ludźmi podejrzanego szlachectwa, aby biedną wdowę, prawdziwą jak on szlachciankę, zgubić. Jakażby była sprawiedliwość Najjaśniejszego Trybunału, gdyby takowa czynność płazem poszła panu Kurdwanowskiemu, i gdyby ten, co największą korzyść ze zbrodni otrzymał, sam jeden był wolny od kary? Po skończonym indukcje, nie czekając repliki, bo po prawdzie powiedziawszy, nie było co replikować, marszałek odezwał się temi słowy: — Odkładam sessję do Wielkiej Nocy — i silnie stuknął laską; a pan Kurdwanowski się przebudził. Uczuł się zmęczonym tak dziwnym snem, przygotował się w dalszą drogę, i w wielkiej niespokojności siadł do pojazdu. Ale jak zaczął w umyśle jego djabeł przeciw Panu Bogu patronować, i wmawiać mu: że sen mara; że o tym myślał, więc to się i przyśniło; że raz zaczawszy, ambieya każe kończyć; że prawo jest gatunkiem wojny, w której wszelki fortel uchodzi, byle zwyciężyć; że kto przekupuje, za łeb nie

bierze, — więc ci co zaprzędali sumienie o sobie niech myślą, a on w czémże tak bardzo wykroczył? nawet okazał sumienie dość delikatne, bo nie sam, ale umocowany jego zaprzysięgił komportację dokumentów; — że nakoniec kiedyś, jak przyjdą czasy po temu, może znaleźć sposobność i panią Glinkową wynagrodzić: tak i do Lublina przyjechał uspokojony, a przyjechawszy zaczął chodzić koło swojej sprawy, i popierać ją na sucho i na mokro. Aż tu przybywa do niego sztafeta z doniesieniem, że przed kilku dniami, gdy pan Pazurkowski wioził pana pisarza Rojeckiego na jakąś kondescencję, most się pod niemi zawalił, i pana Pazurkowskiego wyciągnęli z pod mostu bez duszy, a pan Rojecki w kilkanaście godzin po tym przypadku skończył.

Dopiero W. Kurdwanowski tak się przeraził, że pierwszy raz w życiu starał się o zgodę. Nie tylko, że zakwitował panią Glinkową ze wszelkich pretensyj do jej majątku, ale z największą skrupulatnością wynagrodził jej wszystkie wydatki i szkody, jakie poniosła z jego przyczyny, i klęcząc w obliczu nas wszystkich, prosił, by mu odpuściła, opowiadając publicznie sen, który mu Pan Bóg łaskawy zesłał, a który w części już się ziścił. To mu wielką zjednało sławę, bo przyznanie się publiczne do winy, skrucha prawdziwa i zadość uczynienie dobrowolne, są rzeczy nadludzkie, i tylko ulubieniec Boży może je uzupełnić.

Tak i trybunał, i pany i my szlachta wieleśmy się z postępu pana Kurdwanowskiego zbudowali, a ten dowód nowy nieogarnionych, a tajemnych rozrządzeń Bożych, pewnie dla nikogo straconym nie został. Odtąd pan Kurdwanowski zupełnie odmienił prowadzenie się swoje; wszelkiego pieniądza poprzestał, i wiodł życie chrześcijańskie. Ale słowa we śnie słyszane: — odkładam sessję do Wielkiej Nocy — utkwiły w nim; bo przez nie rozumiał, że w czasie Wielkiej Nocy koniecznie umrzeć musi. Co roku potem przez cały wielki post gotował się na śmierć, rachując się ściśle ze swoim sumieniem. Jakem się dowiedział później, w samą istocie umarł w czasie świąt Wielkanocnych, w podeszłym wieku, bo już i natenczas, kiedy go widział w Lublinie, nie był młody; a śmierć jego była do zazdrości, bo więcej lat trzydziestu do niej się gotował.

Chociaż urodziłem się Litwinem, ziemianinem nowogrodzkim, i to mam sobie za zaszczyt, a wzdłuż i wszérz i nieraz poznałem całą

Polskę, jednak muszę przyznać, że Ukraina jest najpiękniejszą naszą dzierzawą. Tam ziemia bez pracy prawie obdarza rolnika, było tu czy się bez dozoru, mnóstwo koni i owiec okrywa pastwiska, a śpiewy wieśniaków i uroda wieśniaczek dowodzą, jak błogie jest ich życie. Słyszałem, że potem, jak ogromne majątki naszych dawnych panów poszły w rozdrób, nowych posiadaczy nieludzkość często przyprowadziła do smutniejszego stanu rolników tamecznych, niż gdzieindziej niewdzięczność roli. Wszystko to być może, ale mówię tylko o tém, co było za moich czasów i na com patrzył. Pierwszy kiedym poznał Ukrainę, nie była pora po temu, aby zastanawiać się nad pięknoscią. Było to w roku 1763, kiedy po porażce naszej pod Gonyeczany, ze szczątkami przebiegliśmy szybkim przechodem cały ten kraj szeroki, aby jak najprędzej dostać się na Wołoszczyznę, czegośmy dokazali pod wodzą JO. księcia Radziwiłła wojewody Wileńskiego. Patrzyłem, jak on ciągle na koniu zawsze się znajdował tam, gdzie największe było niebezpieczeństwo, i jak w najsmutniejszych przygodach, żadną chmurą nie oziębiał naszej nadziei. Byłem świadkiem jak pod Sawincami, już blisko Dniestru, którego przejście było kresem naszych życzeń, kurtka jego była kilkakrotnie przeszyta wystrzałami karabinowemi, a kula armatnia padła o kilka kroków od niego. potem podniosła się i znowu upadła przy jego nogach; którą to kulę, ważącą dwanaście funtów, kazał podnieść, a potem takowej wagi ze szczerego srebra odlać i ofiarować ją Najświętszej Pannie boruńskiej, gdzie ją widziano zawieszoną przed Jój obrazem.

Otóż tedy potem, JW. Ogiński wojewoda Witebski wysłał pana Azulewicz Tatara, ale obywatela zanie urodzonego, co był potem pułkownikiem lekkiego pułku w wojskach Rzeczypospolitej, i zemną sąsiedował aż do śmierci w swojej wiosce dziedzicznej. Otóż z rozporządzenia Generalności, JW. Ogiński wysłał go do Islam Giraja, Hana krymskiego, aby przy nim prowadził nasz interes, i do tej Generalności zgłaszał się donosząc o każdej rzeczy przez posłańców, ale tylko ustnie, bo nie było sposobu wdawać się w papierki. Wysłano nas czterech młodzieży, na których się spuścić można było. Bo i pan Azulewicz nie wiekiem, ale wziętością od nas był starszym: biegły w językach bisurmańskich, posiadał ufność Generalności, a której nigdy nie zawiódł. Było nas czterech jemu dodanych: pan Michał Ratyński cześnikowiec Miński, pan Wojciech Massalski rejentowiec Oszmiański, pan Mikosza, co dobrze bisurmańszczyzny wyuczywszy się, został później tłumaczem rzeczypospolitej w Stambule, i ja, a każdy z nas musiał osobno jechać dla uniknienia podejrzenia. Dopiero w Humanu łączyć się nam trzeba było, gdzie pan Mładanowicz rządcą generalny, miał instrukcję JW. Potockiego wojewody Kijowskiego, swojego pana, aby nas opatrzył w to wszystko, co tylko pan Azulewicz

zarekwiruje. I chociaż nas aż z Preszowa wyprawili, każdy swoją drogą do Humanu szczęśliwie trafił, prócz pana Massalskiego, co został złapany przez komendę królewską i jako szpieg powieszony, bo nie chciał odkryć danego mu polecenia. Gdyśmy się połączyli w Humanu, a opłakaliśmy przygodę naszego nieodżałowanego kolegi, nie zapomnieliśmy także o jego duszy, — bo pan Mładanowicz porządne egzekwie w kościele OO. Bazylianów mu sprawił, na których nie tylko my, ale nawet pan Azulewicz, choć mahometańskiego obrządku, modlił się; a potem układaliśmy dalszą naszą podróż. Trzeba się było nam udać naprzód do Siezy Zaporozkiej. Semen Kozyra, koszowy zaporozki, będący w ścisłych stosunkach z generalnością, skończył był dopiero życie, jakośmy o tém dowiedzieli się w Humanu, i nachodziły wybory na jego następcę. Ta strata była dla nas bolesną, bo był przyrzekł, że się z nami złączy z wojskiem, którego mógł zebrać więcej trzydziestu tysięcy. Szło tedy o przychyłność nowego koszowego, a mieliśmy po sobie Dziemdziuryka, pisarza Siezy, który tém mocniej nam pomagał, że miał być rodowitym szlachcicem polskim. On to ku nam był skłonił Semeną Kozyrę, bo miał być ezłowiekiem czytany, bardzo przebiegłym i wielką miał wziętość w całym Zaporozu. On byłby sam wyniesiony na stopień koszowego, coby dla nas było bardzo pomyslnie, ale że wedle ich praw koszowy nie powinien był umieć ni czytać ni pisać, więc musiał poprzestać na pisaryi, drugim stopniu na Siezy. Pan Mładanowicz wyprawił nas z gorzałką swojego skarbu do Siezy, jako należących do ekonomii Humanickiej. Z batogiem w rękę przy podwodach wołowych idąc, raz tylko byliśmy zatrzymani przez Dońców; za okazaniem świadectwa ekonomii puścili nas natychmiast. Dodał nam był pan Mładanowicz kilku kozaków Humanickich doświadczonych, co już gościli w Siezy: myśmy się dali im powodować tém chętniej, że się okazali szczerze przywiązani do naszego wspólnego kraju. Przybywszy do Kahorlika, miasteczka należącego do włości humanickiej, a na którym kończyła się rzeczpospolita, trafiliśmy na czas jarmarku. Lubo miasteczko składało się tylko z wielkiej karczmy skarbowej, nad samą Siniuchą, i kilku domostw żydowskich, jednak zjechały się na jarmark tłumy Tatarów, Kozaków, chłopów i żydów dla kupna lub sprzedaży koni, bydła, łoju, ryby suszonej, smoły i innych tamecznych towarów. My z podwodami stanąwszy przy karczmie, a woły na paszę puściwszy, weszliśmy do izby szynkowej, gdzieśmy zastali mieszanię różnych narodów. Wieśniaczki Ukrainy uderzały nas wykwinnością swoich ubiorów. Widać było, że bogatszy kraj niż Litwa nasza. Na każdym prawie żupanie galony błyszczały; a co tam było koralów! na jednej szyi czasem kilka tysięcy. Kiedysmy weszli, wszyscy słuchali ślepego bajarza, co grając na lirze śpiewał im różne wypadki, bądź z Pisma

Świętego, bądź z dziejów ukraińskich. Śpiewał on wszystkie okoliczności porwania księżniczki Ostrogińskiej przez Dymitra kniazia Sienguszkę. Uważałem, że najwięcej zajmowało Ukraińców, kiedy wyliczał dobra kniazia Dymitra, i szlachtę, i kozaków jego dworu, i księżną Ostrogińską dobrą, i sług obojga płci, wszystkich po imieniu nazywając. To jak wymieni jakie imię, co je nosi który z parobków lub dziewczek przytomnych, natenczas śmiechy i pokazywanie palcem tego lub téj, co się wymieniło. Myśmy byli ubrani jak chłopci ukraińscy, więc na siebieśmy oczu nie zwracali. Pan Azulewicz siadł między Tatarami, i z niemi zawierał znajomość i przyjaźń, co mu nie było trudno, bo po tatarsku mówił jak rodowitym językiem. Pan Mikosza zajądał kaszę jaglaną, co mu do izby szynkarka przynosiła; pan Michał Ratyński był tylko dziewczkami zajęty i bardzo się do jednej zalecał, czém mnie nie mało nafrasował, bo żaden z nas nie umiał się tłómaczyć językiem stosownym do stroju, który przybrał. Aleśmy przynajmniej milczeli, a pan Michał ciągle z litewska coś plotł pięknej dziewczynie, czém mógł nas wszystkich w niebezpieczeństwo wprowadzić, bo mogliby nas odkryć i dopiero byłaby bieda. Ale nie pana Michała nie mogło oderwać od Ukrainki, która lubo z jego mowy czasem się naśmiewała, okazywała jednak, iż mu rada. A ja, lubom był wieku równego jemu, tylko śpiewem bazarza byłem zajęty, że od niego nie mnie oderwać nie mogło. Z tego śpiewu dowiedziałem się, że Artem Jełowicki, dziedzic czternastu wsi, był marszałkiem dworu księżnej Ostrogińskiej; że na czele jój ludzi tak się był wślawił pod Luczatą przeciw Wołochom, że król Zygmunt ofiarował mu chorążstwo nadworne Litewskie, ale on nie przyjął tego zaszczytu, z powodu że księżna Ostrogska bez niego swemu dworowi rady nie da, i że urosłszy na usługach kniazia Ilii, nie godzi mu się opuszczać jego wdowy, a według ewangelii, dwom panom służyć nie może, — (jakoż dopiero po jego śmierci kniaz Dymitr najechał zamek Ostrogiński), — że kniaz Czetwertyński dziedzic Komajgrodu, towarzyszył kniazia Dymitra i Wasila w tym najeździe, był synem Ostafiewa, który swoim kosztem utrzymywał pułk kozaków w służbie rzeczypospolitej i wielce był jój zasłużonym. Bardzo mu się chciało kasztelanii Bracławskiej, którą jemu król przyobiecał, ale panowie rady nie dopuścili téj obietnicy skutecznie, chcąc wprzód do wiary rzymskiej jego pociągnąć, aby za jego przykładem wiele innéj szlachty ruskiej nawrócić; ale on był zatwardziały i mówić o tém sobie nie pozwalał, a z powodu niedotrzymania słowa był nieco rozjątrzony. O czém dowiedziawszy się przeciwna strona, wysłała jakiegoś posła, aby go namówić do siebie, a za to nie kasztelanem, ale kniazem udziałnym Bracławskim zostanie. A on mu na to odpowiedział: — Skaży tomu, kto tebe przysłał, szczo kniaz Jewstafij Czetwertyńskij didycz Komaj-

hroda, a pałkownik korola i riezypospolitoj tobi skazaw, szczo maty persze pobje, a potom pomiłuje, a mateczycha persze pomyłuje, a potom pobje. — I z tém go odprawił. Jak skończył bazarz śpiewać, a czapkę nadstawił, piątki w nią padały, że aż się przepełniła; potem młodzież wzięła się do piasów. Pierwszy raz widziałem jak kozaka tańcuja; osobiwie jeden kozak prześlicznej urody z niewidzianą zgrabnością tańczył, przysiody, jak oni nazywają, przy samej ziemi robił, potem do góry skakał i znowu spadał hołubea bijąc, a to wszystko czynił grając na bandurce, a po naszymu na teorbanie, i śpiewając ukraińskie miłosne piosenki. Dziewki ledwo go oczami nie jadły. Ale co nas uderzyło najwięcej, to kilku kozaków, których strój przepychem znacznie się różnił od wszystkich innych. Nosili szarawary granatowe z galonem złotym szerokim, półkontusze ponsowe z wiszącymi wyloty, żupaniki z białego atlasu, pasy jedwabne z frendzlami złotymi, i czapki szerokie z siwego baranka, z wierzchu których wisiał jakoby worek ponsowy z kutasem złotym. Od kobiet widocznie stronili i usuwali się skwapliwie, kiedy przypadkiem która do nich się przybliżyła. Ale wszystkich mężczyzn znajomych i niezajomych gorzałką i miodem traktowali, obowiązywali do picia i sami tego pili, a tak, że żyd arendarz wiadrami na ich rozkaz gorzałkę i miód nosił, a co przyniesie wiadro, natychmiast się wypróżni. I nas także częstowali z prostą ale obowiązującą grzecznością, tak, żeśmy nie mogli im odmówić spełnienia parę szklanek miodu. Tu mię wzięła taka ciekawość, że lubom postanowił sobie ust nie otwierać, zapytałem jednak żyda, co to są za ludzie tak bogato ustrojeni? A on mnie: — Co to wy cudzy, za nie znacie zaporozskich kozaków? Oni w dziesięć podwód z rybą chodzili do Humania i tam rybę sprzedali, ale że dowiedzieli się, iż ich koszowy pomarł, nie mieli czasu zarobku swego przepić w Humanu, bo śpieszą nowego wybierać. Z próżnemi furami na Kahorlik wracają do Sieży; tu wozy i woły poprzędawali. To moje szczęście, bo wszystko tu przepiją, goli do siebie powrócą. Te bogate żupany oni w Humanu sobie posprawiali, bo na Sieży nie godzi się im tak stroić. Nim słońko zajdzie, to wy ich zobaczycie tak, jak chodzą u siebie. — To jeszcze więcej zaostrzyło moję ciekawość, i niecierpliwie wyglądałem wieczora, bo dopiero przed samym zachodem słońca mieliśmy dalej ruszać, z powodu nieznośnego upału. Ale nie miałem potrzeby tak długo czekać, bo dwie godzin nie upłynęło, jak zaczął żyd ich rachować; zabrał im wszystkie pieniądze, tak, że każdemu po kilka piątków się zostało. Oni naówczas kazali podać sobie kadkę napełnioną dziegiem, i jeden po drugim w pięknej swojej odzieży w nią wlażył i zanurzywszy się w dziegiu po szyję, wyłaził z kadki, rozebrał się, i cały swój ubiór, jakby gardząc marnościami świata, na ulicę rzucił, aby go wziął kto zechce, i czapkę to samo, równie

w dziegeiu ją powalawszy. Potém każdy wdziewał koszulę w łożu zmaczaną i brudną siermięgę, w której z Sieczy wyszedł, i z batogiem w rękę, dobrze pijani wyszli, nikomu nie powiedziawszy *bywaj zdrów*. Pan Michał Ratyński, pomimo moich nalegań, żeby się wyspał, bo przez całą noc iść nam będzie trzeba, nie mógł się wyrwać od swoich zalotów; nawet się puścił w płasy z parobkami i dziewczkami, czém bardzo nas rozśmieszył, osobliwie jak poszedł w przysudy. Ale pan Azulewicz, pan Mikosza, kozacy humańscy i ja, w sieniach słomy miętęj hojnie namościwszy, aż do godziny przeznaczonej dalszemu pochodowi porządnegośmy wczasu użyli. Jeszcześmy szli dwa dni gołym stepem; ani pagórka, ani drzewka nigdzie nie było widać, tylko ogromna przestrzeń podobna do morza w dniu spokojnym. Napotkaliśmy tylko mogiły oddalone jedna od drugiej w pewnym wyrachowanym porządku, któreto mogiły służą kozakom za czaty i za sposób nie zbicia się z drogi w czasie zimowych zamieci. I tak bezludną przestrzeń przebywszy, stanęliśmy w Gardzie nad Bohem, gdzie się zaczynały posiadłości siczowych kozaków. Tam między skałami były porobione *jazy* czyli *tamy* do łowienia ryb, i tam zastaliśmy *assaulę*, przy którym w niebytności pułkownika będącego w Sieczy na wyborach, zostawało dowództwo pułku Korsuńskiego stojącego w Gardzie na straży. Nasi kozacy zameldowali nas jemu, a on wszystkich uprzejmie przyjął i dodał nam dla konwoju jednego towarzysza siczowego, z buzdyganem żelaznym wielkim, najeżonym kołcami. Nasi kozacy wytłómaczyli, że widok tego buzdyganu jest dostatecznym, aby nas od wszelkiej przykrości zasłonić, i że chociaż Zaporozcy są skłonni do rozboju, z tym buzdyganem możemy być spokojni, — że przechodząc przez ich *ziemowliki*, będziemy jednak często nawiedzani od towarzyszków i ich czeladzi, że każdy pić będzie gorzałkę z podwód, ile mu się podoba, ale na tém ekonomia humańska nie straci, bo byle kufę choć próżną przywieźć do Sieczy, koszowy za świadectwem konwojującego towarzysza, że ona wypróżniona została po drodze przez Zaporozców, zapłaci za nią tak, jakby była pełną. A że Zaporozcy dzieli się na 40 pułków, z których każdy nosi nazwisko jakiegoś miasteczka ukraińskiego; jeśliby więc przypadkiem konwojowane podwody jaką szkodę poniosły, wtedy pułk, w którego obwodzie toby się stało, całkowitą szkodę winien jest wynagrodzić. Dowiedzieliśmy się, że oni bardzo często pierwój rabowali Humańszczyznę, ale pan Ortyński, rzadca Humańszczyzny, który umarł podczaszym Bracławskim, ubezpieczywszy Humań w około fossą głęboką i ostrokołami, a wyewczywszy milicję nadworną JW. Potockiego wojewody Kijowskiego, nie tylko że ich odpierał i raz tyle tój zgrai nabił, że aż pięć mogił na przedmieściu Humania na ich ciałach usypał; ale jeszcze i na całą Sicz napadał, ziemowliki ich palił, trzody, stada

zabierał, a tych Zaporozców, których brał żyweem, w dyby zabijał i w Humanu do ciężkich robót zmuszał. A że to kilkakrotnie się zdarzyło, więc Bandur Mamałyg, co był natenczas koszowym, z ekonomią humańską i smilańską zaprzysiągł wieczny traktat, że już odtąd nie będą Zaporozcy rabunków popełniać w Polsce, ale za świadectwem wolno im będzie przybywać dla handlu do Humania, Smiły i innych dzierżaw domów Potockich i Lubomirskich; a oficyalistom i poddanym włości humańskiej i smilańskiej za świadectwem ekonomii wolno będzie także dla handlu bywać w Sieczy, do niéj jadąc przez Gardę, gdzie była straż zaporozska od granicy Rzeczypospolitej, i buzdygan ma być w rękę naczelnika dla ubezpieczenia przejeżdżających. Gdyby jaki Zaporozec przeciw temu traktatowi wykroczył i najmniej się kradzieży dopuścił, bądź we włościach wzmiankowanych, bądź na podwodach buzdyganem konwojowanych, koszowy śmiercią go karał, po osądzeniu sprawy przez sędziego Sieczy, a napisaniu dekretu przez pisarza. A śmierć była zadawaną następnym sposobem: winnego przywiązywano u słupa, i obok niego kładziono stos kijów i kadz gorzałki; każdy tedy kozak koło niego przechodząc gorzałki się napił i kijem go uderzył, i póty bili i pili, póki mu życie odebrali. Takową śmierć niedawno był poniósł Tymosz Podkujko Sołowiej, ataman i poeta zaporozski, którego pieśni w obudwóch Ukrainach śpiewają, a to z powodu, że koszowy Semen Kozyra, ten sam którego śmierć dopiero nastąpiona była dla nas nieodżałowaną stratą, przyjmując u stołu swojego przybyłych oficerów w interesach Carowej, kazał, jak u nich we zwyczaju było, przy końcu obiadu Sołowiejowi grać na bandurze i śpiewać. On, chcąc się gościom przymilić, ułożył naprędce piosnkę, w której między innemi rzeczami było, że Lachy ubogie, bo choć żonki sami mają, dla ich popów żonek nie wystarcza. Zaporozcy jeszcze ubożsi, bo choć popom dają żonki, sami bez nich obchodzić się muszą, a Moskale najbogatsi, bo mają żonki i dla swoich popów i dla siebie. Otóż po odprawieniu oficerów, koszowy oddał pod sąd Tymosza Podkujkę Sołowieja, że ważył się naganiać ustawy Siczowe, i jako przekonany o tę zbrodnię, był kijami ubity, pomimo, że względy u koszowego i wielką miłość miał w całym Zaporozu. Tak wielkie oni mają uszanowanie dla praw swoich. Rzeczywiście oprócz popów, których jest tyle, ile pułków, to jest czterdziestu, z których niektórzy byli żonaci, żadnej kobiety nie było w całej Sieczy i żadnej nie wolno było nogą na jej posiadłości stanąć. Ludność zaporozska utrzymywała się raz przyjmowaniem do siebie zbiegów, bądź z Polski, bądź z Moskwy, najczęściój najgorszych hultajów, którzy na Sieczy poddawszy się pod ostre prawa, dochowywali wiernie ich przepisów; drugi raz z chłopezyków za granicą kradzionych, których przysposabiali za synów, a którzy po nich odziedziczali majątki. Jeżeli kozak

umierał, nie zostawiając przysposobionych synów, natenczas jego majątek na dwie części był podzielony; połowę brał koszowy dla siebie, a połowa dostawała się cerkwi pułku, z którego był nieboszczyk, z tego powodu cerkwie były u nich bogate. Oprócz tego koszowy miał wielką wyspę na Dnieprze, na której osadzonych kilka wsi chłopów żonatyh czynsz mu płacono, i jego był wyszynk gorzałki. Często kozacy synów tych chłopów przysposabiali. Koszowy i urzędnicy (których było dwóch tylko, pisarz i sędzia), ubogiem odzieniem swoim nie różnili się od prostych kozaków, a ich mieszkania skromne odznaczały się tylko obszernością sadów. Dziesięcina pszczelna składała dochód pisarza i sędziego. Każdy pułkownik pobierał małą jakąś opłatę od koni, bydła i owiec, i na utrzymanie kureni, a w każdym kureniu pułkownik utrzymywał za to kozaków, co chleb piekli, jeść warzyli i gorzałkę szafowali dla wszystkich, tak rejestrowych towarzyszków, jako ich czeladzi, komu się podobało w kureniu hulać. Tak rozmawialiśmy z kozakami humanistami o ustawach i obyczajach tego osobliwszego narodu, przechodząc pięknym krajem, co był jego siedliskiem; bo już nie goły step, ale gdzieś niegdzie okazywały się gaje, a jary zieleniały olszyną i wierzbina. Smutno było tylko, że śladu rolnictwa nie widać. Żadnej pracy nie chciał znosić Zaporozec, rolnictwem się brzydził, a nawet sądem rzadko który się bawi. Próżniactwo było ich jedyną pociechą. Przybyliśmy do miasta Sicz. Że pułków było czterdzieści, a każdy pułk miał swoją karczmę drewnianą i długą, te więc czterdzieści karczem składały rynek, i to było całe miasto Sicz. Prócz tego była cerkiew, chałupa protopopa, koszowego, pisarza i sędziego. Chałupy obszerne, przy nich wielkie sady, szczególnie koszowego, którego mieszkanie tem się tylko odznaczało, że obok chałupy była wielka stajnia murowana, w której koszowy do sześciudziesiąt koni utrzymywał, i to był cały jego zbytek. Stanąwszy na rynku, poszliśmy prosto do pisarza, któregośmy zastali przed jego chałupą na zydlu siedzącego z fajką w gębie; był to człowiek przynajmniej siedemdziesięcioletni, ale czerstwy. Rysy jego twarzy nielada okazywały człowieka; on już był przygotowany, aby nas przyjąć, i z panem Azulewiczem rozmawiał jak z poufałym przyjacielem, lubo pierwszy raz go widział. Zaprosił nas wszystkich czterech, byśmy się do jego chałupy wnieśli, i zaprowadziwszy nas do niej, mówił do nas czystą polszczyzną, nawet z wymową litewską. Powiedział nam: — Żle się zrobiło, bo tylko co obrali koszowym Jura Majborodę. Intryga jego wyniosła. On jest fanatykiem, uroił sobie, że jak Polska pozbędzie się nieprzyjaciół, to Sicz zmusi do Unii, z tego powodu wpływy mieć będzie nad nim nasz protopop, który jest zawzięty na Polaków za to, że na pal wbito w Żytomierzu jego siostrzeńca. Pokąd tedy władać będzie Majboroda, nie możecie

się od nas spodziewać pomocy. Ja jeszcze przez jutrzejszy dzień wszystko lepiej wybadam, a potem niech który z panów nazad pośpiesza do generalności z tem, co wypadnie jęj powiedzieć. A teraz muszę iść na ceremonię wejścia koszowego w swój obowiązek, co długo trwać nie będzie: a wy z daleka stojąc, możecie się temu przypatrzeć; potem wróciecie do mojej chałupy i na mnie czekać będziecie. Będzie uczta wielka u koszowego, on wieczrę całej Siczy sprawuje, wszyscy się na śmierć popijają, oprócz mnie; bo w dzień wyboru koszowego i obchodu jego rocznicy, pisarz żadnego mocnego trunku do ust przybliżyć nie może wedle praw naszych. Przy nim zostaje władza, a prawo chce, aby choć jeden przynajmniej był trzeźwy. — To wyrzekłszy, natychmiast wyszedł, wzięwszy papier w rękę i kałamarz, a za ucho włożywszy pióro, by zapisać akt inauguracyi. Po jakimś czasie i my poszli na rynek, gdzie już było mnóstwo kozactwa przed karczmą pułku Czehryńskiego, w której był nowy koszowy, niegdys assaula w tymże pułku. Z wielkimi okrzykami prowadziła go tłuszcza z karczmy do domu koszowego, na dziedzińcu którego były cztery wozy przewrócone. Kozactwo natychmiast te wozy ziemią zasypało tak, że się wzniosł kurhanek dość wysoki. Na wierzchołku tego kurhanku siadł nowo obrany koszowy, a z każdego pułku po jednym towarzyszu rejestrowym weszło do izby, i porządnie zamiotłszy całą chałupę, wszystkie śmiecia w ogromny kosz włożyli, tak, że go napełnili, a potem zanieśli ten kosz na wierzch kurhanku, i z trudnością podniósłszy go, wypróżnili całkowity na głowę nowego koszowego, i natychmiast śmieciami został osypany, a pisarz głośno wyrzekł: — Jak widzisz siebie okrytym śmieciami, tak w każdej potrzebie znajdziesz nas wszystkich od siebie nieodstępnych. — I taka była całkowita ceremonia inauguracyi naczelnika Sicz, który z powodu tego na nim przewróconego kosza, nosił nazwanie koszowego. Dopiero wszedł koszowy do domu swojego, i odtąd zaczynała się jego władza. Pierwsza jego czynność była, iż odbił piwnicę swojego poprzednika, z kąd wszystek miód, wiśniak i gorzałkę wytoczyło kozactwo, że próżną została. Wszyscy siedli na ziemi, koszowy i kozacy około kotłów napełnionych barszczem, kaszą, kluskami i pieczywnami różnego mięsiwa, z których kotłów każdy drewnianą łyżką brał na swoją misę ile mu się podobało, i wszyscy jeli zajądać z wielkiem żarłoczstwem, każde kilka kęsów popijając wiśniakiem lub gorzałką, a to szklankami; pisarz siedział osobno i to jadł co oni, ale prócz dzbanka wody nie miał innego napoju. Przybyłym kupecom i innym ludziom, nie należącym do Sicz, między którymi i my byliśmy, koszowy z wielką gościnnością trunki rozsiewał, i w misach jadła, które lubo niewymyślne, nam smakowały. A gdyśmy spostrzegli, że móżgownice tak kozackie jak i przybyłych zaczynają się rozgrzewać spiry-

tusem, wycofnęliśmy się z téj zgrai, i wrócili do domu pisarza, gdzie było nasze *locum standi*. Nie doczekawszy gospodarza, około północy poszliśmy do spoczynku. Z rana pan Azulewicz mnie oświadczył, że tylko przez ten dzień wypocznę w Siczy, a nazajutrz ze świtem z próżnemi podwodami wrócę do Humania, ztamtąd zaś jak najspieszniej starać się będę dostać do generalności z doniesieniem, że on, Azulewicz, puścił się do Bakezysaraju, że cała nadzieja na Tatarach, że na siczowych kozaków spuścić się nie można, bo wszyscy ich popi są Polsee nieżyczliwi; a nowo obrany koszowy Majboroda będzie się niemi wedle wszelkiego podobieństwa powodował. Tyle tylko przynajmniej, że możemy być pewni, iż przeciwko nam działać nie będzie, jako Dziemdzuryk sam to zaręczył. Ostatni raz siedząc za stołem pisarza, i będąc tak blizkim pożegnania go, wedle wszelkiego podobieństwa na zawsze, odważyłem się mu powiedzieć: — Niech to pana pisarza nie obraża, że tu jego chleb jedząc, może zbyt śmiały jestem w mojej ciekawości, ale mnie uprzejmość pańska do téj poufałości ośmiela. Co to za powód, że pan, widocznie będąc szlachcicem polskim i mężem tyle światłym, iż u nas równych mu niewielu, zostałeś członkiem towarzystwa złożonego z ludzi, niech to pana nie obraża, prostych włóczęgów i po większej części hultajów. — On mi odpowiedział na to: — Nie będę przed wami krył tajemnic mego żywota, ani wypadków, które mnie tu zapędziły. Jestem szlachetnie urodzony, i moje przeznaczenie pierwiastkowe było posiadać kiedyś majątek i urząd; jakoż w pierwszej mojej młodości byłem chorążym w kawalerii narodowej. Jestem ziemianinem województwa Witebskiego, a moje prawdziwe nazwisko Wołk, familia znana w Litwie. Mój ojciec był szczupłego majątku, ale szlachcic dobry i za granicą wychowany. W wojnach króla Jana się wślawił, i byłby doszedł może do wysokich zaszczytów, gdyby wiara jego nie była na przeszkodzie; był bowiem rodowitym kalwinem. Jednak, że był młody, przystojny i grzeczny, podobał się pannie Zawiszance kasztelance Mińskiej, jedynaczce mającej znaczne dobra. Pomimo perswazyi całej familii Zawiszów, przyzwyczajonej wiązać się z magnatami i równymi, moja matka, zaleając jedynie od siebie, poszła za skłonnością serca. Mój ojciec na żoniniej ziemi osiadł w témże województwie Witebskiem, gdzie i jego samego było gniazdo. Żył na wsi, pilnował roli, pozyskał przyjaźń sąsiadów, i tyle szanował przekonanie mojej matki, że cienia zgorszenia nigdy jój nie dał. Było nas dwoje dzieci, ja i siostra odemnie młodsza; oboje nas wychowano w macierzyńskiej wierze. A ojciec kilka razy na rok jeździł do Kopyscia dla dopełnienia swoich obrządków, ale tak, że w domu nikt o tém nie wiedział. Zresztą obyczajami swojemi we wszystkiem się stosował do wyznania matki, pościł z nią razem, bywał z nią w kościele, dla kwe-

starzów był hojnym, a o religii nigdy nie mówił. Póki żył nasz proboszcz, człowiek prawdziwie światobliwy, który nikogo nie wyłączał z miłości chrześcijańskiej, i nieczyjego przekonania nie potępiał, życie moich rodziców było szczęśliwe. Ale po jego śmierci, jak księży orszanścy wzięli wstęp do naszego domu, wszystko się odmieniło. Ksiądz Rokita został spowiednikiem mojej matki, i wkrótce ją opanował, bo to był człowiek właśnie, jakiego potrzeba do zniewolenia babskiego umysłu. Próbował on i mego ojca nawrócić, ale ten zawsze zbywał go milezieniem lub odwróceniem mowy do innego przedmiotu, i lubo nigdy się nie ominął z grzecznością gospodarską, umiał mu dać poznać, że w żadne ścisłości z nim się wdawać nie chce. Ale z moją matką był szczęśliwszy, i odpłacił memu ojcu jego niechęć ku sobie. Zaczął jój wmawiać, że kacertwo jest największą zbrodnią, że kto w Papieża nie wierzy, jest nieprzyjacielem Chrystusa Pana, i że od takiego trzeba uciekać jak od poganina, że dyssydent każdy z uporu tylko i z pychy trzyma się swojego kacerstwa, bo okrom katolika, nikt nie ma istotnego przekonania o rzetelności swojej wiary, że tylko u katolików są prawdziwe cnoty, a jeśli jaki dyssydent jest pocziwym, są to tylko obłudny, które u Pana Boga na żadne nie zasługują względy, i inne tym podobne rzeczy, któremi tak obalamucił matkę, że przywiązanie do męża straciła. Po daremnych usiłnościach, aby ojciec zrewokował, nastąpiły kwasy, a nakoniec pożycie dwudziestoletnie szczęśliwe byłoby się rozeszło, gdyby zgryzoty nie przyspieszyły śmierci memu ojcu, właśnie jakby dla zapobieżenia takiemu zgorszeniu. Po śmierci ojca, już żadnej przeszkody nie mieli księży w zupełnem zawładaniu naszego majątku: kto tylko nie był z ich ręki, u matki nie mógł się utrzymać, bo nawet do niej nie miał przystępu. Dość, że w najpożyteczniejszych okolicznościach matka niczego się nie imiała bez zezwolenia księdza Rokity. Mojej siostrze wmówili powołanie do zakonu, i w klasztorze ją osadzili; toż i ze mną chcieli zrobić, alem się ja nie dał, a za wsparciem Zawiszów, ludzi możnych a moich krewnych, zostałem chorążym pancernym. Będąc młodym i burzliwym, a z powodu nieboszczyka ojca nienawidząc księży, gdy byłem u matki, sprzeciwiałem się im nieraz i tém się mojej matce narażałem, że jak do mego ojca, tak i do mnie serce utraciła. Dopiero ksiądz Rokita dawaj jój wmawiać: że rozwiąże prowadzę życie, że do spowiedzi nie chodzę, że jestem kalwinem ukrytym, że majątek w mojem ręku na Pana Boga obrazę obróconym będzie, i że lepiej go Panu Bogu ofiarować. Dość, że kiedy ja pocziwie rzeczypospolitej służyłem, wszystko się gotowało, aby mi kurtę wykroić. Zabrałem był znajomość z panną zacnego domu i posażną: starałem się o jój przyjaźń i wkrótce otrzymałem obietnicę od jój rodziców. Już był dzień ślubu naznaczony, tylko szło o to

aby mi matka coś wypuściła; w tym związku całe szczęście upatrywałem, bom szczerze kochał swoją narzeczoną. A moja matka występuje z donacją całego majątku swego na rzecz różnych klasztorów, nie dla mnie, ani nawet dla siebie nie wyłączając, sama zaś osiada w Orszy na dewocyi. Rodzice mojej narzeczonej, widząc mnie gołym, zerwali ze mną, mówiąc: — Wybaczaj, panie choraży, ale sam widzisz jak się rzeczy mają; nie masz gdzie nam córkę zawieźć, a my naszego dziecka na włóczęgę puścić nie możemy. — Udałem się do OO, jezuitów, błagałem księdza Rokitę, żeby choć częsteczkę majątku mnie oddali, że sama sprawiedliwość od nich tego wymaga. Ksiądz Rokita odpowiedział mi z łagodnym uśmiechem: — Że choćbym cały świat posiadał, jak duszę zgubię, wszystko mi się na nie nie przyda, a bogactwa często świeckich do grzechu prowadzą, i że jeżeli jestem dobry katolik, o czém nie wątpi, powinienem wolę matki szanować i cieszyć się, że jej majątek będzie obrócony odatd na ćwiczenie młodzieży w bogobojności i nawrócenie pogan. Żadnego udziału z daru matki z boleścią serca zrobić nie mogą, bo alienując fundusz kościelny, podpadliby pod ekskomunikę; zaś w mojej mocy, jeśli mam ku temu powołanie, korzystać z tego majątku wstępując do ich towarzystwa, a nakoniec, cokolwiek postanowię z sobą, nie przestaną się modlić za synem ich dobrodziejki. — I to wyrzekłszy, uniżenie kłaniając się, prosił mnie o przebaczenie, że nie może dłużej ze mną bawić, bo śpieszy do konfessyonału. Wyszedłszy z klasztoru, palając zemstą, udałem się do dóbr niegdyś mojej matki; tam zebrałem kilku sług nieboszczyka ojca, których moja matka oddaliła za namową Rokity; łatwo więc ich było skłonić, aby mnie w zemście dopomagali. Uzbrojeni wpadliśmy w noc do klasztoru Orszańskiego, własną ręką zamordowałem księdza Rokitę, a dwóch jego towarzyszy, którzy byli w naszym domu, zakłóli moi pomocnicy, mający do nich jakiś żal; resztęśmy powiązali, a cały klasztor zrabowawszy, podzieliśmy się znaczną gotowizną. Potém rozeszliśmy się każdy w inną stronę dla szukania schronienia. Już nie było czego siedzieć w Polsce, a nie mogąc na siebie nie ściągnąć podejrzania, weześniej czy później nie ominęłaby mnie kara, jaka czeka świętokradzców i zbójców. Kryłem się jakiś czas po różnych domach, a właśnie Siecz zaporożska niedawno utworzyła się była niedaleko granic Rzeczypospolitej; tam się więc udałem, aby żyć przynajmniej blisko téj ojczyzny, w której bezpiecznie mieszkać nie mogłem. Nabyłem tu zasług i znaczenia; już lat 40, jak piastuję urząd pisarza, a Bóg świadek, że żadnej okoliczności nie omieszkalem, by być użytecznym moim rodakom. Żadna zgryzota mojego sumienia nie dręczy, chociaż mój postęp z księdzem Rokitą był okrutny. Ale gdzie prawodawstwo obywatela nie zasłania od łupieztwa, samemu sobie sprawiedliwość godzi

się robić. Zresztą zestarzałem się na Siczy, jej obyczaje przyjąłem i do nich nawykłem. Między kozakami, zwłaszcza prostymi, są wielkie cnoty. Zamiłowałem szczerze w naszych ustawach, i to mnie tylko teraz udręcza, że przewiduję blizki nasz upadek; ale tuszę, że starzec, tego się nie doczekam.

Pożegnałem się czule z naszym pisarzem siezowym i wróciłem do generalności, z czém mnie do niej odprawiono, i trafiłem do niej szczęśliwie przy łasce Pana Boga. Prawie całą drogę myślałem nad postępkami pana Wołka. Zaporozkie to sumienie najść klasztor, zrabować go, porzucić zakonników i jeszcze nie mieć nie sobie do wyrzucenia. Prawda, że oni niełada mu się przysłużyli; korzystając z pobożności matki, by dziecko wydziedziczyć bez przyczyn w statucie Litewskim objętych, tylko dlatego, że ojciec był kalwinem, tego nikt nie pochwali. Ale imać się świętokradztwa i morderstwa, to jeszcze gorzej. Tylko po co mam wchodzić w cudze sumienie? niech każdy się rachuje z Panem Bogiem jak może, a Bóg każdego sprawiedliwie osądzi; tak pana Wołka, jako i księdza Rokitę. Dość, że pan Wołek kochał zawsze swoją ziemię, popierał naszą sprawę ile mógł, i nam był rad w swoim domu z całego serca; jeśli źle zrobił, to Bolesław Śmiały i Kazimierz Wielki jeszcze gorzej zrobili, bo jeden zamordował św. Stanisława biskupa, co jest świętym po całym świecie, a drugi ksiądz Baryczka, co go mają za świętego w Sandomierskiem województwie, a przecie obadwaj królowie pokutowali; jeden poniewolnie, a drugi z własnej ochoty, i jeden wielki teolog mój znajomy mniemał, że i oni sami są świętymi tronu, na co się chętnie godzę. Więc i pan pisarz siezowy mógł swój postępek opłakać i jak się należy umrzeć, a że to już pewnie dawno nastąpiło, może także jest teraz świętym, i może wstawia się za tą ziemią, którą za życia tak mocno miłował, czego mu życzę z całego serca.

X.

Karol Rys.

W naszej niegdyś Polsce, jak wszędzie, ale szczególnie u nas, fortuna na kole się toczyła, raz na wierzchu, raz na spodzie, aby nikt

się nie pysznił ani rozpaczał. Zdaje mi się, że Pan Bóg tak przykazał, i że to powinno być wszędzie: ztąd, wedle mizernego mojego pojęcia, nie chwalić się owym narodom, niby od naszego kształtowniejszym, gdzie tak prawodawstwo urządzone, ażeby magnat nigdy się nie obawiał przestania być magnatem, a chudy pacholek nigdy się nie cieszył nadzieją zostania kiedyś magnatem: gdyż pierwszy ma obwarowaną ordynacyę, co ją po nim starszy syn odziedzicza, a młodszy na okruszynach ojcowizny zmuszeni poprzestać, albo do stanu duchownego bez istotnego powołania wstępują, albo w wojsku częstokroć rozpuście się oddają, uciekając od stanu małżeńskiego, gdzie wedle ich wyobrażeń, ani żony utrzymać, ani dziatwę wychować stosownie do swego rodu nie mogą. A uboga szlachta, choć równa w zaćność, lecz nie poparta naczelnictwem możnego ordynata, wstydząc się rzemiosła i kupieckich frymarczy, cierpi niedostatek, obok stanów podlejszych, wynoszących się ciągle wzrastającymi bogactwami. U nas, jako nieraz patrzano na potomka magnatów, zmuszonego ubóstwem cudzy a służebny chleb pożywać, tak też i chudy pacholek bywało na magnata wychodził i orderzy dostawał, i do krzesła się dochrapał, i z mitrami się koligacił; bo jak powieje wiatr szczęścia na polskiego szlachcica, Bóg wie gdzie się zatrzyma, a potem wzbiwszy w górę ród swój, potomek czasem podupadnie, a podupadłego magnata potomek znowu się podniesie. I tak ciągle szło u nas, by nikt w szczęściu nie śmiał pomiatać tym, na którego mniej pomyślny wiatr powiewał. U nas jako wszędzie niewielu było znacznych, ale byli znaczni; ztąd, kiedy minister czy senator swojego szlachetnego sługę, lub okolicznego szlachcica nazywał *bratem*, ten czuł dobrze, że to nie była zwrotka uludnej grzeczności, ale wyznaniem rzetelnej prawdy. Szeroko o tém bym mówił; ale na co to się przyda, wszystko już się skończyło, a zresztą choćbym się rozszerzył, czy mnie zrozumieją? Terazniejszy świat czegoś niby chce, do czegoś dąży, ale sam nie wie do czego, i dojdzie tam gdzie się spodziewa. Ale porzućmy o tém; nie jestem prorokiem, abym rozprawał o przyszłości; wolę o tém pisać, na co patrzałem.

Moi rówieśnicy, których już niewielu, pamiętają w Nieświeżu sławnego organistę Rysia, bo po dziś dzień w kościele świętego Krzyża co niedzielę i święto dają się słyszeć organy jego roboty. Nazywano go *ordynatem nieświeżskim*, bo on był piątym czy szóstym, syn po ojcu, organistą farnego kościoła, a ta funkcyja niezgorszym kawałkiem chleba była uposażona, bo i półwłócze gruntu ornego, i piękna łąka i sad przy porządnym dworku, i trzysta tyńfów, co je wedle fundacyi corocznie od kahału Nieświeżskiego pobierał. A kolendy? Wszakże opłatki, co je pod koniec adwentu rozwoził po familii książęcej, zaczynając od Nieświeża, a kończąc na Kojdanowie, za nielada folwarczek

stać były mogły. Ekspensy prawie żadnej, bo w domu organista żył sobie zwyczajnie, jak służka kościelny; co się zjadło, to się na gruncie urodziło; a choćby czasem urodzaj i chybił, od czegoż parafianie? Synowi sam dyrektował; jeżeli więc miał jakiś wydatek, bo jedynie na utrzymanie galowego ubioru, co go w dni świąteczne na siebie nadziewał, bo w dni powszednie i w domu chodził sobie w sierakowej opończy jak okoliczny szlachcic; ale na jego galową suknię warto było popatrzeć, kiedy na szarym końcu za stołem księcia hetmana w niej zasiadał, ile razy wypadała jaka uroczystość czy kościelna, czy familijna. Kontusz z aksamitu czarnego, żupan atlasowy téjże barwy, pas sakiemny srebrny, a na tém wszystkiém z czarnej krepy krótki płaszczyk nakształt palliusza i doktoratka, bo organistowie, jako ludzie kościelni, nie nosili szabli, a płaszcze krepowe i doktoratki były z ich strony oznaką atencji. Książę hetman go lubił, a szczególnie brat jego, książę chorąży, który sam niezgorzej grywał na organach, i niemi często się bawił, chwając Boga w swojej Kojdanowskiej kaplicy, i zawsze go nazywał żartując swoim kolegą. A trzeba o tém wiedzieć, że Rysio wie z dobrego rodu, nawet tym samym herbem pieczętowali się co i Pocieje; że o tém dobrze wiedział nasz Ryś i umiał to cenić, więc czy u książąt paradnie występował, czy w kościele Panu Bogu śpiewał z wtórem, czy koło gospodarstwa się krzątał, zgoła czy w aksamicie czy w sieraku, zawsze dość kuso się nosił, by choć trochę przynajmniej dały się widzieć karmazynowe hajdawery. A miał swoje koncepty, któremi i za uczonego i za krotochwilnego uchodził; jakoż nie bez tego, że odbywszy organistowskie wychowanie, mógł być więcej z książkami obeznany, niż ludzie światowi. Razu jednego, kiedy JW. Rejtan, podkomorzy Nowogrodzki, zjechał do Nieświeża, dla rozgraniczenia Rudawki, majątku jezuickiego ze strony ordynacyi, do której sprawę wchodził i Ryś, bo właśnie jego łąka była na samém pograniczu; kilkanaście osób obiadowało u JW. podkomorzego w Połowej karczmie, gdzie był założył swoją jurydykę, i Rysio wie kazał sobie służyć; gospodarz z innymi siedział za stołem, nie omieszkawszy przywdziać swojej doktoratki. Gdy więc, jak to zwykle biesiadując, a zwłaszcza po prawniczych mozołach, szukano w dyskursie rozrywki, jakoś zapytał podkomorzy: — Zkąd to, że Wielkanoc raz tego dnia, raz owego, nie tak jak Boże Narodzenie, co regularnie na dzień 25 grudnia przypada? — Wszyscy przytomni brali tę rzecz na rozum, a żaden nie umiał tego objaśnić; nawet umocowany od jezuitów, lubo obcując często z pryncypałami mógł więcej niż inni być obeznany z kalendarzowymi statutami; a gdy wszyscy w rozumowaniach się plątali, spostrzegł podkomorzy, że Ryś się nie odzywał, tylko ramionami ruszał. Ku niemu więc obrócił mowę. — A co to szukamy niedźwiedzia po za

lasem? to wasana rzecz, panie organisto, bo księdza nie ma między nami; wołałbyś nas oświecić, niż ramionami ruszać, jak półmędek między żakami. — *Nemo sapiens, nisi patiens*, JW. panie — odpowiedział Ryś, powstawszy i nisko się skłoniwszy — dwa lata trzeba chodzić na teologię, żeby pojąć, co to jest kalendarz, i to jeszcze daj Boże. — Chociaż my teologii nie umiemy, czemuż po ciwuńsku nie masz rzeczy tłómaczyć? Czy to raz nam wypada mówić babie o prawie, kiedy ma proceder; a choć w palestrze nie była, jakoś umiemy go robić dostępnym do jój mózgownicy. Bo co kto sam zna, tak jak potrzeba, ten łatwo objaśni nieświadomego. — Kiedy wola JW. pana, to więc wyłuszcę całą rzecz: kalendarz przepisuje dla pożytku ziemi, to co Pan Bóg napisał na niebie, bo każda gwiazda jest literą. Podczas oktawy przesilenia dnia z nocą, kanonicy katedralni wraz z JO_o pasterzem czytają na niebie, a co wyczytają, to i zapisują; z tego kalendarz i rubrycelle, z tego kancyzki, bo wszystko w kościel Bożym nakręcone jak godzinnik. Kanonicy piszą, plebani czytają, organistowie śpiewają i grają, a wierni wtórują, i tak wszystko się obraca na chwałę Bożą oraz na pożytek ludzi. — Daj go katu — odpowiedział podkomorzy — wielki z waści mędrzec jak widzę, panie organisto; z tém wszystkiém winszuję temu, kto waści zrozumie, a jeszcze więcej takiemu, który z tak liczném abecadłem się obezna, i w czytaniu się nie pomyli. — I bardzo się myślą JW. panie; bazylianie naprzykład, że nie tak umieją czytać jak nasi, to téż ich kalendarz nie potém; albo nawet nie trafiał się, że nie doczytawszy jak się należy niebieskie pismo, obiecuja na dzień ten lub owy pogodę, a tymczasem deszcz jakby na złość? Na co daleko szukać? Tego roku, jak zapewniał Kalendarz Wileński, że nam hreczka urodzi, a tymczasem posucha wszystko wysmałiła, że onegdaj na kiermaszu w Stwołowiczach ośminę po trzy tyńfy płacono, a to wszystko dlatego, że książę biskup wileński pojechał do Rzymu *ad limina Apostolorum*, a kanonicy bez pasterza lada po jakiemu czytali.

Pan podkomorzy na takowe objaśnienie parsknął od śmiechu, bo był sam uczony; ale niejednemu musiał klina w głowę zabić. I ta dykterya o Rysiu długo powtarzała się na dworze Nieświeżskim. Dość, że organista Ryś, dudlając po klawiszach, a jeżdżąc po kolenkach, uzbierał sobie kilkadziesiąt tysięcy, które spadły na jego syna; ale ten odstąpił ojcowiznę dalszym a uboższemu krewnym, gdyż nie dawszy namówić siebie do rzemiosła ojcowskiego, znalazł dostatki w innym zawodzie; czém organy Nieświeżskie wyszły z domu Rysiów, gdzie blisko od półtora lat zostawały, i co było powodem desperacyi starego. Trzeba wiedzieć, że wszyscy Rysiowie dotąd żenili się zawsze z córkami organistów, a swe córki za organistowskich synów wydawali; to kiedy naszemu organście urodził się syn, książę cho-

raży, co go do chrztu trzymał, przed ceremonią żartem powiedział: — Ten chłopczyk kancyzkową nutą kwili, bo z miecza jak i z kądzieli samych tylko organistów w genealogii rachuje. — Jednak ten żart w sprawiedliwą wieszczbę nie został obrócony, gdyż wszystkie zabiegi ojca, by z syna mieć pomocnika, a kiedyś następcę, na nic się nie przydały: bo lubo od piątego roku życia już go zaczął poufalić z organami, lubo przez dwa lata może mu jakie tysiąc batogów wspaniał, by mu napędzić ochotę do muzyki, ani jednej nuty Karolek nauczyć się nie mógł, co tém więcej martwiło ojca, iż go Bóg dalszém potomstwem nie udarował.

Gdy Karolkowi siódmy rok się kończył, ojciec jego, sporządziwszy pozytywek dla księcia chorążego, któremu imię było Karol, pojechał z synkiem do Kojdanowa na sam dzień Ś-go Karola, by Karolek wręczył go ojcu chrzestnemu, jakoby na wiązanie. Ale księcia w zamku nie zastali, bo ten krył się przed swojemi imieninami w Starczycy, gdzie miał domek wiejski, a raczej folwark porządnie zabudowany; a to, że będąc wielce oszczędnym, tych zjazdów u siebie nie lubił. Pojechał więc Ryś do Starczycy, zawsze z synkiem, sam w swoim paradnym ubiorze, a synek z pozytywką w rękę, a z pałasikiem u boku. Zajechawszy po pod bramę, wysiedli z wózka oba i szli sobie ku folwarkowi. Sam książę siedział za oknem i patrzył na dziedziniec. Gdy chłopczyk za ojcem przybliżał się do ganku, żuraw przyłaskawiony, ale nieco napastliwy, zapędził się za niemi. W tém Karolek, rzuciwszy pozytywkę, dobył szabelki i jak palnie żurawia po szyi, obalił go o ziemię; staremu aż mrówki przeszły po stawach, i nie dziw, bo jeszcze na Litwie taki się nie był narodził, któryby nie drżał przed księciem chorążym, zaczynając od księcia hetmana, luboć ten był starszym od niego bratem i latami i urzędem: ale książę wyszedł na ganek za boki trzymając się od śmiechu: — Zucha przywiozłeś do mnie, panie kolego; dziękuję ci za pozytywek, ale do niego musisz mi dodać ptaszka, co mi go oddał; ja go umieszczę między mojemi paziami i posunę go z czasem, że mu nigdy na kęsie chleba nie zabraknie; bo sam widzisz, że on nie do klawisza stworzony. — I tak stary odjechał sam do nieświeżskich organów, a Karolek został na dworze księżęcym. Książę miał czterech paziów, synów majątnych obywateli; ubogie Rysiátko zostało piątym. Tamei od rodziców miewali często i suty grosz, a Karolek okrom ubioru, co go z łaski księcia miał na sobie, ani szeląga przy duszy.

Wkrótce dał sobie radę, że kiedy niekiedy grosiwo kolegów do jego kieszeni się przenosiło; a to tym sposobem: książę chorąży po obiedzie, nieco podochocony, miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a paziowie w przedpokoju, pilnując go, grywali sobie w Helbecwelbe, żeby im czas schodził, a jakże Karolkowi z niemi grać bez pieniędzy?

Otóż taką grę pustaki wymyślili: paż stawia na przeciwko Karolka pięć, dziesięć, czy tam wiele tynfów; kiedy wygra, pieniądze jego, a kiedy skrewi, musi księcia pijanego i sennego kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile tynfów na kartę postawiono. Czas niejaki mu się udawało, ale jednego razu, gdy ksiązę uderzony się przebudził, sądny dzień zrobił się w Kojdanowie. — Kto ciebie hultaju do takiej zabawy namówił? — zapytał ksiązę Karolka. — Ja sam siebie namówił — odpowiedział chłopiec nie zmieszawszy się. — Kiedy mi tak zuchwale odpowiadasz, obaczmy czyje będzie na wierzchu. — I natychmiast kazał mu pięćset łoż odliczyć, bo wiadome były poreye księcia chorążego.

Prawdziwie rysią miał naturę Karolek, że nie skonał z bólu, ale tak się zaciął, że ani jęknął. Ksiązę, który był świadkiem egzekucyi, luboć znany z twardego serca, powiedział: — Jednak to niepospolite chłopię. — A po skończonj kaźni, zapytał go niby łagodniej, ale takowa łagodność u innego uchodziłaby za największe uniesienie. — Z jakiego powodu, łotrze, śmiałeś twojego pana znieważać? — A ten mu na to: — Cóż miałem robić z biedy? Wszysey paziowie mają pieniądze, a ja, będąc chrzestnym synem księcia pana, od trzech lat co mu służę wiernie, jeszcze szeląga nie dostałem. — Ksiązę mu natychmiast darował pięćset tynfów, właśnie tyle, ile łoż dostał, i postąpił go na pokojowego, z oznaczeniem trzechset tynfów rocznej laffy, by swój nos nadal od szcutków ochronić. Wyrosłszy Ryś, został dworzaninem, i coraz dalej wzmagał się w łaskę swojego pana, dla wierności, odwagi, a szczególnie siły: bo podkowy łamał jak trzcinę, a szablą tak robił, że chyba jeden Wołodkowicz mógł dotrzymać jego zakładu. Pojedynki tu miewał częste, bo był zuchwały. Będąc dworzaninem księcia chorążego, gdy młody ksiązę Karol Radziwiłł, późnjej wojewoda Wileński, a wówczas miecznik Litewski, przy kielichu powiedział mu: — Panie kochanku, pókiś przy ojcu siedział, nazywano ciebie Rysiem, ale odkąd przyłaskawiono ciebie w pańskim dworze, powinieś nazywać się Kotem, bo kot jest ryś swojski — tak się ryś oburzył, że ani go to zastanowiło, iż sprawa była z synowcem i spadkobiercą swego pana, ale wręcz mu powiedział: — Ja nie waszjej książecj mości chłeb jem, ale jego stryja, a moja służba nie rozciąga się do tego, bym od całego domu mego pana miał przegryzki znosić. Ja taki dobry szlachcie jak i ksiązę; chociaż mój ojciec głośno chwali Pana Boga, ksiązę nie masz prawa przekreść mego nazwiska, boś mi go nie dał, i proszę natychmiast ze mną się rozprawić. — A ksiązę, lubo przed Bogiem i ludźmi mógł być wymówionym, iż nie przyjął wyzwania od dworzanina swojego stryja; że będąc sam tegim do korda, rad był się spróbować z graczem, za jakiego uchodził Ryś, ile że go miał za dobrego szlachcica; pomimo perswazyi swoich sług

i przyjaciół dotrzymał plaen z niemałą szkodą swojego zdrowia, bo takie cięcie dostał wyżej łokcia, że kilka niedziel z izby nie wychodził. Nawet ksiązę hetman, lubo srogim był dla syna, tyle to uczuł, że pojechał do Kojdanowa skarżyć się przed bratem, iż jego dworzanin syna mu skaleczył. Jeno ksiązę chorąży odpowiedział: — Niech ksiązę brat da temu pokój; nasz miecznik tak mi jest miły, jak i same-mu księciu, bo że dzieci nie mam, on mi jest synem, i dla niego pracuję, ale sam się żalisz, iż jest niespokojnego umysłu, a więc jak raz i drugi oberwie za swoje, azaliż się nie upamięta? A nakoniec, za co mam karać Rysia, kiedy urodziwszy się szlachcicem, postąpił po szlachcecku? — I tak ta burda nie zaszkodziła Rysowi nawet w przyszłości, bo jak ksiązę Karol odziedziczył Nieśwież, jedna z pierwszych jego czynności była, że mundur albański jemu przysłał, i przywiązał go ściśle do swojej osoby. Wkrótce po tym pojedynku, ksiązę chorąży, jakby dla okazania, iż przeciw niemu sierszistości nie miał, wypuścił mu dożywociem Wilczyznę o pół mili od Kojdanowa, wioseczkę niewielką, ale z dobrimi gruntami. Ta wspaniałość księcia tém się wydawała dziwniejszą, że ludzie z większemi i dawniejszemi zasługami nie u niego nie wskórali, gdyż on był z małej liczby Radziwiłłów, co tylko o sobie pamiętali. Ale Ryś nie tylko że nie przestawał na dochodach swego folwarku, jeszcze znaczne długi porobił, a wszystko na stroje, bo niczego nie oszczędzał na przyozdobienie swojej osoby. I była tego warta. Kiedym go poznał, już nie był pierwszj młodości, a jednak tak pięknym, że nie można było na niego się napatrzeć. To téż że wiedział o tém, ledwie nie co dzień co innego było na nim; nikt ani tak litych pasów, ani tak kosztownych spinek, ani tak pięknych aksamitów i lam nie miał, a wszystko dziwnym smakiem zastoso-wać umiał. Nadzwyczajne téż miał szczęście do ludzi, bo że zawsze był potrzebnym, ustawicznie prosił o pożyczanie pieniędzy, a zawsze ich dostawał. Każdy jakby oczarowany, na prośbę dawał, nie pytając o ewikye. A co więcj, choć ledwie dwudziesty czwarty rok mu się kończył, choć żadnego, ba! najmniejszego urzędnika nie miał w swojej kolligacyi, choć morga ziemi dziedzicznj nie posiadał, a miał długów więcj niż włosów na głowie; przecie został obrany deputatem z województwa Mińskiego na trybunał Litewski, pod łaską księcia Karola Radziwiłła, — właśnie jakby się narodził książątkiem, lub jaśnie wielmożnego synem. A choć w urzędowaniu więcj pilnował tańców, niż dokumentów, ta deputacya była powodem, iż raptownie został możnym. W Wilnie, gdzie w tym roku agitował się trybunał Litewski, bawiła na opiece u stryja panna Kietliczówna, córka owego sławnego facyendarza Kietlicza, który prawie z niczego zacząwszy, ogromny majątek zostawił małoletnjej swojej jedynaczce. On to w czasie siedmioletnjej wojny więcj miliona zarobił, dostarczając

żywność Rossyi ciagnącej Litwę do Prus. A ta córka była tak dobrze jak zaręczona panu Łopotowi, któremu silnie sprzyjał opiekun panny. Ale jak ją poznał nasz Ryś, wkrótce ją odkochał, i nie dziw. Bo pan Łopot, acz zaeny i godny kawaler, ale jednak, w możnym domu wychowany, był sobie zwyczajnie papinka. Wszystkiego się obawiał; lada wietrzyk, bywało, nie wyjdzie na podwórze, jako z twarzą w pieluchach: a kiedy w piątek ryby naje się odrobine, to już nazajutrz kilku doktorów przy łóżku. A panna, *hic mulier*, bo bekasy w lot biła, i zające szczyła co koń może wyskoczyć, istny dragon w spódnicy, a z tém wszystkiem urodziwa. Jakże ją było sprzedać z panem Łopotem? Ryś z nią, to to była dobrana para. Dlatego też rychło się pokochali, że pomimo najpewniejszych nadziei pan Łopot odkosza dostał, i wyjechał sobie z Wilna, pomiarkowawszy, że chyba szablą wypadnie pannę dobywać, co z Rysiem była rzecz nieco ryzykowna. Były jakieś trudności do przełamania ze strony opiekuna, ale gdy mu bąknął pan Ryś, że czy wola jego, czy nie, a wcześniej później panna go nie ominie; a zatem, jeżeli mu będzie nieżyczliwość okazywał, potrafi to odwetować, jak przyjdzie mówić o kalkulacy z opieki, tak tém pana stryja zbił z tropu, że sam mu został swatem; co mu w istocie po ślubie pan Ryś odwdzieczył, najdelikatniej żonie asystując w zakwitowaniu, które od niej stryj uprosił — gdyż i bez tego ledwo nie pańska fortuna dostała się w ich ręce.

Już książę chorąży nie żył, ale pan Ryś przeniósł swoją wierność i przywiązanie do księcia hetmana, i lubo około dwudziestu folwarków posiadał, nie przestawał siebie liczyć między sługami radziwiłłowskiemi. Tytułowano go strażnikiem Mińskim, i był powszechnie poważany w całym województwie, bo był gościnnym i uczynnym, ale zawsze burzliwym. On to, mając sprawę z księciem Radziwiłłem żyrymskim, starostą Lidzkim, którego syn był potem koniuszym Litewskim, kiedy umocowany księcia, indukując sprawę JO. pryneypała przed ziemstwem Lidzkim, uszczypnął pana Rysia, robiąc wzmiankę o organach nieświeżskich, tak go tém poruszył, że na wstępie zaczął samemu księciu cierpkie robić wymówki, aż książę, zaufany w swoim imieniu, wyrzucił mu, że tak długo nakarmiwszy się radziwiłłowską pieczenią, winien być umiarkowańszym dla członka tej rodziny. Ale pan Ryś odważył się odpowiedzieć publicznie: — Byłem i jestem sługą Radziwiłłów, ale orłów a nie kobuzów; co to książę ze swoją lada jaką mitrą występuje, jakbyś był coś lepszego odemnie? Radziwiłłów panów, to tylko w nieświeżkiej i trochę w kleckiej znamy, a wy żyrymscy zwyczajnie szlachta. Książę chorąży, mój nieboszczyk pan, żadnego z was gołą rękąby nie dotknął, żeby świerzbu nie dostać. — I tym podobnymi przygryzkami tak go jał osypować, że biedny książę ledwie uciekł. On z początku miał zwyczaj do korków żony kulami strzelać, ale ona

go od tego odczyła. Trafiła kosa na kamień, bo razu jednego, gdy w sypialni, porwawszy za pistolet, zabierał się do korków imości, ona, która była brzemienią, odpowiedziała mu: — Jużem cię kilkakrotnie prosiła, żebyś mnie uwolnił od tych twoich popisów; zatem idź sobie do maszarni gwoździe kulami zabijaj, a moich korków nie psuj. — Jeszcze ten raz ostatni, kochanko, pozwól wypróbować moich pistoletów? — Ale ta porwała drugi pistolet na skrzynce leżący, i odwiódłszy kurek: — Słuchaj, Karolku — mówi — jeżeli mi korka wybijesz, to ci natychmiast takim sposobem pas rozwiążę. — Pan strażnik myślał że żartuje, pal do pięty imości — i w sam korek — on z pistoletu ubiłby muchę na nosie niedźwiedzia; ale pani strażnikowa nie wiele myśląc, jak da ognia ze swego, w samej istocie pas mu rozwiązała. Pan strażnik pochwalił zgrabność żony i rączki jej ucałował, ale odtąd rozejm zrobił z jej korkami. Tak dobrane małżeństwo nie mogło się wzajem nie miłować; ich pożycie nawet za dawnych czasów było do przykładu. To kiedy pani strażnikowa pożegnała męża, powiwszy mu jedyną córeczkę, mąż ledwie że nie zupełnie rozum stracił z żalu, i gdyby nie wielka jego wiara, byłby sobie życie odebrał; łbem tłukł o ściany, rady dać sobie nie mógł. Więcej roku, okrom swojego plebana nikomu się nie dał widzieć; nawet był brodę sobie zapuścił, a tak zaniechał gospodarke, że gdyby byli takiego sposobu myślenia co dzisiejsi, majątek w puch rozbitymby został. Zgoła, tak zdziwaczał, że familia nieboszczki już zabierała się do odezwania względem opieki nad dzieckiem i majątkiem, a majątek był pański, bo już z siebie przestronny, bez wielkiej pracy sam wzrastał. Nakoniec ocknął się pan strażnik ze swojej melancholii, testament jak się należy sporządził, opiekunem nad osobą i majątkiem dziecka zrobił pana podkomorzego Rejtana, zostawując sobie sto tysięcy do wolnego rozporządzenia, a sam wstąpił w Wilnie do nowicyatu jezuitów. Tam, jak mu ogolili brodę i wzięli go na refleksję, jakoś się upamiętał; bo największy żal się umityguje przy prawdziwej pobożności i perswazyi ludzi roztropnych. Wszakże ja sam więcej jeszcze miałem powodu rozpaczać po mojej Magdusi; bośmy z nią doświadczyli pospołu niemałych ucisków, pokądeśmy do dobrego mienia nie przyszli; a wiadomo, że związki serca więcej się ścisają współnictwem niedoli, niż pomyślności. Przedsię dusza przepelniona goryczą znalazła nakoniec tyle siły, by Bogu ofiarować swój pocisk, a tém samym bez jakiegokolwiek pociechy nie została odprawioną.

Tak pan Ryś, po gwałtownym żalu, tyle się upamiętał, iż nawet poznał, że nie był powołany do zakonnego żywota, ale że na świecie wedle woli Bożej miał szukać zbawienia. Jakoż sami ojcowie jezuitów przekonali go, że ani zgromadzenie z niego, ani on z surowości reguły pociechy mieć nie będzie. Ba, gdyby tylko w stanie duchownym chrze-

ścianin mógł być zbawiony, toćby świat za lat kilkanaście się skończył, albowi odrzec się wypadało obrządku łacińskiego przy piastowaniu świętych obrzędów. Toć dopiero, gdyby bisurmanie napadli, niktby się od jassyru nie uwolnił, bo kim tu się bronić? a nakoniec, że odkąd świat stoi, inaczej się dzieje, więc dowód oczywisty, że wola Pana Boga, aby inaczej się działo. Dość, że pan Ryś, że był wspańiałomyślnego animuszu, stem tysięcy nadawszy nowicyat Wileński, aby go na świecie modły ojców nie opuszczały, wrócił sobie zdrów do obszernego majątku; a habit zakonny zawiesiwszy na kołku, *de noviter* wdział na siebie kontusz rycerskiego stanu, i do dawniej wykwinności stroju powrócił, ugęszczając dwór nieświeżski, którym już władał książę Karol Radziwiłł, świeżo po śmierci ojca wyniesiony na województwo Wileńskie. I tego pana szczególnie a spadkowe łaski uzyskał, nie tylko przyjemnością obcowania, ale daniem dowodów niepospolitej przychylności. Bo wkrótce śmierć króla Sasa nastąpiła, a gdy konfederacya, w czasie bezkrólewia zawiązana, karząc księcia Karola przychylnosć dla dworu saskiego, odsadziła go od województwa Wileńskiego i od wszelkiej własności, jako nieprzyjaciela kraju, książę po zagranicznych ziemiach się tułając, oprócz kosztownych sprzętów, co je wywiózł na przedce, nie miał innych dostatków, okrom sere swoich przyjaciół. A te go nie zawiodły, bo każdy wedle swojej możności o jego potrzebach pamiętał. A pan Ryś był z liczby tych, co się najszczególniej odznaczyli, bo na swoje dobra dwakroć sto tysięcy zaciągnawszy, całkowitą kwotę odesłał księciu do Włoch, chociaż zbyt słiska była nadzieją odebrania kiedykolwiek swojej należytości. To też książę z biegiem okoliczności, gdy wrócił do obszernego dziedzictwa i do kraju miłszego mu nad wszystkie dziedzictwa, najściślejszą poufałością wywiązywał mu się z tak sowitych dowodów przyjaźni; bo czemuż inném mógł swoją wdzięczność okazać możnemu obywatelowi, któremu już wówczas rachowano około dwóch kroć intraty? Dość, że pan strażnik, mając jedynaczkę, a nadto miłując pamięć żony, by w powtórne związki dać się wpętać, sprowadziwszy *madame*, chociaż Francuzkę, ale bardzo roztrofną, na nią zdał wychowanie panny strażnikówny: ba, nie tylko wychowanie, ale cały dom; a sam ciągle w Nieświeżu bawił, kiedy niekiedy dojeżdżając do rozmaitych swoich dóbr, dla dowiedzenia się na przedce, co się w gospodarce dzieje, szczęśliwie natrafiwszy na sługi, na których mógł się spuścić. A tak sobie hulał z bandą albańską, bądź towarzysząc księciu wojewodzie na łowach, bądź tańcząc na często powtarzanych balach zamkowych, bądź wszystkich zadziwiając wykwinnością ubioru. Już za mojej pamięci, bywało czy wieczory bachusowe, czy na święty Karol, czy na jaką galę, nikt się najprzód dowiedzieć nie może, jak ma pan Ryś wystąpić; a jak wystąpi, zawsze na nim coś nowego i nieprzewidzianego.

To dopiero naśladowa go wykwintnisze, bo kto z niego nie brał wzoru, tego nasze szlachcianki i panie nie miały za gustownie ubranego; zgoła, on był twórcą mód nieświeżskich. Pinduszki, cośmy wszyscy zaczynając od samego księcia wojewody, więcej dwóch lat nosili, były jego wymysłem. Otóż z powodu bierzmowin młodego księcia Hieronima, którego książę wojewoda był bratem i opiekunem, gdy miały być uczta i tańce w Nieświeżu, wszyscy ciekawi byli, jak wystąpi pan Ryś; bo wiadano z doświadczenia, że w podobnych okolicznościach umiał zawsze coś wymyślić. Modnisie nieświeżcy, jako pp. Michał Rejtan, Leon Borowski, Piotr Wiażewicz i inni, starali się mieć to, co i on na sobie, ale zawsze napróżno, bo wszystko umiał w sekrecie zachować, a nie było sposobu jego szatnego podkupić, raz, że był szczerze przywiązany do swego pana, powtóre, że obawiał się go jak ognia. Otóż nie wiem jakim sposobem książę Krzysztof Szukiewicz, nauczyciel księcia Hieronima, dowiedział się, a to wsam dzień bierzmowin, że pan Ryś miał wystąpić na wieczorne tańce w butach z najpiękniejszego złotego atlasu, które na sprzężeczce miały być ściśnione poniżej kolan, aby mu gładko leżały z pod kusego kontusza. Namówić jego współżalotników w wykwinności, by w podobnym obuwiu wystąpili, było zapóźno, gdyż nie było czasu podobnych sporządzić, ale książę krotofilny robi mu następną psotę: między pokojową szlachtą księcia wojewody był pan Tadeusz Scypion, ze starożytnego domu, bo aż od dawnych konsulów rzymskich wyprowadzał swoją prozapię, ale tak ubogi, że jego matka żyła na gruncie nieświeżskim z ordynaryi, co jój oznaczył książę, zawsze protektor podupadłej szlachty, — a pan Tadeusz utrzymywał się ze szczupłej laffy, co ją jako pokojowy pobierał. A że miał piękną rękę, że jego pismo za istny sztych uchodzić mogło, bywało pisze supliki do księcia od poddanych bojarów, żydów i innych podwładnych, z czego miał siaki taki przychód. Ale grosz grosza nie dopędzał, bo trzeba było codzień odziewać się przyzwoicie, a ubogą matkę czemu mógł tém wspierał, gdyż to był całą gębą poezyi i szlachetny chłopiec. Już od kilku miesięcy szły mu interesa pomyślniej, bo książę, upodobawszy sobie jego pisanie, zlecił mu uczyć księcia Hieronima formować charakter, czemu miewał codziennie stosunki z księdzem Szukiewiczem. Nietrudno było nakłonić do figla dziewiętnasto-letniego chłopca, zwłaszcza takiego, co w wesołości celował; z namowy więc księdza, kiedy goście i domownicy zaczęli się zbierać na wieczorne asamble, pan Scypion w przedpokoju między liberyą schowany, uzbrojony kwaczem i garnkiem napełnionym dziegiem, czatował na pana strażnika jak wyżeł na dubelta. Wechodzi nareszcie pan Ryś z miną gęstą, cały ślący się od złota i szkarłatu; jedna ręka oparta na karabeli w jaszczur oprawniej, druga przy prawym boku pieścząca kwast od czapki; łeb do góry zadarty, — a tu przy

podwojach pan Scypion kwaczkciem bryzg bryzg po butach, że natychmiast pstrokatemi zostały. Pan Ryś, nie widząc co się przy nogach dzieje, dalej sobie do sali, tak oświeconej, iż jaśniej było niż wśród dnia, i wita się w prawo i w lewo, a nisko skłoniwszy się księciu, dawaj koperczaki stroić do dam, zaczynając od siostr książęcych. Wtém słyszy w około siebie śmiech; nie wie co to znaczy. Aż JW. generałowa Morawska, siostra księcia wojewody, do której właśnie się wdzieczył, odzywa się: — Mój strażniku, co to koło ciebie dziegieć tak swędzi? czyż tobie na inne perfumy nie wystarczyło? — Pan Ryś zmieszawszy się spuszcza oczy; ale jak spojrz na swoje buty — desperacya! Pobladł ze złości i wstydu, bo o ubiór tyle dbał, ile o skórę własną, i tak się zaciął, że słowa jakby skrzepłe z gardła mu wyjść nie mogły; nakoniec odezwał się: — Kto mnie ukrzywdził? — A wszyscy jeszcze w większy śmiech; książę aż płakał ze śmiechu patrząc na Rysia. Nakoniec tak się rozzłościł, że niech mu Bóg nie pamięta co wygadywał: — Biada temu co mnie obraził! Z pod ziemi go wydobędę! Jeśli to się zatai, to jakim *Sodalis*, bodajby cały Nieśwież miał przejść przez moje ręce, z każdym będę się strzelał i rąbał, pokąd nareszcie trafię na dziegciarza — i tym podobne niedorzeczności; a co więcej się gniewa, to większy koło niego śmiech, że nakoniec od stóp do głowy trzęsąc się, jakby na niemoc S-go Wita zachorował, zniknął z sali, zawsze odgrajając się na wszystkich, czém nie tylko iż nie zmieszał kompanii, ale w trójnasób jój wesołość powiększył. Ale nazajutrz, jak zaczął robić kwerendy, nie wiem jak, ale się dowiedział, że to wszystko była sprawa księdza Szukiewicza i pana Tadeusza Scypiona. Do księdza nie było sposobu czepiać się, bo ksiądz nie dobiedzie korda, którego nie nosił, ale za napaść może wystąpić z kłutwą, od której ani krzyżową sztuką, ani młynicem się nie zasłonić; ale całkowitą złość ku panu Tadeuszowi obrócił, i na dziedzińcu zamkowym napotkawszy go, w obliczu prawie całego dworu okropne wymówki zaczął mu robić. Pan Tadeusz z początku przyjął je z pokornym sercem, i powiedział: — Ja sam znam, że młodszy starszego, a prosty szlachcic urzędnika zbytnią konfidencją obrażając, podrwiłem głową, i za to najuniżeniej przepraszam, bo cóż więcej mogę uczynić? Nie jest w mojej mocy cofnąć, co już się wykonało. Opuśćcie mi, panie strażniku, swawolę dla miłości Boga, a ja panu uszkodzone buty i odsłużę i odmodię. — Ale na to pan strażnik zapamiętał: — Mnie nie o buty chodzi, ale o śmiech ludzi coś na mnie ściągnął; ja twoich modłów i posług nie potrzebuję, na twoje skórę mam chrapkę, a że jój tobie nie wytatarowałem dotąd, to dziękuj mojemu umiarkowaniu, że pod boki pierwszego senatora naszej prowincyi burdy nie chcę robić; ale życzę ci, gałganie, jak najdłużej trzymać się klamki książęcego dworu i z Nieświeża nie wyjeżdżać, bo dzień, w którym przestaniesz

być sługą księcia wojewody, będzie wigilią tego, w którym pięćset łóz dostaniesz. — Dopiero pan Scypion uczuł, że nie cygańska, ale stara szlachecka krew po jego żyłach krążyła. — Jak ty śmiesz — odezwał się — batogami straszyć szlachcica, co nie twój chleb je? Żeś się wzniósł fartuszkowym majątkiem, to już myślisz, że tobie wszystko wolno? A przypomnij-no sobie, że twój ojciec garbował tobie skórę przy swoich organach, kiedy mój był namiestnikiem kawalerii narodowej, gdzieby ciebie może na luzaka nie przyjęto. Ażebym ci dowiódł, że twoje pogróżki lekce sobie ważę, to choć kawałka chleba nie mam, zaraz księciu panu podziękuję, i ciebie zmuszę, byś się stawiał jak przystoi temu, co się mieści w stanie rycerskim; a jeżeli nie staniesz, zaniechawszy ostrzyć zęby na moję sławę, toć plac ostrzelam, ogłoszę ciebie po całej Litwie za infamisa, a potem od zaścianka do zaścianka, choć pieszo chodzić będę, i powiem szlachcie, że zaufany w pieniądze co Pan Bóg dał, dawniejszemu od siebie szlachcicowi batogami grozisz, chleb mu odebrawszy, i wszyscy pójdą za mną, bo w mojej osobie całą ubogą szlachtę pokrzywdziłeś. — Pan strażnik porwał się do niego, ale my nie dopuścili gwałtu. Pan Tadeusz w istocie poszedł do księcia, i tam padłszy mu do nóg, opowiedział mu całą rzecz i podziękował za służbę, tłómacząc się, że dobra sława, która mu składa całkowitą ojcowiznę, nie pozwala mu służyć księciu, póki nie odwetuje swojej krzywdy; o czém nie trudno było przekonać księcia, tak ewinczonego w szlacheckich prawidłach. Książę się rozczulił, patrząc na tak uczciwy sposób myślenia młodzieńca, i na dowód, że jego usługi były mu wdzięczne i pożyteczne, najpiękniejsze mu świadectwo podpisał i kazał mu odliczyć parę tysięcy, jako *de servitu merces*, z zapewnieniem, iż o jego matce pamiętać nie przestanie; a choć przyjął na siebie postać, jakby o niczém nie wiedział, jednak panu Michałowi Rejtanowi powiedział: — Powiedz, panie kochanku, panu Karolowi, że wiem o wszystkiém, i że wolałbym by się po rycersku nie rozprawiali. Ale niech i tak będzie; kto chce niech wojuje orężem, a Panu Bogu zda liczbę, jeżeli niesłusznie; mnie nie do tego, kto jednak ukrzywdzi Scypiona na sławie, zapomniawszy o jego szlachectwie, ja to za moję własną krzywdę poczytam, bo sam jestem szlachcicem; a jeżeli kto się odwoła do nahajów, dufając że mocny, to i ja nie słaby. — A posławszy po księdza Szukiewicza, powiedział mu: — Waszeć biedy narobił, starajże się to odrobić. — Perswazyja pana Michała Rejtana, a zapewne i głos sumienia, przekonały pana strażnika, że zaniechał myśleć o pokrzywdzeniu pana Scypiona, ale z niecierpliwością czekał wyzwania, bo czując się być upokorzonym, okropnie się zawziął. Jakoż niedługo czekał, bo pan Scypion, udawszy się do pana Borejki porucznika chorągwi księcia wojewody, który z jego ojcem kilkanaście lat kolegował, kiedy obaj byli towarzyszami, i przed nim objaśniwszy się

do najdrobniejszych szczegółów, uprosił go, by raczył od niego kulę zanieść panu strażnikowi. A pan porucznik, nie odmawiając kolegi synowi tej posługi, poszedł z poselstwem swoim do niego, a że miał z nim dawną zażyłość, a do tego był człowiekiem dojrzałym, walecznym i w podobnych wypadkach doświadczonym, nie zaniedbał mu przekładać, iżby najprzyzwoicięj było, by pan Scypion, jako już go raz publicznie przeproszał za psotę, tak i powtórnie swe kroki do pojednania powtórzył, do czego ma nadzieję go nakłonić, byle ze strony swojej pan strażnik dał słowo, że da się przeprosić przepraszając wzajemnie za czynione mu z uniesienia mocnego nieprzyzwoite wymówki i odgrazania; a że po tém uściskają się, nie dopuszczając wspólnego a ciężkiego grzechu, by za buty, chociażby atlasowe, krew chrześcijańska i szlachecka przelewać się miała. Ale pan strażnik kulę przyjął, a o niczem więcej mówić sobie nie dał. Gdy układali się o czas, miejsce i sposób, w jaki to wszystko miało się odbyć, nadszedł i ksiądz Szukiewicz, którego, lubo z sercem kwaśnem, jednak z powierzchownością dość uprzejmą przyjął pan strażnik; i ten zaczął perswadować, by z niewinnej swawoli, do której sam przyznał, iż był pierwszą przyczyną, nie doprowadził do następstw krwawych, ze zgorszeniem ludzi pobożnych, z obrazą Pana Boga. Ale mu przerwał pan Ryś mowę temi słowy: — Roboczy z waszeczki człowiek, iż codzień czytając mszę świętą i odmawiając swoje pacierze, a do tego dozierając księcia hetmanowicza, by się dobrze uczył, a nie swawolił, aby kiedyś miała z niego pociechę rzeczpospolita, jak ją zawsze miała z jego przodków, jeszcze znajdujesz dość czasu, by nademną rozciągać nieproszoną opiekę. Chociaż nie czuję się być winnym zdawać przed waszecią liczbę z moich postępów, jedynie przez grzeczność powiem mu, że mam Scypiona za uczciwego chłopca, choćby dlatego, że mnie wyzwiał, tak dalece, że gdybym miał syna, cieszyłbym się, widząc go we wszystkich do niego podobnym, bo co prawda, to prawda. Tém samém, że mu staję, dowodzę, że go szacuję; ale żebym się uchylił od pojedynku przeprosinami, tego nie doczeka. Co się powiedziało, czy to było złe, czy dobrze, to do mnie należy; a jako od urodzenia nigdy z bojaźni nie cofnęło się, co już się raz wyrzekło, tak też nowego trybu życia nie przyjmę, kiedy wiek nieco czuprynę przypruszył: a zatem, mój miły księżu, wracaj do swego brewiarza, bez obawy, bym ci przeszkadzał go odmawiać moimi radami. — Panie strażniku dobrodzieju, wybaczej, że się do tego nie przyznaję, bym w cudzą rzecz się wtrącał, bo nie tylko powołanie moje do tego mnie zmusza, ale każdy chrześcijanin powinien ująć się za zniewagę praw kościelnych i boskich; dość pierwszy katechizm otworzyć, a tam znaleźć można, jak Pan Bóg uważa mężobójców. — Tylko proszę, mój księżu, nie uczęć mnie katechizmu. Z łaski Pana Boga i świętej pamięci ojca mego, dość jestem nauczo-

ny; a więcej roku będąc w nowicyacie, może dziś jeszczebym i kogoś nauczył. Wiem co kapłanowi, a co człowiekowi rycerskiego stanu przystoi. Bić się na wojnie po żołniersku, albo w pojedynku po szlachecku, to inna, a zdradą kogo kozikiem zakłuć, to znowu inna. Ja dobry katolik, a do tego Sodalis; przy łasce Pana Jezusa i Najświętszej Panny, w czém się należy nie przeszkobię. Wiem że nie Turczyn, nie Żyd, nie pies się pojedyńkuje, jako chrześcijanin i szlachcic; zresztą nie ja wyzwalem, ale mnie wyzwano, a zatem ruszaj sobie ze swojemi kazaniami do pana Scypiona, wszak on i pierwój twojój rady słuchał, a jeżeli pozwolisz mi wywzajemnić się radą, toć życzę i jemu dać pokój, bo że ksiązę wojewoda waszeczki dobrze płaci, toć nie na to, byś nas doglądał. — Więc pan strażnik kłatwę za nie sobie ważysz? bo i dzieci wiedzą, że czy kto ofiaruje, czy przyjmuje wyzwanie, ten pod kłatwą kościelną. — To już z nowego bicia trzasnąłeś; szczęście, żeś nie na półgłówka natrafił: a wiesz o tém, że ja twojój kłatwy się nie obawiam, a co się tyczy kościelnej, z łaski Pana Boga nadto się wywiązałem Kościołowi, by miał mnie od siebie odłączać. Bo gdyby waszec w chleb kościelny opatrzone, na tyle tylko, ilem Kościołowi wyświadczył, nie miałbyś już potrzeby bakałarzować, co się nie mówi, jakby się żałowało, co się zrobiło. I owszem, da się jeszcze więcej swojego czasu, ale dlatego, by dowieść, że bredzisz. Na sam nowicyat Wileński, z kądem wychodzili księża z trochę większym zdaniem, niż waszecine, sto tysięcy odkazałem i odliczyłem. Nie z fartuszkowego majątku, jak śmiał szczebrać ten śmierdziuch Scypion, do którego to nie należy (dam ja jemu fartuszkowy majątek), ale z własnej mojej krwawej pracy. Ex-jezuici mnie nie dadzą zaginać dlatego, iż nie wierzę, że Pana Boga wola, bym się zbłądził; oto pokój! A niech ksiądz pan, czy pan ksiądz, przyjmując oświadczenie mojej wdzięczności za jego odwiedzinę, raczy także przyjąć moję prośbę, by te nawiedziny ukrócił, bo nie mam czasu dłużej mu służyć. — I tak ksiądz odprawił z niczem.

Pan strażnik nie szukał sekundanta na dworze nieświeżskim, bo pomiarkował, że żaden z nas nie był rad pomagać przeciw koledze w istocie pokrzywdzonemu, za którym wiedziano, iż ksiązę nasz pan się oświadczył. Wezwał więc pana Moniuszkę, majora pułku wielkiej buławy Litewskiej, godnego i zasłużonego męża. Ten z panem Borejką umówił plac i warunki pojedynku, który się odbył nazajutrz, na obszerném błoniu między Klekiem a Dunajczycami. Wielu naszych udało się na to widowisko: bo pan Tadeusz nas wszystkich zaprosił, by być świadkami, jak nasz niegdyś kolega umie swojój krzywdy dochodzić, mimo siebie puszczać, iż sprawa była z takim, co miał i lwie serce i lwią siłę. Wedle umowy mieli walczyć konno, każdy z jednym pistoletem w rękę i z szablą na temblaku; gdyby ogniste bronie zawiodły, szabla miała ostatecznie rzecz rozstrzygnąć. Jak się zje-

chano, broni ponabijano, a zapastnicy siedli na koni. Jeszcze po raz ostatni usiłowano ich pojednać, ale gdy obaj oświadczyli, że przyjechali na plac bitwy, a nie na plac mowy, sekundanci rozstawili ich o pięćdziesiąt kroków jednego od drugiego. Pan Moniuszko przeżegnawszy się powiedział: — Protestuję się przed Bogiem i przed wami bracią szlachtą, że nie z powodu jakiejś niechęci przeciw panu Scypionowi, ale dlatego pomagam tu W. strażnikowi Rysiovi, iż on zostawszy wyzwanym, a nie będąc wyzywającym, prosił mię o to; jako szlachcie i żołnierz nie mogłem przyjacielowi rycerskiej posługi odmówić; a że chciałem strony do zgody nakłonić, że ku temu żadnej usilności nie zaniedbałem, biorę was wszystkich na świadków. Gdy więc przychodzi do bitwy, do której końca winienem asystować, proszę was wszystkich o przyczynę do Pana Boga, aby nie obciążał sumienia mego tą krwią, która się dziś przeleje. — A pan Borejko także przeżegnawszy się, do nas tak przemówił: — Lubo jestem obrońcą strony wyzywającej, protestuję się przed Bogiem i wami bracią szlachtą, że wpływając do tego pojedynku, to czynię nie przez brak miłości bliźniego, ale jedynie, aby pomagać synowi nieboszczyka mego kolegi, w przekonaniu iż został skrzywdzonym. Że jednak nie dopuściłem pojedynku, aż wyczerpawszy wprzód wszelkie środki godziwe do pojednania stron, biorę was także na świadków, i upraszam was wszystkich przytomnych, byście takowe świadectwo mnie przynieśli na ostatnim sądzie, a teraz westehnęli przynajmniej do Pana Boga, aby mego uczestnictwa za ciężki grzech nie poczytał. — A potem, za danym znakiem, obaj zapastnicy przeżegnawszy się, cwałem na siebie natarli; bitwa i przez jedno *Zdrowaś Marya* nie trwała, bo gdy pistolety dały ognia bezskutecznie, do pałasza się porwali. Pan strażnik został zadraśnięty po ramieniu, jakby piórkiem; ale jak palnął szablą na odlew po rękę pana Tadeusza, ręka z pałaszem padła na ziemię, a w chwil kilka, z bólu omdlawszy, sam się obalił z konia. My wszyscy pobiegli do ratunku, a mieliśmy z sobą lekarza z Kleeka na wszelki wypadek; ledwośmy go oducili, że trochę przytomności odzyskał; potem zawieźliśmy go do Kleeka z obandażowaną ręką, by tam go ulokować u lekarza, który się podjął już nie wrócić ręki, bo ta aż w dzień ostatniego sądu wrócić mu będzie; ale choć przy tak ciężkiem kalectwie, życie mu zachować. Ale jako do téj chwili gorszył nas pan strażnik swoją zaciętością, tak nas zbudował potem czułością: załamywał ręce na placu, ukląkłszy przed biednym Tadeuszem, i z oczami zalanemi łzami błagał go, by mu odpuścił swoje nieszczęście. Sam osiadł w Kleeku u lekarza, i pokąd trwała niemoc pana Scypiona, na krok go nie odstąpił, wszelkie posługi mu czyniąc, jakby jaki pachołek. A gdy nareszcie do zdrowia przyszedł, jeżeli zdrowiem godzi się nazywać kalectwo, które ubogiego szlachcica wszelkiego sposobu do życia pozbawia, zabrał go z sobą na

wieś, gdzie jego córka i dwór mieszkali. I tam się poznał z panem Tadeuszem, a po kilku tygodniach, powiedział mu: — Słuchaj, panie Tadeuszu, ja ci rękę odciałem, a Bóg świadek, że mojemu obiemu chciałbym ci tę jedną wynagrodzić, bo czuję, że na mnie cięży twoja krzywda, jak kamień młyński; ale za to przyjm jako restytucję rękę mojej córki i zostań moim synem. Byłem ubogim jak ty, kiedy jej matkę wzięłem, a przecie daj jej Boże być z tobą dłużej, ale nie więcej szczęśliwą, tylko, ile była zemną jej matka. — I nie dawszy mu czasu odpowiedzieć, zawołał córkę, oświadczając jej swoją chęć. Panna strażnikówna, że była po chrześcijańsku wychowana, wiedząc, że głos rodziców jest głosem Bożym, i że wielkie błogosławieństwo spadają na dzieci spuszczone się w postanowieniu swoim na ich wolę, odpowiedziała skromnie: że dotąd w niczem nie sprzeciwiała się rozkazom ojca kochanego, i że nigdy sprzeciwiać się nie będzie. Niewiele ją ta uległość kosztowała, bo pan Tadeusz, lubo pozbawiony ręki, i sercem i głową i urodą swoją łatwo mógł się podobać. Na tak pochlebne oświadczenia padł do nóg przyszlęmu ojcu i swojej narzeczonej; a tak kilka niedziel nie upłynęło, a pan Tadeusz został szczęśliwym małżonkiem cnotliwej i urodziwej panny, i z chudego pachołka, spadkobiercą jednego ze znaczniejszych na Litwie majątków. Huczne były zaślubiny, które książę wojewoda zaszczycił przytomnością swoją, ledwo nie z całym Nieświeżem. Pan strażnik dzieciom odkazał wielką część swoich dóbr i lat kilka patrzył na ich powodzenie, a gdy przyszła na niego kolej wszystkim ludziom przeznaczona, uległ temu prawu ogólnemu, z przytomnością i ufnością w miłosierdziu Boga; bo do wieczności i długo i dobrze się gotował. Po jego śmierci i reszta jego dóbr spadła na zięcia i córkę, jednak za życia jeszcze swego miał pociechę widzieć sypiące się zaszczyty na pana Tadeusza Scypiona, bo kiedy mu dawał ostatnie błogosławieństwo, zostawiał go starostą sądowym Lidzkim i kawalerem orderu świętego Stanisława.

XI.

O ż e n i e n i e .

Tyle pamiętek napisawszy, niech pozwolę sobie nie zapomnieć téj tak ważnej dla mnie, kiedy zawiązałem węzeł dożywni z Magdaleną

Bohuszewiczówną. Bo przemieszkawszy z nią lat trzydzieści, mogę wyznać, że Niebo miałem na ziemi. Od lat kilku jurystowałem w Nowogródku, a lubo nie byłem jeszcze rocznym plenipotentem JO. księcia Radziwiłła wojewody Wileńskiego, miałem już jednak uczciwy kawałek chleba, bo zawsze było coś do roboty. O nagrodę nie lubiłem się naprzykrzać, a przecie gęsty grosz kapał w kieszeń, tak że drugi co roku choć cokolwiekby sobie oszczędził; ale u mnie, lubo żyłem przyzwyczajenie i każdego przyjmowałem po szlachecku, żadnej wykwinności nie pozwalałem sobie, tylko zwyczajnie żyłem jak chudy pacholek w dorobku, — jednakże grosz nie dopędzał grosza. Ażeby co schować, o tém ani myśleć. Razu jednego, gdym zaczął rozpamiętywać, że pókim czerstwy, praca mnie utrzymuje, ale jak stargam siły, a pracować nie zdążę, w cóż się obrócę? takem się zadumał nad moim losem, że się nie spostrzegł, jak pan Fabian Wojniłowicz wszedł do mojej izby, i dopiero się opamiętał, jak się odezwał: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków! — odpowiedziałem, zerkawszy się, i idąc na powitanie szanownego gościa, pod którym dependowałem, i któremu byłem winien i los co go miałem, i możność robienia sobie nadal obszerniejszych nadziei. — A nad czém to wacpan tak się zamyślił, że nie uważasz, jak od dwóch *Zdrowaś Marya* stoję przed twoim progiem? — Przepraszam serdecznie pana rejenta dobrodzieja za moję nieobyczajność; ale kiedy człowiek nad sobą zaczętnie dumać, a do tego smutek kole, to prócz o swojej biedzie, o niczém się nie pamięta. — Oóż znowu! a jakaż bieda wacpanu siadła za kołnierzem? — Bój się Boga, panie rejencie, czyż to nie ma nad czém się frasować? Rachowałem się dopiero z całego roku. Sam widzisz, panie, jak gorliwie pracuję. Cały ranek w ziemstwie, u grodu podłogę podeptałem, że aż ślady moich nóg po niejby rozpoznać można; a czy jedną noc przesiedziałem nad papierami? Nie mogę tu się skarżyć, że darmo pracuję, a z rachunku pokazuje się jednak, że na drugi rok i pięćdziesiąt złotych się nie oszczędziło. Przecie zbytku u mnie nie ma, jem po szlachecku, piję co ludzie piją, a po ścianach majątku nie zawiesiłem. Sam widzisz, panie rejencie, że tu tylko cztery kąty i piec piąty. Innym się lepiej udaje. Naprzykład pan Elias Korbuc, nasz kolega, dopiero wziął w dzierżawę ekonomię Nowogrodzką, a i synów w konwikcie wychowuje, i żonę nie bez wykwinności utrzymuje, i nigdy bez kilku przyjaciół swojej sztuki mięsa nie zaczepi, lubo z każdego szeląga swojego może się Panu Bogu wytlómaczyć. Ja podobnych wydatków nie mam, na siebie jednego pracuję, a nie tylko że o folwarkach nie myślę, ale kiedy za najęcie dworku zapłacę, to już mi się zdaje, że wielki ciężar spadł z głowy. Przecie do ludzi nie mniejsze od niego mam szczęście. Teraz toć wszystko nie, ale przyszłość mnie zatrważa. — Bardzo dobrze to rozumiem, zkąd to pochodzi, panie Se-

werynie. Ty zawsze będziesz goły, pokąd się nie ożenisz. — Pan rejent dobrodziej robisz po księżemu; innym żony dajesz, a dla siebie nie bierzesz. — To też z własnego doświadczenia czerpię rady dla przyjaciela. Oj, gdybym się był ożenił pokąd była jeszcze pora, czy takbym wyglądał, jak dzisiaj? Dependowałeś u mnie; to już ci nie mam potrzeby mówić, jak do mnie pieniążki płynęły, daj ci Boże mieć tylko połowę mojego szczęścia. Najmniejszych ludzi w województwie interesa przez moje przechodziły ręce; a plenipotentia panien Benedyktynek Nieświeżskich małoż mi wniosła? Ptaszego mleka tylko nie dostawało. A akta, któremi od lat 25 zawiaduję, czy to są zarty! Sam byłeś świadkiem, kiedy tenże sam pan Elias ofiarował mi rocznie dwanaście tysięcy za przychód kancelaryi, a po mojej śmierci z tém wszystkiem cóż znajdzie mój synowiec? Dworek siaki taki w Nowogródku i trochę sprzętów, co je człowiek przez całe życie uzbierał, oto cała parada. Albo jedno i jedno już się nie naprzykrzyło? Dawnobym już próznował, gdyby było o czém próznować. Ale tak było zawsze ze mną; ja za kratami stoję, a o tém nie wiem, co się w domu dzieje; ten urwie, tamten uchwyce, inny wydrwi: człowiek dla drugich ma rozum, a dla siebie głupi. Ja na kondescensyi, a słudzy sobie hulają, tam wezmiesz złoty, a w domu szkody na dwa. Oj bięda, i wielka bięda, kiedy tylko słudzy pańskiego dobra pilnują. A jak się domem zająć, kiedy czasu nie ma? Człowiekby rad wehodzić w przychód i rozchód, i nieraz brał się do tego, ale natuptawszy się dobrze częścią dnia, a drugą napisawszy się, że ledwo palce nie puchną, a fałdów przesiedziawszy w aktach, to jeśli jaka godzina znajdzie się wolna, człowiek rad się w niej rozerwać, bo już i zdrowia nie staje, a cóż dopiero w rachunki się wdać. A i o duszy trzeba pomyśleć; aż wstyd, że o *Statucie Litewskim* cały dzień się myśli, a na rozpamiętywanie *Dziesięciorga Przykazań* i pół godziny się nie poświęca, ba! nie tylko wstyd ale i strach, żeby czasem nie oberwać czegoś za to na tamtym świecie. Gdyby była żonka, jegomośby pracował, a imość grosz do groszaby łączyła, a i wygoda w domu byłaby inna, i nimby się człowiek opatrzył, już majątek byłby zrobiony. Panie Sewerynie, w naszej Litwie księdzu i żołnierzowi tylko dobrze w bezżeństwie, a szlachcie, czy to rolnik, czyto prawnik, jeśli się nie żeni, to mu piątą klepkę nie dostaje. Posłuchaj mnie starego! Wszak choć nie dla siebie, ale dla drugich nie raz i nie dwa mój rozum na coś się przydał. Jużes dość świata nadeptał, żeń się pókiś czerstwy. Toćto bym ja nie był od tego, ale trzeba umieć brać się, a ja przez całe życie z żadną młodą białogłową nie rozmawiałem. Już piąty krzyżyk tuż nadchodzi; czyż pora uczyć się podobać panienkom? Szpakowacić zaczynam, a ludzie mawiają: że do panny z siwym włosem, to jak do psa z jeżem. Będę po domach kopereczaki stroił, czy się

uda lub nie, — a chleb jaki jest, i ten się zaniedba. — Ja waćpana wyswatam. — A z kim? — JW. Rejtanowa podkomorzyna Nowogrodzka ma w domu swoim na respekcie krewną, pannę Magdalенę Bohuszeiewiczównę. Panna uboga, ale zacnej krwi, i sama poczeiwa z kośćcami; będzie z niej ale gospodyni, a nieszpeta; wszak znasz ją? — Widziałem ją kilka razy w kościele z JW. podkomorzyną; przystojna panna, ale czyż ona mnie zechce? — O to pokój, bo to moja rzecz; podkomorzyna moja siostra stryjeczna, słowo moje coś tam waży. Do Hroszówki niedaleko, ja sam za waćpana się oświadczę, mnie nie odmówią, a tak spokrewnim się z sobą; jakoż odkąd cię poznałem, panie Sewerynie, pragnąłem z tak poczeiwym człowiekiem naszą dawną przyjaźń ściślej szym skojarzyć węzłem. A jak weźmiesz pannę Magdalенę, kto tylko w nowogrodzkim karmazynowy, będzie twoim bliższym lub dalszym koligatem. — Kiedy pan rejent dobrodziej tak łaskaw na mnie, bądźże mi ojcem, ale żeby to się nie rozgłosiło przed czasem, bo nuż się nie uda, co ludzkie języki mnie nafrasują, to tylko zostanie w zysku. Niech się wtedy dowiedzą, jak będzie coś pewnego. — Wiesz, że wielomówstwem nie grzeszę; ze mną jak z księdzem po spowiedzi. Tylko żebyś zawodu nie zrobił, panie Sewerynie, bo jak mnie zarezykujesz, a potem placu nie dotrzymasz, pamiętaj, że to rzecz z domem uczeiwym. — A, panie rejencie dobrodzieju, czym zasłużył na posadzenie mnie o bałamuctwo? przedziebym się śmierci spodziewał, niż taką mieć opinię u pana rejenta. — To tak się tylko mówi, sameś jurystą, więc wybaczysz juryscie nieco więcej ostrożności. Mam twoje słowo, spodziewam się, że i z tamtej strony je otrzymam, ani spostrzeżesz się, jak my ciebie ożenim. — I tak zostawił mnie samego, ale w dobrej myśli, a to z tego powodu, że kilka dni przedtęm na świętego Joachima był odpust zupełny u OO. Dominikanów Nowogrodzkich, z którego i ja nędzny grzesznik między tyloma prawdziwie pobożnymi korzystałem. Modliłem się do tego wielkiego świętego, a nawet mojego patrona, bo jego imię przybrałem sobie, kiedy mnie, już pod dobrym wąsem będącego, bierzmował książd Pancerzyński biskup Laodycejski, sufragana Nowogrodzki. Otóż modliłem się serdecznie do tego potężnego szafarza łask Bożych, aby mną kierował w wyborze stanu, ofiarując mu i ten mój, jaki był, chętnie porzucić, jeśli mnie coś przeciwnego zainstynktuje; i Przenajświętszym Sakramentem uzbroidłem się na tę intencję. Kiedy więc pan Fabian, co mnie znał od tylu lat, który ze mnie zrobił jurystę, a nigdy do mnie nic podobnego nie mówił, a tu i żonę wynalazł, i brał na siebie o nią dla mnie się starać, i tak mię namawiał, bym wziął jego krewną, do wygod domu możnym przywykłą, jak gdybym sam był możnym; on, któremu się był wypowiadał, że jest chudym pachołkiem, o czém i bez tego wyzna-

nia, aż nadto mógł być pewnym, — wziąłem tedy jego słowa za głos Boży, i nie wątpiłem ani że otrzymam pannę, ani że będę z nią szczęśliwym. Szło mi już tylko o to, żeby mieć czém opędzić wydatki niezbędne dla żeniącego się kawalera. Bo i za ślub trzeba było zapłacić, i mieć w czém żonę wozić, i czémkolwiek domek, dotąd kawalerski, opatrzyć, by w nim żonę, i ją nawiedzające obywatelki przyjąć. Zdarzała mi się wprawdzie grzanka. Kahał Nowogrodzki miał sprawę ważną z JW. Niesiołowskim wojewodą. Grubo mnie ofiarowano, bym jechał do Wilna dla bronienia jęj przed sądem nadwornym, ale choć byłem potrzebny, nie odważyłem się jęj podjąć, bo Panu Bogu ślubowałem, że nigdy żydom moich usług nie poświęcę, mając to za ubliżenie i moję chrześciańską wierzę, i mojemu szlacheckiemu stanowi. Ale Pan Bóg wszystkiemu poradził. Tego samego dnia albowiem, w którym pan rejent raczył zająć się moim losem, W. Jabłoński wojski Nowogrodzki przysłał po mnie, bym odbył kondescensye na gruncie z OO. Dominikanami Nowogrodzkiemi, a że zgodnym sposobem skończyła się ta sprawa, na której dzwoniłem, bo sam komplancję napisałem, W. wojski darował mnie bryczkę na pasach, którą przed rokiem dla siebie był sprowadził z Warszawy, a jakięj nie było równęj w całym Nowogrodku. A ojciec prowincyał ofiarował mi tysiąc złotych. Kiedy więc w kilka dni potem mój łaskawca pan Fabian wpadł do mnie z doniesieniem, że już wszystko się ukartowało, i że trzeba mi z nim jechać do Hroszówki dla podziękowania JW. podkomorzynie, śmielęj z nim puściłem się w drogę, nie turbując się, by gdzieś chyba zapożyczywszy się, wydatki opędzić. A lubo byłem rad temu wszystkiemu co się robiło, cała jednak ta podróż nie obeszła się bez wielkiej niespokojności, a nawet i strachu. Coś to było nakształt swistockiej potyczki, gdzie się poznałem z kulami, idąc pierwszy raz na nieprzyjaciela, ale gorzej jeszcze, bo tam człowiek z kolegami niebezpieczeństwo podzielał, a tu samemu wystąpić trzeba było. Tam człowiek był pewny siebie, że tchórzem się nie pokaże, a tu obawa, żeby się głupcem z wielkiego pomieszania nie wydać. A im bliżej było Hroszówki, tém większy strach, tak, że wjeżdżając na dziedziniec zamkowy, gdyby się ziemia otworzyła, może byłbym w nią wskoczył. Ośmielał mnie jak mógł szanowny towarzysz, i szczerze litował się nademną. Jakoś to się odbyło przed JW. podkomorzyną, która była pani wielkiej powagi, ale razem wielkiej wyrozumiałości. To prawda, że pan Fabian wszystko za mnie mówił; mruczałem sam nie wiem co, tyle tylko pamiętam, że dziękując do nóg jęj padłem, i tak odbyły się nasze zaręczyny. A ja i moja narzeczona wyglądaliśmy jakby delinkwenci, na śmierć skazani. I to mówię wedle relacyi szanownego rejenta, bom sam siebie nie widział, a na moję narzeczoną oczu nie podniosłem. Zamieniwszy pierścionki, po

oznaczeniu dnia ślubu, opuściliśmy Hroszówkę. Że już było późno, a noc ciemna, nocowaliśmy w karczmie wiejskiej, i tam dopiero przyszedłem do siebie. Potem, jak się rozeszła wieść o moich zrękowinach, a zaczęli i sędziowie i koledzy i pacyenci łaskawi kosmato mnie witać, to była nowa przeprawa, ale byłem śmielszy, bo było wielu takich, co już przez to wszystko przeszli.

Jeżeli czasem mnie nadokuczano temi powinszowaniami, gdzie się bez takiego siakiego żarciku nie obejdzie, z drugiej strony miałem i wielkie pociechy, odbierając dowody wrodzonej uczynności litewskiej, od obywateli, którym służyłem. Jak zaczęły chodźć do mego dworku sprężaje, to ze zbożem, to z leguminą, to z omastą, gdybym miał hrabstwo dziedziczne, moja żona obfitszej spiżarni znalazłaby nie mogła. A nie na wiktuałach był koniec. W. Łęski strażnik dał mi dwie krowy na nowe gospodarstwo; W. cześnikowa Bernowiczowa dwa obrusy i dwa tuziny serwet swojej roboty, ale które za hollenderskie ujsęby mogły; a W. chorąży Rdułtowski, chociaż nie miałem jeszcze czasu na to u niego zasłużyć, beczką wina węgierskiego mnie obdarzył. Tak, że było i czém i na czém przyjąć tych, czyja łaska nas chciała nawiedzić. I dnia 25 listopada na świętą Katarzynę panna Magdalena Bohuszewiczówna została panią Sewerynową. Lubo przed ślubem pięciu słów do niej nie powiedziałem, a oprócz jęj urody, która mi była wdzięczną, wiedzieć z doświadczenia nie mogłem ani o jęj roztropności, ani o jęj enotach; przecie ją wziąłem bez obawy, owszem najlepiej o niej trzymałem, spuszczając się na instynkt Boży, i na charakter sędziwego jęj krewnego, a mojego najosobliwszego łaskawcy, na którego zdaniu i radzie śmiało mogłem polegać. Jeszcze przy oddawaniu wieńca, pan Jakób Wereszczaka, vicesgerent Nowogrodzki, jak to zwykle bywało, wynurzywszy życzenia wszelkich błogosławieństw Bożych, i dobrą ich wieszczbę zwiastując w wybraniu na ślub dnia świętęj Katarzyny patronki szczęśliwych stadeł, wyliczył procedenye panny i jęj koligacye z domami Rejtanów, Wańkowiczów, Rdułtowskich, Jeśmanów, Kiersnowskich i innemi starożytnemi a zasłużonemi krajowi w naszym województwie. A odbierając wieńiec, odpowiadał niezmordowany dla mnie w życzliwości szanowny mój niegdyś mecenas, pan Fabian Wojniłowicz, regent ziemski Nowogrodzki; w tęg to mowie swojej tłómacząc powody mojęj wdzięczności Panu Bogu i Najświętszję Pannie, że mnie obdarzają tak zacną i pocziwą małżonką, niemniej otuchę w dalsze ich błogosławieństwa, rozpatrując i jęj cnoty i związki, któremi się połączam z tylu gwiazdowemi domami, nadmienił i to, że lubo podobnemi urzędami mój ród szczyćć się nie może, jednak jestem starożytnym szlachcicem; że zaścianek rozrodzonęj mojęj familii jest założony na ziemi nadanęj od wielkiego księcia Witolda naszemu protoplaście za wzięcie

w niewolę pod Orszą Murzy Ulan Muradyna i że dwaj z mojego domu są podpisani na elekcyi króla Stefana. A nakoniec podał za rękomię przysługę szczęścia mojęj żony, poczeiwość moję, za którą dał świadectwo, i nieplonne, znając mnie od lat kilkunastu, a doświadczywszy mnie lat kilka w swoim domu. Po odbytych ślubie, panu regentowi do nóg padłem, chcąc choć tą powierzchowną oznaką dać mu dowód uszanowania i prawdziwie synowskięj wdzięczności za tyle łask, które uwieńczył tą mową swoję. Umiałem czuć, ile pochwała mojego charakteru z ust tak szanownego męża przynosiła mi zaszczytu, a niemniej byłem mu wdzięczny, że się publicznie odezwał o mojęj *prozapii*, bo biorąc familiantkę byłem rad, iżby wiadano, że i ja także sroce, jak to mówią, z pod ogona nie wypadłem. Potem, że JW. podkomorzyna sprawiała wesele, był wielki zjazd, i kielichy krążyły często, bo pan Fabian, będąc gospodarzem, dopilnował, by wszyscy ubawili się jak potrzeba. Takie było moje ożenienie. Oprócz dwóch par sukienek i cukiernicy srebrnej, nie nie wziąłem po mojęj żonie, ale wielki odebrałem posag w jęj enotach i w szczęściu, co go do mnie przyniosła. Przez lat blisko trzydzieści naszego pożycia, najmniejszego z jęj strony zmartwienia nie doświadczyłem. Ośmnaście lat od niej starszy, jednak ją pochowałem. Taka była wola Pana Boga, żebym tęsknił czasem za chwilą, która mnie na nowo połączy z moją Magdusią. Nasza intercyza mogła być bardzo krótką; zapisywaliśmy sobie wspólne dożywocie na wspólnych nadziejach, bo nadzieja była całym naszym funduszem. Ale jakim ją zaprowadził do siebie, wszystko zaczęło iść jak z kłębka. Dwa lata nie upłynęły, a już i dworek, cośmy go dotąd najmowali, był naszą własnością, i już kilka tysięcy leżało na procencie. Potem ksiązę wojewoda Wileński powierzył mi swoje interesa. W kapitulacyi dostała mi się dzierżawa Doktorowicz. Ja siedzę przy sprawach, a Magdusia pilnuje gospodarstwa. Dobrze mawiał pan Fabian, że dobrze z żoną; w percepcie złoty, a w ekspensie srebrny grosz; a przecie lepiej się żyło, niż za mego kawalerstwa, bo codzienn ktoś był na naszym barszczu, a na świętą Magdalenę co roku, nim nawet na wsi osiadłem, to w naszym dworku i sędziowie i koledzy, i nawet umyślnie ze wsi łaskawi przybywają, że w chacie pełno gości, a dlatego majątek się robił. Coś się już dało, a po śmierci i folwarki i nieco pieniędzy wnukowie znajdą po ludziach. A co pracy po eksdywizyach przepadło, Bóg i ludzie wiedzą. Ciągłe doświadczałem błogosławieństw Bożych, mam co jeść z Jego łaski, bo i dom i święronek we wszystko opatrzone. Raj byłby na ziemi, gdyby nie jedna rzecz, żebym już miał choć na starość dziedzictwo prawdziwe, żeby przynajmniej po mojęj śmierci moi wnukowie mogli złożyć moje kości obok żoninych na ich własnym dziedzictwie; ale zupełnie wła-

sném, bo już te zastawy się naprzykrzyły. Niech się jednak wszystko stanie, nie jak ja, ale jak Bóg chce.

XII.

Wołodkowicz.

Wielkie u nas złe, że zagraniczni ludzie chcą nas uczyć tego, co się u nas działo; a co gorsza, że młodzież nasza chętniej im wierzy, niżli nam, cośmy na to patrzali. Długo czas markotno mi było, że nie umiem po francuzku, bo człowiek w książkach francuzkich znalazłby jakąś rozrywkę; ale obcując z ludźmi uczonymi naszymi, podowiadawałem się od nich, że Francuzi o nas takie dziwolągi piszą, iż się cieszę teraz, że ich książek rozumiem nie mogę, bo niezegobym się nie nauczył, a cobym się nagniewał, to byłoby w zysku. Mówiono mi, że coś pisał o nas Dumouriez, którego znałem osobiście, bo służyłem pod nim i długo. Był to dobry żołnierz, rozumiał gdzie postawić armaty, jak wytykać obozy i jak jazdą uderzyć na nieprzyjaciela. Jakoż my wszyscy sprawiedliwości mu nie ubliżamy, ani innym Francuzom co nam pomagali; bo był tam i Sohazy, równy mu w biegłości, i Garos zawołany inżynier, co ożeniwszy się z Polką, został naszym ziomkiem, i Kellerman, co całą gębą był kawalerzysta i wielu innych, których nazwiska już pozapominałem; byli to ludzie mądry w swym rzemiośle, ale chwała Bogu, ta ich mądrość nie była nad nasze mózgownice; nasi im nie ustępowali, a pewnie ani pan Puławski, ani pan Walewski, co potem został wojewodą Sieradzkim, ani Sawa marszałek Zakroczymski, od nich rozumu pożyczać nie potrzebowali i jeszcze ich samych mogliby czegoś nauczyć. Otóż ten generał Dumouriez wszystkiemu u nas przyganiając, a tylko siebie chwając, robi księcia Karola Radziwiłła głupcem. I inny Francuz, którego nazwiska nie umiem wymówić ani wypisać, wydał dzieło o nierządzie polskim, w którym lubo więcej sprawiedliwości oddaje, jakoż chwali męstwo i wytrwałość księcia Karola, jednak przez piąte i dziesiąte coś zachwyciwszy, twierdzi, jakoby on na czele młodzieży rozbojem się

bawił i okrucieństwa na Litwie popełniał, i w tém się godzi z Dumouriezem, że nasz książę rozumu nie miał i był barbarzyńcem. Że książę nie był po zagranicznemu oświecony, to pewna, ale że miał swój rozum i wielki, to jeszcze pewniejsza. Miał on to światło przyrodzone, które u nas zawsze w kącie zapiera światło nabyte: bo taki lepszy rozum z głowy, niż z książki, bo większa zaleta wielkie rzeczy zrobić, niżli umieć dobrze je opisać. Księżna hetmanowa W. L., ostatnia z książąt Wiszniowieckich domu, była pani wysokiego światła i książki nawet pisała. Ale nie mając jeno jednego syna, pieściła go do zbytku, tak iż książę Karol już rok piętnasty, a czytać nawet nie umiał, bo każdy nauczyciel, co go naglił do pracy, za jego oskarżeniem był natychmiast od dworu przez księżną matkę oddalony: a książętko tylko umiało w palcacy kłuć się z paziami, konia oklep dosiadywać, i z fuzyjki jajka na powietrzu rozstrzeliwać. Książę hetman zaczął miarkować, że synowi przecie coś więcej trzeba umieć, aby mógł kiedyś piastować przodków dostojenstwa, i o tém księżną przekonał. Więc ta oświadczyła, że dwoma folwarkami dziedzicznie obdarzy tego, co go wyuczy czytać i pisać, bez żadnego się jemu sprzeciwiania. Znalazł się na to światły szlachciec pan Piszczako, a to go wyniosło na majątnego obywatela, a później na podstolego Rzeczyckiego. On księcia Karola i dwóch jemu dodanych dla emulacyi obywatelskich synów, pana Ignacego Wołodkowicza, chorążycia nadwornego Litewskiego, i pana Michała Rejtana, podkomorzycia Nowogrodzkiego, wyuczył czytać, pisać i pierwiastkowych nauk, bez żadnego przymusu, owszem ich bawiąc, a to tym sposobem: na wielkiej tablicy drewnianej było abecadło kredą napisane; każdy z uczniów stał o kroków kilkanaście od tablicy ze strzelbą w rękę nabitą i trafiał w litery wymienione przez nauczyciela, potem sylaby składane, potem wyrazy, nakoniec okresy; i tak wszystko kulami wyuczyli się czytać dobrze, a potem już z własnej ochoty wyuczyli się pisać: a trochę czytaniem a więcej jeszcze obcowaniem z ludźmi świadomymi wyuczyli się prawa krajowego, historii narodu i tej wówczas ważnej dla nas nauki znajomości stosunków i związków familijnych. A książę w dwudziestym roku wieku swego, zostawszy miecznikiem Litewskim, bardzo był na swym miejscu, tak dalece, że kiedy został marszałkiem trybunału Litewskiego, to juryści za głowy się brali: tak on poznawał co jest prawdą, a co jest wykrętem. I po skończonem urzędowaniu wkrótce drugi raz był obrany marszałkiem, i byłby nim do śmierci, gdyby chciał, tak szlachta była mu rada, bo nikomu się nie dawał powodować, jeno własnemu światłu i sumieniu, i lepszych nie można było znaleźć doradców. Co się tyczy zarzutów, że w młodości okrucieństwa i rozboje popełniał, jest istna potwarz, która sama z siebie upada. Książę, co wolał na odpadłej Białej Rusi ośmdziesiąt tysięcy dusz ojcowizny

swojej utracić, niż odstąpić od swego przekonania, dowiódł, jak był szlachetny i delikatny w uczuciach. Ale będąc młodym, a nie znajdując pola, na którémby mógł zbyt żywe namiętności wynurzyć, na czele młodzieży naświetniejszej pędził życie po lasach Litewskich łowami zajęty: konno przebiegał kilkakrotnie całe wielkie księstwo, szukając wśród ogólnego pokoju niebezpieczeństw, w których mógłby doświadczyć nadzwyczajnej swojej odwagi. Jeżeli czasem przez swawolę jakiemu obywatelowi bydło pobili, lub jakie zabudowanie podpalili, o to nigdy nie było procederu, bo ponoszący stratę, sowiecie, jak sam żądał był nagrodzony, a na ludziach jakiegobądź stanu żadnego okrucieństwa nigdy nie dopuszczono się, tém więcej, że przy wielkiej porywczosci książę miał serce tak czułe, że znieść nie mógł cudzego cierpienia. Towarzystwo księcia Karola, które partya króla Poniatowskiego, prowadzona na Litwie przez księcia biskupa Wileńskiego Massalskiego, nazywała hajdamakami, było złożone z ludzi światłych, nieposzlakowanych w wierze dla kraju i nie żałujących dla niego krwi i trudów, i którzy wszyscy są godni niepoślednie zająć karty w dziejach naszych. Był tam pan Wołodkowicz, którego odwaga i nadludzka siła dziś za bajkę uchodziłaby mogły; on to był największy ulubieniec księcia, który do śmierci nie przestawał opłakiwać jego niefortunnego zgonu w połowie wieku. Był i pan Pac starosta Ziółowski, później marszałek generalny konfederacyi na Litwie, który dla nieodstąpienia od swoich zasad wolał w tułactwie zakończyć dni swoje. Był pan Rzewuski podstoli Litewski, księcia Karola szwagier, co był regimentarzem tej konfederacyi. On to w nocy przez lochy podziemne wprowadził nas do Krakowa. Był pan Ogiński wojewodzie Witebski, co gdyby nie zginął na pojedynku z rąk jakiegoś magnata węgierskiego, do najpierwszych w rzeczypospolitej doszedłby zaszczytów. Był pan Żaba, co został później wyniesiony na województwo Połockie jednomyślną wolą Połotyńców, bo to jedno było województwo, w którym do końca szlachta zachowała wolny wybór swojego wojewody. Był pan Ślizień sędzia ziemski Słonimski, który umarł w Carogrodzie z morowego powietrza, dzielając wygnanie księcia Karola. Był książę Lubecki, później marszałek Piński, zawołany statysta. Był pan Chomiński, później wojewoda Mścisławski, co marszałkował na sejmach i trybunałach zawsze przykładnie, był wielkim wierszopisem, i jakem słyszał od ludzi, którym wierzyć można, w Rzymie nawet za mądrego uchodził. Był pan Szczyt, co umarł kasztelanem Połockim, mąż w prawie i w narodowym głęboki; nieodżałowaną jest szkoda dla publiczności, że jego pisma w tym przedmiocie zatraczone zostały. Był Janusz Gorecki i Maciej Derecis, co później w konfederacyi ani Francuzom nawet nie ustępowali w nauce wytykania obozów, i wielu innych jeszcze składających tak nazwaną *bandę Albejską*, których synowie

i wnuki żyją. Zdaje się, że kto takięj młodzieży dowodził, i sobie jęj ślepe przywiązanie uzyskał, nie mógł być sam bez wielkich przymiotów. Każdy z nich sposobił się do rycerskiego rzemiosła, i im kto zapamiętałszy dał dowód odwagi, tém wyższy szacunek u kolegów otrzymał. Razu jednego pan Wołodkowicz z oszczepem w ręku wyszedł pojedynczo na niedźwiedzia lekko postrzelonego, i śmiało go ugodził, ale oszczep złamał się między żebarami, a niedźwiedź do ostatniego stopnia rozdrażniony, rzucił się na niego: ten, nie tracąc przytomności, drzewcem w ręku zostającym tak silnie po łbie go uderzył, że niedźwiedź upadł przygłuszony, a pan Wołodkowicz nie dawszy mu czasu przyjscia do siebie, kordelas w serce mu utopił. Pan Kostrowicki strażnikowiec Piński, także Albejczyk, w Łachwie na koniu siedząc przesadził rów dwa sążnie szeroki, a tyleż głęboki, który otaczał zamek Łachewski. Raz cała banda Albejska na dzielnych koniach, z naczelnikiem swoim nadeszła przypadkiem blisko karczmy, która się była ogniem zajęła. Ogień był straszny; aż tu pan starosta Ziółowski z panem podstolim Litewskim odzywają się do ratujących: — Idźcie preez! my za spaloną karczmę wynagrodzimy; będziemy się bić w sieniach, a nikt niech się nie waży do nas przystąpić, póki z nas jeden rannym nie zostanie. — To wyrzekłszy, wlecieli do sieni i bić się zaczęli w pałasze, a że obydwaj byli gracze, potyczka długo trwała; siano zapalone ze ścieli na nich padało, w około nich wszystko gorzało, nie wiedzieć czém już oddychali; nakoniec pan Pac, obciawszy niżej ramienia pana Rzewuskiego, na swoich rękach go wyniósł z pośród ognia, tak że i suknie podpalone były, i sami osmaleni, że aż się z czupryn kurzyło. A któżby wyliczył wszystkie ich popisy! Niktby temu już dziś nie wierzył, gdybym opowiadał niektóre ich czyny, na jakie jednak patrzałem. Kiedy bezkrólewie nastało, książę już był wojewodą Wileńskim, i szczerze pomagał królewiczowi; ale przeciwna partya najechawszy sejmik, a depcąc prawo pospolite przemocą, wszędzie sądy kapturowe narzucała, nie dbając na manifestą szlachty. Ten co później został, Boże mu odpuść, sędzią kapturowym Nowogrodzkim, a wiadomo jest wszystkim, jak wielka powaga była kapturów, bo w czasie bezkrólewia jurydyckie sądownicze zwyczajnie ustawały, a władza trybunałska, ziemska i grodzka, ścisłała się w kapturach. Otóż będąc wielkim znawcą srebrników starożytnych, a nie gardził i nowożytną monetą, chcąc zastraszyć partyę przeciwną panu stolnikowi Poniatowskiemu, wydał mandat, aby wszyscy Nowogrodzianie należący do bandy Albejskiej stawili się zawito przed sądem kapturowym, dla zdania odpowiedzi z zarzutów im uczynionych, jakoby wraz z księciem wojewodą Wileńskim rabunków i gwałtów się dopuścili po niektórych domach szlacheckich. Że ten mandat i na samego księcia nie był położony, domyślcć się nie

umiem, chyba to jedynie w celu, aby księcia od przyjaciół swoich odłączyć i w nich ku niemu nieufność wzbudzić. Jeżeli była myśl taka, pożądanego skutku nie otrzymała. Młodzież nowogrodzka hulała sobie w Nieświeżu, a książę wcale się do czego innego gotował, jak do stawiania na wezwanie kapturów. Ale pan Wołodkowicz, przymusiwszy woźnego, co mu pozew położył, iż go połknął, napisał przez niego do sędziego, że na termin stanie z patronem swoim, którego woźnemu pokazał, a ten był nahaż z Boćkowski fabryki. Bo miał trzy nahaje: rzemieenny na sędziego, jedwabny przeznaczony panu stolnikowi, co już otwarcie szedł do korony, a trzeci z nici złotych pleciony, na księdza biskupa Wileńskiego.... Po czém dobrawszy sobie sześciu tęgich rębaczy nadwornych nieświeżskich i dwóch z bandy Albejskiej, Węclawowicza i Wazgirda, jedynych do nadstawienia łba, puścił się do Nowogrodka, chociaż rota wojska stała w mieście, i prosto poszedł ze swoim poczem na ratusz. Jak go sędzia przez okno obaczył, umknął tylnymi drzwiami, i aż w klasztorze Dominikanów się oparł, za sobą nie oglądając się. Pan Wołodkowicz przyszedłszy do izby, a sędziego nie znalazłszy, zawołał po trzykrotnie, gdzie pan sędzia kapturowy, co ma go sądzić. Pan rejent Matusiewicz, poufały sędziemu, chcąc miną nadrobić, odezwał się: — A co tu waćpan nachodzisz juryzdykeyą, jakbyś nie wiedział, że ona ma *jus gladii* w rękę? — Pan Wołodkowicz: — A to piękny sędzia kapturowy, co *innotescencye* stronom posęła, a sam w dzień terminowy się chowa, lubo go sam naznaczył. W niebytności sędziego juryzdykeya przy panu pisarzu, więc mój patron przed waćpanem moję sprawę wprowadzi. — Dopiero pan Węclawowicz i pan Wazgird porwawszy pisarza, położyli go na stole sądowym, a pan Wołodkowicz swoją ręką odliczył mu sto batogów w obliczu całej palestry, patrząc na to obojętnie, bo całkowita była złożona ze stronników Radziwiłłowskich. Oświadczywszy pisarza, wszystkie papiery sądu kapturowego zebrał, i zawiózł je z sobą do Nieświeża, gdzie się dostał ze swojemi bez szwanku. Wkrótce po tém zdarzeniu, pan stolnik Litewski ogłoszony był królem; więc kaptury ustały, sądom ziemskim, grodzkim czynność wrócono i brano się do urządzenia trybunału. Ale szlachcie nie można było zjechać się na deputackie sejmiki; który nie był z partyi króla, tego nie puszczono, a że mało kto na Litwie do niej należał, w wielu województwach po kilku obywateli sejmikowało. Tym sposobem zebrał się w Mińsku trybunał pod laską jednego z głównych nieprzyjaciół księcia Karola Radziwiłła, jako i większa część tych narzeczonych deputatów. Książę biskup Wileński postarał się, że po kapturach wybrano deputatów lękliwych, o których był pewny, że to napiszą, co im każe; i sam zjechał na *reasumcyę* trybunału, by ucisnąć księcia i jego przyjaciół. Książę już miał nadzieję tylko w oręzu,

i podniósł konfederacyę Nieświeżską. Dla assekuracyi trybunału stał w Mińsku pułk szefowstwa księcia Massalskiego, na którego mógł się spuścić śmiało książę biskup, będąc bratem rodzonym szefa. Majorem w tym pułku był niejakiś pan Ro..., co miał jakieś przyjacielskie stosunki z panem Ignacym Wołodkowiczem. Księciu biskupowi i marszałkowi chodziło o to, by przestraszyć Radziwiłłowską partyę, a palając zemstą na pana Wołodkowicza, chcieli koniecznie żywcem go dostać, by do egzekucyi przywieść kontumacyjny dekret na niego zapadły, w którym kara śmierci była mu przygotowana za zbrojne najście kapturów. Układają się więc z panem Ro..., by Wołodkowicza przywabić do Mińska, a podły jurgieltnik takowego chwyta się sposobu: przebrawszy się za żyda, przybiega do Nieświeża, a tam znalazłszy pana Wołodkowicza, wmawia mu, że jest szczerze poświęcony Rzeczypospolitej i księciu wojewodzie, że większa część oficerów przekabaci się, i że cały regiment przystanie do konfederacyi Nieświeżskiej, prócz czterech oficerów i szefa, których powiążą. Trzeba więc koniecznie, aby pan Wołodkowicz, będący konsyliarzem konfederacyi, tajemnie zjechał do Mińska, by nie dać czasu ani członkom trybunału, ani księciu biskupowi umknąć z miasta, jak wybuchnie konfederacya, i że żywcem ich połapie co do jednego. Pan Ignacy, co oddawna ostrzył zęby na księcia biskupa, nie mógł się oprzeć mamiającej nadziei dostania go w swoje ręce. A że przy niesłychaném męstwie był bardzo zarozumiały, nikomu się nie zwierzywszy, pewny swego, puszcza się samopas do Mińska, i przed samym świtem zajeżdża na kwatery pana Ro.... Ale już wszystko było przygotowane do jego zguby. W kilka chwil po jego przybyciu cały regiment otoczył dom majora: poznaje pan Wołodkowicz zdradę, ale po niewczasie; dobywa jednak szabli i rzuca się na wojsko. Żołnierzom zabroniono do niego strzelać, tylko bagnatów używać, bo go chciano koniecznie sądownie zamordować. Pan Ignacy po kilkakrotnie łamał szeregi, ale nowe natychmiast się stawiły, grożąc mu lasem strzelb bagnietami najeżonych. Żołnierze z tém większą skwapliwością szli na niego, że obiecano sto czerwonych złotych tym, co go wezmą. Narobiwszy niemało trupa, a czując, że mając tak liczno przeciwnika, niepodobna się przedrzeć, cofnął się do domu pan Ignacy, a ztamtąd wleciał w sad za dworkiem będący, próbując wysunąć się gęstwiną, by się dostać do farnego kościoła, zkąd może nie odważonoby się jego porwać. Ale wszelkie drogi do niego już mu były przecięte, a płoty od ogrodu powywracane, by go coraz w ciemniejszym ustępie ściskając, nakoniec znużonego uchwycić. Co który do niego się zbliżył, śmierć albo ranę odbierał, ale widocznie już sam na siłach upadał. Był stary loch warzywny w ogrodzie; do niego się przedarł i nową walkę rozpoczął, jakby w niedobytj twierdzy. Chował się w lochu dla odpo-

czynku, a gdy widział żołnierzy w niego spuszcających się, biegł do góry, szablą ich siekał i do odwrotu zmuszał. Radyby mu nie dali, a trzeba było jak najprędzej go uchwycić, bo książę wojewoda Wileński co chwila mógłby mu przyjść na odsiecz; ale żyd faktor marszałka trybunału podał sposób, którym go złapano. Kazano z miasta wszystkie bety żydowskie poznosić i rzucać je w loch, a za nimi szli żołnierze, coraz więcej betów rzucając; tak go obrzucili, że już ruszyć się nie mógł, i dopiero żołnierze go wzięli. W ich rękę już będąc, jednego z nich ubił uderzeniem pięścią po skroni, a drugiemu szczękę zwichnił; ale nie nie pomogło, związanego zanieśli do izby trybunałem zajętej na ratusz. Tam mu odczytano dekret sądu kapturowego, który to dekret bez dania mu czasu tłómaczenia siebie, bez słuchania go nawet, trybunał natychmiast potwierdził. Były w dekreście same tylko potwarze; między innemi było w nim, że pan Wołodkowicz szablą posiekał krucyfiks na stole będący, a on nie tylko że takiego świętokradztwa nie popełnił, ale nawet szablę z pochwy nie wyjął; że nahajem obił rejenta Matusiewicza, tego się nie zapierał, ale to przestąpienie śmiercią nie mogło być karane wedle prawa. Juryzdykcya kapturowa, będąc nadzwyczajną, nie do miejsca, ale do osoby jest przywiązana; zawsze się mógł tłómaczyć pan Ignacy, że w niebytności pana sędziego nie widział juryzdykei, za skrzywdzenie więc szlachcica, choć na ratuszu, ale *carente foro*, grzywny i więza po sprawiedliwemu, a nie więcej nie powinno go czekać. Ale tu nie szło o sprawiedliwość, tylko o dogodzenie zemście. Pan Wołodkowicz został zanieiony do sądu, wybadany, osądzony, dekretowany, dysponowany na śmierć, a nakoniec rozstrzelany, to wszystko w przeciągu niespełna godziny. Zaraz po spełnieniu wyroku i trybunał i książę biskup rozjechali się, a w porę, bo książę wojewoda Wileński dowiedziawszy się, że pan Ignacy puścił się do Mińska, zaraz prze czuł jego niebezpieczeństwo, i na czele sześciuset koni, tak bandy Albejskiej, jak i milicyi swojej nadwornej, których zebrał na prędce, ruszył za nim do Mińska, i w sześć godzin po rozstrzelaniu przyjaciela stanął przed miastem. Regiment Massalskich próbował rogatę bronić, ale w puch został rozbity. Dopiero dowiedział się książę o nieszczęściu swoim, i nigdy nie przestał opłakiwać téj straty. Otóż więcej niż lat dwadzieścia potem, książę wojewoda Wileński jak zwykle obchodził dzień świętego Karola, na który, można powiedzieć, cała Litwa zjeżdżała się do Nieświeża. Książę wedle swego zwyczaju, otoczony sługami i domownikami siedział w sieniach zamku dla przyjęcia gości; naprzeciw każdego wychodził do drzwi i znowu wracał do swego głębokiego krzesła, póki dla innego przybywającego nie wstawał. A że każdy gość przybyły zostawał z nim w sieniach, póki się wszyscy nie zjechali, cały tedy ranek tam przebywał w coraz

liczniejszym towarzystwie. Razu jednego wszedł jakiś jegomość w wieku bardziej starym niż młodym; był w kontuszu mundurowym, skłonił się nisko przed księciem, jakoby żądając ośmieszenia, by mógł się o jaką łaskę przymówić. Książę to uważając, odezwał się: — Panie bracie, czego waś żadasz? — Jestem abszytowanym oficerem wojsk rzeczypospolitej, życzyłbym sobie być umieszczonym w milicyi W. Ks. Mości. — Gdzież waś służył? — W regimencie Massalskich, i oto mój abszyt i świadectwo mojego sprawowania się, które śmiem składać księciu panu. — Książę rzuciwszy okiem na papiery, raptownie pobladł, i mocno zasępiwszy się powiedział: — Wołodkowicza rozstrzelali! — W tém postrzegliśmy, że starający się o służbę okazał na twarzy nadzwyczajne pomieszanie; potem przyszedłszy jakoś do siebie, głosem dość śmiałym powiedział: — Nie zapieram się, iż w Mińsku wprowadzałem kiedyś na śmierć pana Wołodkowicza, ale w tém moje sumienie żadnego mi wyrzutu nie robi: jako żołnierz, moją rzeczą było słuchać naczelników i dopełniać ich rozporządzeń. Jeżeli otrzymam służbę u W. Ks. Mości, równie wiernie będę dopełniał jego rozkazy, jakem dopełniał rozkazy króla i rzeczypospolitej. — Na to książę: — Wołodkowicza rozstrzelali! — i obróciwszy się do pana Tyszkiewicza starosty Wielatycznego, a pułkownika jego milicyi, będącego w dniu tym na służbie: — Każ waćpan natychmiast, aby tu przyszło trzech żołnierzy z mojej warty z bronią i ostremi ładunkami. Wołodkowicza rozstrzelali! — Wyszedł pan Tyszkiewicz, a my w największym podziwieniu czekamy, co z tego będzie. Oficer o służbę starający się stał jakby skamieniały, istny trup. Żał było patrzeć; ponure milczenie panowało, przerywane tylko słowami: — Wołodkowicza rozstrzelali! — które książę co chwila kilka powtarzał coraz z mocniejszym poruszeniem. Nadeszli żołnierze, książę zakomenderował: — Nabij broń! — my na siebie ze strachem spoglądali, żaden z nas odezwać się nie śmiał, a tu widocznie gotował się występki, który nie mógł nas nie gorszyć, bo lubośmy duszą i sercem byli oddani księciu, jednak będąc szlachtą polską, nie radzi byliśmy zostać świadkami, jak się depeą prawa krajowe. — Wołodkowicza rozstrzelali! — odezwał się książę. — Weźcie serce z papieru czerwonego i przyłóżcie go. — Oficer od warty przyskoczył do oficera abszytowanego pułku Massalskich i zabierał się serce mu przyszpilić, a książę: — Gdzie serce kładziesz? nie tu, przyłóż go temu jeleniowi, co jest na tym wiszącym kobiercu. — Cała ściana u sieni była zakryta ogromnym kobiercem francuzkim, wyrażającym łowy na jelenia; oficer jeleniowi wyżej łopatki serce przyczepił, książę zakomenderował: — Ognia! — i trzy kule przeszły jelenia. Potem książę wstał z wypogodzonym obliczem, prosząc nas z sobą na pokoje. Massalczyk stał jak śnieg majowy; ani się można było dowiedzieć, gdzie się

on podział. My z księciem cały dzień wesoło spędziliśmy, i ani wspomniał książę o zdarzeniu, którem nam tyle strachu nabawił.

XIII.

S a w a.

Bez najmniejszej przesady nie tylko doświadczeniem, ale myślą nawet nie można objąć większego zaszczytu, jak było szlachectwo polskie. Szlachciec najuboższy był równy magnatowi; przy pomocy Boskiej mógł sam zostać magnatem (jak tego bywały przykłady), a téj równości z magnatem nie tracił nawet służąc u niego. Pan Radziszewski, chorąży Starodubowski, służył u księcia wojewody Wileńskiego, był u niego paziem, potem dworzaninem, potem dowódcą jego milicji i generalnym plenipotentem; a przecie urzędował rzeczypospolitej, posłował na sejmach i został orderowym panem. A że był starożytnym szlachcicem, ożenił się z siostrzenicą księcia Brzostowską, panną z tak wysokiego domu, i nikt się nie dziwił, gdy sam książę sprawiał wesele. Wszyscyśmy równi byli między sobą. Pan był szlachcicem bogatym, a szlachciec był panem ubogim; że zaś magnat był zawsze wysokim sługą rzeczypospolitej, szlachciec u niego służąc, służył razem i ojczyźnie. Teraz namnożyło się podpanków, co nie służąc ojczyźnie, nie z tego co boli, często nawet ani z soli, ani z roli, ale z jakichś tam podradów, z nabytków niekoniecznie uczciwych, z handelków, z lichwy i poprostu z kradzieży, porobili sobie majątki znaczne; a że i dziadów swoich okazać nie mogą, tylko albo pod cudze szlachectwa podszywają się, albo wymyślają takie, o których ani Paprocki, ani Okólski, ani nawet Niesiecki nie wiedzieli, więc krzyczą na możnowładców dawnych, do których pewnie żaden z nich za naszych czasów aniby dostąpił, i wynoszą pod nieba postęp teraźniejszego wieku. Nie wiem, kto w narodzie korzysta z tego postępu. Mieszczan, co nam wyrzucano, żeśmy ich nie mieli, i teraz nie widać, tylko po dawnemu handlują żydzi, lub gdzieś niegdzie jaki Niemiec przybyły, a włościaninowi nierównie gorzej.

Na Litwie już bojarów zmuszono do robocizny, a na Ukrainie, zamiast dawnych dni letnich, co ich tylko po dwanaście na rok chłop odrabiał, pędzą go pańszczyzną od Nowego Roku aż do świętego Sylwestra dzień po dniu. Plecie młodzież Wileńska i Krzemieniecka o prawach człowieka, to co pochwytała z zagranicznych książek; a nie wie, że co tam jest w piśmie, u nas było w doświadczeniu, i dokładniej; że nasi przodkowie lepiej umieli tworzyć, niż zagraniczni potrafili wymyślić. Ale czyż tylko na równości zasadzało się szczęście i powaga naszego szlachectwa! Szlachciec nie mógł być ani rządzącym, ani sądzonym, tylko przez tego, kogo sam wybierał; a z zagrody swojej mógł się przenieść i na ławicę poselską, i na krzesło senatorskie, i na tron nawet. To też nasi przodkowie krwią swoją tego zaszczytu dokupywali się dla potomków; hetmani podawali do klejnotu szlacheckiego żołnierzy, co się w bitwach odznaczyli, a sejmy za szlachtę ich przyznawały i takich nazywano *ex charta belli*. Ztąd w ostatnich czasach, kiedy król Poniatowski otrzymał pozwolenie od narodu dać dziesięć dyplomatów sekretnych na szlachectwo takim, co szlachtą nie byli (jak to widzieć w konstytucji 1766 r.), a pozwolenia tego nadużył, zamiast dziesięciu może kilkuset uszlachcając, co sejm były o to skargi i choć daremne ze strony posłów dopominania się, aby metryki koronne im okazywano, bośmy składali stan rycerski, i w samych dyplomatach zawsze były dodawane te wyrazy: *praeciso scartabellatu*.

Była wprawdzie przez czas niejaki konstytucja ubezpieczająca szlachectwo każdemu żydowi przyjmującemu wiarę katolicką; prawo pobożne, przeciw któremu nie godziło się sarkać, gdyż zgodne było z gorliwością narodu, chcącego wszelkimi środkami rozprzestrzeniać królestwo Boże; ale takowe szlachectwa nie miały u nas poważania, bo zdawało się nam, że stan rycerski, w rycerskich tylko zasługach powinien szukać swojego początku. Szlachectwo *ex charta belli*, choć świeże, było na równi z najstarożytniejszym uważane. Nie podszrywano się dawniej pod cudze szlachectwo, ale prawnie onego dostępowano. Hetman Żółkiewski podał do szlachectwa czterdziestu mężów włościan, co się wstawili pod Kłuzynem, a sejm im wszystkim nadał przezwisko Żółkiewskich, tylko kazał pieczętować się nie Lubiczem Żółkiewskich, ale jakimś innym herbem, dla uniknięcia familijnego zamieszania. Toż i Rewera Potocki, hetman wielki Koronny, podał do klejnotu szlacheckiego wielu chłopów ukraińskich, co nie tylko że do buntu Ohmielnickiego należeć nie chcieli, ale pod hetmanem krew za ojczyznę przelewali. Sejm potwierdził jego sprawiedliwe żądanie, ztąd na Rusi powstał Jaroszyńscy, Sabatynowie, Ułaszyńscy, Mazarakowie i inni, którzy bez nieczyjzego zgorszenia weszli w udziałność szlachecką, a z których ojczyzna miała potem

pociechę. Dlatego bardzo nam było przykro, kiedy przybysz jaki, przywłaszczwszy sobie szlachectwo, za jednego z naszych chciał uchodzić, bez innéj przyczyny tylko że miał pieniądze. Więc téż na takiego zawsze się znachodził potomek zasłużonego przodka, nierad aby, czy mieszczanin, czy popowicz, czy chłop zbiegły, mógł zostać jego sędzią, prawodawcą, a może i królem. Ten mu zadawał *impairitatem*, i gdy tego dowiódł, samozwaniec cały majątek tracił, który *jure caduco* dostawał się temu, co go przekonał o nieprawie posiadanie zaszczytu, i z narażeniem się własném uwolnił obywatelstwo swojego województwa od zakału; bo gdyby dowieść nie potrafił, sam byłby karany *poena talionis*. Młodzieży gadaj o tém, to słucha jakby o żelaznym wilku; albo ona rozumie, czém było nasze szlachectwo? Wie ona z historii, że Jan Zamojski podpisał się *Nobilis Polonus omnibus par*; a może o tém nie wie, że na Litwie jest ze dwadzieścia domów, co książęcego tytułu nosić nie chcą, chociaż mają do niego niezaprzeczone prawo. Nie tylko Ogińscy, ale Puzynowie, Swirsey, Mićkiewiczowie, Wańkowiczowie, Mirscy, mają mitry w herbach, i są prawdziwymi książętami, do czego się nigdy nie przyznawali przez miłość równości naszej.

A potem, cóż księstwo prawdziwemu szlachcicowi mogło dodać? Jeszcze to nienajdawniej, kiedy książę De Ligne, panujący w Niemczech, ożeniwszy swojego syna z naszą Massalską, starał się o *indigenat* dla siebie na sejmie 1786 r., i ledwo otrzymał ten zaszczyt z takimi trudnościami, że powiedział publicznie: — Łatwiej w Niemczech o udzielenie, niż w Polsce o szlachectwo. — I dziwi się młodzież, że ci sami, co długo trutynowali, czy tak wielkiego męża, hetmana cesarza Rzymskiego i księcia panującego przyjąć za szlachcica lub nie, obruszali się na jakiegoś rzecznika albo muzykusa, co sam siebie nobilitując, zdeptał najkardynalniejsze prawo narodu! Zresztą doświadczenie przekonywa, że z ludzi podejrzanego szlachectwa niewielka pociecha. Czytałem w podróży do Ukrainy zachodniej przez pana Sakowicza wydanéj, że w okolicach Machnówki obywatele jeden drugiemu psy i konie kradną. Taka rzecz, dawniej po szlachcie niesłychana, mocno mnie była zastanowiła, i temu wierzyć nie mogłem; ale już teraz miarkuję, zkąd coś podobnego wyjść mogło. Dowiedziałem się, że JW. Potocki starosta Guzowski, z wymysłu pańskiego zostawszy handlarzem, do swojego miasteczka Machnówki przywabił był na buchalteryę, do której szlachta nasza niezdatna, różnych przechrztów, a popowiczów, a mieszczuchów: tego do pióra, tego do kasy, tego do transportów. Ci iehmość uzbierawszy grosza, szlachtą się porobili, i już między siebie porozdzielali część dziedzictwa starosty; a że podział kraju zaraz nastąpił, to im uszło, i *via facti* utrzymali się przy szlachectwie: teraz ich synowie urzędują i nosy do góry za-

dzierają. I cóż może być dobrego z takich? Nie lepiejże było za naszych czasów, kadukiem pozbyć się takiego śmiecia, niż jak dziś być niém obsypanym? Chwała niech będzie Bogu, że jeszcze na Litwie szlachta się trzyma, i od dziadów i naddziadów na dziedzicznej roli pracuje. To téż takich paskudztw o nas nie piszą. Tłómaczę więc jasnie, dlaczegośmy nasze szlachectwo tak wysoko cenili: nie była to pycha, ale natura naszych ustaw, naszéj Rzeczypospolitéj; a kto był jój zasłużonym, tém samém mieliśmy go nie tylko za szlachcica, ale za magnata, nawet choćby się był urodził chłopem. I tego dowód pan Sawa, co był prostym kozakiem, *nobilitacyi* nie miał, a był marszałkiem Zakroczymskim, i w czasie konfederacyi zasiadał między pany.

Służyłem pod ś. p. panem Sawą, i przy mnie Panu Bogu ducha oddał: a chociaż nie chwając się starożytnym urodziłem się szlachcicem, (bo każdemu w metrykach koronnych wolno odczytać, jak sześciu mojego nazwiska podpisało się na elekcyi króla Stefana), umiałem być mu posłusznym. A nie tylko ja i mnie podobni, ale JW. Potocki wojewodzie Wołyński był pod nim regimentarzem, i chociaż magnat całą gębą, drżał przed nim. — Razu jednego, że nie dość prędko dopełnił jego rozkazu, przez co nieprzyjacielowi udało się ująć prawie z rąk naszych, pan Sawa zaczął łajać wojewodzica i zagroził mu, że jeżeli kiedykolwiek dopuści się podobnej opieszałości, każe mu w łeb wypalić. To było w obec kilku panów spokrewnionych z wojewodziecem, a nikt nie powiedział: — Co to ma kozak gnębić senatorskie dziecko? — bo wszyscy mieli Sawę za równego sobie. Jakoż w istocie, poświęceniem się swojém wyrównywał on tym zasługom, które magnaci po przodkach odziedziczyli, i przez które byli magnatami.

Sawa urodził się w starostwie Czehryńskim, zkąd był i ten przekłety Chmielnicki (takto z jednego drzewa i krzyż i motyka); a że od dzieciństwa umiał śpiewać dumki i grać na bandurce, pan Woroniecz, wówczas starosta Czehryński, przywiózł go małym do Warszawy, i gdy go odumarał, Sawa po dworach służył za kozaczka; ale podrosłszy cokolwiek, bandurkę rzucił, a nawykł do innych zabaw. Spisną i szablą tego robił, na polowaniach zając z pistoletu ubijał, naszego języka się wyuczył, bo mając szlachetne serce, jak najmniej chciał się różnić od szlachty. W czasie siedmioletniej wojny, w pułku Szybilskiego (prostego jak on włościanina), u Niemców służąc, taką sobie zjednał sławę, że tam los mógłby sobie być zapewnić; ale zatęskniwszy za krajem, do niego wrócił, a jako nieszlachcic, nie mogąc się w komputowém wojsku umieścić, na nowo musiał po panach szukać służby. Kiedy się zaczęła konfederacya, był wielki zjazd w Piotrkowie na reassumpeyi trybunału. Mnóstwo było panów z lieznemi

pocztami; a że wielu panowie wszyscy prawie mieli dobra na Rusi, do kilkuset kozaków zbrojnych przyprowadzili z sobą. Sawa także się tam znajdował, i wisiał przy dworze JW. Działyńskiego, marszałka trybunału, a będąc sam kozakiem, łatwo się z kozakami porozumiał, i tak koło nich pochodził, że jak na cztery tuzy w tryszaku, mógł na nich rachować. — Kiedy pan Kwilecki, starosta Kościański, rozbiwszy oddział nieprzyjaciół pod Rozrażewem, zbliżył się tutaj, Sawa zebrał do pół trzecia sta dworskich kozaków, wśród dnia wyszedł z Piotrkowa, spotkał po drodze rejterujących się, napadł na nich, rozbił do reszty, zabrał armaty, samych wziął w niewolę, i złączywszy się z panem Kwileckim, z nim razem szedł do miasta. To zdarzenie było dla konfederacyi stanowczém. Pan Kwilecki oddał Sawie dowództwo swojej przedniej straży, i zaczęli maszerować ku Warszawie. Jako Sawa upewnił, że stolica dostanie im się w ręce, że gwardya koronna z nimi się złączy, a mając mieszczan po sobie, stojącego tam wojska nie ma czego się obawiać, tak też źle zrobiono, że pana Sawy nie posłuchano. Doszedłszy do Bolimowa, pan Kwilecki odebrał wiadomość przez obywatela, co się do niego przedarł, że Kujawy i Płockie są gotowe do powstania, byle się do nich wojsko konfederackie zbliżyło. To go zdecydowało zaniechać Warszawę, której prawie dotykał, a co prędzej dostać się na prawy brzeg Wisły. — Nuż nam się nie uda opanować Warszawy — mówił Sawie — jeżeli porażeni zostaniem, co być może, natenczas wszystko przepadnie na Wielkiej Polsee, której ledwo trzecia część powstała; lepiej nam się wzmoć w Płockiem, otworzyć związki z Litwą, a dopiero na pewno pójść do Warszawy.

Napróżno Sawa ofiarował się ze swoją przednią strażą iść do szturm, byle mu tylko pan Kwilecki stał w odwodzie, aby w przypadku do niego mógł się cofać; napróżno cały szwadron pułku Mirowskich, prowadzony przez porucznika Franciszka Dzierżanowskiego, przeszedł na naszą stronę pod samym Bolimowem, i świeżem doniesieniem potwierdzał wszystkie wnioski Sawy o ducha stolicy i gwardyi; nie nie mogło przekonać pana Kwileckiego. Był on dobrym żołnierzem, i w wojsku francuzkiem kilkanaście lat służył; ale na nieszczęście więcej wierzył w zagraniczne prawidła sztuki wojskowej, niżeli w instynkt polskie, a do tego popierał go w zdaniu Gawar, inżynier francuzki przy nim będący, w którym szczególną miał ufność. Z boleścią serca tedy Sawa musiał prowadzić przednią straż ku Wyszogrodowi, gdzie szczęśliwie przez Wisłę się przeprawili.

Pod pewnym względem nie zupełnie pomylił się pan Kwilecki; bo jak tylko gruchnęła wiadomość, że nasi opanowali Wyszogród, całe Kujawy i Płockie podniosły konfederacyę. Oddzielił więc od siebie

Sawę w trzysta koni, dał mu pod komendę pana Franciszka Dzierżanowskiego z częścią Mirowskich, i kazał iść do Zakroczymia, aby rozszerzać powstanie po Mazowszu, a sam poszedł do Płocka, dla poparcia wzrastającej konfederacyi. Pan Dzierżanowski z początku chciał drzeć koty ze swoim dowódcą, jako szlachcie i oficer gwardyi z kozakiem; ale pan Sawa tak mu się dał poznać, że lubo przy nadzwyczajnym mężwie był bardzo burliwym, słuchał go jednak potem jak dziecię piastunki. Mnóstwo młodzieży mazowieckiej do naszych się garnęło i zaciągało się pod znaki Sawy. Od nich dowiedział się, że w Zakroczymiu stoi batalion wojska przeciwnego. Ci widząc, że dąży ku miastu, wyszli na przeciw niego, tém pewniejsi zwycięstwa, że silny oddział karabinierów przybył im w pomoc z Warszawy. Rozwinawszy się przed Zakroczymiem, ledwo naszych zoczyli, dali ognia z armat, a potem posunęli naprzód swoją kawaleryę. Pan Sawa zalecił p. Dzierżanowskiemu cofać się z częścią wojska, a sam zakryty jego obrotem rzucił się w lewo, by napaść na piechotę, skoro się jazda oddali. Doskonale się udało. Pan Dzierżanowski, niby uciekając przed karabinierami i jazdą, tak ich w pole za sobą wyprowadził, że pan Sawa miał czas pokazać się jak piorun pod samym Zakroczymiem. Jak go spostrzegła piechota nieprzyjacielska, uszykowała się w czworobok i sygnęła ognia; ale pan Sawa nie dał jej się poprawić: czworobok złamał, cztery armaty zabrał i batalion w pień wyciął. Opał się nadto, i wzięła się co prędzej od odwrotu. Chociaż pan Dzierżanowski już jej na karku siedział, w największym jednak porządku szła myśląc, że do swojej piechoty się cofa. Wtém pan Sawa, jak ją przywitał kartaczami z armat przez siebie zdobytych, wszystko się rozsypało: *ten do lasa, ten do Sasa*, a pan Dzierżanowski nabrał tego ile sam chciał.

Po tak świetnym zwycięstwie, wszedł pan Sawa do Zakroczymia, a nie tracąc czasu, zgromadził szlachtę, aby co prędzej sporządziła akt powstania. Tak się podniosła konfederacya w Zakroczymiu, której marszałkiem Sawa jednomyślnie ogłoszonym został, a regimentarzami obrani byli: pan Potocki wojewodzie Wołyński i pan burgrabia Zakroczymski.

— Bójcie się Boga, panowie — mówił pan Sawa. — Ja prosty kozak, jakże wam szlachcie mam marszałkować?

— Innego marszałka nie chcemy! — krzyknęła szlachta — Pan Bóg i twoje zasługi naślinały cię polskim szlachcicem, nim sejm za takiego przyzna.

Przy tém nie byłem, ale tak o tém wiem, jakbym na to patrzył; bo wiem to i od samego pana marszałka Sawy, i od pana Dzierżanowskiego, i od pana burgrabiego, i od wielu innych, z którymi później

służyłem, a każdego relacya na jedno się godziła. Dość, że ta sama szlachta, co nie tylko urzędnika, ale wioski dzierżęcy nie pozwoliła nie-szlacheicowi, marszałkiem swoim ogłosiła kozaka. Bo nasza дума szlachecka nie była *ad destruendam, sed ad aedificandam patriam*. A sam widziałem, jak inni marszałkowie, nawet JW. Pac, co był nad niemi wszystkimi, obcowali z p. Sawą jak z równym, i tyle go szanowali, że gdyby był wyniesiony nie tylko na marszałka, ale i na kasztelana Krakowskiego, niktby z pocziwych przeciw temu słowa nie powiedział: taki z niego był i wielki wojownik i dobry obywatel. I ciągle się odtąd wstawiał marszałek Zakroczymski; gdzie było największe niebezpieczeństwo, można było iść o zakład, że i on tam jest. A że ludzie obok niego i za nim padali, że kule ustawicznie robiły mu dziury w odzieniu, tak, że zawsze łatany chodził, a sam nigdy ranny nie był; Rusini zaś są zabobonni, ztąd między jego kozakami urosło przekonanie, że on był *charakternikiem*, jak mówią na Ukrainie, to jest, że umiał kule zamawiać, aby go żadna trafić nie mogła. Od nich i do nas ta pogłoska się rozeszła, co go bardzo obrażało; raz, że był dobrym katolikiem, powtóre, że jako rycerz, miał sobie za krzywdę, gdy o nim myślano, jakoby dlatego na niebezpieczeństwo śmiało się narażał, że wiedział iż mu się nic nie stanie: i nieraz byłem świadkiem, jak przeklinał swoje szczęście, co mu rany dostać nie pozwalało. Ale na biędę nam wszystkim, przekonałem się, że nie wiedzieć co wymyślono. Bo kiedy pan Sawa później chciał jeszcze spróbować, czy mu się nie uda wziąć Warszawy, zebrał z różnych komend do tysiąca koni (i ja mu się wtedy dostałem); szliśmy lasami powiatu Radomskiego, gdzie często po drodze udawało nam się gromić oddziały nieprzyjacielskie. Pod Jankowicami nawet na potęgęśmy jeden zbili, i możebyśmy samego wodza żywcem schwyтали, gdyby pan regimentarz Potocki nie był się o pół godziny spóźnił; wszelako wzięliśmy przeszło dwieście huzarów, których wszystkich pan marszałek kazał zakłuć: pastwiono się nad nimi. Pan Sawa był ludzki, i z niewolnikami zawsze się łagodnie obchodził; ale że ten oddział wielkie okrucieństwa wymyślał, więc pan Sawa dla żołnierzy tego pułku był bez litości. Poszliśmy dalej, zawsze dążąc do Warszawy, a Wejmarn na czele sześciu tysięcy ludzi oddzielił się, by nas ścigać i zastąpił nam drogę pod Mszczonowem. Sawa, choć nierówny w sile, odwagi nie stracił. Mszczonów był w ręku nieprzyjaciół: wielki staw przedzielał ich od nas, a grobla długa prowadziła do miasteczka. Już część jazdy przeszła była groblę, i od naszej strony zaczęła się szkować. Pan marszałek umyślił napaść na nią, nim reszta wojska przejdzie, aby skrzydłem atakując, od grobli ją oderznął. Uszykował tedy do boju swoje wojsko, i pana wojewodzie Wołyńskiego zostawiwszy w odwodzie, z półtorasta końmi na przeciwników uderzył.

Pierzchnęli oni w nieporządku, i już byłby ich odeiść; ale nad samą groblą na wzgórk, stały ich armaty, które jak dały ognia, od pierwszego wystrzału pan marszałek dostał kartaczem w udo i spadł z konia. Kozacy, co byli do niego jak do ojca przywiązani, a mieli go za charakternika, widząc go rannym, bardzo się przelekli, jednak rzucili się ku niemu na ratunek. Skoro go podźwignięto, z największą przytomnością oddał dowództwo regimentarzowi Zakroczymskiemu, zlecając mu, by ścigał rozproszoną jazdę obcą, a sam dał się kozakom zanieść na rękach pod karcznię, przy której stał wojewodzie Wołyński z odwodem, gdzie i ja się znajdowałem.

Zaczęliśmy obwiązywać jak mogli udo pana marszałka: poznać było po twarzy, że mocno cierpiał, jednak najmniejszego jęku nie wydał, tylko wszystko patrzył na komendę swoją, którą regimentarzowi poruczył; ale ten jej rady dać nie mógł, bo jak spostrzegli ludzie, że już nie Sawa ich prowadzi, tak zaczęli pierzchać, że uciekający nieprzyjaciele opatrzywszy się, wrócili do szyku i pędzili naszych, a tu coraz więcej ich jazdy przechodziło przez groblę. Pan Sawa widząc, że dobrowolnie nasi się gubią, choć udręczony boleściami, ale nie mógł siedzieć. Kazał więc wynieść kołyskę z karczmy, przywiązać ją do dwóch najlepszych swoich koni, na których posadził doświadczonych kozaków, a samego siebie w nią włożyć, okręcić pasami i końce ich do terlic kozackich przymocować. Tak niewygodnie i niebezpiecznie wisząc na powietrzu między kozakami, wziął w rękę proporzec i prowadził nas do ataku; opamiętał uciekających naszych żołnierzy, zawrócił ich z sobą, i pomimo najokropniejszych boleści dając niesłychany przykład męstwa, złamał szyk przeciwny i zmusił do ucieczki. Ale wszystko było późno: już piechota i armaty przepawiły się przez groblę. Jak zaczęli ognia do nas dawać, sam pan marszałek pomiarkował, że nie ma nic do czynienia, tylko albo uciekać, albo doczekać się, że do jednego wszystkich nas wystrzelają. Lubo boleści jego coraz więcej się wzmagały, że ledwo od rozumu nie odchodził, z największą przytomnością prowadził nasz odwrót przez Mszczonowską Wolę.

Przedzieliwszy się wsią od ścigającej nas jazdy, którą dwa razy był przewrócił, a która trzeci raz gotowała się sięść nam na karku, ze dwóch stron razem kazał wioskę zapalić. Ponieważ wiatr był silny, w momencie cała stanęła w płomieniach, i to wstrzymało dalszy postęp. Dopiero pan marszałek rozdzielił swoje wojsko na dwie połowy. Dowództwo jednej oddał wojewodzie Wołyńskiemu, a drugą poruczył pana regimentarzowi, nakazując im najusilniej, aby każdy inną drogą cofał się ku Krakowskiemu województwu, i nigdy nie łączyli się z sobą; sam zaś z dwoma kozakami i zemną, który go nie chciałem odstąpić, zostając na miejscu pożegnał swoich pocie-

szyl przyrzeczeniem: że jak tylko ranę wyleczy, znajdzie ich gdziekolwiek byli. Wszystkie konie zostawiliśmy przy komendzie, a pana marszałka piechotą na rękach naszych zanieśliśmy w głąb lasu, i całą noc przepędziliśmy w krzewinach, ratując go jak było można. Coraz bardziej jednak upadał na siłach i czasem nawet omdlewał. Naza jutrz rano, zawsze z szanownym naszym ciężarem, puściliśmy się dalej w las na wolą Bożą. Błąkając się po lesie, trafiliśmy na chałupę, jak się potem okazało, podleśniczego Mszczonowskiej puszczy, i oddawszy się Bogu, na oślep do chałupyśmy weszli: bo trzeba było koniecznie w spokojnym miejscu złożyć pana marszałka, inaczej byłby nam skonał w ręku. Podleśniczy okazał się poeciowym szlachcicem; bo choć ubogi i obarczony dziećmi, ostatkiem się z nami dzielił. Mnie i kozaków poprzebierał za gajowych, a własną pościel w zamkniętej komórcie oddał panu marszałkowi, którego podleśniczyna pielęgnowała. Potem sam w nocy wózkiem udał się do Mszczonowa i przywiózł cyrulika. Ten opatrzył ranę pana marszałka: udo tak mu było spuchłe, że wszystko musieliśmy pruć na nim. Bolesci odnowiły się okropnie: przy pierwszym opatrywaniu już nie mógł wytrzymać, jęknął kilka razy i zemdlął, żeśmy go ledwie odtarli; a przyszedłszy do siebie powiedział nam: — A co! prawda że nie charakternik — i pokazując swój szkaplerz dodał: — Cały mój inkluz! innego nigdy nie miałem.

Umówił się cyrulik, żeby co nocy po niego przyjeżdżano; a szanowna nasza gospodyni, pani Kleczkowska, której, jako i jej mężowi, powierzyliśmy, co za wielkiego człowieka mają w swoim domu, miała o nim staranie jak o rodzonym ojcu. Dobrze nam szło przez tydzień. Pan marszałek zaczynał przychodzić do siebie, i na jednej nodze skacząc, przenosił się już z łóżka do kufra p. Kleczkowski, na którym siadywał, aby nie nadto zleniwieć. Cyrulik robił nam nadzieję, że za parę tygodni najdalej, na koniu będzie mógł siedzieć. Ale w Mszczonowie stała komenda nieprzyjacielska, bo pan wojewódzcy Wołyński nie umknął, i w kilka dni po rozstaniu się naszym rozbity, dostał się do niewoli z mnóstwem ludzi, gdyż ze trzechset przeszło żołnierzy ledwo pięćdziesiąt uszło, a resztę zabrano, lub pobito. Otóż Wejmarn, dowiedziawszy się od jeńców, że Sawa ranny w Mszczonowskiej potyczce, niewiedomo gdzie się podział, wnioskował sobie, że koniecznie musi się ukrywać gdzieś niedaleko. A że jemu bardzo szło o to, aby go dostać, raz że to był jeden z najdzielniejszych wodzów konfederacji, powtórze, że chciał na nim pomścić się wielu swoich huzarów, którym pan marszałek, płacąc za ich okrucieństwa, kazał ręce i nosy poodrzuć; oddzielił więc od siebie pułkownika ze znacznym oddziałem, kazał mu stanąć w Mszczonowie i koniecznie pojąć Sawę.

Dośledzili przeto prędko, że cyrulik Mszczonowski tajemnie w nocy wyjeżdża: łapią go i dopóty biją, aż się przyznaje, że w lesie opatruje jakiegoś rannego; biorą żyda, sadzą go na koniu, aby był ich przewodnikiem, i we czterdzieści koni za nim ruszają do lesnej chałupy. Otoczyli ją nagle, a kilku z nich wpadło do izby: gospodyni im grzeczności robi, zapytuje, czy nie kazał siebie czym poczęstować; ale oni nie mówiąc, prędko przetrząsają wszystkie kąty, a postrzegłszy komorę zamkniętą, wysadzają drzwi, i zastają pana marszałka siedzącego już z pistoletem w ręku.

— Pierwszemu z was co do mnie przystąpi, w łeb strzelę! — zawołał Sawa. Oficer cofnął się natychmiast, lecz kazał chałupę zapalić. Ja i dwaj kozacy wynieśliśmy z izby pana marszałka. Jak go ów oficer obaczył za domem, szyderskim tonem odezwał się do niego: — *A co mospanie! teraz kapitulujesz.*

— Oto moja kapitulacya — odpowiedział marszałek, i pierś mu przeszył kulą. Tedy drugi oficer krzyknął: — *Zakłóć go!* — My, choć bezbronni, ciałem naszym zaczęliśmy go zasłaniać; ale jak jeden żołnierz urznął mnie szablą po łbie, krew mnie oblała, i straciłem przytomność, a kilku na mnie wpadło z postronkami, i zaraz związany anim ruszyć się nie mogłem. Pana marszałka, bezbronnego i leżącego, zaczęto kaleczyć niemiłosiernie; jeden oficer, jak się pokazało Polak w służbie obcej, bił go po głowie drzewcem od spisy; nasi dwaj kozacy to widząc, gołemi rękami odepechnęli nizekzemnika; ale on ich zakłóć kazał, i obadwaj skonałi tuż przy mnie, mając oczy na pana marszałka obrócone. Oficer od jazdy zgorszył się postępkiem Polaka, i sam zaczął zasłaniać naszego wodza, mówiąc: *leżącego się nie bije* — przytém reflektował go, że jak żywcem przyprowadzi Sawę do generała, to prędzej dostanie nagrodę, niż gdyby trupa przywiózł.

Na jednym wozie, obu nas przywieziono do Mszczonowa; mnie skrepowanego i ze łbem obwiązanym, a pana marszałka kilkakrotnie pokłutego z głową opuchłą, z bandażem od rany oderwanym, że do człowieka nie był podobny. Każde ruszenie ciasnego wozu, było dla mnie istną torturą, a cóż dopiero pan marszałek musiał cierpieć! Jednak nie skarżył się, tylko całą drogę odmawiał Psalmy pokutne tak przejmującym głosem, że chociaż temu lat pięćdziesiąt i więcej, ile razy mówię lub słyszę: *Miserere mei, Deus, secundum magnam misericordiam tuam*, zaraz mi staje przed oczyma nieboszczyk marszałek Zakroczyński, łzami się zaléwam, i teraz to pisząc płacę.

Przywieźli nas do Mszczonowa, gdzie już miał komendę generał, człowiek godny i pełen charakteru. Obszedł on się z nami bardzo po ludzku, do pana Sawy mówił z uszanowaniem, i część kwatery swo-

jéj mu odstąpił, którą z nim podzielałem wedle woli jego. Potém z błotem zmieszał oficera za barbarzyńskie jego z nami, a szczególnie z marszałkiem postępowanie; swojemu felezerowi kazał nasze rany opatrywać, i zapytał p. Sawę czego żąda, oświadczając, że starać się będzie wszelkie jego rozkazy wypełnić.

— Nie długo panu generałowi naprzykrzę się — odpowiedział mąż — bo czuję, że wszystko się kończy; ale prosiłbym o księdza. — Jakoż natychmiast sprowadzono proboszcza, który go wypowiadał, dał mu Ciało Pańskie, i odmówił modlitwy, które za nim pan marszałek powtarzał bardzo przytomnie i tak wyraźnie, że nie mogłem do głowy sobie przypuścić, aby był blizkim śmierci. Potém zasnął cokolwiek, ale wkrótce się ocknął i powiedział mi: — Oto masz szkaplerz, w którym są zaszyte relikwie świętego Wojciecha: jak skonom, zdejmiesz go i zaklinam waćpana, byś go oddał p. Kazimierzowi Puławskiemu, staroście Wareckiemu. Jeśli ci się uda kiedy z nim się zobaczyć, powiedz mu żem do śmierci był jego przyjacielem, a on niech ten szkaplerz nosi jako ostatnią odemnie pamiątkę. Waćpan nie zapomij o mojej duszy. — To powiedziawszy, zażądał wody, wziął do ust, ale już przełknąć nie mógł; coś zaczął mówić niewyraźnie, można tylko było dosłyszeć, że świętego Wojciecha wzywał, i zaczął konać. Nie pamiętam co się ze mną działo, ale jednak wypełniłem jego rozkazy; szkaplerz zdjąłem, i nosiłem na sercu, póki nie zobaczyłem się z W. starostą, co nie prędko nastąpiło; a odkąd mam kawał własnej ziemi, co rok egzekwie mu sprawuję.

XIV.

Pan Leszczyc.

Choćby mnie zrzęda i dziwakiem za to nazwano, wszelako wyspowiadam się z przekonania mojego, że już dziś nigdzie nie ma praw między ludźmi. Są rozkazy, urządzenia, ustawy, często mądre i zbawienne; ale nie prawa. Bo żeby prawo było prawem, trzeba mu czegoś więcej, niż to: że jest mądrém i zbawienném; trzeba aby miało

u podległych sobie miłość i wiarę, trzeba żeby do wykonania jego, kiedy niesmaczne, nie kruki, ani żołnierze zmuszali, ale przekonanie wewnętrzne i sumienie ciągnęło.

Ztąd mi się widzi, że prawodawca nie tyle mądrym, ile świątobliwym być powinien, a prawdziwe prawo nie jest rzeczą jedynie ludzką, i bez jakiegoś Boskiego natchnienia obejść się nie może. Władza prawodawcza nie była dawniej jak dziś urzędem, lub rzemiosłem, ale powołaniem; prawnictwo nie było nauką, ale obyczajem. Myśmy nie znali takich jak teraz widzimy w Wilnie professorów, co za roczne pensye, opał i kwaterę uczą prawa krajowego i tłómaczą je. Naszymi nauczycielami były: doświadczenie, obcowanie z ludźmi świadomymi, chodzenie koło spraw, przypatrywanie się sądom, przysłuchiwanie się rozmowom tyczącym się związków i interesów familijnych, a nakoniec gospodarstwo i pożycie domowe. Bez tego wszystkiego niech kto i dziesięć lat siedzi w Wilnie pod profesorem, niech wszystkich praw na pamięć ponaucza się, dlatego prawnikiem nie będzie. Bo żeby być prawnikiem, rozumie się gdzie jest prawo, trzeba być obywatelem. Jakoż u nas każdy prawie obywatel był prawnikiem, i kiedy bywało zapiszą się na kompromis, nawet na jakiego magnata, ten chociaż pewnie w palestrze nie był, nikogo jednak nie prosił, by mu dekret napisał. A kto był prawdziwym obywatelem, ten nie kończył na tém, że miał dobra, ale miał wiarę, nałogi, tryb życia, myśli obywatelskie, i dlatego był prawnikiem, a w razie i prawodawcą: bo takiemu Pan Bóg instynktu nie odmawia.

Czytałem z uwagą najdoskonalszy ze statutów tegoczesnych: Kodeks Napoleona. Jestto rzecz bardzo mądra, bardzo pożyteczna; wszystko tam objęte, wszystko przewidziane. Że ci, co go układali, nie dla ozdoby głowy mieli, któżby o tém wątpił? ale też że się nie w Imię Boga zbierali, to jeszcze pewniejsza. I dlatego do wykonania tych ustaw potrzeba mnóstwa urzędników, a siepaczów, a wart, a więzień, a szpiegów, a kosztu, że ledwo nie możnaby było drugie tyle wojska utrzymać za to na obronę kraju; bo każdy wie, że ten kodeks jest tylko rzeczą ludzką, a każdy człowiek sobie samemu przy najmniej tyle rozumu przyznaje, ile innym ludziom. Gdzie nie ma miłości i wiary, trzeba siły; a więc już nie prawo, ale siła rządzi, i to tak wszędzie.

W Nowogródku gród miał tylko dwóch pachołków do zamykania izby sądowej: oni składali całą siłę jurydykyi, a przecie ludzie możni z rozkazu sądu grodzkiego wieże odsiadawali; bo jak ksiądz kiedy na spowiedzi pokutę naznaczy, warty grzesznikowi nie daje, tak i gród dekret tylko ogłaszał, a strona sama go spełniała. Przyjeżdżał osądzony do grodu, przed nim oświadczał gotowość, potém szedł na

wiezę, i tam naznaczone niedziele wysiedziawszy, przed tymże grodem manifest zanosił, że swoje odbył i powracał do domu z sumieniem czystym; albowiem kto prawu zadość uczynił, nie miał nic sobie do wyrzucenia względem ojczyzny, szacunek publiczny mu się wracał, i mógł spać. Wielkie było zamiłowanie obywateli dla swoich praw u nas, a nie słuchać prawa, to była taka hańba, że kiedy na nim dekret nakazujący wiezę ogłoszono, a on się ociągał, to oczu nie śmiał podnieść między ludźmi. Ztąd, kiedy szlachciec został bardzo skrzywdzony, obity naprzykład, nie rwał się do korda, jakby za łada przy-mówkę, ale udawał się do prawa; a grzywny, które w nawiązce swojej krzywdy na napastniku zyskał, hańby mu nie robiły, bo dopełnienie woli prawa owszem sławę przynosiło. Gdy JW. Kalinowski starosta grodowy Winnicki skrzywdzony został na publicznym gościńcu przez pana starostę Kaniowskiego, który go kazał wyciągnąć z pojazdu i obatożyć (jak mnie o tém mówił W. Szezeniowski starosta Trechtymirowski w czasie konfederacji jeszcze), to pan Kalinowski, chociaż był możny i przytém do korda tęgi, nie wyzwał na rękę pana Kaniowskiego, jakby gardząc prawem pospolitém, albo jak gdyby u nas zwierzchności nie było, ale drogą prawa szukał sprawiedliwości i znalazł ją: bo pana Kaniowskiego na dwunastoniedzielną wiezę osadził, a tak wielki bassarunek na nim zyskał, że nie potrzebując się z niego bogacić, ale obracając na chwałę Pana Boga, wymurował piękny kościół z obszernym klasztorem, w którym dotąd OO. Kapucyni mieszkają. Bywały przykłady, że kiedy kto prawnie był osadzony na gardło, a był tchórzliwego serca, to własna familia jego sama się przyczyniała, aby dekret nie został bez wykonania. Obywatel święty z woli prawa, familii swojej nie kaził; dekret zaś niespełniony, jakby wisiał nad nią. Panu Samuelowi Zborowskiemu głowę zdjęto w Krakowie za zniewagę majestatu królewskiego; a dlatego panowie Zborowscy najpierwsze urzędy piastowali. i z tego powodu żaden z nich na sławie nie cierpiał. Byli prawda niektórzy bracia pana Samuela skazani później na banicję; ale sami niemało złego nabroili, powstając na zwierzchność własną, a szukając opieki u zagranicznego rządu. Wszakże jeden z nich, pan Jan kasztelan Gnieźnieński, gdy był stateczny obywatel i wielki senator, umarł w wieku sędziwym pełen sławy i zaszczytów, i nikt jemu nie wymawiał, że miał braci niegodziwych.

Czasem sam winowajca podawał dobrowolnie głowę pod miecz, woląc umrzeć obywatelem, niż ochraniając nędzny żywot, który wiekować nie może, żyć w niesławie. W czasie konfederacji Barskiej pan Baworowski, podstarosta Trembowelski, konsyliarz téjże konfederacji, mąż ojczyźnie zasłużony, który z nami do ostatka bronił Częstochowy, razu jednego na obiedzie u pana Puławskiego, starosty Wa-

reckiego, gdzie i ja na szarym końcu siedziałem (a zajądaliśmy pieczeń konską, bo nie była pora wymyślać), opowiadał nam, że jego ojciec, będąc także podstarostą Trembowelskim, musiał ferować dekret śmierci na obywatela majątnego, pana Leszczyca, z którym był kiedyś w szkołach, i nawet żył w przyjaźni. Ten pan Leszczyca zakochał się był w rodzonej swojej synowicy, i chciał się z nią ożenić, jako i ona nie była od tego. Wiadomo, że namiestnicy Chrystusa Pana zastrzegli, aby krewni nawet do czwartego stopnia nie wiązali się w małżeństwa, czego dotąd Kościół wschodni pilnuje. U nas przez długi czas sami monarchowie od krewnych unikać musieli: bo za takowe kazirodztwo papież ich wyklinał, chcąc aby oni z siebie dawali przykład posłuszeństwa prawu kościelnemu, a nie gorszyli podanych. Ale potem, jak wymyślono słusznie czy niesłusznie, że monarcha nie może mieć żony innéj, tylko córkę jakiegoś także monarchy, więc ponieważ monarchów na palcach łatwo policzyć, wkrótce nie sposób było znaleźć królewiczowi królowny, coby z nim jakiegoś pokrewieństwa nie miała, zwłaszcza że oprócz nas i Węgrzynów, wszędzie spadkowo królowie panowali. Udawano się zatem do papieżów, aby temu poradzili; a że *cujus est condere, ejus est tollere*, i do tego już papież zaczęli słabić dla monarchów, dawali im tedy dyspensy. Królowie tak się między sobą zaczęli wiązać, że królewska żona, nie raz, ani dwa, ale kilkadziesiąt razy jest krewną męzowską, aż nakoniec zwiódł się rody królewskie. Zamiast tych roślących, pięknych i walecznych monarchów, których obrazy widuję, i o których tyle wielkich rzeczy czytamy, powyradzały się jakieś nędzne, chorowite, bojaźliwe, do szweców podobniejsze niż do królów licha, że już ludy zaczynają się sromać swojego posłuszeństwa, i jeden naród po drugim pozbywa się naprzykrzonych i paskudnych tych rodów; a na czém się to wszystko skończy, co nam do tego? niech o sobie myśla! Dość że za granicą, i szlachta poszedłszy za przykładem królów, papieżom naprzykrzała się o dyspensy, i z krewnymi się kojarzyła; dlaczego téż i ona swój ród zwiódła, już tam na umyśle zupełnie upadła, tylko mieszczechy książki piszą i uczą naród rozumu: oni po sądach mecenasują, ba nawet prawa stanowią, i naród im wierzy, bo mają rozum, a szlachta poszła w poniewierkę, jako dumna samém głupstwem. To kiedy do nas napłynęło szlachty francuzkiej, co tu uciekała w czasie koliszczyny tamecznej, że cudze zawsze się podoba, panowie i panie chwyтали tych zbiegów, jako nauczycieli mądrości. Wielu z nich widziałem, a żadnego nie znalazłem takiego, coby umiał po łacinie. Z przeproszeniem pań naszych, poznałem, że to byli głupcy, i nie dziwiłem się że ich przepędzono; bo rządzący powinien mieć więcej światła niż rządzony, a kiedy go ma mniej niech ustąpi, jeśli nie chce czegoś gorszego się doczekać. U nas magnaci

nie składali stanu oddzielnego, byli szlachta, byli narodem, na przestronnym polu dobierali żon dla synów; dlatego też wysoki rozum ich się trzymał. A który magnat francuzki czy niemiecki prawo napisał, lub nareszcie książkę porządną ułożył? niech go pokaż! Z korzennych i z bławatnych sklepów wychodzą tam prawodawcy, statysci, rymotwórcy, dziejopisarze. Nie tak jak u nas: Lwy Sapiehy, Piotrzy Herburty, Maksymilianowie Fredry, Wacławcy Rzewusecy, Ignacowie Krasicecy, Ignacowie Potoccy, Tadeusze Czacecy, co wszyscy byli jaśnie wielmożni i siedzieli na urzędach swych przodków.

I u nas zdarzało się, że magnat żenił się z krewną, z tego bywała nawet pociecha dla kraju, bo *nulla regula sine exceptione*; wtedy tylko źle, kiedy to się zagęszcza, jak za granicami. Ale u nas chwała Bogu, niełatwo było o dyspensę nawet magnatowi, a szlachcicowi tak trudno, że i myśli podobnej do głowy nie przypuścił. Pan Leszczyc, będąc bardzo zakochany, wyrabiał się jak mógł w nuncyaturze, i niemało kosztu poniósł, a taki dyspensy nie wskórał. Bo trzeba było dowieść, że się dom na pannie kończy, że z domu majątek wyjdzie, i inne jakieś przyczyny kanoniczne położyć. A że się jeszcze nie nauczono konsystorzom podawać fałszywych inkwizycy na krzywoprzysięstwie opartych, pan Leszczyc musiał z kwitkiem powrócić. Ale że już zabrnął w namietność, przywabił synowicę do swojego domu, i sam siebie dyspensując, zaczął z nią mieszkać po bydlęcemu, z wielkiem zgorszeniem całej ziemi Trembowelskiej. Krewni zrazu perswadowali, aby się opamiętał; potem, gdy na wszystko był głuchym, o takowe porubstwo zapozwali go do urzędu, i sprawa się wytoczyła przed Grodem, w którym pan Baworowski podstarostował. Po odbytych inkwizycyach, po wysłuchaniu świadków, po roztrząśnieniu dowodów i odwodów, zbrodnia okazała się jawną, że nie było sposobu mitygować ostrości prawa. Pan Baworowski osądził pana Leszczycę na gardło. Ale po ogłoszeniu dekretu, pan Leszczyc umknął, jak się potem okazało na Węgry, i śladu po sobie nie zostawił. Gród swoje zrobiwszy i zadość uczyniwszy sumieniu, nie troszczył się o pana Leszczycę, gdzie się on obraca; lat wiele minęło, nikt o tym już nie gadał, i co tam kogo mogło obchodzić, że dekret leży niewyegzekwowany w Grodzie, kiedy winowajca może i tak umarł? Dość, że majątek pana Leszczycę spadkobiercy wzięli, a pan podstarosta synowi kiedyś o tym wspomniał z dyskursu, jako o rzeczy dawniej. Umarł pan podstarosta, umarł jego następca, a pan Baworowski, co u nas był konsyliarzem, otrzymał urząd, piastowany niegdyś przez ojca. Wkrótce potem pokazuje się człowiek w wieku podeszłym, i stawia się przed nim, przyznając się, iż jest tym samym Leszczycem, którego ojciec jego na śmierć dekretował; że mól serca gryźć mu nie przestał za to, iż wzgardził prawem ojcystym i od jego

spełnienia się uchylił: że nie mogąc dłużej znieść wewnętrznych udręceń, przychodzi poddać się wyrokowi, i tylko prosi, aby o jego duszy nie zapomniano. Jakoż najprzykładniej pokilkakrotnie, bo nikt jego do śmierci nie naglił, spowiadał się, Ciało i Krew Pańską przyjął, i cały tydzień jedynie z Bogiem obcował za pośrednictwem kapłana, a to w dworku otwartym i bez straży, z którego mógł wyjść gdzieby mu się podobało; potem przyszedł do Grodu oświadczając swoją gotowość, i nazajutrz w assystencyi księdza poszedł na rynek, na którym kat już go czekał. Tam wzięwszy ostatnie błogosławieństwo od księdza, przemówił do ludu, zalecając mu bojaźń Boga i posłuszeństwo prawu, a tak czule, że to był sądny dzień, tyle po całej Trembowli narobił płaczu. Nakoniec ukląkł, i wprzód kata przez pokorę w rękę pocałowawszy, prosił go, aby podczas gdy się będzie modlił rzecz swoją zrobił. Jakoż wymawiał imię Jezus, Marya i Józef, kiedy mu głowa na ziemię upadła.

XV.

Pan Baworowski.

Pisałem o bandzie albeńskiej, a mało kto wie, co znaczyła ta banda, do której tak się starano należeć, iż każdy miał sobie za wielki zaszczyt być jej członkiem. Książę Karol Radziwiłł, będąc jeszcze miecznikiem Litewskim, utworzył ją w Albie, domu wiejskim z ogrodem pod Nieświeżem. Pan Piszczalo, niegdyś księcia nauczyciel, trafiając w myśl jego, przepisy tej bandy ułożył. Patenta podpisywał książę, jako naczelnik towarzystwa, którego kanclerzem do śmierci był pan Ignacy Wołodkowicz, a sekretarzem pan Michał Rejtan. Każdy członek w listach podpisywał się „Radziwiłłowski przyjaciel”, a książę go nazywał „panie kochanku”. Że zaś zawsze ze swoimi Albeńczykami obcował, to nazywanie: *Panie kochanku*, zamieniło się u niego w przysłowie, które ustawicznie powtarzał. Mundur Albeńczyków był barwy radziwiłłowskiej: kontusz słomianego koloru, żupan błękitny, pas umyślnie na to w Słucku robiony, srebrny w orły czarne z trąbkami, spinka z emalii błękitnej, na której z bry-

lancików była cyfra ze trzech liter: K. X. R. W tym mundurze trzeba było chodzić w Nieświeżu: a gdyby kto, nie mając patentu, ważył się gdziekolwiek ten mundur wdziać na siebie, mógł być pewien, że zostanie zmuszony go zrzucić. I tak pan Skirmunt, co był księcia komissarzem na księstwie Birżańskim, nie będąc do tego upoważnionym, ale zaufany w stopniu który trzymał między sługami księcia, pokazał się raz w tym mundurze na licznym zgromadzeniu u pana Burly cześnika Rosieńskiego, a rządzący generalnego ekonomii Szawelskiej. Ale na swoje nieszczęście znalazł tam dwóch prawdziwych Albeńczyków: pana Bonifacego Sołohuba koniuszego Nowogrodzkiego i pana Jana Wierzejskiego rejenta sądów zadwornych. Ci na niego napadli, mundur zdarli, i jego samego wyszturchali, lubo to było w uczeiowym domu. Pan Skirmunt o to się żalił przed księciem; ale książę nie tylko że przyznał słuszość panom Sołohubowi i Wierzejskiemu, ale nawet oddał pana Skirmunta; bo sam ściśle przestrzegał ustaw zgromadzenia, którego był twórcą.

Żeby być przypuszczonym do tego grona, trzeba było być szlachcicem karmazynowym i osiadłym, tęgim do konia choćby najdzikszego, w sztuce łowieckiej doświadczonym, i niepospolitą odwagi. Książę nie mógł nikogo patentować, jeno za wstawieniem się dwóch części całego towarzystwa. Obowiązki patentowanych były: stawić się na każde wezwanie księcia konno i w całym rynsztunku, iść z nim gdzie ich poprowadzi, a nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, w każdym wypadku łba nadstawić za honor Najświętszej Panny, księcia wojewody, swój własny, i każdego z członków towarzystwa. Były rozmaite przepisy dla tej szkoły prawdziwie bohaterskiej: w rzędzie innych ten, że dwaj Albeńczycy, mający między sobą zajście, nie mogli się ciągać po jurydykeyach, ale powinni byli rzecz kończyć u siebie, zdając się na jednego z kolegów, który w pewnych okolicznościach miał władzę dozwolić im nawet rozprawy na szable, jeśliby innego nie było sposobu do zgody. Z tego powodu zdarzył się zabawny wypadek w Nieświeżu, który szczególnie okazał dobroć księcia.

Razu jednego zjechało się kilku Radziwiłłowskich przyjaciół w Samuelowie u JW. Mikołaja Morawskiego generała wojsk litewskich; między nimi był pan Leon Borowski, od śmierci pana Wołodkowieza najpoufalszy domownik księcia i pan Bonifacy Sołohub, co to kiedyś pana Skirmunta wyszturchał. Pan Bonifacy strzelał nie po tém, bo miał wzrok krótki; ale z oszczepem na niedźwiedzia żwawo chodził, bo był silny i nieustraszony. Miał on strzelbę dwururną hiszpańską, nad jaką lepszą u samego księcia nie było, i zawsze z sobą ją woził. Pan Leon, co nadzwyczajnie miał oko, chciał jęj koniecznie dostać i różne mu proponował faicyndy. Ofiarował za nią cztery konie siwo-

pstrokate, któremi przyjechał do Samuelowa; ale i to było napróżno, bo lubo pan Bonifacy do nich dość się palił, był twardy i ciągle go zbywał powtarzając: — Prędjéj się ze skórą, niż z dubeltówką rozstanę. — Na co ci się ona zda, kiedy ty strzelać nie umiesz? — Czy umiem, czy nie umiem, to nie twoja rzecz; a strzelby nie dam. — A już ci kto ma strzelbę, powinien okazać, że ona mu się zda na coś. — To szczęście, że ty nie jesteś łowczym wielkim Litewskim, bo twój zarzut mógłby mnie obchodzić; ale wiem, że może strzelam tak dobrze jak ty. — Możesz tego dać dowód; niedaleko dworu jest knieja niewielka, ale dobra; obrzuemy ją siecią, mam sforę gończych z sobą, od których lepszych i w Nieświeżu nie znajdziesz, a cała psiarnia JW. generała jest na twoje usługi; on obławy nam nie odmówi, ani dojeżdżaczów. Pójdźmy więc ze świtem do kniei; prócz ciebie nikt strzelać nie będzie. Jeżeli wyniesiesz zwierza, ja ci oddam moje cztery konie; a jeżeli skwasisz polowanie, pożegnaj się ze swoją strzelbą. — Zgoda, ale zrobmy układ na piśmie i wręczmy go JW. generałowi; bo jak ubiję zwierza, to ty żarcikami gotów mnie zbyć: — wszak my się nie od dnia wczorajszego znamy. — Pisz, co ci się podobą, ja wszystko podpiszę, bo wiem, że ubijesz zwierza, jak ci na nosie chyba siedzie.

Wziął tedy pióro i papier p. Bonifacy, i napisał tranzakcyą formalną, mocą której p. Leon Borowski komornik Słonimski, obowiązując się oddać panu Sołohubowi koniuszemu Nowogrodzkiemu, cztery konie siwo-pstrokate wraz z uprzężą, jeśliby ten na polowaniu, warunkami określonym, w przeciągu trzech godzin ubił zwierza; w przeciwnym zaś przypadku, strzelba dwururna p. Sołohuba, z napisem: *Diego mas Toledo*, złożona w ręce JW. Mikołaja Morawskiego generała Lit., uproszonego na egzekutora dobrowolnej tej umowy, miała przejść na własność pana Borowskiego. Tranzakcyą podpisana została przez obie strony i pieczętarzy; a JW. generał natychmiast wszelkie przygotowania rozporządził.

Cały dzień pan Leon napastował pana Bonifacego żarcikami, ale pan Bonifacy fantazyi nie tracił i powtarzał: — Obaczmy, kto wygra zakład. — Nazajutrz przed piątą jeszcze, wszyscy już byli w kniei samuelowskiej, zwanéj Koski. Po niejakiem czasie, wprzód nim psy głos dały, usłyszano strzał. Wszystkich to mocno zadziwiło, aż tu pan Bonifacy wydobywa się z gęstwiny, ciągnąc za ogon jednego z psów pana Leona, którego dopióro przestrzelił i odzywa się: — Proszę o konie; ubiłem zwierza! — Jak to! — powiedział pan Leon — ty za psa mnie zapłacisz, a pokaż zajaca, jeśli chcesz, aby konie były twoje. — Przeczytaj opis, panie bracie, tam o zajacu nie ma wzmianki, tylko o zwierzu, a spodziewam się, że pies zwierzę. — Do kogo innego waćpan idź ze swojemi krotofilami, a ja pana generała proszę

o strzelbę. — Pan generał na to: — Odczytamy w domu opis; a gdy strony mnie poruciły onego dopełnienie, do niego stosować się muszę.

Wrócili wszyscy do domu, pan Leon nie posiadając się ze złosci, a pan Bonifacy za boki trzymając się od śmiechu. Przybywszy do domu, pan generał włożył okulary, przeczytał transakcyę i powiedział: — Nie ma wyrażonego rodzaju zwierza, co miał być ubity, a zatem wedle opisu w istocie pan Bonifacy wygrał zakład. — Ja na to nigdy nie przystanę — odezwał się pan Leon; — odwołuję się do sumienia wszystkich myśliwych, czy pies może uchodzić za zwierzę? — A już ci nie ryba — rzekł pan Bonifacy — pożegnaj się z końmi panie Leonie, a nadal w opisach twoich lepiej się pilnuj. — Ty moich koni nie dotkniesz, a strzelba moja będzie, chyba Pana Boga nie ma na świecie; jeżeli pan generał z mojej własności mnie wyzuje, mamy juryzdykcyę; do nich się udam po sprawiedliwość. Prędkiej cały majątek stracę, niż pozwolę, aby mnie błażnictwem gnębiono. — Nie strasz mnie ziemstwem ni grodem, bo my obadwa Albeńczyki; musimy między sobą wszelkie zatargi kończyć. Ja na żadne twoje pozwy nie stanę, błaznić się nie chcę: który z naszych niech nas sędzi, ja na każdego przystaję; najwłaściwiejby gospodarz postanowił. — Z przeproszeniem JW. generała, jak się na niego zapiszę, to zasłużę, by mi szarą gęś przypięto; pan generał przed wprowadzeniem sprawy już waćpanu słuszość przyznał: piękniebym wskórał w jego sądzie. — A pan generał: — ja się nie i ubiegam bym'wasze spory rozstrzygał; zapiszcie się na kogo chcecie, a ja zatrzymuję konie i strzelbę u siebie, i temu oddam, komu je dekret kompromisarski przysądzi. — Przystaję na to, — odpowiedział pan Bonifacy — i piszę się na kogo zechce pan Leon, byle na Albeńczyka. Uważajcie panowie moją powolność: wygrawszy sprawę, poddaję ją pod sąd: bo wedle opisu rzecz skończona, i mam niezaprzeczone prawo do koni jak i do strzelby. — To waćpan tak sobie tłómaczysz interes; ale obaczmy co inni powiedzą. Jeżeli ci co psy biją, mają się nazywać myśliwymi, to moje konie przepadną. — Ja o waćpana przycinki nie stoję. Całe życie przywykłeś z drugich żartować, to waćpanu teraz nieznosnie, że z samego zażartowano. Ale tu idzie o rozstrzygnięcie rzeczy, kto ma nas sędzić? — Ja na samego księcia wojewodę się zdaję. — Zgoda, niech naczelnik nas sędzi. JW. generał miał dziś do Nieświeża jechać, jedźmy z nim i tam kończmy; JW. generał nie zapomni zawieźć z sobą naszego opisu. A patrz, panie Leonie, jak sprawa ze mną łatwa: że już ty spieszony, ofiaruję ci miejsce na mojej bryczce. — Nie doczekasz nigdy, abym z twojej łaski miał korzystać; wolę iść piechotą, niż siedzieć na waćpana powozie. Ja choć lubię żartować, ale bez cudzej krzywdy, a waćpan po moją własność

sięgasz. Wstydzilibyś się z taką sprawą przed księciem występować; śmiechu tylko z siebie narobisz. Trzymaj już nareszcie strzelbę, ale dla Boga, odepnij się od moich koni. — O prawda! jaki waćpan mądry! Tylko że nie wmówisz we mnie, bym odstąpił od mojego; sam się wstydzić będziesz w Nieświeżu za swój upór, i że będąc komornikiem dałeś się złapać w opisie przez takiego, co nigdy nie był w palestrze. A kiedy nie przyjmujesz mojej grzeczności, mniejsza i mnie z tém, że wolisz iść piechotą, niż obok mnie siedzieć.

Pan Leon nie odpowiedział; a widząc, że wszyscy w tym interesie sprzyjali panu Bonifacemu, tak się rozłożył, że od nikogo miejsca przyjąć nie chciał w powozie, choć mu je każdy uprzejmie ofiarował, ale u arendarza furę najął, i sam jeden puścił się do Nieświeża. Zjechawszy się w Nieświeżu, opowiedziały strony interes księciu, prosząc, by chciał zostać superarbitrem. Na to książę: — Dobrze, podejmuję się tego: jedźcież więc do Nowogródka, i wracajcie z przyznaną inskrypcyą. Zaczęto ją pisać: pan Leon chciał koniecznie, by w niej domieszczono, że książę wojewoda Wileński będzie sądził rzecz wypływającą z komplonacyi w Samuelowie zawartęj, tłómacząc wyrazy wedle ich znaczenia powszechnie przyjętego; ale pan Bonifacy temu się oparł, sprawiedliwie wnosząc, że takie informacje w inskrypcyi byłyby pewną nauką ubocznie księciu daną, przeciwną delikatności winnej tak wielkiemu mężowi, i kiedy książę podejmuje się sądzić sprawę, to nie może być, jak tylko sędzią bezwarunkowym, i strony wszelką ufność powinny w nim położyć. Dał się przekonać pan Leon, bo w tém jednomyślnie wszyscy obecni przyznali słuszość panu Bonifacemu; pojechali więc z inskrypcyą do Nowogródka, ale każdy osobno, bo pan Leon tak był rozjątrzony na pana Bonifacego, że mówić z nim nie chciał, a cóż dopiero obok niego w pojeździe siedzieć. Pojechali więc, przyznali inskrypcyą przed grodem, i nazajutrz wrócili do Nieświeża ze wszelką gotowością. Książę zapisał akt sądu kompromisarskiego, i kazał sprawę wprowadzić, a że był biegłym w sądownictwie, pomiarkował, iż strony będąc na siebie bardzo zawzięte, nie mogłyby tłómaczyć swojej rzeczy bez wzajemnych lezji, po których, jako ludzie odważni i zuchwali, skończyliby na gorszym; gdy przytém obadwaj byli mu miłymi, i gdy zawsze między swoimi Albeńczykami ile możności jedność chciał utrzymać, nie pozwolił żadnemu z nich ani słowa wyrzec przed ogłoszeniem dekretu, i nazaczył kary po dwieście złotych na rzecz Bonifatrów nowogrodzkich za każde odezwanie się tak jednej, jako i drugiej strony. Z tego powodu obligował mnie p. Leon, abym od niego stawał. P. Bonifacego obrońcą był Jerzy Płaskowicki, okolniczy Smoleński, jeden z Albeńczyków szczególnie szacowanych od księcia. On to w czasie bezkrólewia, zastępując miejsce rejenta aktowego

w Nowogrodzku, przyjął przeszło sześćdziesiąt manifestów od obywateli, żalących się na konfederacyę generalną, lubo ta konfederacya pod karą *abjudicationis ab omni activitate*, zabraniała kancelaryom przyjmować wszelkich manifestów przeciw jęj czynnościom. Za to został uwięziony i prowadzony Bóg wie dokąd; ale szczęściem, nie dochodząc do Swierżnia, pan Aleksander Odynieć napadł na komendę, rozsypał ją i uwolnił pana Płaskowickiego, który kilka lat po Prusiech musiał się tułać. Dopiero konfederacya Radomska zdjęła dekret *abjudicationis* i banieyi, na niego przez kaptur nowogrodzki ferowany; a dla większego dowodu, iż mu się *activitas* wróciła, król Stanisław dał mu przywilej na okoliczność Smoleńskie.

Każda strona, na żądanie samego księcia, dodała mu po jednym arbitrze, *cum voce consultativa*; od pana Leona zasiadł pan Michał Rejtan pisarz ziemski Nowogrodzki, a pan Bonifacy uprosił pana Michała Radziszewskiego chorążego Starodubowskiego. Wprowadzenie sprawy, indukta, repliki, wysłuchanie świadków, trwały dni dwa, po których upłynieniu książę ogłosił dekret, przysadzający cztery konie panu Bonifacemu Sołohubowi; a stosując się do konstytucyi 1784 r., za sprzeciwienie się pana Leona Borowskiego dobrowolnemu opisowi, nakazał mu zapłacić grzywien około dwóchset złotych na rzecz pana Bonifacego, z których potracił ośmdziesiąt złotych na bonifikatę szkody jego, poniesionęj w psie gończym, zastrzelonym przez pana Sołohuba.

Pan Leon, gdy czytano dekret, pobladł, wargi mu się trzęsły, i nie podziękowawszy księciu, w niepomahowanym gniewie natychmiast wyjechał z Nieświeża. Przybywszy do Niehoreły, dóbr, które z łaski księcia za bezcen trzymał, napisał list do księcia pełen wymówek, wyrzucając mu niesprawiedliwość, i odsłaniając mundur albeński z oświadczeniem, że już do tego towarzystwa należeć przestaje, nie chcąc mieć dłużej nad sobą naczelnika tak parcyalnego w sądownictwie. Dodał przytém, że nieprawemu wyrokowi nigdy nie ulegnie: że jako wolny szlachcic będzie szukał sprawiedliwości po sądach szlacheckich, nie znajdując jęj w kaprysach pańskich, i inne dotkliwe rzeczy. Książę, gdy odebrał list, głośno kazał go odczytać. Myśmy potruć chleli na taką zapamiętałość pana Leona względem swojego dobroczyńcy. Ale książę, zamiast coby się miał obruszyć, zaczął się śmiać do rozpuku mówiąc: — Panie kochanku, coś pan Leon bardzo się rozchimerował: jednak jakoś się da przeprosić.

Tu nie koniec. Pan Leon wyraźnie jakby do niego coś przystąpiło, zaczął ciągać księcia po sądach, usiłując wszędzie zwać kompromisarski dekret, a wszędzie przegrawszy, podał na księcia prośbę do rady nieustającej. Dopiero książę się obraził: bo tój jurydyceyi nienawidził, i opierał się co miał siły jęj ustanowieniu: był albowiem

przekonany, że ona jest niezgodną z niezawisłością władz sądowniczych i z powagą sejmów. Istotnie jakaż może być udzielność sejmowa w tworzeniu praw, skoro jest magistratura tłómacząca też same prawa? Pan Leon nie zgola nie wskórał: bo rada nieustająca odmówiła mu uchylenia dekretu, tém więcej, że wówczas jęj marszałkiem był JW. Jelski podkomorzy Smoleński, mąż światły, i znający, że w narodzie żadna władza nie jest w prawie naruszyć świętości kompromisu; a książę, do najwyższego stopnia obrażony, zaawizował pana Leona o wykupno Niehoreły, i złożwszy sumę przed aktami, odebrał na siebie majątek, więcej rocznego dochodu przynoszący, niżeli wynosiła cała kwota zastawą na nim oparta. Nadto jeszcze się odgrażał, że na tém nie poprzestanie, i kilkakrotnie prawie codziennie przed nami powtarzał: — Panie kochanku, nie mam ani przyjaciół, ani sług wiernych; pan Leon mnie ukrzywdził, a nikt się za mną nie ujmuje. Biada temu, kto przyjaciół przeżyje; gdyby żył Zawisza, lub Wazgird, lub Bohuszewicz, dawnoby pan Borowski poznał, co to jest Radziwiłła krzywdzić; a cóż dopiero, gdyby Ignacy Wołodkiewicz zmartwychpowstał! Wszyscy Albeńczycy moje folwarki za bezcen trzymają, sładzą się panoszą, i to całe ich przywiązanie! — Te słowa wewnętrzności nam przeszywały jakby nożem, bośmy i pana Leona szczerze kochali, pomimo jego dziwactw. On, będąc w największych względach u księcia, nie tylko że żadnemu z nas nie był na przeszkodzie, ale owszem każdemu pomagał, za każdym mówił i prosił, tylko za sobą nigdy. Z drugiej strony, nasze obowiązki dla księcia były święte: my chleb jego jedli, i smaczny; i gdyby pan Leon nie przeprosił księcia, radzi nieradzi, musieliśmy się z nim rozprawiać; bo sławy swego pana od napaści bronić trzeba. Przyjaciele tedy i sładzą księcia, zrobiliśmy między sobą jakby sejm jaki, aby jakoś tak rzeczy pogodzić, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, ani względem przywiązania i wdzięczności dla naszego księcia, ani względem przyjaźni, którąśmy dochowywali panu Leonowi. A że pan Jerzy Płaskowicki był między nami mężem wielkiego zdania, jedynym do rady, szanowanym przez wszystkich i mającym wielką wziętość u samego pana Leona, uprosiliśmy go, by się do niego udał, i wniósł mu, aby się upokorzył przed księciem, jak sama słusność tego wymagała po nim, a nie czekał, aż my, pomimo że go kochamy, zmuszeni zostaniem, chociaż z boleścią serca, zadość uczynić naszej powinności, jak tego bywały przykłady: bo książę, lubo z uniesienia wyrzucał nam, żeśmy na jego sławę byli obojętni, w duchu dobrze wiedział, że nie tak rzeczy się miały, i niedawno był odebrał dowód, ile jego przyjaciele i sładzą byli do niego przywiązani. Kiedy książę Michał Radziwiłł, wówczas kasztelan Wileński, mając sprawę z księciem wojewodą, sprowadził był na niego aż z Poznania sławnego

mecenasa pana Ratyńskiego, co go dobrze w Wilnie pamiętają, bo chodził po niemiecku z ogromną upudrowaną fryzurą i z koleczykiem przy lewém uchu, to gdy on mecenas przeciw naszemu księciu w indukcje wystąpił z leżymi w przytomności kilku Albeńczyków, ci to na pozór obojętnie przyjęli, ale dwóch dni nie upłynęło, kiedy książę kasztelan z panem Ratyńskim wyjechali na kawę do Pohulanki, gdzie już trybunalska jurydykeya nie dochodziła. Pan Paweł Uzłowski i pan Bazyli Czeczot, obaj Albeńczyki i Nowogrodzianie, z kilku sługami księcia wojewody tam wpadli, i w obliczu księcia kasztelana, jego umocowanemu po niemieckich pludrach porządną dali pamiętkę. Książę kasztelan tak się przeląkł, by i jemu samemu się nie dostało, że w Wilnie parę niedziel obłożnie chorował; a pan Ratyński, wylizawszy się, po cichu, że go świat nie widział, wrócił do Wielkopolski ze swoim nadspodzianém honorarium. Książę wojewoda umiał ocenić dowód poświęcenia, ale był nieco markotny, iż z jego powodu chybiło się gościnności na Litwie względem brata Wielkopolanina, i to wymawiał; a pan Bazyli Czeczot jeszcze nas wszystkich i samego księcia rozśmieszył, tłumacząc się, że wedle praw naszych *in loco delicti* każdy powinien być karany. Kiedy więc nie oglądano się na JO. księcia kasztelana, wysokiego senatora i imiennika naszego księcia, czegożby się nadal mógł spodziewać pan Leon? Jednak wiadać było po księciu, że w duchu taki tęsknił za panem Leonem; bo choć się na niego odgraża bywało póki trzeźwy, jak się podochoci, przez zapomnienie często go wspomina w dobry sposób, a wyspawszy się, znowu się odgraża.

Pan Jerzy znalazł pana Leona w Słoniemiu, gdzie on był komornikiem, i zastał go ledwo nie w czarnej melancholii. — Patrz, panie okolniczy, powiedział mu przywitawszy go, gdzie mnie czart zapędził. Dwudziestoletnie zasługi diabli wzięli, piękny majątek utraciłem, i jeszcze wcześniej czy później po skórze oberwę: nic nie brakuje, tylko tego. Czémże pana przyjmę? Mam półgarnea wódki starój, tym traktować będę, bo z kądem wiać co więcej? już moje pasy lite zastawione, po żydach się walają, a sakiewka pusta. Dało mi się we znaki polowanie samuelowskie! ale sam znam, że się nie popisał. Wstyd mi. W Warszawie chodząc jak chłystek koło rady nieustającej za moim głupim interesem, którego nie mogłem nie przegrać, chociażbym i królewskim był synem, takem się wyszastał ze wszystkich moich funduszów, że chyba piechotą byłbym na Litwę powrócił, gdyby pocziwy Sołohub nie był mnie zamtąd wywiozł. Sołohub płakał przedemną, krusząc się, iż z niego wyszło moje nieszczęście. Co on winien? Ja jak ostatni błazen postąpiłem. Jakem wpadł w niełaskę u księcia, to odemnie stronią, jak gdybym w dziegiu był skąpny. Bóg ci odplaci, żeś o mnie nie zapomniiał. — I naławszy

kielich wódki, wypił do pana Jerzego. Wypił i pan Jerzy. — Co myślisz z sobą robić, panie komorniku? — Albo ja wiem co będzie dalej? Teraz przyjacielskie oblicze mi zabłysło, tego dawno nie było, więc zmartwieniom robi się przerwa, jest przynajmniej z kim wypić. Na frasunek, dobry trunek: do waćpana, panie okolniczy. — A cóż to, panie Leonie, czyż z desperacyi gorzałką już się rozpiłeś? — Kto, ja? jakem sodalis, wodę jak kaczka piję. Abo mam za co i z kim pić? Wiesz, z kądem u mnie ta wódka? oto wczora tydzień się skończył, jak ona nienaruszona stoi w tój flaszy. Przybył do mnie szlachciec z Zaścianka Raców: wszak musisz znać okolicę Raców pod Nowogródkiem? — A dla Boga! — Nieborakowi parę koni ukradziono; opytem trafił za nimi do Słoniemia, gdzie je znalazł u Fabiasza sukiennika: nie mając tu prócz mnie znajomego, bom nieraz na słomki w jego okolicy chodził, do mnie się udał, i garniec wódki starój mi przyniósł, prosząc o pomoc. To z nim razem część jego wódki wypilem, a potem biedakowi wykierowałem interes. Fabiasza nastraszyłem grodem, ale tak, że żydzisko nie tylko iż konie oddał, ale jeszcze dwadzieścia złotych nawiązki mu odliczył za ekspens podróży. Cóż to, panie Jerzy, nie pozwalasz bym do ciebie wypić? — Ach, kochany panie Leonie, jabym truciznę gotów z tobą pić; ale wolałbym wina kieliszek. — To już wyraźnie natrząsas się ze mnie. Gadać o winie takiemu, co pięciu złotych nie ma przy duszy! minęły te czasy, kiedy pan Leon z niehorelskiej piwnicy łaskawych przyjaciół częstował: teraz czém bohat, tém rad. — Ja ci pożyczę pieniędzy. — Dziękuję, łaskawy przyjacielu; a gdzie *pignus responsionis*? Wszak wiesz, że sumka którą miałem na Niehorele jest nieboszczki mojej żony: leży ona teraz w aktach nowogrodzkich bez pożytku dla mnie; a czterdzieści tysięcy moich własnych, co mi zostały z krwawej pracy, siadły makiem u pana Łopata: od trzech lat ani kapitału, ani procentu nie widzę. Ja je mam za przepadłe. — Co za nowa desperacya! — Albo to ja pozywać się będę kiedykolwiek? Dał mi się już proceder we znaki! Gdyby kto mi teraz i chłopstwo zadał, tobym się nie bronił. Dziękuję ci, panie Jerzy, ale twojój ofiary nie przyjmę. — Panie Leonie, porzuciłbyś bluźnić! Wszak wiesz, że nie uchodzę za takiego, co swoje pracę w błoto rzuca. Kiedy ci chęć pieniądze powierzyć, to widno muszę upatrywać jakąś pewność dla siebie. Oto masz w tym ładunku sto czerwonych złotych; wykup coś pozostawiać, potraktuj mnie dobrém winem, jeśliś mi rad, a pieniądze wrócisz mi w Nieświeżu. — Wszelki duch Pana Boga chwali! Ja w Nieświeżu! Wątpię, panie okolniczy, żebyś za dobrą ewikęją swoich stu czerw. zł. przyjął monetę, która dla mnie przygotowana w Nieświeżu, a która (dodał z głębokim westchnieniem) i tu nakoniec mnie znajdzie. — Co mamy na sucho rozprawiać? Bierz pieniądze, poślij po wino, na-

pisz mi dokumencik, a przy kielichu i uradzim i uradujem się. — Toć to i Bóg i ludzie wiedzą, że masz więcej rozumu niż ja: zrobię co każesz.

Odliczył pieniądze pan Leon, i swego chłopca posłał do winiarki, dając mu czerwony złoty i mówiąc: — Ruszaj do Małgosi, połóż jój w ręce co ci daje, żeby mi przysłała przez ciebie garniec tego wina, co po officyale Świętochowskim dostała. — Sama nadzieja, że będzie traktował gościa miłego dobrém winem, rozweseliła pana Leona. On, co był najgościnniejszym z ludzi, odzyskał teraz ten humor, jaki zwykle miał będąc wyrocznią nieświeżką.

Przynieśli wino: zasiedli obaj przyjaciele; pan Leon dokument napisał, odczytał go z uwagą pan okolniczy, i porządnie złożywszy schował w zanadrze. Kielichem zaczęli się bawić. Opowiadał różne dykteryjki pan Leon, tak dowcipne, że nie tylko garniec, ale i dzieśnięć możeby się niepostrzeżenie wypróżniło, tak miło czas schodził. Ale gdy przyszło do interesu, to jest, jaką furtką trafić do księcia, zaczęły się smażyć umysły. Rozmaite środki podawał pan Jerzy, a pan Leon zawsze odpowiadał: — Ja na to się nie odważę, znam księcia pierwszy impet; jak mu się pokażę, krwawo mnie shańbi, i nie jeleń, ale pan Leon *personaliter* weźmie w skórę; i między nami, wart tego. Nieraz sam sobie chce dać po skórce, a onby mnie miał folgować! Nadto mu się naraziłem. On poczeiwe ma serce, ale mój postępek był tak nieroztropny, tak niewdzięczny, tak zapamiętały, że i świętej pamięci księciu Sierotce byłbym się naprzykrzył. Nie ma rady, on wszelkie do mnie przywiązanie utracił. — Otóż wiesz co, panie Leonie, on ciebie kocha. Kiedy trzeźwy, to na twoim łbie szyny żelazne łamie; ale jak tylko się podechmieli, ciebie szuka, i przymrużywszy oczy mruczy, nalewając kielich: „Do ciebie, panie Leonie”. — Co powiadasz? — Bóg świadek, że kilka razy to było przy mnie. Cały dwór za tobą tęskni: raz, że ktoby cię nie kochał, wilezeby miał serce; powtóre, że nie ma komu za tym lub owym do księcia w interesie się wstawić. Książę Katembryng, co tylko się sumienia książęcego nie tyczy, do tego się nie mięsza, i za rodzonym ojcem słówka nie powie; pan Mikołaj Morawski, rad że mu się udaje nieraz księcia z błotem zmieszać, jak ten go zniecierpliw, na tém poprzestaje, i ni za sobą, ni za nikim, jak wiesz, nigdy się nie odezwał. Ile razy książę kogo obdarzył, to on mówi: Zapłać twoje dług, a dopiero bądź wspaniałym. Pan Michał Rejtan, który u niego coby chciał wyprosić, a pięciu djabłów się nie zleknie, przed nim ust nie śmie otworzyć; a oprócz tych trzech, nikomuby i nie bardzo uszło być z księciem zbyt śmiałym. Po tobie tęsknim wszyscy, i jeżeli ci prawdę mam powiedzieć, bo ty wiesz, że *in vino veritas*, cała Alba mnie do ciebie, panie Leonie, wysłała w delegacji, abym ciebie jakoś przywabił do

przeproszenia księcia; bo wszyscy radzi mieć po dawnemu twoje plecy za sobą w Nieświeżu, a nie być zmuszonymi gdzieś tobie drogę poniewolnie zastąpić. — Tam do diabła! Kiedy tak się rzeczy mają, pojedę do Nieświeża. — Kiedy? — JW. Plater kasztelan Trocki w przyszłym tygodniu żeni się z panną Rzewuską chorążanką Litewską, siostrzenicą księcia; więc jadę do Nieświeża na wesele. — Także ci przystąpiło coś nowego do głowy, taki dzień wybierać! Nieproszonemu na wesele się pokazać?.. — Albo ja sam nie potrafię się zaprosić? — Czy ty oszalał! wszystko u ciebie bez miary: toś dopiero do zbytku był tchórzliwego serca, a teraz wpadasz w zarozumiałość. Posłuchaj mojej rady. Po weselu, jak się porozjeżdżają, a książę zacznie tęsknić za siostrzanką, przyjdiesz do niego z księdzem Katembryngiem, i powiesz. — Ta ra ra ra! A co to ja na szubienicę dekretowany, żebym w asystencyi księdza chodził? Ja wolny szlachciec przecię: nie dam sobie w kaszę napluć. *Audaces fortuna juvat, timidosque repetit.* — Dość o tém, panie okolniczy dobrodzieju: co Pan Bóg natchnie, to się zrobi; a teraz cały frasunek, że u garnca dno się pokazuje. Pozwolisz po drugi posłać? — Nie, nie, jakem sodalis, ani kropli. Będzie ze mnie. Moje konie popasły, słońce nisko, a przed zachodem muszę być u JW. Słiznia podkomorzego Słonimskiego, w interesie mojego szwagra, i tam przenocowawszy, ze świtem wracać, dla opowiedzenia się z mojego poselstwa do ciebie przed sejmikiem relacyjnym dworu nieświeżskiego. Bywajże mi zdrów, kochany panie Leonie, niech Pan Bóg tobie instynktuje i nie dopuszcza na ciebie nowych szaleństw! Tylko ceremonii ze mną nie rób; trafię do moich koni. — A jużci na progu żegnać ciebie nie będę. Niech cię Bóg prowadzi i odpłaci dobroć twojego serca. Wszystkim kłaniaj odemnie, a najwięcej pani okolniczyni, mojej dobrodziejce. Kiedy mi wszyscy dobrze życzą, tém samém widać, że Bóg ze mną. Oj bieda, że u mnie nocować nie chcesz. — Jakem sodalis, gdyby nie mojego szwagra interes, kijembyś mnie od siebie nie odpędził. Upadam do nóg twoich, panie Leonie. — Z boleścią serca rozstaję się z tobą, panie Jerzy. Nie zapomnij westchnąć za mną czasem do Pana Boga i Najświętszej Panny, aby mi się udało: wszak my obydwaj sodalisy.

Tak pożegnawszy się czule, pan okolniczy siadł na swoją bryczkę, a pan Leon w dobrej nadziei i w wesołym humorze, z dziedzińca wrócił do swojej izby. Opowiadał nam pan Jerzy za powrotem do Nieświeża to wszystko, com opisał. My się nigdy nie spodziewali, żeby pan Leon odważył się bez przygotowania wpaść do Nieświeża, jeszcze w czasie, kiedy książę siostrzenicę wydawał, i kiedy listy zapraszające po całej Litwie biegały. Jakże tu było nieproszonemu przyjechać do

zairytowanego na siebie gospodarza! Ale kto mógł pana Leona przeniknąć!

W dniu, w którym się miało odbyć wesele, pamiętam jak dziś, o dziewiątej z rana, po Mszy św. książę siedział w sieni, dokąd mu przynieśli w kobiałce szczenięta świeżo narodzone z Nepty, wyżlicy faworytnój. Książę był w złym humorze, bo nie nie mówił, tylko mocno sapał, głaszcząc sukę i jej potomstwo, a nakoniec odezwał się: — Panie kochanku, kazałem aby mi z Łachwy kilka łosi i dzików przywieźli na wesele chorążanki, a dotąd ich nie widać. Przyjdzie się wstydić przed kasztelanem Trockim, że u Radziwiłła kapcański obiad. Nikt mnie nie słucha, drwią ze mnie, odkąd mnie pan Borowski ukrzywdził bezkarnie; za Boże stworzenie mnie nie mają. Trzeba uciekać z Litwy; bo doczekam tego, że we własnej mojej chacie W. komornik Słonimski da mnie w skórę, a moi przyjaciele jeszcze mu pomogą. Jak tylko oddam chorążankę, zaraz wyjadę do Ołyki; między koroniaszami szukać będę przyjaciół, a Litwy i znać nie chcę. — I coraz mocniej zaczął sapać; a my, cośmy go otaczali, nie wiedzieli co z sobą robić, tak nas temi wymówkami piłował. Wtém w sieni drzwi się odmykają i wchodzi... Kto? pan Leon Borowski! z miną gęstą, w kontuszu nowogrodzkim ponsowym, z pasem tak litym, że aż się oczy śmiły, i niziuteńko skłonił się przed księciem. Książę tak się zmieszał, że aż języka zapomniał w gębę. Wstał, znowu usiadł w krzesło i odezwał się w roztargnieniu: — Co słychać, panie Leonie? — Teraz słychać, że dwóch wielkich głupców na Litwie. — Kto taki? — Jeden książę Karol Radziwiłł wojewoda Wileński, drugi Leon Borowski komornik Słonimski. — Jak to! — przerwał książę mocno zasapawszy. — A tak, książę panie. Radziwiłł, że się porwał na imperatorową, a Borowski, że się porwał na Radziwiłła.

Coż powiecie? książę zamiast coby się miał gniewać, zaczął się śmiać do rozpuku, a potem rzekł: — Panie Leonie, waćpana całe życie błazeństwa trzymać się będą. A kto właściwie zaprosił do Nieświeża na wesele? — Sam się zaprosiłem, książę panie; zateśkniłem się w Słoniwie. Wykroczyłem, o tém Bóg i ludzie wiedzą; więcej jeszcze, niż sam książę; bij mnie, bom wart tego; ale ostrzegam, że W. Ks. Mość i hakami od Nieświeża mnie nie odpędzisz, — i kląkł przed księciem. Książę się rozczulił, kilkakrotnie go ucałował, mówiąc: — Panie Leonie, bądź dobrej myśli, a o tém co minęło, nie gadajmy.

Pan Leon padł do nóg i rozbeczał się: książę go podniósł i zaprowadził do stancyi, dokąd my wszyscy za nim poszli. Książę ciągle odtąd był wesół; bo pan Leon miał dar szczególny jego rozweselać, jako i nas wszystkich. Wrócono mu Niehorełę i mundur

albeński przy dawnych względach, i odtąd już nigdy pan Leon księciu się nie naraził. Takiego to pana, któremu równego nie było i nie będzie, śmiały francuzcy pisarze nazywać barbarzyńcem!

XVI.

Palestra staropolska.

Odkąd ludzie żyją, nigdy nie było takich przemian w tak krótkim czasie, jak jest życie moje. Wszystko się albowiem odmieniło: stan, obyczaje, wiara, ludzie, tak, że gdyby człowiek dzisiejszego wieku mógł mieć przed oczyma obraz dawnych czasów, nie poznałby swojej ojczyzny, a jeszcze mniejby ją poznał wskrzeszony starzec, co przeżywszy panowanie dwóch Sasów, w pierwszej połowie królowania Stanisława Augusta rozstał się z tym światem. Czy więc było rozumu dawniej, czy teraz? to zadanie jabym tak rozwiązał: teraz więcej ludzi rozumnych i nierównie więcej, ale dawniej sława rozumnego człowieka była więcej zasłużona. Jakoś to dawniej nie było tych ludzi rozumnych ogólnie: każdy rozum swojej rzeczy pilnował. Ten był teologiem, ów geometrą, tamten prawnikiem, inny wierszopisem; i takich było niewiele, a lada kto nie przywłaszczał sobie prawa do rozumu. Szlachcie otwarcie wyznawał: „ja sobie prosty człowiek, tegom się nie uczył, i w tém objaśnienia dać nie umiem; ale jest taki, który tę rzecz dobrze zna”, i jego wymieniał. Teraz pełno ludzi, o których powszechnie mówią, że są rozumni; ale zapytaj w czém, tego nie dopytasz: powiadają, jestto człowiek rozumny i kwita. Ten rozum zdaje się być jakimś drażkowym, nakształt owych województw odpadłych, których krzesła się zachowały, a urzędnicy (nie przymawiając sobie) jurydykeji nie mieli. Wieluż to doktoryzowanych chemików z Wilna wychodzi? a weź którego z nich do urzędu browaru, obaczysz co wskórasz. Sparzyłem się na podobnym mędrku, aż mi wstyd. A prawnicy terazniejsi! Panie Boże odpuść profesorom, co ich uczą. Użyj którego z nich do sprawy; będzie o rzeczach przedpotopowych rozmawiał, a kiedy co

napisze, to chyba drugiego jurystę sprowadzisz, żeby ci to wytłómaczył. A jakie tony, jakie rozumienie o sobie, jakie lekceważenie dawnych prawników! Każdy z nich siebie ma za ministra. To też się ich i nie dopłacisz. Dawniej połowę palestrybyś zaspokoił tém, czego się teraz jeden domaga. Dawniej jurysta, kiedy nad interesami zęby zjadł i dobrze osiwił, a miał wieś w dożywociu i kilkadziesiąt tysięcy po ludziach, o! to uważał siebie za szczęśliwego, i codzień Panu Bogu dziękował; dzisiaj popatronuje parę lat w ziemstwie lub trybunale, podejmie się interesów jakiego niedoświadczonego panicza, i nim drugich parę lat upłynie, już krocie rachuje. Zysk ma w kieszeni, bez szkody w sumieniu, bo sumienia dawno nie miał; a Bóg widzi, że praw naszych nie rozumie, tylko bezczelnością nas zaciera, a my starzy, widząc że nas za nic mają, ręce opuszczamy. Po części mają oni słuszność; bo na taki skład rzeczy, jaki teraz nastąpił, ich rozum lepszy od naszego. Szczerze się wypowiadam, że ani jurydyce, ani procedury, ani szlachty terazniejszej nie rozumiem. Ten sam sąd w jednej sprawie raz powie czarno, drugi raz powie biało, jak mu wypadnie. „Takie moje przekonanie“, oto cała odpowiedź sędziego żalącemu się na rozbój. Krzyczą na niego, krzyczą, że on prewarykator, że bezsumienny, że sikorki chwytą. A gdy nadchodzi sejmik, myślisz, że ani się pokaże przed ludźmi! Bynajmniej! otwarcie idzie na urząd, a ta sama szlachta, co dopiero wrzeszczała, prosi go z zapamiętem, aby następne *triennium* raczył się podjąć sądownictwa. I jacyż to sędziowie! znam ja takich, co złamanego halerza nie posiadają, a przeciw urzędują. Kto terazniejsze czasy zrozumie!

Przed dwoma laty JW. Zabięto, co mnie zaszczyca swoją łaską, a którego ojca kiedyś na rękę nosiłem, na kontraktach nowogrodzkich widząc się ze mną, mówi mi: — Mój cześniku, byłeś przyjacielem ojca mego: mam sprawę, bądźże łaskaw zasil swoją radą konferencyę, którą w tym przedmiocie zbieram u siebie. — A ja mu na to: — Co ja panu pomogę mojem starém doświadczeniem, i na co się zda konferencya? Teraz żadna sprawa ani tak dobra, by jej nie przegrać, ani tak krzywa, by jej nie wygrać. Niech pan rzuci na stół garść brzęczących: kiedy *ceť*, to wygrasz; kiedy *łiszka*, to przegrasz. Oto najlepsza dziś konferencya rozumów terazniejszych prawników. „A! i dawniej bywała po sądach prepotencya magnatów“, do sytości powtarzają ludzie terazniejsi. Ja na to tak odpowiadam: — była czasem forsa, mieszejąca bieg sprawiedliwości, ale i w tém złém jakieś sumienie się przeciskało. Słaby sędzia dogadując panu, zwlekał jak mógł, nękał szlachcica przewłokami, niszczył go tém, ale go nie zarzynał, jak dziś. „*Expecta cadaver*“ mówił mu, i chociaż nikt tego nie pochwali, przecie krzywego dekretu nie podpisał. Jeżeli kiedy niekiedy bywało zgorszenie, ludzie się gorszyli; a teraz sędzia sumienny

nie więcej ważny od zaprzedajnego i podłego, w obliczu zepsutego powszechnie społeczeństwa. Gdyby przed jakimś terazniejszym ziemstwem lub trybunałem wytoczyła się na nowo ta sama sprawa, od której to kiedyś Piłat ręce umywał, a Żydzi położyli jeden i drugi ładunek dukatów, i rzadca, nieżyczliwy Chrystusowi Panu, jeszczeby zrobił nadzieję, że dla członków tego sądu wyjedna ćwierć łokcia zielonej wstążki z białymi albo żółtymi brzegami: przekonany jestem, że nasz Zbawiciel powtórnieby został umęczony. Jakoż go nie przestają u nas krzyżować rozpustą, oszukaństwem, obojętnością na jego prawa, sobkowstwem, i tak dalej. A że jednak pomimo tych niegodziwości nie można przeczyć, iżby miłość kraju nie przeważała we wszystkich sercach, skarżą się na Pana Boga i szemrzą, że raju nie wraca On, coby mógł to skutecznie jednem skinieniem swojej wszechwładnej woli. Albo my zasługujemy na to, iżby cuda nam robił? Panowie bracia! kto chce gmach wystawić, powinien się najprzód w kamień i wapno i cegły opatrzyć. Jeżeli cegły są kruche, że aż pod ręką się rozsypują, może być gmach? Kraj jest gmachem, a my cegłami. Wypalmy siebie w cegielni wiary i wytrwałości, a potem weźmijmy się do budowy, to w samém budowaniu ściany jak dotąd nie będą się waliły. Zapewne to nie smaczno: łatwiej być męczennikiem, niż pokutnikiem, łatwiej walczyć i ginąć, niż całe życie mieć siebie w strażu, chronić się od niegodziwych zysków, kielznać swoje chuci, unikać wszelkich stosunków z Filistynami, i zamiast uciskania włóścian, podnosić ich do godności człowieka. Ale chociaż męczeństwem po rozbrykanym żywocie można duszę zbawić, kraju męczeństwo samo jedno nie zbawi. Trzebaby być dla niego pokutnikiem, wyznawcą, pustelnikiem, dziewicą nawet, a dopiero się on zbawi. Tak droga rzecz lada czém się nie okupi; a każdy grzech zapłatę swoją weźmie. Niechno kto przepatrzy dzieje domów pańskich, a przekona się, że jeżeli który z nich upadł, zawsze się znajduje gotowa przyczyna w postępowaniu jakiegoś przodka. Jeżeli kto od jakiego (wedle swojego wyobrażenia) złego chroni się grzechem, pewnie większe zło nastąpi, niżeli to, którego chciał uniknąć. Dom Sapiehów na Litwie nienasycony był w domaganiu się starostw, ciągle burzył się, pokąd nowym udziałem skarbu rzeczypospolitej królowie go nie zaspokoili, nim na nowo łakomstwo nie wznieciło zaburzenia: za to jego potomkowie, chociaż ze wszech miar godni, do ubóstwa przyszli. Był jeden wojewoda, co uważał swój dom być poniżonym, że syn jego pojął pannę starożytnego rodu, ale którego blask z jego domem się nie równał. Kazał ją porwać, by zmusić do rozwodu, bo taka była myśl jego; jego słudzy, chcąc lepiej jeszcze służyć swojemu panu, utopili niebogę. I to się działo w narodzie chrześcijańskim! Cóż z tego wynikło? Oto pan wojewoda nie mógł znieść, że jego jedynak skojarzył się z ubogą szla-

chcianką, która jednak senatorów liczyła między przodkami; a później tenże sam syn ożenił się z kobietą, która goryczą i sromotą schyłek jego żywota zatrzymała. Takto za zbrodnie dziadów i ojców niewinne syny i wnuki pokutują. Czego szczególne domy, tego i ogólna ojczyzna doświadcza. Kiedy się nią opiekując, Pan Bóg tyle narodów ruskich nam powierzył, jakże się my z niemi obchodzili? Wstyd wspomnieć. To też Pan Bóg i nas samych poddał pod jarzmo, w którym opłacamy przodków okrucieństwa. Za dawnych czasów już my się byli opamiętali, i poddaństwo ruskie już bardzo było łagodnie rządzone; potem, jak ogarnęło łakomstwo serca obywatelskie, takiej nieludzkości zaczęto się dopuszczać z włościanami tamtejszymi, o jakiej my nawet wyobrażenia nie mieli. Nie tylko że całkowitą pracę poddanego przywłaszczyli sobie, ale duszę jego gubią, pobudzając go do pijaństwa, by mu ostatni grosz wyłudzić. Cokolwiek czy mieszkowi czy zmysłom idzie na korzyść, samolubny i bezbożny obywatel obu płciom swojego poddaństwa wydzierają. To złe coraz się szerzy, i chcą, aby Pan Bóg wszelkie prawa sprawiedliwości krusząc, uciskających bez litości od ucisku uwolnił. Za moich czasów wielkie były enoty. Jeżeli wykroczenia naddziadów trzeba było odpłacić, dawno bylibyśmy się oczyścili, i wrócili do szkód nieodżałowanych, ale następne pokolenia nowymi zdróżnościami przydłużyły gniew Boży. Toć to historia świadczy, że grzechy podkopują zasady bytu narodów. Rzym, pokąd był enotliwy, tak jemu los dopisywał, że aż jeden święty napisał, iż Pan Bóg nie mógł tak wielkich cnót nie nagrodzić zwierchnością nad światem. Największe, najpotężniejsze narody oddały mu się w poddaństwo; Horacyusz upojony potęgą swojej ojczyzny, pisał:

Horrenda late nomen in ultimas
Extendat oras,

A niżej trochę:

Carminum Liber III. Ode III.

Quicunque mundo terminus obstitit,
Hunc tangat armis, visere gestiens
Qua parte debacchentur ignes,
Qua nebulae, pluviiue rores.

A potem, jak zaczęli Rzymianie zapominać wstrzemięźliwości przodków, i wodze puszczać wszelkiemu wszeteczeństwu, najprzód wolność

utracili, później sami wpadli w poddaństwo ludów barbarzyńskich, półdzikich, które mieli w pogardzie. Potem, jak przyjęli wiarę chrześcijańską, i enoty przez nią nakazane w sobie rozwinęły, powtórnie uzyskali przewagę na świecie. Jak niegdyś przez senatorów, tak odtąd przez biskupów i kapłanów swoich panował Rzym nad światem, pokąd łakomstwo, sobkowstwo i obojętność dla ludów, nie przynęciły się do niego. Wady ujęły mu panowania, którego jednak przez miłosierdzie Boskie w zupełności utracić nie może.

Patrzyłem ja na upadek obyczajów. Już oddawna magnaci idąc za dworem, psować się zaczęli, ale szlachta jeszcze się trzymała. Pamiętam, że po wojewódzkich naszych miastach, o domach nierządnych nie było słyhu, a kiedy jaka zwodnica próbowała frymarzyć dziewczętami, niedługa jej była pociecha. Było się gród o tém dowiedział, artykuł 31 rozdziału XIV statutu litewskiego zaraz temu dał radę. Jeszcze w szkołach byłem, ale dobrze pamiętam, jak W. Obuchowicz podwojewodzy nowogrodzki, osadził na oderżnięcie uszu, nosa i wargi, jedną starą szlachciankę, która otworzywszy traktyernię w Nowogrodzku, panienkami wabiła młodzież do siebie. A chociaż w tym czasie król Karol, panujący w Kurlandyi, przejeżdżając przez Nowogrodęk, pobudzony litością, instancją wnosił do pana podwojewodzego, by karę ułagodził; nie dał się on zmieknąć, klęcząc i płacząc przeproszał najjaśniejszego królewicza, że sumieniu swojemu szwanku zadać nie może, i dekret przed ratuszem spełniony został. Kilka lat temu książę Radziwiłł wojewoda Miński, gdy był w Nowogrodzku na sprawie z JW. Niesiołowskim wojewodą Nowogrodzkim, wpadła mu była w oko córka niejakię Nieklewiczowój wdowy, co ją dotąd pamiętają w Nowogrodzku, jak pod farnym kościołem kielbasy i twarog sprzedawała. Ale była szlachcianką, a co więcej poczeiwa: a jej córka wyglądała, jak pączek róży. Ze książę wojewoda Miński nie był skrupulat, użył swojego kamerdynera Niemca, czy Francuza, by mu koło dziewczyny patronował: jakoż on miał być majstrem do tego, w czym go w Warszawie i Wilnie nieraz książę doświadczył. Ale że Nowogrodęk nie stolica, poszkapił się fireyk. Stara nasadziwszy ukrytych świadków, zapozwała kusiciela do grodu, gdzie był sędzią pan Dominik Wierzejski, którego brat rodzony był rejentem sądów zadwornych, a on sam był urzędnikiem pełnym sprawiedliwości i gorliwości w dopełnieniu najściślej prawa. To choć książę był wielkim panem, takiego mu napędzili strachu, że dwadzieścia tysięcy dał Nieklewiczowój na posag córki, aby go z pozwu wypuściła. A pomimo prośb i groźb, pan Wierzejski kamerdynera wychłostać kazał, i jeszcze zaprzął go do taczek na dwanaście tygodni; a spodziewam się, że po takiej rekolekcyi poznał, że co stolica, to nie prowincya. Nasza młodzież widząc, że i panom nie bardzo uchodzi

broić wszeteczeństwa, w wielkiej obyczajności się chowała; bo i Boga się bała obrażać, i urzędy były straszne. Ale powoli zaczęło złe od panów do szlachty przechodzić. Za moich czasów byli w Nowogrodzku juryści, kawalerowie pod białym wąsem, a skromni jak panny. To my młodzi, nie mówię już z innych powodów, ale z samej obawy oburzenia ich na siebie, musieliśmy się warować od złego; bo rzadko był przykład takiego, coby starca jak ojca nie szanował.

Był pan Andrzej Jelec, urodzony z siostry JW. Żaby wojewody Połockiego, co go wuj, jako opiekun, oddał do palestry nowogrodzkiej, chcąc aby nabywszy w prawie doświadczenia, mógł kiedyś i do wyższych posunąć się dostojęństw. Jakoż wkrótce, lubo młody, zjednał sobie, i nie bez słuszności, odgłos jednego z pierwszych prawników, i nawyk do tego chleba, że przestając na jurysteryi, z którą mu się dobrze działo, nie pisał się do zaszczytów, chociaż i te go nie ominęły: bo wziętością wuja swojego, który uprosił u księcia wojewody Wileńskiego pana mojego, iż mu wyrobił order złotego lwa, został patronem królewskim i szambelanem J. K. Mości, i jednym był w naszej palestrze, co go jako orderowego tytułowano jasnie wielmożnym. A oprócz tego zaszczytu, że i w rozum własny, i w pokrewieństwo z senatorami, i w dość znaczne dochody, co mu jurysterya przyniosła, był zaufany, wiele siebie pozwalał, i na starszych się nie oglądał. On to i po francuzku trochę mówił, i z wielkim światem stolicy był obeznany, i z królem kilka razy rozmawiał, i lubił panów naśladować. Miał on chętkę i po niemiecku się przebrać, i tyle tylko mu nie dostawało; ale to jakoś u nas nie uchodziło, i rad nierad musiał się trzymać naszej długiej sukni, która trzpiotom nie do smaku. Otóż razu jednego, że figle płać lubił, zastawszy mnie u pana Fabiana Wojniłowicza, niegdyś mojego mecenasa, sędziwego starca, jeszcze kawalera, a który między skrupulatami za skrupulata uchodził, zaczął pan Andrzej obu nas prosić, byśmy go wyręczyli, powiadając: że przyjechała z Mazowsza majątna obywatelka z dwiema córkami, weale dożeczniemi, że ma jakąś ważną sprawę rozpocząć w Nowogrodzku z księciem wojewodą Trockim, i że jego prosiła, aby raczył jęć bronić; ale że on w natłoku spraw, jaki się na barkach jego opiera, nie może nowego ciężaru już przyjmować, więc tedy nas na koleżeństwo zaklina, byśmy naszych usług jęć nie odmówili, ile że pomagać wdowom i sierotom, to wielka zasługa i wielkie odpusty za to. Nakoniec dodał: Kto wie? może, kiedy wy będziecie szperali w dokumentach matki, córki doszperają się do waszych serc; wszakżeście obaj kawalerowie. Ja was do nięć zaprowadzę i konferencyę razem zrobimy.

My, jakby przecuciem ostrzeżenia, długośmy się wypraszali; ale jak zaczął nas prosić i zaklinać, raz, że był z nami w zażyłości,

powtóre, że taki się nie godzi usług wdowom odmawiać, daliśmy się w pole wyprowadzić. Posłaliśmy za panem szambelanem: już to było pod noc. Wiedzie nas, wiedzie, aż na przedmieście; tam w zakręcie do jakiegoś dworeczku wprowadza, i przedstawia jakiś pani w podeszłym wieku, i jęć jakoby dwom córkom, urodziwym pannom. Oświadczył, że my patronowie tutejsi, jego przyjaciele, których uprosił, byśmy jęć pomagali. Jęćmość uprzejmie nas przywitawszy, i podziękowawszy nam za naszego czasu poświęcenie, prosi nas siedzieć. My rozgościwszy się, czekamy by o interesie mówić zaczęło; a jęćmość nagli nas, byśmy siebie pozwolili utraktować ponczem, który już zaczynał być w modzie. Pan Andrzej w naszym imieniu zapewnia, że chętnie pić będziemy z łaski jęćmości pani podstoliny, i że po lampeczce lepsze koncepta na konferencyi się udadzą. Pan Fabian, świeć mu Panie na duszy, lubił szklaneczką się bawić; a w dobrém towarzystwie i ja czasem nie byłem od tego. Owóż tedy stanęła waza ponczu, a jak się potem odkryło, zamiast wody był to czysty arak kipiący, ale tak osłodzony, żeśmy się nie spostrzegli. Jedna szklanka spełniona wszelką nam przytomność odejęła; a pan Jelec, co całą tę zdradę wymyślił, umknął zostawiwszy nas na wolą Bożą. Już świtać zaczęło, gdyśmy się obudzili, i dopierośmy poznali, że ani mniej, ani więcej, tylko żeśmy w podejrzanym domu noc przepędzili. W ponurém i gorzkim milezeniu wyszliśmy z tęg Sodomę, złorzeczając panu Jelcowi za jego nieuczciwy żart. Odprowadziłem pana rejenta do jego dworku. Tam usiadłszy jeden naprzeciw drugiego, zaczęliśmy rzewnie płakać. Serceby się rozkroilił samemu panu Jelcowi, gdyby na to patrzył, zwłaszcza na frasunek sędziwego pana rejenta. Ten pierwszy przerwał milczenie, mówiąc: — Panie Sewerynie, a gdzie to nas ten łotr zaprowadził? Siedmdziesiąt i kilka lat żyję, a nigdy przed dniem wczorajszym moja noga nie postąpiła, tylko w takich miejscach, z których publicznie szczyć się mogłem; a dziś moja starość już jest shambiona. Czemżeśmy na to zasłużyli? — Ja mu odpowiedziałem: — Jużci gdzie nie ma woli, tam nie ma grzechu. Niech się pan Andrzej kruszy, co z nami tak podłego żartu śmiać się dopuścić, a nie my, na których niewinność Pan Bóg patrzy. — Nie, panie Sewerynie, my winni; wszak to nas w szkołach uczono: *cum bonis bonus eris, cum malis perverteris*. A po co my z tym farmazonem, co się Pana Boga nie boi, przestawali, i nawet zaprzyjaźnili się? Ukarzmy siebie, aby nas Pan Bóg nie karał. — Dopiero kazał mi się położyć, i dał mi pięćdziesiąt batogów; a potem sam się położył, oddawszy mnie batog, i musiałem jemu taką samą liczbą wywzajemnić się, ile że mnie na rany Chrystusowe zaklął, abym go szczerze bił, jakom doświadczył, że i on mojej skóry nie oszczędzał. Potem choć zbolęły, że ledwo mógł się ruszać, kazał się wózkiem zawieźć do pana

sędziego Wierzejskiego, by mu donieść, że na przedmieściu ładaszczyce osiadły. Szukano ich tam; ale złap wiatra w polu! Tak się to śmiecie prędko po tym kawałku wyniosło, że śladu nie można było dopytać. Dopiero pan rejent na Jelca! Ledwo ludzie odwiedli, że go nie pozwał do grodu; ale jednak cała palestra tak czuła krzywdę swojego rejenta, że pan Jelec musiał się wynieść z Nowogródka, i w Wilnie szukać nowego szczęścia, ze starém rozbratawszy się przez pustotę. Jakoż go ono tam nie ominęło; bo z taką wymową i praw znajomością, wszędzie w Polsce nie byłoby mu trudno o korzystną pracę. Później, nie po długim czasie, ożenił się i zupełnie się ustakował, że potem widywałem go z wielką przyjemnością. Ale pan rejent do śmierci mu nie odpuścił. Razu jednego przypadkiem w Wilnie, na obiedzie proszonym u pana Jana Wierzejskiego, rejenta sądów zadwornych, wysunął się gładko, aby z panem Jelcem za stołem nie siedzieć, z czego się nazajutrz przed gospodarzem wytłómaczył. Tak to dawniej umieli czuć godność i powagę chrześcijańskiego szlachectwa, nim zaczęto puszczać w pośmiewisko starożytne obyczaje, mianując je fanatyzmem i ślepotą; bo łatwiej wyszydzać i potwarzać enoty, niż je naśladować.

XVII.

Klasztor Surlański.

Niechaj mędrkowie jak chcą rozumują, zaprzeczeniu nie podpada, że wiara ze wszystkich uczuć jest najsilniejszym i najwięcej twórczym. Duma, potęga, rozum, męstwo, wielkich rzeczy na świecie dokazały; ale co jest największego, co przetrwało czasy, to było dziełem wiary. Wiele starożytnych narodów zniknęło, że ledwo ich pamięć zachowuje się między ludźmi, a jeżeli co z nich zostało, coby dotykalnie świadczyło o ich niegdyś bycie, to tylko pomniki ich wiary: te trwają dotąd. Pomniki ich potęgi, lubo bardzo starownie wzniesione, w kurzawę już się obróciły, jak zwłoki tych, co je stawili. Jeżeli wiary, choć błędne ale istotne, tyle były silnemi; czegoż nie dokáže nasza, jedynie prawdziwa, której sam Bóg wcielony nauczył? Jakoż co tylko jest teraz na świecie trwałego, szlachetnego, godziwie potężnego,

wszystko to natchnęła wiara ojców naszych. Nawet nie pojmuję, czém się człowiek bez wiary podniesie, jeżeli wielkich dopuściwszy się zbrodni, niezupełnie jeszcze zagładził ostatki szlachetności duszy: bo człowiek sam w sobie nie posiada oczyszczającej siły, musi ją koniecznie otrzymać od potężniejszej istoty. Toć to i u pogan nawet były jakieś obrzędy leczące sumienia. Być może, że Pan Bóg i tam patrząc na szczerze korzącego się zbrodniarza, używał mu jakichś środków powrotu do enoty, i błogosławił jego pokutę, bo nikt nad możność ofiary nie zrobił, a co tylko jest dobrego, czy uczynek, czy myśl, bez natchnienia Bożego nie będzie. Ale to jest rzecz głęboka, której nie tylko świecki, ale kapłan nawet nie rozwiąże. Co się nas tyczy, to jest pewne, jasne i niezawodne, i tego pilnujmy; a co będzie z innymi, tego nigdy nie dojdziem. Tę zagadki słowa nasz Pan nam nie objawił. Tyle tylko wiem, że o ile jest zarozumiałe im dokuczać, o tyle okrutnie ich potępiać. Dziękujmy naszemu Zbawicielowi, że nas oświecił, i wprost dał nam środki, któremi możemy jego łaskę, że tak powiem, zniewolić. Prawodawstwo naszej chrześcijańskiej pokuty jest tak jasne, tak dokładne, tak skutkiem usprawiedliwiane, że niczem się nie wymówimy, jeżeli z niego korzystać nie będziemy. W tém wielka wyższość dawnych czasów nad teraźniejszymi, że chociaż z jednej strony bywały zbrodnie, większe niż te, na które teraz patrzymy, (bo żywotność naszych przodków była silniejsza, niżeli zniewieściałych potomków, co nie będąc nawet zdolni podnieść się do namiętności gwałtownych, jedynie w podłych i nizeknych gnuśnieniu), z drugiej strony wielkie było wyobrażenie o enocie i pokutach, któremi się wykupywały przeciwne jej wykroczenia. Bywały czyny gwałtu, bywały czyny i podłości: oba te rodzaje występku czasem się łączyły, aby zaślepiwszy człowieka, zamienić go w potwór. W to się do zbytku wpatrują miłośnicy istniejącej pory; a nie chcą zastanowić się nad tém, co się obok działo. Jak to w owych czasach wznaszały się przytulki dla nędzy i rozpacz; jak się po gościńcach gęściły pielgrzymy; jak drapieżne bestye ustępowały swych jaskiń pokutnikom różnego rodzaju; jak się nimi puszcze napełniały. Więc były głęboko wyryte w sercu wyobrażenia obowiązków; a pokąd one się nie zatra, nie ma nic rozpaczającego dla społeczeństwa. Bo ten tylko w niewinności wielkie rzeczy może działać, kto w występku umie znosić wielkie pokuty. W owym ogólnym duchu czasu, niepoślednie trzymała miejsce nasza ojczyzna. Między rozlicznymi dowodami, jeden szczególniejszy utkwił mi w pamięci, lubo o nim pięćdziesiąt lat temu dowiedziałem się przypadkiem.

Wyjeżdżając z smoleńskiego, ciężko na zdrowiu zapadłem w Surlach miasteczku, w powiecie orszańskim leżącym. Na gospodzie żydowskiej niezawodnie umarł, gdyby Opatrzność do niego nie by-

ła zaprowadziła dwóch Ojców Karmelitów bosych, powracających z kapituły do klasztoru swego, wznoszącego się nad surlańską puszczą, pod opieką św. Erazma. Miłosierni zakonnicy zawieźli mnie z sobą ledwie przytomnego, i w ich klasztorze odzyskałem zdrowie po kilkuniedzielną niemocę. Kiedym ich pożegnał, tak mnie opatrzyli, iż wyznać mogę, że ich groszem dostałem się aż w Krakowskie, gdzie się złączyłem znowu z konfederatami, z którymi do końca walczyć zaprzysięgłem uroczystość w dniu tym, w którymem się zaciągnął pod ich znaki. Ta była tylko przyczyna, iż nie zostałem zakonnikiem, bo dziwnie mi się było podobało całe to zgromadzenie, złożone z ludzi świątobliwych, pracowitych i uczonych. W czasie mojego tam pobytu, dowiedziałem się o różnych szczegółach ich fundacyi.

Za panowania Jana Kazimierza żył w województwie Witebskiem zacny obywatel, mający jedynaka syna. Nazwisko jego Ciechanowiecki, głośne na Litwie. Lubo posiadał znaczne dobra, że znał wielkie obowiązki dla księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego, wywdzięczając się zupełnie na majątku podupadłemu jego synowi księciu Michałowi, oddał mu tego syna na usługi, który ze swego utrzymując się, ledwo że na cały dwór księcia się składał. Ale jak tylko wdzięczność narodu i pamięć zasług ojcowskich wyniosły na tron polski księcia Michała Wiśniowieckiego, jedną z pierwszych czynności nowego króla było, wywiązać się panu Ciechanowieckiemu za dobrowolne z nim podzielenie nieprzychylnego losu. Zrobił go krajezem litewskim, i dał mu kilka królewsczych, między temi starostwo sądowe orszańskie. Tak w młodym wieku, pierwsze dostojęństwa piastował. Wkrótce potem odumarał go ojciec, co go zmusiło opuścić stolicę, raz, aby ostatnie posługi oddać zwłokom rodzica, powtórę, aby objąć po nim szerokie dziedzictwo. W województwie zamieszkawszy, zaprzyjaźnił się z W. Łopacińskim stolnikiem Witebskim, i oświadczył mu się o rękę jego córki. Już go był sobie zobowiązał poprzednio, odstępować mu za konsensem królewskim starostwo orszańskie; a zresztą będąc odpowiednim pannie zaernością, i do wysokiego urzędu łącząc najznaczniejszy majątek w całym powiecie, otrzymał deklaracyą, i w przytomności ledwo nie całego województwa odbyły się okazałe zrekowiny. Ale cóż jest trwałego w pomyślnościach ludzkich! Wszelkie zdaje się posiadał rękojmię ostatecznego szczęścia, a największe nieszczęście nad nim wisiało. Jego mamka stała przed grodem (w asystencyi, już nie pamiętam jakiego obywatela, co u nieboszczyka jeszcze nabył wieś, w której mieszkała) i zeznaje, że pan krajezy jest jej synem, którego zamieniła, będąc mamką prawdziwego panicza; że ten w dzieciństwie u nię umarł; że sumienie takowy postępek ciągle jej wyrzucało; наконец, że kapłan, któremu się spowiadała, poradził jej zrobić to wyznanie, jako jedyny środek,

aby powstać z ciężkiego grzechu. Zagrożony taką sromotą (bo już inni Ciechanowieccy, którym o majątek chodziło, brali się gorliwie do dzieła), pan krajezy broni się jak może, wszelkimi sposobami się ratując pozywa mamkę, jako kalumniatorkę, wedle prawa foldrując na jej gardło. Pan Łopaciński, w którego jurydycey toczyła się sprawa, sam do żywego dotknięty, pomaga mu tajemnie, o ile było w jego możliwości. Nakoniec nieszczęśliwy człowiek pozorną mamkę, a w samej rzeczy matkę swoją, bądź namową duchownych, których na nią nasadził, by jej tłómaczyli, że wyznanie burzące spokojność publiczną nie może pochodzić z dobrego ducha, bądź wzruszywszy w jej sercu affekt macierzyński przekładaniem, że syna pozbawia majątku, czci, a nawet życia, gdyż on tego nieszczęścia nie przeżyje, skłania, aby przed grodem oświadczyła: że pierwsze zeznanie zrobiła jedynie ze złości za to, iż domagając się o jakieś znaczne nagrody za staranie około jego niemowlęstwa, zbyta została z ofuknieniem, jako natrętna; co jej serce goryczą i zemstą napełniło. A z panem starostą Orszańskim się umawia, że z porządku rzeczy, potwarzy podobnej dochodząc, będzie się domagał w jego sądzie o karę gardłową, której on nie odmówi zapatrując się na własne wyznanie zapożwanę; ale że natychmiast jedzie do Warszawy wyrobić u króla list żelazny, którym w momencie egzekucyi ją uwolni, a potem zapewniwszy jej byt wygodny, przeniesie w oddalone województwo.

Po takiej umowie ze starostą, a przysyłym swoim teściem, niemniej z matką, której gdy całą rzecz wytłómaczył, ona się na wszystko zgodziła, i do końca wytrwać w powtórnym wyznaniu przyrzekła; jedzie śpiesznie do Warszawy, i powraca z listem żelaznym. Tymczasem sprawa toczy się zwykłym porządkiem, gród wyrok śmierci feruje, a pan starosta, mając już sobie ów list od zięcia pokazany, potwierdza dekret w pewności, że syn stracenia matki nie dopuści. Ale pan krajezy, chcąc się zabezpieczyć, aby następnie nie się na jego szkodę nie odnowiło, nie użył listu i rodzona matka jego straconą została. Pan starosta, co jeden o wszystkiem wiedział (bo inni sędziowie w dobrą wierzę wyrokowali), gdy mu vicesgerent doniósł o spełnieniu wyroku, padł bez duszy, jakby piorunem przeszyty. Pan krajezy w rok potem ożenił się ze starościanką, szczęśliwie miał z nią pożyte i spłodził sześciu synów, których w wielkiej pobożności wychował. Wszystko mu się powodziło, wszystko miał: i znaczny majątek, i wysokie urzędy i szacunek publiczny. Każdy mógł mu szczęścia zazdrościć, bo nie wiedział, co się w jego sercu działo. Nakoniec odumarała go żona, kiedy najmłodszy z jego synów już był dorosłym. Dopiero w pasowaniu się z samym z sobą spędziwszy rok żałobny, zwołał wszystkich sześciu synów, wyznał przed nimi dręczącą tajemnicę, i oświadczył, że na puszczy surlańskiej chce klasztor wy-

stawić i w nim życie na pokucie zakończyć. Na to synowie rozmówiwszy się z sobą:—Ojcze—odpowiedzieli—kiedy tak jest, żaden z nas nie ma prawa do tego majątku, coś go posiadał; wystaw klasztor, a prawym właścicielom oddaj twoje dostatki, któreś znacznie pomnożył; my zaś wszyscy świat opuścim, i z tobą razem będziemy pokutować i Panu Bogu służyć!

I tak pan krajeży, piękny klasztor pustelniczny wystawił pod imieniem św. Erazma, swego patrona, i Karmelitów w nim osadził; a zwoławszy Ciechanowieckich już podupadłych, wedle Boga istotnych dziedziców jego włości, wypowiadał im swoje zbrodnie, przeprosił ich za krzywdę im uczynioną, i cały majątek im oddał, przekonawszy ich, że ten fundusz, który poświęcił na chwałę Boską, nie z ich majątku, ale z darów królewskich zebrany. Potém z sześcioma synami wstąpił do nowicyatu, we dwa lata z nimi razem uczynił uroczyste śluby, i umarł braciszkiem w wieku bardzo podeszłym, a w tak wielkiej świątobliwości, że jego ciało słynie dotąd cudami. Wszyscy synowie jego wyświęceni zostali na kapłanów, i zakon wielką miał pociechę z ich pobożności i z ich światła.

XVIII.

P a w l i k.

Za naszych czasów wychowanie młodzieży nie było co do nauk tak wykwintne, jak teraz, ale pożyteczniejszych wydawało obywateli. Polak z dawnych szkół wyszedłszy, był prawdziwym Polakiem: między tysiącem cudzoziemców można było poznać, z jakiego on narodu. Dzisiaj, czy to na Szlązku, czy na Litwie, czy w głębokiej Niemczyźnie, szkoła szkole podobna: jedne nauki, jedne zabawy, jeden rozkład czasu. Wychodzą z nich jacyś obywatele świata, którym zarówno mieszkają, czy to w Rzymie, czy w Krymie. I to ma być wielki postęp, ażeby coraz więcej zacierać cechy szczególne narodowości, a utworzyć jakiś naród ogólny, światły, mądry, bez przesądów. Pię-

kna myśl: ale chwała Panu Bogu, nie z tego nie będzie, a wszystkie wielkości mędrków, nie zmieniają wyroku, który Duch Święty nam objawił temi słowy: *et separavit Deus gentes, secundum linguas earum*. Bo jak nie ludzi to była rzecz zrobić, aby ten naród nie był innym, tak też nie dokażą, aby nim być przestał. Nadwątlą dzieło Boskie, nadpsują, ale go nie zniszczą. Pan Bóg po czasie na swoim postawi; a ludzie przewrotni sami się zawstydzą, że na przekorę Opatrzności tyle zaufali nędznemu rozumowi. Dobrze były nasze szkoły, chociaż oprócz łaciny, obcych języków w nich szlachcie się nie uczył, i chociaż młodzież pod wąsem mniej umiała, niż dziatwa dzisiejsza. Toćto szeroko rozprawiają, że ciemnota nasza robiła nas niesposobnymi do postawienia mocnego rządu; że moralność publiczna zniknęła była w zabobonach i klasztornych dziwactwach; że brak oświaty tak przytłumił uczucia uczciwości, iż u nas miano za zaszczyt brać jurgielta zagraniczne; że dopióro wtedy naród ukazał się szlachetnym i godnym bytu, kiedy król Stanisław zaprowadził reformę w nauczaniu publicznym — i inne podobne zdania, któremi poruszają popioły naddziadów, a które tak często się powtarzają, że już im wierzyć trzeba. Ja przyznam się, że moim prostym rozumem nie pojmuje, jaki być może stosunek między rządem silnym, a tém, co nazywają oświatą publiczną. Oj, lepszy nam był Alwar, niż towarzystwo ksiąg elementarnych. Po dawnych naszych szkołach wszystko tak było jak w kraju, dla którego nas hodowano. Mieliliśmy nasze sejmiki, nasze sądy, biliśmy się w palcaty, robiliśmy obroty wojskowe, i wprawiano nas do religii, na której się opiera narodowość. Wyszędłszy ze szkół, czy wypadło urzędować, czy prowadzić chorągiew, człowiek nie przychodził do rzeczy obcej dla niego. A nade wszystko uczono nas, aby nie rozprawiać o powinnościach, ale ich dopełniać.

Pan Ambroży Korsak, porucznik piatyhorskiej chorągwi, a mój szczególny dobrodziej, miał lat przeszło siedemdziesiąt, miał wnuków, już obywateli osiadłych.

Pan Korsak, człowiek stały i doświadczony, miał mnóstwo dyktaryjek do opowiadania, bo niejedną książkę można było napisać z tego, co widział i doświadczał. Po dobieciu Krakowa, kiedyśmy tam zimowali spokojnie, w dzień św. Ambrożego zebraliśmy się u pana Korsaka, dla powinszowania mu rocznicy imienin. Było nas kilkudziesiąt z różnych województw; gospodarz wszystkim był rad, i beczka wina poszła na traktament. Nie można było nasłuchiwać się dość tego, co opowiadał. Opowiadał zaś nam, jak to w początkach swojej żołnierki, będąc na służbie jeszcze u JW. Pocieja, hetmana W. Lit. w Wilnie assystował konno przy jego kolasie; a że ten pan był wielce pobożny, kazał mu z sobą mówić różaniec. Gdy więc z kolei

hetman zaczynał antyfonę: „O Maryo, ena dziewica, porodziłaś Królewica, Niebieskiego dziedzica!“ właśnie w tym samym momencie, obaczył pan Korsak, że z poprzecznej ulicy szła kolasa, w której siedziała pewna dama, o której córkę się starał. Puścił się tedy, damy rączkę ucałował, zawrócił konia, i w samą porę trafił, by kończyć antyfonę: „Porodziłaś bez boleści, zbaw nas smutku i żałości. Zdrowaś Marya, Amen“. Tak to się JW. hetmanowi podobało, że nie mógł różańca nie przerwać, by powiedzieć: — Mości towarzyszu, zgrabnyś! O waści pamiętać będę, — i wkrótce dał mu chorągwo w tejże chorągwi. Z tego powodu ośm razy się rąbał z tymi, co do tej rangi sami aspirowali. I inne podobne rzeczy mówił nam przy kielichu, że aż miło było; a nareszcie jakoś przyszło, że wziął się do opowiadania początków swojego zawodu w naszej konfederacyi; bo on był z pierwszych, co się do tego związku zaciągnęli, chociaż był Litwinem, a konfederacya Barska, jak wszystkim wiadomo, zawiązała się na Ukrainie.

— Moi panowie bracia, a raczej synowie, bo już chwala Panu Bogu! nie rok i nie dwa, jak ósmy krzyżyk zapisał się na mojej metryce, a pięćdziesiąt ośm lat się skończyło, jak osobiście służyłem w kawalerii narodowej, nie licząc tych kilku, co będąc zapisanym, w paleaty wojowałem ze studentami i z hajdamakami się ocierało, i ze Szwedami się obwachało pod Warką i Kaliszem, i siedmioletniej wojny coś się zaczepiło, i w czasie ostatniego bezkrólewia za piecem się nie siedziało, i z księciem wojewodą Wileńskim po Wołoszczyźnie się tułało; a taki wystarczyło i lat i siły, aby tu wam służyć. A niewielka była sztuka śmierci mnie znaleźć. Jakoż ukąsiła mnie ona kilka razy, ale jeszcze nie zjadła, jak widzicie, i *Deus me custodiat!* tuszę, że jeszcze niejednego tam wyprawię, dokąd i samemu wkrótce pójść trzeba. Otóż panowie moi, rok piąty temu, że pokój był po całej Rzeczypospolitej; stałem sobie spokojnie w Krożach z chorągwią, której dowodziłem, jakby dziad do roboty niezdatny. To człowiek uczył towarzysztwo iść gęsiego, lub ocierać się o szachownicę; to ich sprawy z żydami sądził; to na delacie czopowe egzekwował: aż tęskno było, że się próżnuje, cóż robić? Aż tu przywołuje mnie JW. Giedrojć strażnik Litewski, od śmierci JW. hetmana mój rotmistrz, i mówi mi te słowa: — Panie Ambroży, nie można wiedzieć co będzie: *si vis pacem, para bellum*: jabym rad moję chorągiew powiększyć, i na to mam przypowiedni list hetmana; ruszaj więc waś na Ukrainę, i kilkadziesiąt koni ztamtąd przyprowadź. — Choć dziś JW. panie: człowiek na tym towarze zęby zjadł. — Odliczył mnie JW. strażnik sześćset czerwonych złotych obrączkowych, jeden w drugiego, które w trzos własną ręką zaszywszy, koszulę nim opasałem; a wzięwszy dwóch z towarzystwa, i tyluż luzaków, ale których znałem jak mój sygnet her-

bowy, co go na małym palcu noszę, że byli dziarsey chłopcy, nie czekając nazajutrz puściłem się w podróż, zdawszy moją chorągiew na pana chorążego Mikołaja Staniewicza, i doszedłem szczęśliwie do Cudnowa, dóbr dawniej do ordynacyi ostrogskiej należących, a teraz dziedzicznych JO. księcia Marcina Lubomirskiego, który z nami służy. Tam się poznałem i ściśle zaprzyjaźniłem z panem Czajkowskim łowczym Kijowskim, a gubernatorem hrabstwa cudnowskiego. To był zacny i dobrze myślący obywatel; więcej z przyjaźni, niż z potrzeby księciu służył, bo jedną i drugą miał wioskę dziedziczną, i nieco grosza po ludziach. Pan łowczy nie tylko że mi ofiarował swoją pomoc do kupna koni, ale wszystkich kozaków dworskich oddał na moje zawołanie, i pozwolił mi w zamku założyć kwaterę, i tam zbierać konie, póki z niemi nie wyruszę na Litwę. Jakoż, to tu, to tam po sąsiadach, w pierwszych tygodniach uzbierałem ze dwadzieścia koni, ale koni całą gębą. Wtedy to mi się dostał ten mój siwosz, coście go wszyscy znali, i co mi pięć lat wiernie służył, a który, kiedy padł pod Opatowcem, ledwom nie płakał, jak po synu rodzonym. I sobie czekałem zdrów w Cudnowie, na kiermasz berdyczowski, aby i resztę dokupić. Aż tu pan Puławski, starosta Warecki, podnosi konfederacyą w Barze, i zaczynają biegać po kraju uniwersały powołujące szlachtę do pospolitego ruszenia: a pan łowczy w obawie, by mi chudoby nie zabrali, radzi wyprawić ludzi i konie w puszcę cudnowską. Ja mu na to: — Dobra i łaskawa rada waćpana dobrodzieja, ale na sercu mi cięży rozkaz marszałka: darmo, trzeba iść gdzie każą. — A on mnie: — Niech pan porucznik konie zbiera w lesie, gdzie bezpiecznie; a ja mu co będę mógł szlachty dostarczę. Lepiej w kilkadziesiąt koni służyć marszałkowi, niż z dwoma towarzyszami przed nim się pokazać, choćbyś się cudem do niego przedarł z tak małą siłą.

Nie miałem nic do powiedzenia, tylko podziękować mu za łaskę; a on na nię nie przestając, sam chciał mnie przeprowadzić do szyeńskiej Budy, gdzie mi naznaczył kwaterę. Napróżd tam moje konie wyprawił z dworskimi kozakami, a nazajutrz samiśmy wyruszyli konno: nas dwóch, syn pana łowczego, młody i piękny kawaler, i kilku dworskich. Zwyczajnie gawędziliśmy z sobą przez drogę. Opowiadał mi pan łowczy, że w puszczy cudnowskiej ma swoje siedlisko zgraja Pawlika, sławnego zbójcy, który jest postrachem szczególnie żydów, gdyż niejedno miasteczko złupił. Jakoż przed dwoma tygodniami, zapewne dla wywiadów, Gontar jego namiestnik z dwoma hultajami, pokazali się na targu cudnowskim z furą półdrabków, niby zwyczajne Pobereżniki. Ale szynkarz jeden, który już raz był w ręku Gontara, i niezawodnieby wisiał, bo już raz miał stryczek na szyi, jeno że na jego szczęście Pawlik trafem nadszedł i kazał go z duszą

puścić obdarłszy do koszu, poznał go, i zaraz pobiegł dać znać dworowi. Jakem się o tém dowiedział — dodał pan łowczy — ruszam czém prędzej na targ z kozakami: udało się mi złapać dwóch hultajów, ale Gontar jak w wodę wpadł; całe miasteczko do góry nogami przewróciłem, ani sposobu było go znaleźć. Mając przecie podkomendnych, kazałem ich w dyby zabić: cały dzień wały mi kopią około zamku, a w furdydze nocują. — Jam okazał podziwienie, że do grodu ich nie odesła, ale pan łowczy na to: — My nie w Litwie; u nas hajdamaczyzna ciąga. Gdybym ich do grodu odesłał, krótkaby była sprawa i tamby ich powiesili nimby słońce zaszło, a dopióroby mnie była bięda z Pawlikiem; jedną nocybym nie przespał spokojnie. Z naszymi hajdamakami ani nadto dobrze, ani nadto źle być nie można. Wiedzą oni, że ich dwóch w mojem ręku, z tego mi zysk; bo jakby szkodę zrobili, bez grodu kazałbym ich wbić na pal: radzi nieradzi muszą być spokojni. — A ja mu: — A to piękną mieć będę kwatere w lesie! z deszczu pod-rynnę: ja kryję konie przed nieprzyjacielem, a złodziej mi je zabierze. — Pan porucznik nie znasz ich obyczajów. W szyjeckiej Budzie będzie bezpieczniej, niż w Cudnowie. Hajdamaka ma wilczą naturę; nigdy szkody nie robi blisko swojego gniazda. Mamy tam hutę i karcznię, przy której co niedziela pełno hajdamaków; piją z fabrykantami, nawet dzieci ich do chrztu trzymają: święta między nimi komitywa, ani hajdamaka fabrykanta, ani fabrykant hajdamaki nie zdradzi. W kassie bywa po kilka tysięcy złotych, a daj Boże, żeby ze strony kassyera i rachmistrza nie było więcej szkody, niż od hajdamaków. Bywa często Pawlik u naszego leśniczego, i ja go tam razu jednego spotkałem, i mówiłem z nim, udając że nie wiem co on za jeden, i leśniczy mi szepnął, kto on taki. Nie ma co mówić, sprytny chłop, a barczysty, że nie życzyłbym trzem jego spotkać; nie daliby mu rady. I pan porucznik nieraz może go widzieć będziesz.

Tak rozmawiając szliśmy dalej w las ścieżkami, po których najmniejsza furaby nie przeszła. Chociaż konno, musieliśmy iść gęsiego za przewodnikami, aby co prędzej do szyjeckiej Budy się dostać. W tém słyszyć się dały gwizdania. To już mi nie dobrego nie zwiastowało, aż tu zaraz dwóch hultajów wyszedłszy z gęstwiny, zbliży się do nas i krzyczy: — Stój! — Każdy z nich trzymał rusznicę w ręku. Pan łowczy koło mnie będący dobył pistoletu z olstry; ale ja do niego: — Schowaj mi zaraz waćpan pistolet. W lesie wara z ognistą bronią, żeby jak wystrzelisz, każde drzewo za to nie dało ognia; abo widać z kim sprawa? A jeden z nich, którego poznał pan łowczy, że to był sam Pawlik, przystąpiwszy do mnie: — Widno, że pan bywalec: dalibyście sobie ducha, gdyby panicz był wystrzelił. — Wtém gwizdnął przeraźliwie, i więcej może stu rozbójników wysypało się

z prawej i lewej strony. Pewnie jedna noga z naszychby nie uszła, gdybym łowczycowi był dopuścił wystrzelić.

Zbliżył się Pawlik do pana łowczego: — A co, panie? czy mam pana zabić w dyby, jak pan moich ludzi? — Mój kochany — odpowiedział łowczy — ty wiesz że Cudnow nie mój, i że ja pańskiego dobra pilnować muszę. A kiedy który hultaj na rynku się pokaże, i o nim mnie dadzą wiedzieć, że jeszcze przy ludziach, coby to powiedzieli, gdybym ich nie ścigał? Ty nie do mnie miej żal, ale do mojego pana co w instrumencie wyraźnie zalecił, abym hajdamaczyznę wypłaniał; rozpraw się o to z nim w Warszawie, lub gdzie go znajdziesz, a mnie daj czysty pokój, a nawet podziękuj mi, że ciebie w lesie nie zagabam. Niedawno pan regimentarz rekwirował, bym z całego poddaństwa zrobił w lesie na was obławę; a ja to tém, to owém go zbywam, byście pokój mieli: ty umowy nie dotrzymujesz z leśniczym: ziemię jadł przysięgając, że w lesie nas zaczepiać nie będziesz, my za to na was przez szpary patrzymy, a teraz na mnie napadasz. Myślałem, żeś uczciwy hajdamaka, a jak widzę, z ciebie zupełne ładaco. — Albo ja nie szanował wielmożnego pana i jego ekonomii? Onegdaj jeszcze spotkałem pisarza jadącego z Budy do Cudnowa, i mówiłem z nim po Bożemu, niech sam powie; jesszczem go sprosił, aby mnie skałek przywiózł, anim mu macał szarawarów, chociaż w nich tysiąc złotych było. A wielmożny pan moich ludzi w dyby pozabijał. Czy oni szkodę jaką robili, czy nie chcieli bazarnego opłacać? Cóż to, czy już nam nie wolno na targu półdrabek przedawać? Teraz moje na wierchu: oddam za swoje. — I cóż na tém uzyskasz, jak mnie ukrzywdzisz? Niechno któremu z nas włos aby jeden spadnie z głowy, a ekonom Cudnowski o tém się dowie, na pal każe wbić obudwóch twoich podkomendnych, a potem jak z kozaków i wszystkich włościan cudnowskich wyprawi obławę do puszczy, nie wiem czy na tém zarobicie. Przyszaj, że wam nieźle się dzieje w Hałacie; lepiej nas puść z Bogiem i licz na moje wdzięczność. — Ale! niech tylko poprobuje ekonom moich parobków zamordować, ja jemu nazajutrz żonę i dzieci pozarzynam, a Cudnow ze czterech stron podpale, że ściany na budę nie zostanie. — Ale, mój Pawliku, gadajmy po ludzku. Czy ty zemstą swoją, choćby ci się ona udała, swoich wskrzesisz, jak ich na pal wsadzają? Lepiej puść nas z Panem Bogiem, a ja twoich ludzi wypuścić każę. — Ja wielmożnemu panu już nie wierzę. Wszakżeśmy obiecywali nie dokuczać sobie. Od nas ekonomia cudnowska krzywdy nie poniosła: a nawet pani Sosnowskiej, possessorce Turczynówki, na jedno słówko pańskie konie zabrane oddałem; a wielmożny pan moich niewinnych ludzi konie zabierał, i dwie niedziele w dybach trzymasz, jakby jakich szkodników. Teraz wielmożny pan w inną dudkę dmiesz; a jak puszczyć was na słowo pańskie, i wielmożny pan do zamku się dosta-

niesz, zaraz powiesz: Co to? ja temu chamowi mam dotrzymać obietnicy? Abo to szlachcie, żeby ze mną w umowy wchodził? A haki, a kleszcze na zuchwałego chłopca! Czy ja was nie znam? — Panie Pawlik, wszak ja wam dobrze życzył: sam przyznaj, czyś mało łask doświadczył odemnie? Czy wam broń leszczynę palić na proch? czy nie pozwoliłem trzem parobkom ze skarbowemi podwodami iść do Krymu po rybę soloną? czy na Filipówkę nie kazałem wam wydać, na twój znaczek, z magazynu całej kufy gorzałki? Przyznaj, panie Pawliku, że tobie w naszym lesie jak w raju. — Aha! teraz: panie Pawliku! bo strach ma wielkie oczy: będzie tego dobrego gołemu za pazuchę. Ja wielmożnemu panu krótko powiem, co być może: Niech pan zostawi mi zakład, że moich ludzi odeszle, a ja pana wypuszczę. Rozumie się, że na pamiątkę zostawicie mi, co macie pieniędzy przy sobie.

Miarkujecie, panowie bracia, co tu się działo ze mną, który kilkaset czerwonych złotych miałem przy sobie!

— Kiedyś tak nie wierzący, panie Pawliku — odrzekł pan Łowczy — puście mi syna i gościa, a ja u ciebie zostanę jako zakładnik. — Tak nie będzie. Ja wielmożnego pana puszczać, a syna zatrzymam; prędzej wykupi ojciec syna, niż syn ojca: a paniczowi nie złego się nie stanie, że u nas przenocuje. — Panie Pawlik, zmiłuj się waćpan nad moją żoną. Co ci ona winna, że ją w łyżce wody chcesz topić: jak mnie bez syna obaczy, to jak Bóg na niebie, bez duszy padnie.

— Wielmożny pan znasz to, że mnie łatwo wiaść za serce. Wracajże pan zdrów z synem; ale ja bez zakładu nie zostanę: oto ten gość pański, co paniczowi wypalić nie dopuścił, z nami pójdzie do Hałacy, i tam będzie siedział, póki wola pańska; bo ja go nie wypuszczę, póki ludzi nie obaczę. — Panie Pawliku, nie rób mnie téj krzywdy, żeby mój gość miał narzekać, iż mnie zautął. Kiedyś tak nieludzki, wolejże mnie i syn zatrzymaj, a jego puszczaj: niech na mnie raczej największe nieszczęście spadnie, niżby mój gość najmniejszej przykrości miał doświadczyć.

Żal mi się zrobiło pocziwego Łowczego: — Mości dobrodzieju — ozwał się — niech pan się o mnie nietroszczy, a z godnym synem i swoim dworem rusza sobie do Cudnowa: ja panu Pawlikowi służę do jego Hałacy. Wdzięczny mu jestem, iż mnie oszacował godnym być zakładem słowa waćpana dobrodzieja, i za dobrą opinię o mnie bardzo mu dziękuję. U niego źle mi nie będzie; wszak my oba żołnierze; ja rzeczypospolitej, on własnej swojej sprawy; jakos się porozumiemy. A pan Łowczy jak mu ludzi odeszle, wiem że tyle pan Pawlik grzeczny, iż mnie tam odprowadzi do szyjeckiej Budy. Niech mnie szanowny Łowczy tu zostawi, a wielmożnej Łowczyni nie zapomni

moje ukłony złożyć. — Niechże Pan Bóg nagradza szanownemu porucznikowi, żeś się zlitował nad moją babą, a ja zaręczam, że niedługo będziesz się nudził. Tylko bardzo proszę pana Pawlika, aby po ludzku obchodził się z panem porucznikiem. — Wielmożny pan niech o to będzie spokojny: u mnie kto na gościnie, więcej waży niż rodzony ojciec. Ale jeszcze pana porucznika nie mam za gościa, i dlatego, com raz już powiedział, teraz powtarzam: kto co z panów ma pieniędzy przy sobie, proszę natychmiast o nie.

Pan Łowczy dobył z szarawarów sakwę, w której było kilkanaście elizawetnych rubli, i te oddał mu, dodając: — Rozbierz mnie do koszuli, kiedy wola; jakem sodalis i halerza nie znajdziesz. — Teraz do waćpana, panie poruczniku! — Pan Łowczy przerwał z pośpiechem: — Co waćpan chcesz, panie Pawliku, znaleźć u żołnierza? Jeżeli ma kilka tyńfów, czy i te mu już zabierzesz? Nie godzi się! — Wielmożny pan już za sobą mówił, a panu porucznikowi Pan Bóg dał język — i do mnie obracając się: — Czy pan masz pieniądze? — Mam kilka złotych, i oto są. — A więcej nie masz przy sobie? — Więcej nie. — Niechże pan da na to słowo szlacheckie i żołnierskie, a ja uwierzę — i podałem mu rękę. — Otoś mnie zagadł, panie Pawliku. To darmo; bądź co bądź, a honoru nie splamię — i dobywszy trzosa: — masz go waćpan; ale piekielną wyrządzisz mi krzywdę! To nie moje pieniądze; a jakie ich było przeznaczenie! wszystko djabli porwali. — Wybaczaj, panie poruczniku — powiedział Pawlik — każdy żyje ze swego: szlachcie z pańszczyzny, żołnierz z żołdu, żyd z łokcia i kwatarki, a rozbójnik z tego, co mu Pan Bóg w cudzej kieszeni przyniesie. Bądź, panie, weselszej myśli, bo smutek szkody nie wróci. A wielmożny pan komisarz niech z Bogiem; rusza nazad, i moich ludzi tu odeszle; tu na tém samém miejscu będzie czekał mój namiestnik: a jak była między nami przyjaźń, tak i będzie, póki wielmożny pan znowu nie zaczepi, bo ja pewnie nie zacznę. Pana porucznika sam do szyjeckiej Budy odprowadzę.

Tak pan Łowczy ze swoim poczem nazad, a ja z hultajstwem dalej; a takimi gęszezami, że zsiąść musiałem i piechotą ruszać. Pawlik obek mnie, i wszystko pyta, czym nie znużony? powiada, że mnie nieść każe, i próbuje ze mną w dyskurs się wdać: ale mi tak było żal mojego trzosa, że stu kuglarzyby mnie nie rozerwało. Co to, panowie! Cała nadzieja uzbrojenia ludzi jak kamień w wodę upadła! To też nakoniec powiedziałem: — Mospanie Pawliku, zostaw mnie w pokoju. Ja teraz na waszój dyskrecyi, jak ludzie mówią: wiele złego, dwóch na jednego, a ile z oka sędzić mogę, was więcej stu: niewielka sztuka przymusić mnie, abym dał w waszą dudkę. Ale jeśli łaska, nie wymagaj, bym się bawił kiedy smutek w sercu. Nie ma godziny, jakem się dowiedział, że wy na świecie jesteście, więc wam nie nie

winieniem; a przecie zabraliście mi pieniądze, które mi dał mój rotmistrz na kupno koni do chorągwi. Za nie byłbym może kilkudziesiąt jeźdźców uzbierał. Poprzestańże na tém. Do mnie jeśli łaska, nie gadaj: ja łąć nie umiem, i otwarcie powiem, że z tym tylko się bawię, komum rad; a do waćpana mam żal. — Kiedy pan się gniewa, do niego mówić nie będę; ale niech pan o mnie jak chce trzyma, ja pana bardzo szanuję, a jak go na swoim gospodarstwie przyjmę, to pan się przekonasz, że czart nie tak czarny, jak go malują.

Wszystko to było dobrze; nie mogłem narzekać, ale był nieobyčajnym, bo i z wielką grzecznością do mnie mówił, i tak czystą polszczyzną, jakby rodowity szlachcic, ale tyle mi humoru popsuł, zrabowawszy mnie do szczętu, że nie mogłem się oddać, i szedłem zasępiony, jak myśliwy co niedźwiedzia spudłował. Nie bardzo uważałem na szczegóły naszej podróży, bo i nie było czego uważać. Zwyczajnie bór i las, las i bór, do tego w naszej Litwie człowiek z małego przywyknął. Aż zaszliśmy po nad Teterow, a taką gęstwiną, że słońca widzieć nie można było. Dopiero Pawlik, podawszy mi rękę, prowadził mnie włokąc nogę za nogą, prawdziwie z pieca na łeb, pod skałę, gdzie był otwór tak niski, że ledwo nie czołgając się weszliśmy. Ale ten otwór coraz się rozszerzał; pozapalano łuczywa, i tak rozjaśniało, że było widno, jak wśród dnia na podwórku. Obaczyłem ogromną przestrzeń wykutą w głazie, i wrytą w ziemi: to było siedlisko rozbójników. A co za wygodne siedlisko, chociaż tam nigdy promień słońca nie doszedł! Sale, izby, a spiżarnie, a kuchnie, a składy, a piwnice, zgola jakby jakie podziemne miasteczko. Cała chałastra wnet się roztrasowała. A Pawlik taki gospodarz uprzejmy, a tak mną zajęty, że gdyby nie widok spelunki, i nie leśne facjaty jej mieszkańców, co chwila przypominające, żem u złodziejów na gości nie; mógłbym myśleć, że mnie jaki możny obywatel przyjmuje. Że to była godzina obiadowa, motłoch się rozsypał, i każdy zjadał ochłapa, na jaki napadł; a pan Pawlik zapytał mnie, czy pozwolę, by ze mną siadł za stołem. Rozumie się, że nie była pora o to z nim się targować. Kazał więc stół na dwie osoby nakryć, i wcale smacznym obiadem na farfurze mnie poczęstował; a dla zakropienia jego, garniec wytrawionego masłaczku był na stole. Po sztuce mięsa, Pawlik za zdrowie moje srebrny puhar wina spełnił, a na wiwat, za danym znakiem, kilka samopałów dało ognia, że odgłos po całej speluncie kilkakrotnie się powtórzył. A że obiad był smaczny, nie dziwnego; bo jakaś dworska z pod Wasilkowa, zakochawszy się w jednym kozaku, i dla niego porzuciwszy męża, z nim do Pawlika przystała. Kozak do rozboju pomagał, a żona Pawlikowi za kucharkę służyła. Wszystko było dobrze i przyzwoicie, ale ta myśl, że człowiek krew i łyżę pije,

psuła wesołość; powtóre, ciężył na sercu smutek po własnej szkodzie, i więcej jeszcze wstyd, że pomimo naszego statutu i naszych konstytucyj, złodzieje bezkarnie gospodarują i biesiadują na Rusi, pod bokiem prawie urzędu (bo do Żytomierza i dwóch mil nie było), a tu nie ma siły, by takowemu bezprawiu koniec położyć. Ale cóż, kiedy rzeczpospolita ciągle nie miała czasu, ani do odetchnienia, nie tylko do urzędu siebie wewnątrznie. Nie temu, co na łożu boleści ze śmiercią pasuje, myśleć, jakby sobie mieszkanie oporządził. I tak, panowie, chociaż w plugawym towarzystwie, jakoś frasunek się topił w lampeczce, że Panie Boże przebac, gawęda dla mnie zaczęła przybierać powab. — Panie Pawlik, — powiedziałem mu — kiedy tak się Panu Bogu podobało, że pomimo tego, iżś mnie ledwo ze skóry nie odarł, przecie u waćpana stołu za swoje zdrowie wzajemnie kielichy spełniamy, pozwól siebie zapytać, czy i ten koń mój gniady, z którego złéć musiałem, aby jak wąż przedzierać się z waćpanem po zaroślach, a którego tu nie widzę, także *via facti* został waszą własnością? — Pan porucznik go znajdziesz w szyjeckiej Budzie; zaraz go tam odesłałem. Że pan pozwoliłeś mi się z sobą, to dla mnie tak wielkie szczęście, iż nie dopuszczę, aby pan odemnie smutną wynosił pamiątkę. Na sercu mi leżało, że moich ludzi w dyby pozabijano, dlatego pozwoliłem sobie pana komisarza cudnowskiego namęczyć, i teraz pewno nie go tyle nie frasuje, jak to, że w jego przytomności trzos panu zdarłem. Tyle tylko mojego, co go nafrasuję. A musiałem go ukarać, bo mnie niesprawiedliwość wyrządził: a przecie i moim ludziom trzeba pokazać, że o nich dbam. Ale kto zemną je chleb i sól, do mnie żalu mieć nie będzie. Wracam panu trzos nie-tnięty; coś pan tam włożył, to i znajdziesz. Tém chętniej to oddaję, żeś pan przedemną odkrył przeznaczenie pieniędzy.

Przyznam się wam, panowie bracia, że to mnie tak rozczuliło, że i podziękować nie umiałem: tylko serdecznie go uściśnałem. Ale aż mroz po mnie przechodzi, jak wspomnę o tém, co się z tego zrobiło. Jeden z hultai, szastający się około naszego stołu, widząc, że mnie oddaje trzos brzęczący, odezwał się; — Nie dość, że konia jego nie zaczepiamy, jeszcze i pieniądze temu Lachowi oddają. — A Pawlik jak się urazi, a porwie topór: — Jak ty śmiesz, mówi, sobaczy synu, wtrącać się do moich czynności? — A potem jak go palnie, na dwie części łeb się rozleciał. Dopiero Pawlik jak krzyknie: — Kamień u szyi przywiązać trupowi i w Teterow go rzucić, a ziemię obmyć z krwi; — a potem z wypogodzonym obliczem jakby zająca trafił, na nowo siadł u stołu, mówiąc mi: — Pan porucznik nie uważa. Sam, panie, jesteś wodzem, i wiesz dobrze, że bez posłuszeństwa wojsko być nie może. Przepraszam, że przerwałem mu zabawę.

Przyznam się wam, że to była rzecz tak niespodziewana, że aż trzy lampy musiałem wypróżnić, nimem przyszedł do siebie; a potem pomyślałem sobie: Kaduk was bierz; co mnie tam wasze prawa obchodzić mają, samiście się im poddali; a jak kto sobie pościele, tak niech się i wyspi! Zresztą, prawdę powiedziawszy, czas mi się schodził z rozbójnikiem, bo już do niego nie miałem żalu po zwrocie szkody, a i winko było smaczne, i rozmowa przyjemna. On mnie się wypowiadał z całego prawie żywota. Był poddanym ś. p. Woronicza, oboźnego koronnego, dziedzica Trojanowa, bo w jego zamku się urodził z rodziców dworskich, i od dzieciństwa był u niego w wielkich łaskach, lulki panu nakładał, potem do polowania mu asystował; kazał go pan wyuczyć czytać i pisać, i pewnieby go libertował z kawałkiem chleba, gdyby nagle nie był skończył życia. A tak Pawlik osiadł jak na lodzie. Bo oboźny małoletnie tylko dzieci pozostawił, których opiekunem będąc z prawa natury ich wuj, pan Szczytt, podkomorzy Piński, że nigdy nie mieszkał w Trojanowie, wszystko tam było na dyskrety rządów. Otóż Pawlik bardzo w widokach swoich upadł, zamiast u pana, u komisarza będąc na usługach. Jeszcze mu tam z początku szło jako tako, ale pokochał się z synowicą komisarzką, u stryja będącą na opiece, i jakoś ich komisarz nadszedł, gdy z sobą różniece już odprawiali: a jak nie bądź, trudno opiekunowi być obojętnym na związki krewnej z poddanym. Pannę na prędee wydał za jakiegoś oficyalistę, pod ręką będącego, a łatwo zgadnąć co Pawlika spotkało, lubo się z tém nie chwalił; tylko mówił, że niemiłosiernie skrzywdzony został. Ja go nie bardzo za język ciągnąłem, ale można było domyśleć się, jakiego rodzaju była ta krzywda, po zemście, jakiej się nad komisarzem dopuścił. Wtedy już silna zgraja hajdamaków osiadła była w puszczech cudnowskich. Jój watażką był Burczak, najniegodziwszy rozbójnik, jakiego kiedykolwiek miała Ukraina. Nie było nocy, w którejby jaki obywatel zrabowany nie został. Djabełby przed nim tynfa nie uchował. Jak napadnie bywało na dom, porwie gospodarza, na goły brzuch żar mu kładzie, i póty dmucha, póki on mu do ostatniego szeląga wyzna. Dopiero czasem puszczał, a najczęściej zamordowywał i bez końca pomnażał rozmaite okrucieństwa przed nim niesłychane. Rozjuszony Pawlik do niego się udał, i pierwsza była jego wyprawa na zamek trojanowski, który do szczytu zrabowawszy, komisarza powiesił do góry nogami, że go krew zalała. Kiedy w Żytomierzu porwano Burczaka, biesiadującego u kochanki, która podobno sama ostrzegła gród o jego przybyciu, rozumie się, że nie tracąc czasu urząd go ćwiartować kazał; ale już Pawlik odwagą i sprytem do takiej był wziętości przyszedł u rozbójników, iż go ten motłoch na wodza jednomyślnie obrał. Równie śmiały jak poprzednik, a daleko bystrzejszy, nie plamił się podobnemi okrucień-

stw, poprzestawał na łupieniu, a bezbronnym śmierci nie zadawał. Znacznie swoją komendę powiększył, bo do niego hultajstwo ze wszech stron się garnęło, aż na końcu robił trudności w przyjmowaniu, jakby jaki rotmistrz kawalerii narodowej. A była w nim jakaś żyłka uczciwości. Pewnego majątnego obywatela syn, już pod wąsem do szkół jezuickich w Żytomierzu chodzący, za jakąś psotę w szkole obałożony, tak silnie to uczuł, że pałając zemstą do niego chciał przystać: ale on nie chciał korzystać z uniesienia rozpacz, owszem zreflektował go przekładając, że jemu, będącemu szlachcicem, a zatem ze stanu wyłącznie poważanego w kraju, nie przystoi zostać wywołanem jak oni, co gdyby nawet i pocziwie chcieli się prowadzić, dla swego urodzenia żadnego dobra spodziewać się nie mogą. I tak ukojony chłopiec do ojca powrócił. Pawlik do takiej zuchwałości przyszedł, że otwarcie z ekonomiami w umowy wchodził, i one mu się opłacały. Niektóre corocznie mu haracz dawały, jakby jakiemu krymskiemu hanowi, lękając się napaści. Kahał piatecki płacił mu pięćset złotych na rok, które pobierał w jego imieniu garncarz miejscowy, jego kum; a z tego nie mu się złego nie stało, bo ekonomia piatecka nie śmiała go o to napastować. — Panie poruczniku — mówił mi — nie myśl pan, bym tylko był rozbójnikiem wojennym; masz we mnie wielkiego sprawcę sprawiedliwości: w całej Polsce przy mnie jednym jest jurydykcy między dziedzicem a chłopem. Jak dziedzic lub ekonom ukrzywdzą chłopą, a ten do mnie się uda ze skargą, zaraz posłałem, żeby mu sprawiedliwość zrobiono, z groźbą, że inaczej tydzień nie minie, a dwór z dymem pójdzie. Z początku ze dwa razy dla przykładu com przyrzekł tom dotrzymał; ale chwala Bogu, nie ma teraz potrzeby tego poprawiać: bo w całej okolicy nikt już chłopą nad inwentarz nie zażywa.

Cóż powiecie, panowie bracia? Trzy doby bawiłem u Pawlika na gościźnie, nie z musu, ale z własnej ochoty, bo jeszcze téj saméj nocy przybyli hultaje z Cudnowa odesłani, z listem do mnie od szanownego łowczego, w którym tysiączne robił deprekacye, że z jego powodu tyle przykrości doświadczyłem, i prosił, bym na bonifikatę przyjął od niego dwadzieścia koni z rynsztunkiem, które mi odesłał do Budy. A lubo jam go potem zapewnił, że Pawlik wrócił mi co był zabrał, pocziwy łowczy swojej ofiary nie cofnął, i odesłał mi dwudziestu jeźdźców, którychem generalności przedstawił swojego czasu. Mimo siebie puszcza-
jąc wszelkie bezprawia, jakich nieraz Pawlik się dopuścił, tyle go znałem gościnnym i dobrze względem kraju w duchu usposobionym, że pomyślałem sobie: *Deus me concordat!* czego mi wchodzić w cudze postęпки? wszak Duch Święty powiedział: *nie sądź, byś nie był sądzonym.* I tak przez trzy dni ugościwszy, odprowadził mnie Pawlik do szyjeckiej Budy, gdzie powoli zbierałem mój oddział i nowo za-

ciężnych uczyłem obrotów, a on ciągle o wszystkim mnie donosił, że ani patrolów, ani placówek nie potrzebowałem wysłać.

Nie na tém koniec. Razu jednego wzięwszy mię na stronę, mówi: — Panie poruczniku, między swoimi więcej trzydziestu ludzi wyrozumiałem, że myślą tak, jak ja: wszyscy chcemy do pana przystać, i generalności służyć. — Od Pana Boga wasza myśl natchniona! — Ale ja panu przyznam się, że na mnie w grodzie żytomierskim leży dekret; jak do pana przystaniem i pójdziem dalej, a kto z tych stron mnie pozna; to żeby mnie czasem nie kazano powiesić? — Pluń waćpan na to. A co to, ja malowany, żebym dopuścił aby skrzywdzono takiego, co podemną służy? Już masz zasługi, których pewnie nie zamilczę; a jeśli jest jaki dekret; ten był ferowany na Pawlika herszta rozbójników, a nie na Pawlikowskiego, prawdziwego szlachcica, zasłużonego dowódcę oddziału ochotników, walczącego za wolność i wiarę, bo już jesteś dla mnie Pawlikowskim, i ciebie inaczej nigdy nie nazwę. — A jeśli Pan Bóg dopuści, a pokaże się, żem się zdał na coś, czy wyrobi mi generalność potwierdzenie tego nazwiska i szlachectwo? — Ani wątp o tém. Jak dobrze pójdzie sejm, wszystkim zasłużonym da nobilitację; tak Pan Bóg przykazał i były takie przykłady. A nim do tego przyjdzie, kto będzie wiedział jaki twój ród? Ja przed starszym przedstawię cię jako szlachcica z Polesia, który moją prawą ręką jest; a kto mi odważy się rozprawiać? O! porucznika piatyhorskiej chorągwi w kaszy nie zjesz. — Pawlik jak długi padł mi do nóg, i nazajutrz on i przeszło trzydziestu jego ludzi przedemną przysięgę wykonali. Tak tedy, kiedy pana Puławskiego w Berdyczewie oblegano, miałem więcej stu młodzieży łebskiej, na dzielnych koniach, należyście uzbrojonej i odzianej. Chciałem mu iść na odsiecz, a Pawlik mnie przekonał, że na kilka tysięcy regularnego wojska opatrzonego w armaty, próżno byłoby z naszą garścią o jakąś korzyść się pokuszać. Czego innego wkrótceśmy potem okazali: pan Puławski broniąc się w Berdyczewie, tuszył, że go wybawi szlachta z Kijowskiego i z Wołynia, ale panowie Stempkowski, regimentarz generalny wojsk królewskich, i Braniński, wówczas łowczy koronny, nie dopuścili tego; co się zaś tyczy Wołynia, szlachta tameczna rada, że między sobą rozchwytała ordynację ostrogską, wcale nie życzyła sobie odmian. Tak więc pan Puławski siedział w forteczce karmelitańskiej, jak mysz w pułapce. Bronił się, jak mógł, ale widząc że nie ma rady, o kapitulację prosił. I chyba głupi miałby mu to za złe.

Niedługo potem pocziwy Pawlik skończył, właśnie jakby dla usprawiedliwienia, że *kto ma wisić nie utonie*; on utonął, bo nie miał wisić, tak jak chciał tego kiedyś gród żytomierski. Kiedy uchodząc na Pokucie, wpływ przepławiliśmy się przez Zbrucz, trzeba było takie-

go nieszczęścia, żeśmy jednego tylko utracili człowieka, a tym właśnie był Pawlik. Widno, że koń, z którego upadł, musiał go zawieść; bo kiedyśmy na przeciwnym brzegu stanęli, ani Pawlika, ani jego konia jużśmy więcej nie ujrzeli; a własnymi oczami widziałem, jak był skoczył w rzekę. Szczerześmy go żałowali; ale cóż, kiedy taka była wola Boża! Wierzajcie, panowie bracia, mnie staremu, że gdyby nie był marnie zginął, wysokoby zaszedł: to był rodzimy żołnierz, a do tego całą gębą kawalerzysta!

XIX.

Król Stanisław.

Nie jest to łatwo sądzić o rzeczach publicznych, a tém więcej o mężach, którzy na nie wpływali. Ztąd wedle mojego zdania największa przysługa, co ja wysoki rozum dla kraju uczynić może, jest opisanie należyte jego dziejów. Cycero mawiał: *Historia magistra vitae*, — a przecie, lubo głęboki mędrzec i nadzwyczajny krasomówca, lubo przez jego ręce przechodziły najważniejsze interesa Rzeczypospolitej, nie dowierzał sobie, i nie odważył się wydać dziejów ojczystych. Po zagranicznych krajach, gdzie liczni piórowi rzemieślnicy uprawiają papier pod książki, jak u nas szlachta rolę pod żyto i jęczmień, namnożyło się historii różnego rodzaju. Ja ich nie czytałem, bo oprócz swojego i nieco łacińskiego, żadnego obcego języka nie rozumiem; a przecie pewny jestem, że te ich pisma, lubo pokupne, żadnego istotnego pożytku nie przynoszą. Kto przedsięwzięcie opisać dzieje jakiego narodu, powinien wprzód obeznać się gruntownie nie tylko z jego językiem, ale jeszcze z jego prawodawstwem, z obyczajami obywateli, a zasiliwszy się takowym zasobem, dopiero wziąć się do roboty. A i wtedy nawet nie ma pewności, aby się ona udała. Bo nie dość to wszystko znać; jeszcze trzeba mieć jakieś doświadczenie w prowadzeniu ludzi. — Kowal gwoździ kuje lemię czy podkowę, ale naród nie jest sztabą martwą w rękę tego, co mu przewodniczy, choć on prowadzi podwładnych; przecie robi się z niemi tylko to, co

daje się robić; bezwątpienia włada niemi, a jednak niewidocznie ulega sam ich woli. Pod tym względem uważając rzeczy, możnaby sobie oszczędzić wiele zapytań, które z pierwszego rzutu rozwiązać się nigdy nie dadzą. Dlaczego Jagiełłowie, mając Litwę i Ruś po sobie, nie utwierdzili dla siebie spadkowego tronu w koronie, jak go mieli we własnym kraju? Dlaczego Batory Prus książęcych z Polską nie zjednoczył? Dlaczego Zygmunt III nie ugruntuwał syna na sąsiednim tronie? Dlaczego Jan III niczego nie obwarował dla rzeczypospolitój, biegnąc na ratunek Wiednia? Dlaczego konfederacya Barska przybrała hasło niepolityczne przeciw dyssydentom? Wszystkie takowe zadania niejednokrotnie słyszałem, i po szczeremu wyznaję, że na nie dać odpowiedzi nie umiem; ale zdaje mi się, że i świadomego odpowiedź byłaby w rodzaju téj, co ją kiedyś uczynił pewien biegły wojsk dowódzca lekkomyślnemu młodzieńcowi, chcącemu go sztuki wojennej nauczyć. Owemu dowódcy nie było się razu jednego szczęśliwie powiodło, a tamten chciał mu dowieść, pokazując palcem na mapie jakąś rzekę, że gdyby był przez nią wojsko swoje przeprawił, na głowę nieprzyjaciela poraził: — Wascin palec nie jest mostem — odpowiedział na to zniecierpliwiony wódz. Żeby dobrze opisać dzieje swojego narodu, bo wątpię aby opisanie cudzego udać się mogło, trzeba mieć jakieś doświadczenie w kierowaniu ludzi przy okolicznościach zawitych, a zbyt rzadko łączy się w jednej głowie i dzielność w uczynkach i dar przełożenia tychże uczynków w księgi. Dajmy na to, że takowe zjawisko się uści, jakże trudno nie dać się uludzić miłością własną, i stronnością; bo mąż piszący rzeczy, do których sam wchodził, częstokroć musiałby sam siebie obwiniać. Cieszę się, że nie mamy historii ostatnich naszych czasów, bo niezawodnie byłaby nie do rzeczy. Niech każdy stary sumiennie pisze to, czego sam był świadkiem; niech pisze po swojemu, rzeczy uważając z własnego, a nie uczonego stanowiska — a dopiero jak będzie potrzeba, znajdzie się taki, którego Opatrzność wzbudzi, aby z tego wszystkiego pożyteczną ułożył historję. — Całkowitą młodocę przepędziłem w otwartych bojach z królem Stanisławem, lub w domach jemu nieżyczliwych, a jednak wszystko po Bożemu rozebrawszy, potępiać go nie śmiem, ani jemu przypisyuję niezasłużonej winy. Pewny jestem, że jeden człowiek wielką ofiarą, nadzwyczajnem poświęceniem się cały naród swój może zbawić, ale żeby jeden człowiek, acz najwyższy, występami swoimi mógł naród potępić, tego nie przypuszczam, bo mniejsza zbrodnia przeczć Boga istności, niż sprawiedliwości i miłosierdziu. — Nie królów, ale poddanych grzechy gubią narody, bo z chlubą wyznać możemy, że żaden tron na świecie nie pochwali się panami tak łagodnymi, tak sprawiedliwymi, tak uczonymi, jak polski. I król Poniatowski miał wielkie cnoty,

większe bezwątpienia, niż niektórzy z poprzedników jego. Przy innych okolicznościach byłby sobie uzyskał odgłos wielkiego króla. Jakoż widzieliśmy rozmaitych władców, którzy przed naszymi oczyma rzecz swoją nieźle prowadzili, uchodząc za mądrych i przezornych, a przecie ani rozumem, ani wiadomościami, ani łagodnością obyczajów naszemu Stanisławowi sprostaćby nie mogli. Całe nasze nieszczęście, że wpadliśmy byli w taką zagmatwaninę, iż największy człowiek nie dałby jój rady. *Wiele złego dwóch na jednego, mówi przysłowie, a cóż dopiero, jak tłum go weźmie w obroty!* Chociażby się nie wiedzieli jak odgryzał, nie postawi nigdy na swoim.

Niechaj mędrcom się świdrzy rozumem, a ja po prostu tłómaczyć się będę: jest to grzech pierworodny, na który zbyt ciężko chrzest wynaleźć; a chociaż mu nie przeczyli ani rozum, ani zdatności, nie dowierzali atoli tyle tym przymiotom, by myśleć, że niemi zastąpi tę powagę, co ją ród wysoki i dziedziczne państwo saskiemu domowi zabezpieczały. Magnaci tak dalece byli przekonani, że nie była pora Piastowi panować, iż żaden z nich o koronę się nie pokusił. Bo nie ma co liczyć księcia Lubomirskiego, człowieka z umysłem pomieśzanym, a którego intryga wystawiła była w czasie bezkrólewia, aby osłabić jedność magnatów. Książę Karol Radziwiłł, wojewoda Wileński, głowa téj partyi, w której tyle lat walczyłem, jako żołnierz i ziemianin był nie tylko głębokim, ale pocziwym statystą, bo ile mógł, przeszkadzał królowi Poniatowskiemu, i nawet usiłował zepchnąć go z tronu, na którym wedle jego przekonania nieprawnie był zasiadł, obstając za domem saskim, z poświęceniem wszelkiej prywaty, gdyż mógł mieć żal do nieboszczyka króla za odmówienie mu buławy litewskiej po śmierci jego ojca. Ale skoro się upewnił, że żadnego wsparcia z zagranicy mieć nie można, że dom saski przestał o nas myśleć, że wszystkie dwory obojętnie na nas patrzą, przekonał się, iż jako tonący za brzytwę się chwyta, kiedy innego nie ma wsparcia, tak pocziwym obywatelom nie zostawało nie więcej, tylko się tulić do króla, zespolić wszystkie narodowe korzyści z jego osobistymi korzyściami, aby on czując siebie bezpiecznym między swojemi, nie żebrał wsparcia u postronnych, a tak, iżby każdy uważał być największą zbrodnią, wszelką usilność w czémkolwiek bądź nadwątlić tę jedność króla z narodem, w przekonaniu na doświadczeniu opartem, że każda partya przeciwna królowi zostanie tylko narzędziem, którym szerzyć się będzie wyłom, co go nierząd w kraju wybił od lat tylu. Jak się więc pogodził z królem, mimo siebie puszczał prześladowania, których od niego doświadczył, pogodził się szczerze, i aż do śmierci ani on, ani żaden z jego partyi, która całą Litwę zajmowała, nie złamali mu wiary i poddaństwa. Owszem na wszystkich sejmach posłowie litewscy jednomyślnie z dworem głosowali. Jakoż na pamiętną

sessyi sejmowej roku 1786 kiedy rzecz chodziła o przyznanie królowi *Subsidium charitativum*, dość długo rozprawiały stany koronne w połączonych izbach; ale kiedy kolój przyszła na Litwę, książę wojewoda Wileński objawił i życzliwość Litwinów, i swoją własną potęgę temi słowy: — „Nie mitrząc czasu tak drogiego przy kończącym się sejmie, w imieniu całej prowincyi litewskiej daję afirmatiwę“. I, ani w stanie rycerskim, ani nawet w senacie nie znalazł się żaden, coby mu tego pełnomocnictwa zaprzeczył. — Pan Bogusz, niegdyś sekretarz generalnej konfederacyi Barskiej, był może najgłębszym w całej Polsce statystą, i nadzwyczajnie poświęcał się dla kraju. Kiedy jego i nasze starania na nieczem spełzły, na małym przestał, osiadł na dziesięcio-dymnym folwarczku, na którym miał dożywocie z łaski naszego księcia wojewody, bo więcej nic od niego przyjąć nie chciał. Tam zajmował się pielęgnowaniem pięknych kwiatów, rzadko kiedy dom opuszczał nawet dla Nieświeża, ale dawnych znajomych rad był w nim ugaszczać. Razu jednego, kiedy mu służyłem w jego domku z panem Świętorzeckim, także wielkim statystą a jego ścisłym przyjacielem, zgadzało się wedle naszego zwyczaju o rzeczach publicznych. Pan Bogusz mnie znał, kiedy to jeszcze byłem pokojowym u JW. Ogińskiego wojewody Witebskiego, i nie mało czasu strawiliśmy z sobą we dwóch konfederacyach; a tém bliższy wstęp miałem do niego, że nie chwając się, na takiém nodze postawiłem mu interes z sukcesorami tegoż JW. Ogińskiego, że na pół darmo godząc się z nimi, czterdzieści tysięcy mu odliczono. A służyłem mu z przyjaźni, bo żadnej nagrody nie przyjmowałem, chociaż kilkakrotnie coś mi chciał wetknąć w ręce. Otóż pan Bogusz zaczął mówić o potrzebie powiększenia władzy królowi, że nasze starodawne enoty zanadto już były zbutwiałe, byśmy się mogli nadal cieszyć po dawnemu. Pan Świętorzecki na to się nie godził, jako utrzymywał, że powierzyć się nie można panującemu regnantowi. — Jakże — mówił — oddać skarb i wojsko marnotrawcy i tchórzowi? — Na to pan Bogusz tak odpowiedział: — „Panowie bracia, nikt więcej odemnie nie nadokuczał królowi, bo przekonany byłem, że tylko panowanie monarchicznego domu mogło nas ocalić. Ale jeśli ma być koniecznie Piast, może z pomiędzy wszystkich zdatniejszego nie znajdziecie“. — Na tośmy obadwa powstali: — A co to panie sekretarzu! — odezwał się pan Świętorzecki, — czy daleko szukać trzeba zdatniejszego Piasta? A wszakże trzy mile nie spełna liczymy do Nieświeża! Godzi-li się przepomnieć naszego księcia?“ — A pan Bogusz — „Moi panowie, gdyby to odemnie zależało, a Litwa była odrębnym narodem, anibym się wahał uwieńczyć koroną to panowanie, co nasz książę swojemi cnotami nad nami otrzymał. Któż więcej odemnie przypatrzył się jego szlachetnym postępkom, i poświęceniu się dla dobra ogólnego? Ale nasza Litwa jest tylko

częścią rzeczypospolitą, a wam wiadome uprzedzenia naszego księcia przeciw wszystkiemu, co nie z Litwy. Każdego Wielkopolanina nazywa *kaszubą*, kto z Małej Polski, u niego *cygan*, a kto z Rusi koronną, ten u niego *kuźnierz*. W dobrach, co ma w koronie, żaden z tamecznych stron officyalista w jego służbie się nie utrzyma; wszędzie naszych rozsła, czém jeszcze więcej Litwę obowiązuje. Ale nie królewska to rzecz dla jednej prowincyi być wylanym, a drugie od siebie odganiać. A potem, czybyście dokazali, żeby fałdów przysiedziało w Warszawie? W czasie sejmu ledwo szósty tydzień dotrzymał, tak tęsknił za Nieświeżem. A przecię król w swojej stolicy mieszkać musi. Jeżeli tedy on przy tak wielkich cnotach duszy i nadzwyczajnym dowcipie przyrodzonym nie myśli, by dla swoich przesądów całej rzeczypospolitą mógł dopisać, czy znajdziecie jakiego innego Piasta, coby był zdatniejszym do rządu od terażniejszego? Nie tajno wam, jak ścisłe stosunki miałem ze wszystkimi naszymi magnatami. Otóż powiem wam, że jako ich wszystkich widziałem godzących się na królewicza, tak pomimo ścisłej przyjaźni, co ich w jedno grono łączyła, każdy z nich tak dalece poznawał, czego drugiemu nie dostawało, że prędzej zezwoliłby na Poniatowskiego, niż na którego ze swoich, zaczynając od naszego księcia. Wiem dobrze, że w duchu król Stanisław nie wiele o nas trzyma, ale już i to wiele, że sobą władać umie. Pytacie naszych zakutych Litwinów, bywających w Warszawie, a każdy z nich powie o królu, że jest pełnym powagi, nie wdaje się w żadne śmieszki, każdego poddanego przyjmuje jednako, i choć miłuje swoich literatów, nie zaciera nimi gospodarzów. A na księcia generała skarżą się, że ich w pośmiewisko obracał. Tak więc wszystko rozebrawszy, wnioskuje, że najlepiejby było, aby Sasi jak panowali nam blisko lat siedmiudziesiąt, i dalej panowali, bo z pomiędzy zagranicznych domów on jest najmniej obcy naszym wyobrażeniom. Ale że wola Pana Boga, aby tubylec nami rządził, oddajmyż więc jemu sprawiedliwość. A jak nie stanie Stanisława Augusta, (a my się tego doczekamy), wtenczas obróćmy naszą życzliwość ku wielkiej i dobroczynnej krwi Jagiellońskiej, ku temu domowi, z kąd król terażniejszy czerpał i swój i wzrost, i te nadzieje, które Opatrzność tak hojnie ziściła. — Skoro Pan Bogusz nam dowiódł, że nasz książę nie byłby zupełnie dogodnym dla całej rzeczypospolitą, obojętną była dla nas rzeczą niezdatność do korony i innych magnatów, aleśmy nie mogli nie podziwiać, że on, tak czynny przeciwnik partyi Czartoryskich, do nich skłaniał przyszłe nadzieje. Spostrzegłszy nasze podziwienie, tak się nam tłumaczył. — Panowie bracia, obywatel poczciwy powinien ile możności bronić ustaw swojego kraju, z poświęceniem nawet własnego przekonania, bo gdzie o powinność chodzi, tam już nie ma miejsca na rozumowanie. Jednak, wcześniej czy

później, nadchodzi czas potrzeby nowych warunków dla społeczeństwa. Poczeiwi ludzi, co im się opierają, dopełniają swojej powinności, ale nigdy zwycięstwem cieszyć się nie mogą. Bo starość musi ustąpić miejsca młodości, na którą kiedyś kolej przyjdzie także zostać starą. Rzecz pewna że ci, którym obmierzył dawny porządek, nie składają cnotliwszej części narodu, gdyż namiętności zawsze nowościom sprzyjają, — ale cóż na to poradzić, kiedy doświadczenie nas uczy, że na koniec słusność jest przy nich? Nie żałuję ofiar i poświęceń moich dla dawnego porządku, i dziś jeszczebym je odnawiał, chociaż w przekonaniu, że one na nie się nie przydadzą — bo nie ma nic wspólnego między dopełnieniem powinności, a przecuciem pomyślnego skutku. Ale jakkolwiek być może, że prywatnie kieruje postępkami ludzi, co popierają nowości, wątpić nie można że przyszłość jest ich a nie naszą spuścizną. Próżna więc usilność chcieć wskrzesić to, co już nie żyje; lepiej po szlachetnym oporze godzić się z nowymi wyobrażeniami, by przy tej zgodzie zachować to, co jeszcze zachować się może, by przynajmniej ocalić pamięć sławy naddziadów, starając się ile możliwości do nich łączyć te nowe wyobrażenia. Pokąd sława przodków jest świętą dla narodu, nie ma jeszcze nic dlań rozpaczającego — ale skoro ta będzie znieważoną, pomiataną, w pośmiewisko obróconą, wszystko wtedy przepadło, bo już to jest oznaka oczewista, że naród niewart bytu, że nawet żyć nie może, ponieważ już się oderwał od korzenia, z którego żywot swój czerpał. Przyznam się wam, że w przyszłości lękam się mocno o sławę wielu naszych godnych mężów, którzy nie poprzestając na tém, co już chwalebnie dopełnili, dla zachowania dawnych naszych ustaw nie chcą, za przykładem naszego księcia, szczerze się pojąć z położeniem rzeczy nieodzowném. Strzeż Boże ażeby, kiedy przyjdą ostatnie rzeczypospolitęj zapasy, uporem swoim w przepaść jej nie wtrącili, woląc się chętniej łączyć z obcymi, niż podzielać z ziomkami to, co uważają być błędném. — Te były słowa tego wielkiego statysty, który tak zgłębił rzeczy nasze, iż ledwo nie duchem wieszczym przeczuwał, w co się one obróć. Szczerzliwy! że nie doczekał nieszczęść, których nigdy nie przestawał przewidywać. Ale te słowa jego nigdy mi nie uszły z pamięci. Byłże senator wyższy w świetle, wolniejszy od samolubstwa, równy w poświęceniu swém dla kraju księciu Antoniemu Czartoryskiemu? Byłże większy obywatel od Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, Antoniego Puławskiego, i t. p. i t. p.? A przecie na jak okropne stanowisko popchnął ich wszystkich upór w zamięłowaniu rzeczy godziwych i świętych, ale do których cały naród już smak był utracił! W roku 1784 król Stanisław, objeżdżając wielkie księstwo Litewskie, nie ominął stolicy naszego Mendoga. Między nami Nowogrodzianami przeciwnemu wielkie krążyły uprzedzenia, ale na widok jego dostojnej

osoby, jego majestatu prawdziwie królewskiego, wszystkie one stały, jak śnieg kwietniowy przed słońcem. Napatrzyłem się na niego; było coś czarującego w tych rysach pięknego oblicza. Na granicy naszego województwa, gdzie go odprowadziły urząd i szlachta Brzesko-Litewska, przyjętym został od starszyny nowogrodzkiej. Wszyscyśmy byli na koniach, a na czele naszym JW. Niesiołowski, nasz wojewoda, który go powitał czułą mową, a król nieprzygotowany dziwnie pięknie na nią odpowiedział, dziękując za przywiązanie szlachty oświadczone mu przez cnotliwe usta nieskażonego w zawodzie pełnym zasług ich sędziwego wojewody. A potem, gdy ten mu przedstawiał urzędników i szlachtę, każdemu coś powiedział takiego, co go za serce uchwyciło. Nawet gdy między innymi przedstawiony mu był pan Michał Rejtan, nasz pisarz ziemski, z taką czułością wspominał brata jego Tadeusza, że wszystkim przytomnym łzy dobył z oczu. Dopiero według staropolskiego obyczaju urzędnicy brzescy zdali urzędnikom nowogrodzkim usługę królowi, który w ciągu swojego pobytu nosił mundur naszego województwa. W. Rdułtowski nasz chorąży, zastępujący miejsce pierwszego urzędnika, odebrał z rąk JW. Niemcewicza podkomorzego Brzeskiego Litewskiego pod rejestrem szaty i sprzęty podróżne królewskie, przyjął i dozór nad jego dworem, ciągle się sam zajmował odziewaniem króla, i ścieleniem jego łóżka przy asystencji innych urzędników, tak, że przez cały czas jego pobytu, tylko *possessio-nati et bene nati* dotykali się naszego pomazańca. Była wielka okazłość przy nim, i siła pieniędzy poszła na wydatki jego podejmowania, a te pieniądze nie z jego kassy wyszły, ale naszą były krwawicą. Kiedy urzędnicy zbierali między sobą składkę, my szlachta bardzo się obruszyli, że nas nie wzywają. Pan Łukasz Hreczecha w naszym imieniu się odezwał: — A co to, panowie urzędnicy, sami tylko czujecie się być godnymi podejmowania króla, a nas szlachtę za ba i bardzo macie? — Dopiero każdy z nas co mógł sypał, a szczerze, bo kiedy szlachcie się rozczuli, rachować się nie umi. Dość, że taka nawała brzęczących padła u pana Stefana Wereszczaki, skarbnego nowogrodzkiego, że kiedy król nas opuścił, to chociaż po królewsku był podejmowany, a do tego każdy z jego dworzan i sług stosowny do swojego znaczenia otrzymał upominek; więcej dziesięciu tysięcy zostało u pana skarbnego, z którychśmy uchwaliли fundusz na coroczne wybicie medalu złotego, a czterech srebrnych, z popiersiem królewskiem, na nagrodę uczniom nowogrodzkim, najlepiej odznaczającym się w czasie szkolnych popisów. Król, otoczony czołem województwa i tłumem szlachty, wjechał konno do Nowogrodka i przed farnym kościołem stanął, chcąc najpierw ucieść Pana nad pany. Kiedy zsiadł z konia, pan chorąży Rdułtowski podał mu swoje ramię, a pan Stanisław Orzeszko koniuszy nowogrodzki trzymał jedną ręką trzęsle, a drugą

strzemię. U drzwi kościoła, na czele duchowieństwa JW. ksiądz Koncewicz kanonik wileński, a oficyał nowogrodzki, orderu królewskiego kawaler, powitał go mową. Poczem król ciągle klęcząc słuchał Tajemnic Pańskich, w czasie których wymieniony szanowny kapłan przyniósł mu mszał, i klęcząc podał Świętą Ewangelię do ucałowania. Po mszy świętej, urzędnicy województwa oddzielili się od szlachty i skupili się w grono; JW. Gedeon Jeleński kasztelan Nowogrodzki zabrał głos, którym oświadczył w imieniu tychże urzędników radość publiczną z powodu dnia tak świetnego, w którym łaska Najwyższego użyła ich województwu nacieszyć się obliczem pana i ojca całego narodu. Książę Radziwiłł, wojewoda Wileński, lubo i był zaproszony do grona urzędników, stał między nami, oświadczwszy iż nie mając urzędu w tém województwie, jest prostym szlachecciem. Gdy skończył mówić JW. kasztelan, od nas witał króla jegomości pan Paweł Odyniec. Po tych mowach i królewskich odpowiedziach, bo król na każdą mowę odpowiadał dziwnie pięknie, a głosem tak miłym, że jakby wdzięczną muzyką wszystkich serea wabił ku sobie; dopióro duchowieństwo, urzędnicy, szlachta, ba i prostaczekowie nawet, zaczęliśmy śpiewać *Te Deum laudamus*. Po odśpiewanym hymnie posłaliśmy wszyscy za królem do szkoły wojewódzkiej. Ksiądz Krzysztof Haraburda, rektor, przyjął króla łacińską mową, na którą król odpowiedział tymże językiem, ale tak płynnie, jakby rodowitym, czem do reszty nas zawojował. Potem od każdej szkoły uczeń wystąpił przed króla z mową; od Poestyki w języku francuzkim perorował pan Julian Niemcewicz, podkomorzyc Brzeski. Widać było, że król był uderzony wymową tego kawalera, jakoż mnie upewniali świadomi przytomni, że ta mowa miała być bardzo piękną. Ale wspomnienie téj uroczystości rozdziera moje serce; młodszy mój syn, mój Karolek od Syntaksy, mówił przed najjaśniejszym panem i podobał się królowi, bo od dzieciństwa dziwne miał szczęście do ludzi. Wielkie na nim, nietylko my rodzice, ale i przyjaciele pokładali nadzieje, bo i twarz jakby aniołka, i przy wielkiej zdatności nadzwyczajna pilność i potulność. Pan Bóg mi go dał, Pan Bóg mi go odebrał, niech Mu będzie chwała na wieki wieków! Król miał prześliczną do naszej młodzi mowę, prawdziwie jak ojciec do dzieci przemówił, a tak, że aż ryk dał się słyszeć po wszystkich kościele. A gdy potem własną ręką rozdawał medale celującym uczniom, gdy go przypinał mojemu Karolkowi, nie wiem co się zemną stało, ale wszystkich roztrąciwszy, przedarłem się wprost do króla, jak długi padłem mu do nóg i rozbeczałem się, że sam król bardzo się rozczulił, podniósł mię, dał rękę pańską do ucałowania, pobłogosławił mi syna, i jak się później okazało, dał dowód, że ta moja rzewliwość nie była mu od smaku. Że była właśnie natenczas kadencya Śto-Michalska, król

oświadczył, iż radby nawiedzić sądy. Pan Ignacy Rewieński, przydujący w ziemstwie, z kolegami swojemi śpiesznie udał się do sądu, aby króla przyjąć w czasie gotowej sessyi. I tak się uwinęli, że kiedy król przybył, zastał sędziów na miejscach, słuchających agitującej się sprawy. Indukt dopióro zaczęty przerwany został, a pan prezydent krótką mową powitawszy najjaśniejszego pana, zaprosił ojca i najwyższego sędziego narodu, aby raczył osobiście wymierzyć tę sprawiedliwość, co ją oni jego powagą i imieniem poddanym głoszą. Król zasiadł w krześle, a wszyscy sędziowie stali w milezeniu, bo w przytomności króla pełność władzy sądowniczej w jego tylko osobie zostaje. Pan Fabian Wojniłłowicz właśnie indukował sprawę dość z siebie mało znaczącą. Rzec chodziła o otrzymanie dekretu nakazującego wypłatę summy, z prostego długu należnej, po dwóch kondemnatach uzyskanych na panu Römerze marszałku Oszmiańskim, przez pana Jakóba Potrykowskiego, w ziemstwie Nowogrodzkim; pan Jelec, umocowany pana marszałka, stawał z tém, że jego stronie zaoeczność niesprawiedliwie przypisaną była, gdyż pozwy nie były kładzione na jego dobrach w województwie Wileńskim, na których opiera się ubezpieczenie summy zaciągniętej, ale pozwy położone były w Nowogrodku, gdzie piędzi ziemi nie posiadając, pilnować się nie mógł; domagał się tedy uchylecia zapadłych kondemnata. Ale pan Wojniłłowicz stanął z prawem, którem *forum ubiquinarium* całemu W. Ks. Litewskiemu jest dozwolone w sprawach *simplicis debiti*; ale w ciągu induktu zręcznie zrobił zwrot do króla, którego w imieniu palestry ziemskiej powitał. Z mocy więc prawa wypadł wyrok na pana marszałka, aby pod winą wywołania, na naznaczonym terminie summe zapłacił, a ten wyrok przez króla podpisanym został. Pan Jelec, lubo sprawę przegrał, w imieniu swojego pryncypała zadowolenie podpisał, oświadczając, że jest nadto wiernym poddanym, aby w czemkolwiek różnił się w zdaniu z panem swoim. Wszystko to i godziny nie trwało, bo wszystko było przygotowane, by królowi czasu nie kwasić. Po ogłoszeniu wyroku, najjaśniejszy pan poszedł do grodu, gdzie go pan Kazimierz Haraburda, sędzia grodzki przydujący, powitał, podobnie jak w ziemstwie prosząc go, aby raczył wysłuchać sprawy. Jakoś się nie opatrzył, że nie było przyzwoitą grzecznością prosić króla, aby zasiadł w jurydycey, gdzie nie w jego ale w wojewody imieniu wyroki się głoszą. Ale król przedziwnie się znalazł, bo przyjmując to jego oświadczenie za dowód życzliwego poddaństwa, co w istocie tak było, oświadczył ze swojej strony, iż w namaszczeniu swoim przyjął stopień duchowny, a zatem wedle kanonów do spraw kryminalnych udziału sądowniczego mieć nie może, i dziękuje Bogu, że mu prawo nie pozwala karać miłych poddanych, czego mu i własne serce zabroniło. A ja w imieniu pale-

stry grodzkiej miałem rzecz do króla. Łaskawi przyjaciele winszowali mi, że jakoś nie najgorzej mi poszło; wiem przynajmniej, że jeśli tam były pochwały królowi, nie z pochlebstwa, ani z podłych widoków pochodziły, ale były istnym wynurzeniem mojego przekonania, a król w krótkich wyrazach okazał, iż mi jest rad. W dniu tym był wielki obiad, dany królowi przez szlachtę w kościele OO. Dominikanów; więcej nas tysięcy siedziało za stołem. Przykro nam było, że król rad nieraż wielkie grzeczności wyświadczać musząc jednemu z obcych książąt, kazał jego na ten obiad zaprosić, i posadził go tuż przy sobie. Bo kiedy dzieci ojca przyjmują, nierażi wtedy, by cudzy do nich się przymieszał. Tam wedle starego obyczaju urzędnicy województwa wzięli się do służby, a na czele ich W. Chryzostom Rdułtowski nasz chorąży. Pan Benedykt Imieniński mieczny Nowogrodzki stał przy królu z pałaszem dobytym. Pan Hippolit Korsak i pan Michał Ginter, jeden stolnik, drugi podstoli, zajęci kuchnią, zastawiali półmiski przed królem, podawali je i chleb mu krajali. Pan Jan Kiersnowski, cześnik, przynosił butelki i korki dobywał, a pan Antoni Zwierowicz, podczaszy, nalewał wino królowi, którego butelka więcej sta złotych kosztowała, a nalewał go w malutki kieliszek, gdyż król nie był wezwyczajony do trunku, owszem brzydził się w nim zhytkować. Pan Wojciech Płaskowicki, krajezy, rozbiierał pieczenie i krajał mięsiwa królowi przeznaczone. A inni urzędnicy między sobą podzielnili dozór nad hajdukami pańskimi i inną liberyą, z rozmaitych dworów obywatelskich zebraną dla publicznej usługi. Podzielnili ich na oddziały, tak, że każdy oddział miał nad sobą urzędnika. Srebra były zbierane z całego województwa, ze wszystkich jego posesyonatów, co z herbów można było poznać, a nad tym kosztownym kredensem miał dozór pan Ignacy Rewieński prezes sądu ziemskiego. Jeszcze to w czasie obiadu książę gość, widząc że Zwierowicz królowi wino nalewa, kiwnął na niego i swój mu kielich pokazał, by i jemu nalał; ale nasz podczaszy, że tylko swemu obowiązany służyć, jakby go nie rozumiał, postawił butelkę na stole. A książę tylko marszem na niego spojrział, o co on mało dbał, i tamten sam sobie wino nalać musiał. A że my to uważali, była nam pociecha, iż przynajmniej duma upokorzona została. Przy obiedzie spełniono kilka wiwatów, jednak towarzystwo nie bardzo było animowane, bo ten dokuczliwy intruz pruć nam zabawę. Starszyna nie chciał nas zagrzewać do kielicha, aby któremu z nas coś się nie wypsnęło, bo jakbykolwiek człowiek był ostrożnym po trzeźwu, to przy kielichu nie najlepiej wyjdzie obey, który się tam urodzi, gdzie go nie posiali. Ale z tém wszystkiém, niedość mogliśmy się nacieszyć naszym królem. Po obiedzie król z księciem wojewodą Wileńskim pojechali do Nieświeża na całą noc, gdzie przededniem stanęli. Król tam miał

dwie doby zatrzymać się, i wszyscy urzędnicy, nie odstępując króla, za nim pojechali. Król obiecał panu Rdułtowskiemu przyjechać do Nieświeża, ale że on, jako zastępujący miejsce podkomorzego, ani na jedną chwilę nie chciał się odkazać od przełożenstwa nad królewską usługą, więc pojechał za nim do Nieświeża wraz ze wszystkiemi urzędnikami, gdzie i żona jego, księcia wojewody rodzona siostrzenica, umyślnym uwiadomiona, pojechała. Ale zaprosiwszy całą szlachtę nowogrodzką do Snowia na dzień pojutrzny, uprosił przyjaciół i sobie obowiązanych, aby wprost natychmiast ruszyli do Snowia, by rozporządzenia w jego niebytności zrobili do przyjęcia tak okazałego i licznego gościa; i mnie tam wyprawił, mówiąc: — Zmiłujcie się, by mnie wstydu nie było, a zajmijcie się gospodarstwem, bo czasu niewiele. — Ja srebra i szkła zebrane z sobą zabrałem, a chociaż gospodarstwa nie było, przy pomocy licznych przyjaciół i krewnych tego domu jakoś się urządziło tak snadnie, że wszystko pokazało się być przyzwyczajonem. Nazajutrz w nocy nasze chorążtwo przyjechawszy do domu, a opatrzywszy się, bardzo się ucieszyli, i czule nam dziękowali mówiąc, że gdyby sami się byli wszystkiém zatrudnili, nigdyby nie zdołali popisać się lepij. Uwiadomił nas chorąży, że król Jmć bardzo był wesół z przyjęcia nieświeżskiego, a chcąc w domu księcia pana dać dowód szacunku swojego całemu naszemu województwu, obu naszych posłów, pana Adama Rzewuskiego, chorążycę wielkiego Litewskiego, i pana Kazimierza Jabłońskiego, wojskiego Nowogrodzkiego, raczył zaszczycić orderem św. Stanisława, oświadczać, że w Snowiu innym obywatelom nagrody rozdawać będzie. Tłumy szlachty przez cały ranek przybywały dla powtórnego powitania najjaśniejszego pana, a przed południem samém urzędnicy nasi przybyli z Nieświeża z doniesieniem, że lada chwila król przyjedzie. Jakoż nie długo czekaliśmy na karetę dworską, z której wysiadł król, książę wojewoda Wileński, JW. wojewoda Nowogrodzki i książę Naruszewicz, pisarz wielki Litewski, a za nimi rozmaite karety, z których wysiadały: infuły, mitry, ordery, krzesła i tak dalej. Gospodarz przyjmując u ganku wysiadającego króla, padł mu do nóg, dziękując za zaszczyt przyniesiony jego domowi, i my wszyscy klękli. Jak ojciec przez dzieci, tak król przez wiernych poddanych powitany został, i moeno go rozrzewniła czołobitność nasza. Nie obawa to była, ale miłość, a tego słodkiego uczucia tylko dobrzy, ojcowscy króle doświadczyć mogą. Pani chorążyna podała rękę królowi, i zaprowadziła go do obszernej sali bawialnej, która w oka mgnieniu się napełniła. Król kilka chwil zabawiwszy, trochę z obywatelami rozmawiał, chwając uprawę roli w Nowogrodzkiem, iż nawet na Rusi piękniejszego zboża nie widział, ale wkrótce kazał się zaprowadzić do komnaty jemu przeznaczonj. Tam poszedł z księdzem Naruszewiczem, by odprawić ekspedycję do Warszawy,

a my zebrani na pokojach pomagaliśmy gospodarstwu bawić gości, zwłaszcza tych, co składali orszak królewski, a było dość mężów z Warszawy za królem przybyłych. Odznaczali się jego czterej szambelani, nieodstępni od jego osoby przez całą podróż; ci byli: pan Trembecki sławny wierszopis, już wieku dojrzałego, a tamci trzej młodzi byli, pan Szydłowski wojewodzie Połocki, pan Grocholski kasztelan Bracławski i pan Morykoni nasz Litwin, bo chociaż jego przodkowie wyszli aż z Łukieckiej ziemi, gdzieś tam z pod Rzymu, ale on był osiadłym obywatelem w Wileńskim województwie, a nawet został niedługo potem starostą Wiłkomierskim. Młodzi to byli panie, po niemiecku się nosili, i pudrowali czupryny. Ale jak uważałem przysłuchując się ich dyskursom, dobrze z polskimi rzeczami byli obeznani. Bo kiedy się zgadało o odmianach, co je w rządzie naszym skutecznił sejm 1766 roku, pan Butrymowicz, podstarosta Piński, ośmiodziesięcioletni starzec, mąż wielkiej powagi, temu sejmowi gdy jął przyganiać, iż ścieśnieniem prawa *de Libera Voce*, zniósł przywileje narodu, że to prawo słusznie od przodków naszych było uważane jako *pupilla libertatis*, bo zastaniało naród od skutków korupcyi, która w czasach tak zepsutych ogarnąć może większość izby sejmowej; słysząc to, na niego wielu powstało, a szczególnie szambelani królewscy. Pan Szydłowski bardzo gruntownie dowodził, że zerwanie sejmu przy łada materji zawsze było przeciwnie duchowi naszego prawodawstwa, że to było nadużycie niektórych wyrazów Jana Zamojskiego, że przedtém *in Volumine Legum* śladu nie było tak dziwaczego przywileju, upowszechniającego tylko niezgodę i intrygi w narodzie, a że nakoniec samowolność nie na tém zależy, aby ulegać większości izby prawodawczej, ale dawać się wiązać przez widzimi się jedną osobą. Pan Butrymowicz, chociaż wielki prawnik, widno że nie lepił sprawy bronił, bo dość słabe były jego argumenta. Zgadało się także o potrzebie egzekucyi dekretów: nasz poseł pan Rzewuski z wielką wymową powstał na nadużycia starostów, którzy w Warszawie przesiadują, a przecie bez ich podpisu grodzkich sądów wyroki egzekucyi nie mają; i swoje rozumowania zakończył mówiąc: — Sam skorzystawszy z tego nieładu, mam prawo o nim mówić; wyobraźcie sobie panowie, że pan Turkuł łowczy Bracławski zyskał na mnie w grodzie Kijowskim dekret, nakazujący zapłacić mu sześćdziesiąt tysięcy. Prosiłem go o umiarkowanie, żeby przynajmniej rozłożył wypłatę na dwa terminy; ale zaufany w dekrecie tak się okazał twardym, że ani mówić sobie nie dał o układach. Udałem się do Warszawy, gdzie mieszkał książę Lubomirski wojewoda, a razem starosta Kijowski, człowiek umysłu nieprzytomnego, i tylko kobietami zatrudniony; otóż tam mój umocowany wszedł w układ z jego faworytą, iż codzień będzie im płacił

po jednym czerwonym złotym, aż pokąd książę podpisze dekret zwykłą formą. Rozumie się, że ta jęmość nie dopuściła księciu takowy podpis zrobić, by nie stracić akcydensu; tak, że pan Turkuł, nie mogąc się doczekać egzekucyi swojego dekretu, przecie zmiękczał, i zemną wszedł w układy. Na przyszłym sejmie, da Bóg doczekać, jeśli będę posłem, wniozę: aby odjąć starostom ten przywilej, tak uciążliwy dla szlachty, i domagać się będę, aby nadać sądom grodzkim moc egzekucyi dekretów, jako ją mają ziemstwa. — I w samej rzeczy, w Grodnie na sejmie 1784 r. na wniesienie tegoż pana Rzewuskiego, posła wówczas Wołyńskiego, prawo o egzekucyi dekretów jednomyślnie uchwalone zostało. Tak tedy o publicznych rzeczach wszyscy byli zajęci mową i słuchaniem; gdy król wrócił na pokoje z księdzem pisarzem, i kiedy zgromadzeni poddani cieszyli się oglądaniem pana, gospodarz odezwał się, trafiając w ich myśl, o uszczęśliwieniu województwa tą pierwszą, a tak długo oczekiwaną bytnością króla na Litwie; ale król przerwał z żywością: — Mości panie chorąży Nowogrodzki; jak widzę masz nas za obcego. Wszakemy rodowitym Litwinem, urodziliśmy się i Chrzest Święty przyjęliśmy w Wołożynie, a będąc w stanie rycerskim, sprawowaliśmy urząd stolnika Litewskiego. Nawet byliśmy w Lidzie na sejmiku, na którym utrzymaliśmy na poselstwie teraz tu obecnego waszego godnego wojewodę. Mości wojewodo Nowogrodzki, przyswiedz nam, żeśmy wtedy szczerze wam dopisali. — Skłonił się JW. Niesiołowski, dziękując za łaskawą pamięć najjaśniejszego pana, a książdz Kuncewicz sufragana Nowogrodzki, sędziwy starzec, ale wielce lubiący gawędzić, wniósł się do dyskursu: — Pozwól, najjaśniejszy panie, przypomnieć pewną okoliczność jednego pobytu waszej królewskiej mości na Litwie. To było w Wilnie, za księcia biskupa Pocięja. Już byłem rektorem w kolegium św. Kazimierza, a JW. pisarz wielki Litewski tylko co został professorem; jeszcze wtedy ani myślano o kassacie. Dano przeto wiedzieć księciu biskupowi, że na ponarskiej puszczy lud tajemnie się zbiera, dla odbywania jakichś zadawniałych obrządków pogańskich, i że tam stoi dąb poświęcony, ogromnej grubości, przed którym lud klęka, pokłony bije i ofiary pali. Już jego poprzednik bywał o tém uwiadomiony, i dał był rozkaz, by ten dąb zwalono i spalono, ale było mniemanie, iż jak kto toporem po dębie uderzy, sam siebie zetnie; ztąd prostota myślała, że to Bóg swój dąb broni i inni wnosili, że być może, iż djabeł ludzi omamiał; dość, że nikt się nie odważył na ten dąb się porwać i rozkaz dopełnionym nie został, a zabobony jak trwały tak trwały. Otóż książę Pocięj, równie światły jak gorliwy, że tak na pedogre cierpiał, iż od dwóch lat z łóżka nie wstawał, nie mógł osobiście zjechać do ponarskiej puszczy, ale wysłał tam kommisję, a na jej czele nieboszczyka księdza Jurahe, officyała Wileńskiego, i mnie

tam wysłano z ojcami jezuitami; był z nami i ksiądz Naruszewicz, tu obecny a ten mi kłamstwo zada, jeśli zmyślam. Siła była Dominikanów, Bernardynów i innych zakonników, nie licząc świeckich; dość, że omal całe duchowieństwo wileńskie nie zjechało się; kto z rozkazu, kto z ciekawości, a do nich mnóstwo panów i szlachty się przyłączyło. Przybyliśmy tedy w las, a już z całej okolicy spędzono prostaczków, ile tylko ich można było nagromadzić. Dopiero ksiądz miał naukę do narodu, w której go przekonywał, że to bałwochwalstwo porzucić trzeba, a przestać naszego Zbawiciela krzyżować, gardząc nauką Jego Kościoła, aby chodzić za baśniami i czartowskimi wymysłami, a po skończonem nabożeństwie, kazał ów dąb zwalić, ale żaden prostak nie chciał mu być posłusznym. — A co to — prawi jeden po drugim — mam sobie samemu być wrogiem, niech księża sami poprobuja go ścinać; nie trzeba zaś zapomnieć o tém, że wielu było świeckich mężów. Ksiądz Juraha mówi JW. Chlebowiczowi kasztelanowi Wileńskiemu: — Jako wysoki senator, daj panie z siebie przykład, którym lud oświecisz — a pan kasztelan odpowiedział, pokazując na JO. księcia Radziwiłła, hetmana wielkiego Litewskiego, który był razem wojewodą Wileńskim: — Oto jest pierwszy senator naszej prowincyi; strzeż mię Boże, abym przywłaszczał sobie pierwszeństwo. — Ale książe hetman: — Rybenko, przyzwocić aby stan duchowny zaczynał, a my potem. — Tu ksiądz Juraha: — Toby było przeciwko powadze stanu duchownego, toporem machać. — Tak wszyscy stanęliśmy jak wryci, tylko się na siebie oglądaliśmy, bo choć wiara była wielka, każdy myśli sobie: *a nuż czort omami!* kto siebie pewny, kiedy on na *Sanctus Sanctorum* odważył się porwać? Świeccy jeszcze więcej zwątpili o sobie. Piękna by się rzecz zrobiła! tu ucza naród, aby w takie zabobony nie wierzył, a tu sami nauczyciele tak się polekali, iż żaden odważyć się nie może na to, przeciwko czemu piorunuje. Aż jeden pan młodzieńczy, po zagranicznemu odziany, ale dziwnej urody, podobniejszy do anioła niż do człowieka, widząc te korowody, porywa topór i śmiało nim po dębnie raz, drugi i trzeci zacina; dopiero jak zobaczył lud, że jemu nic, za nim z toporami tak żwawo, że dębisko duchem zwalone, runęło z hukiem o ziemię. My ciekawi, co to za pan tak odważny i piękny: dowiadujemy się, że to pan kasztelan Krakowski, dzisiejszy nasz pomazaniec, który zaszczyca nas swoim majestatem, a który daj Boże, aby nad naszymi prawnikami panował, jak teraz nad nami szczęśliwie panuje. Tak ledwo z dzieciństwa wyszedłszy, nasz wielki monarcha, uzupełnił dzieło Władysława Jagiełły: tamten w pogańskich narodach prawdziwą wiarę zaszczerpił, a ten ostatnie szczątki bałwochwalstwa zniszczył; Pan Bóg mu to nagrodił, powierzając mu panowanie nad ludem, którego śmielszy od nas wszystkich na drogę zbawienia naprowadził.

— Podobało się bardzo królowi to zaszczytne wspomnienie jego pierwszej młodości, tém więcej, że w tém zgromadzeniu było kilku tego naocznych świadków, a wielu z nas o tém wiedziało, ale tylko jak o słyszanej rzeczy. Pan Trembecki zaczął trochę prześladować księdza pisarza wielkiego Litewskiego, że z siebie przykładu nie dał, ale ów JW. ksiądz się tłumaczył: — Co to waćpan myślisz? że u nas w zakonie, jak między szlachtą, gdzie każdy starszy? U nas wara młodzikowi, coby się w czémkolwiek wyrwał przed swoim przełożonym. Nieprawdaż, moiści sufraganie, że będąc rektorem byłbyś mnie w ciupie zaparł, gdybym bez rozkazu jał się siekiery? A nakoniec sameś napisał, moiści szambelanie, o naszym pomazaniu:

Że raczył nam powszechne światło rozproszyc,
I myśleć nas nauczył i po trzeźwu radzić.

Wszystko idzie *ad Caesaris exemplum*. Za Sasów byliśmy pijaki, tchórze i ciemni; teraz jesteśmy trzeźwi, mężni i światli. Onegdaj my starzy w szkole Nowogrodzkiej przekonać się mogliśmy, że dziś dzieci więcej mają nauki, niż za naszych czasów wysokie urzędniki. — To młodzieży się podobało, ale starzy trochę czoła namarszczyli; jeno że król spostrzegłszy się, wnet temu dał inny obrót: — Byliśmy tak szczęśliwi — rzekł — obejmując rządy powierzone nam od Boga, iż znaleźliśmy wielu starych, którzy uskuteczniłi nasze zamiary względem rozpowszechnienia nauk między młodzieżą. Bo bez pomocy tych weteranów, o których widno, że żartując tak lekko wspomniałeś, moiści księżo pisarzu Litewski, na nicby się nie przydały starania nasze. — A temi słowy król mocno uradował całą naszą publiczność. Potem pani chorążyna zaprosiła króla, by raczył pozwolić sobie służyć obiadem w stodole, przepraszając iż nie mają sali tak obszernej, w którejby mogli umieścić liczne obywatelstwo, łaknące dzielić gody królewskie. — Król odpowiedział uprzejmie, że najwłaściwiej króla rolniczego narodu w stodole nakarmić; i podawszy rękę gospodyni domu, z nią poszedł na gumno. Gdyśmy za przykładem i pozwoleniem najjaśniejszego pana zasiedli za stołem, zwrócił uwagę królewską przy nim stojący na ogromnym półmisku z ciasta i cukru misternie zrobiony wizerunek Piasta, siedzącego na wozie dwoma wołami ciągnionym, a naładowanym kołami, któremu u wrót Kruszwicy wojewodowie koronę i berło przynoszą. Ta cudna robota, która długo się jeszcze potem chowała w Snowiu, była dziełem wędrownego snycerza Niemca, który właśnie jakby z rozporządzenia Boskiego natenczas w kościele ojców Dominikanów Nowogrodzkich różne ozdoby kościelne kształcił i złocił. A że, jako Niemiec, do wszystkiego był zręczny, kazał przeto pan chorąży nam go zabrać z sobą do Snowia,

gdzie przez dwa dni niespełna tak się nam popisał, że mu pan chorąży po odjeździe króla dwadzieścia pięć czerwonych złotych z dobrego serca dał nagrody. Z powodu tegoż wizerunku, zaczęto rozprawiać: czy też w istocie tak było, czyli to tylko wymysł dziejopisarza? Jedni dowodzili rzetelności tego wypadku, drudzy, a między niemi szczególnie pan szambelan Trembecki, uważał to być allegoryą. Rozpierali się, jak to zwykle pomiędzy uczonymi, aż król się odezwał: — Zmiłujcie się, nie odbierajcie nam naszego Piasta; niech on nam służy na zawsze za dowód, że w naszym narodzie prosty kołodziej cnotami swojemi może dostąpić najwyższej władzy. — Jeszcze się wtenczas doskonale udało panu chorążemu, stojącemu jako gospodarz za krzesłem królewskim: — Najjaśniejszy panie — powiedział — wasza królewska mość jest dla nas zupełnym Piastem, nawet kołodziejem jak on, bo toczysz koło fortuny Polskiej i Litewskiej. — Co król mu odwdzieczył miłym uśmiechem. Potem król zaczął po francuzku rozmawiać z panią chorążyną. Zaczęła się animować kompania za hasłem przez gospodarza daném, który ogromnym kielichem spełnił zdrowie jego królewskiej mości w ręce JW. Niesiołowskiego wojewody naszego. A potem kielich puścił się na wędrownkę między nami; przy tém zdrowiu śpiewano wiersze na przedce ułożone przez pana chorążycę Litewskiego, naszego posła, a brata rodzonego gospodyni domu. Król małym kieliszkiem pił zdrowie gospodarstwa i szlachty, ale widno było, że to mu nie służyło, i choć w małej ilości, nie pijał bez widocznego wstrętu; ale my szlachta, rozrzewniona jego bytnością, pozwoliliśmy sobie, że przez cały czas obiadu zabawa była dość animowana. I panowie z królem przybyli, chociaż do Warszawy nawykli, niegorzej nam dopisali, a szczególnie książd Naruszewicz pisarz Litewski, który pił że aż miło. Jednak jakieś było umiarkowanie, bo pan chorąży wstrzymywał nasz popęd, gdyż król miał po obiedzie rozdawać urzędy. Trzeba więc było gospodarzowi być trzeźwym, bo jako zastępującemu miejsce podkomorzego, wypadało jemu mówić z królem o wakansach i przekładać mu życzenia obywatelskie. Jakoż po obiedzie król, wezwawszy JW. wojewodę i kasztelana Nowogrodzkiego i pana chorążego Rdułtowskiego do swojej komnaty, konferował z niemi o nagrodach zasłużonym obywatelom i o rozdaniu wakansowych urzędów tym, co opinię publiczną mieli za sobą. Po skończonej konferencji wróciwszy na pokoje, gdzie my zebrani z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy ich przybycia; król jegomości kazał księdzu Naruszewiczowi ogłosić nazwiska łaskobierców. Orderem orła białego zaszczytzeni wtedy zostali: JW. Gedeon Jeleński kasztelan, i książd Kunciewicz biskup adnumentański sufragana Nowogrodzki. A św. Stanisława: pan chorąży gospodarz domu, pan Obuchowicz podwojewodzy i pan Rewieński prezydent sądów ziemskich.

Pan Siemiradzki, który przed rokiem złożył nasze stolnikowstwo *in favorem* pana Hipolita Korsaka, otrzymał urząd sędziego wojkowego. Wakujące strażnikowstwo i mostowniczowstwo Nowogrodzkie dostali: pan Celestyn Czeczot i pan Józef Barzobohaty; także kilka starostw król naszym rozdał, i nieco urzędów egzotycznych. W tym hojnym wylewie szczodroty najjaśniejszego pana, i mnie jego łaska nie ominęła; dostało mi się cześnikowstwo Parnawskie. A sposób, w jakim król te godności rozdawał, był nam wdzięczniejszy jeszcze, niż one same. Bo każdemu świeżo zaszczyconemu umiał coś obowiązującego powiedzieć. Gdy przyszło do mnie: — Mości cześniku Parnawski — rzekł — zawsze się staramy zasłużonym obywatelom podawać coraz obszerniejsze pole do dalszych ich zasług; wiemy, że długo byłeś nam przeciwny, ani wam to za winę przypisujemy, boś szedł za swoim przekonaniem. Spodziewamy się atoli, iż odtąd jedna tylko opinia nie dopuści żadnych domowych rozterek w naszej Rzeczypospolitej, i że z równą wiernością będziesz służył królowi ściśle zjednoczonemu z całym narodem, jakęś służył tej części, która niefortunnymi okolicznościami od niego się była odłączyła. Tuszym, że mieć zawsze będziemy w waćpanu wiernego sługę i przyjaciela. — Klęknąłem natychmiast przed królem i u nóg jego odnowiłem przysięgę wierności, co ją aż do samego końca dochowałem jemu. I nie tylko ja, ale wszyscy obdarzeni równym zapalem przysięgali mu wiarę. Taką miłością zapaliliśmy się do naszego pana, że byliśmy jak w gorączce; żaden z nas nie umiałby dokładnie przypomnieć sobie, cośmy wyrabiali. To tylko pamiętam, że ustawicznie padaliśmy do nóg, płakaliśmy i śpiewali naprzemian, a pili, co się wlało. Choć król okazywał, iż był rad tym naszym wynurzeniom, pewny jestem żeśmy się naprzykrzyli jemu, bośmy chwili mu wolnej nie zostawili: co jeden kończy to drugi zaczyna, a gospodarz tylko chodzi od jednego do drugiego i przekłada, że król nazajutrz z rana musi jechać, że podróżą i pracą zmęczony, że wczasu mu potrzeba. Na siłę my się przekonać dali, a tak, zebrawszy się w ofieynie, żeby hałas nie dokuczał królowi, całą noc piliśmy; że kiedy z rana król wsiadał do karety, zastał nas przed gankiem na nogach, lubo dobrze chwiejących się. Dopiero znowu nowe śpiewy i klęknięcia przy pożegnaniu i prośby, by nam dał ojcowskie błogosławieństwo, któreśmy zanieśli żonom i dzieciom naszym. A większa część naszych, choć ledwo na nogach się trzymała przez wino i niewczas, króla konno odprowadziła aż do granicy naszego województwa. Ale kiedy po odbyciu wszystkiego wróciłem do Doktorowicz, co to była za radość żony i czeladki! Zsiadając z bryki, pierwsze moje słowa do żonki, która na przyjęcie moje wybiegła, były: — Żonko! dziękuj Bogu, że nam nadspodziewanie poszczęścił. Był już z Jego łaski majątek i działwa, urzędu tylko nie dostawało,

aż król jegomość raczył nas i urzędem zaszczyścić. Mościa cześnikowo Parnawska! pocałujże swojego męża. — Co powiadasz, mój kochanku? — Tak, tak, moja Magdusiu. Pamiętasz, jakieś mocno uczyła roku zeszłego, że nasza sąsiadka pani Rajska miecznikowa napisała do ciebie: „Mnie wielce Mościwa Pani i kochana siostró! — Rzewnemi łzami płakałaś przedemną, skarżąc się na jej niegrzeczność. A jam ci powiedział: choć pani miecznikowa mogłaby spuścić ze swego prawa, by niēm nie upokarzać sąsiadki; przeczyć jej tego prawa nie można, bo ona urzędniczka, a ty po prostu szlachcianka. Ledwom cię ukoił, toś przez cały rok ofiarowała Boskiej Opatrzności poniedziałki suszyć, byś także została urzędniczką. Widzisz, że kto z Bogiem, Bóg z nim — i my teraz z Jego łaski jesteśmy wielmożni. — Ach mój Sewerynku, pozwól niechno wyprawie forysia do pani miecznikowej z doniesieniem o naszym szczęściu, które listownie jej oznajmij, jako sąsiadce łaskawej. — Dobrze, moja Magdusiu, pisz; niech wszyscy wiedzą, że my na ludzi wyszli. — Moja Magdusia do siebie nie mogła przyjść z radości; a ja, patrząc na tę jej radość, więcej czułem moje szczęście, niż kiedy je otrzymał w Snowiu z rąk najjaśniejszego pana. A w domu, z jaką pociechą cała moja czeladka i wiejska gromada przybyli do mnie z powinszowaniem! Pięćdziesiąt kwart gorzałki dałem gromadzie, aby na moim dziedzińcu radowała się z nami, a mój stary dyspozytor Pękalski, który mojego dobra gorliwiej niż własnego pilnował, którego synów moim kosztem w szkołach utrzymywałem, do łez mnie rozculił, bo jak mu Magdusia oznajmiła, że cześnikiem zostałem, powiedział mi: — Panie! już teraz spokojnie umrzeć mogę, kiedy doczekałem, że zasługi pańskie nie poszły marnie. — Ledwo nie przez cały kwartał zjeżdżali się do mnie sąsiedzi, by mi winszować zaszczytu, i niemało kosztu ta ich życzliwość nam przyczyniła. Aleśmy tego nie żałowali, i Magdusia, choć skrzętna gospodyni, tak była ucieszona swoim znaczeniem, że na żadne wydatki dłoni nie ścisłała.

XX.

Stanisław Rzewuski.

Zagraniczni ludzie, jakem słyszał, mówią o nas że jesteśmy lekko-myślni, że żadna tajemnica między nami się nie uchowa, i że dla

naszego wielomównstwa nie się nam nie powodziło. W każdej bajce jest prawdy połowa, ale połowa tylko; całkowicie wierzyć nie trzeba. Rzecz pewna, że towarzyskość naszych obyczajów na wielkie niebezpieczeństwo naraża języki nasze, bo po prawdzie powiedziawszy, gawędka jest nam całą rozrywką w chwilach wolnych od zatrudnień. Szlachcic zajmuje się gospodarką, bo taki Pan Bóg przykazał, aby o dzieciach pamiętać, by nie chodzili bez obuwia; ale jak się namozoli, natupta, nabieduje, czémże się rozerwać? Czytać? nie każdemu mieć biblioteki, a chociaż i znajdzie się jaka książka, czytać to i rozrywka i trud razem, a człowiek czasem wprost czystej rozrywki potrzebuje. Ogród? to pańska rzecz, nie szlachcicowi w tém się kochać. Cóż tedy robić? Byłem razu jednego na Szlązku, kiedyś to mnie wzięła ochota popróbować, czy się nie uda zarobić na wólach, jakoż nie straciło się, bo i koszt podróży się wrócił, i coś się wywiozło dla oporządzenia domku. Żonie w gościńcu się dostało kilka niemieckich fraszek, i z siakim takim procentem grosz tam wrócił, z kąd wyszedł; ale to nie warto podjętych za tém mozolów. A człowiek rad, że wyszedł na swójem, i trochę świata obaczył; poprzestał na tém, i drugi raz nie chwycił się tak niespokojnego chleba. Otóż w Namysłowie, na kiermaszu, poznałem się z jednym tamecznych stron możnym obywatelom, który mnie widząc w kontuszu, sam szukał ze mną znajomości, a to z powodu, iż przepiął swoją z Polski prowadząc, rad był się dowiedzieć o imiennikach w niej pozostałych. Na moje i jego szczęście mogłem mu dać objaśnienie, jakiego żądał, bo on się nazywał Kobyliński, a dom ten w Nowogrodzkim osiadły, był mi dobrze znajomy. Nawet z W. skarbnym Kobylińskim miałem ścisłe stosunki, od tego czasu kiedy to jeszcze kratek pilnowałem, a nawet i swojaćtwo przez moją żonę. To wszystko opowiedziałem. Ten tamecznych stron pan Kobyliński mówił po polsku zwyczajnie jak Szlżak, ale po łacinie jak się należy. Ucieszył się, iż jego krwi dobrze na Litwie się powodziło, i zaprosił mnie do swojego zamku pod samym Namysłowem. Ja mu służyłem, raz że sama grzeczność nie pozwalała odmówić, a powtóre byłem rad odpocząć, tém więcej, że koniaki mi się pochorowały. Lubo jego gościnność nie była zupełnie taka jak u nas, co to gospodarz ledwo sam siebie nie usmaży, aby gościowi dogodzić; nie mogę się jednak skarżyć, iżby wedle jego obyczajów na pół zniemczałych, bo taki podobno już był złutrzał, nie był dla mnie wylanym. Oprowadzał on mnie po swójem gospodarstwie i znał się na niēm. Podobało mi się, że dawna polska natura ich nie opuszcza; pilnuje roli, nie tak jak zupełnie Niemcy, co ziemię zadzierżawiają, a sami w kamienicach mieszkają rynku pilnując, jak zwyczajnie Niemcy. I tak więc tygodnia u niego bawiłem. Jeszcze to widząc mnie porządnie odzianym, z pasem litym, a szczycąc się iż

z polskłej krwi pochodzi, wymówił się, z wielką jednak delikatnością, że mój ubiór bardzo mu się podobał, i że radby go nabyć, aby to mieć na pamiątkę swojej procedencji; mnie ruszyła ambicja, że nie tanetnik odzieniem handlować, i prosiłem go, aby raczył odemnie przyjąć ofiarę z mojego ubioru, gdyż do domu wracając nowych znajomości robić nie myślę, a tylko o takie dwory kołem zaczepić, w których mi będą radzi, choćbym w opończy sierakowej się stawił. Jakoż nazajutrz zrana, przepraszając iż mu attencję moję oddaję w kapocie, wręczyłem mu co tylko dnia poprzedzającego miałem na sobie. I chociaż pas słucki do tysiąca złotych mnie kosztował, rad byłem go przekonać, że kiedy potrzeba, my się nie rachujemy, i że jego chleba darmo nie jadłem. A lubo z mojej strony to była ofiara, więc nie bez jakiegoś przykrości, takem go widział uradowanym z mojego upominku, że ażem się ucieszył z myśli przysłużenia się jemu. Że był podobnej mnie tuszy, zaraz chciał się po polsku ubrać, do czego mu pomogłem i wyuczyłem jego sługę, jak pas ma jemu zawiązywać; dość, że cały ten dzień chodził w mundurze województwa Nowogrodzkiego, jakby nasz obywatel, chociaż u Niemców był baronem. Ale tego samego dnia oprowadzając mnie po swoim gospodarstwie, a zaszedłszy do obory, która jakby jaki pałac wyglądała, wybrał dwanaście najpiękniejszych krów i buhaja, prosząc mnie, bym to przyjął na pamiątkę. Ja mu się wymawiał, że nie w pretensyi żadnego oddarowania odstąpiłem mu moję starzyznę; ale on mnie tłómaczył, że jako od koligata jego krwi, nie wahał się przyjąć co mu tyle jest szacowném, że więc sama słuszność każe mnie uprzejmie przyjąć, co mi z dobrego serca ofiaruje. Jakoż przekonał mnie, iż nie było na swoim miejscu upokarzać go, okazując się zbyt twardym. Czułem podziękowawszy, z mojami ludźmi odesłałem bydełko mojej Magdusi, która i kochała się w bydle, i na niem się znała. A sam jeszcze dni kilka zostałem, póki konował przy zamku mieszkający zupełnie nie wyleczył mi koni. Otóż więcej tygodnia bawiąc w zamku okazałem, u tak możnego obywatela, oprócz domowników, żywego ducha nie widziałem, chociaż sąsiadów miał mnóstwo, bo tam magnat chyba ma tyle ziemi, ile u nas zamożny szlacheć. To mnie mocno zdziwiło. Jak można, pomyślałem sobie, takowe życie prowadzić? wszystko mieć do przyjęcia ludzi, a nie żyć z niemi. U nasby obywatel zwędził się z nudy, a on się nie nudził. Miał on wielką bibliotekę, ledwo nie tak obszerną jak JW. podkanclerzego Chreptowicza w Szczorzechach, a prócz tego zbiory różnego gatunku. To jakieś kwiatki zasuszone w papierach, to robaczki szpileczkami przekłute, to muszle rozmaitego kształtu, to kruszce, wszystkie jakie tylko są na świecie, a których nazwiska tak recytuje, jakby litanie do Najświętszej Panny, że ani się zatnie, choć tego mnóstwo, bo on to wszystko mi pokazywał i tłó-

maczył. Więc kiedy się napracuje, że już mu rozrywki potrzeba, to swoje drobiazgi przeziiera, przeczyszcza, przekłada, i tak mu czas schodzi; a jak mi mówił, każdy prawie u nich możny obywatel ma podobne rzeczy i niemi się bawi, że mu gawędy nie potrzeba, aby czas schodził. My szlachta podobnych rupieci u siebie nie mamy, ni się znamy na nich, a cała nasza zabawa z ludźmi obcować. Kiedy który z nas dorobi się, że aż przyjdzie do własnej wioszczyny, jako zwykle, w niej dworu nie zastaje; zaraz go stawia nad folwarkiem, ale tak, żeby z okna na gościniec mógł patrzeć, by wyglądać, czy kto nie łaskaw nawiedzić; to kiedy spostrzeżę, że zdaleka kurz się podnosi, ledwo serce nie wyskoczy z radości, że ktoś raczy może zawitać. A kiedy nadzieja nie zawiedzie, to dopióro szczęście; przyjmuje się łaskawcę, oprowadza się go wszędzie, pokazuje się mu stajnia, popisuje się przed nim swoją pracą, wypije się z nim, a nagawędzi się, że ledwo się nie rozbeczy przy pożegnaniu. Kiedy dusza się wylewa, trudno żeby czasem co i nie wymówiło się, bo serce do ust gwałtem się przedziera. Ale było na to lekarstwo, aby jaka ważna rzecz się nie wypnęła: za dawnych czasów, kiedy się któremu z nas co powierzało *ex publicis*, wymagano zaraz przysięgi na dochowanie tajemnicy. A jak kto się związał przysięgą, to choć mu język zaświerzbi, zaraz mu staje przed oczyma straszny Sąd Boży, a gdy człowiek zastanowi się, jak tam i piecze i kole, tak mu zaraz język świerzbić przestaje. Kiedy się w Częstochowie ukartowało, aby króla Poniatowskiego porwać z Warszawy, co potem pan pułkownik Łukawski gardłem przyplącił, więcej trzechset nas było w zмовie, ale żeśmy przysięgli sobie wzajemne mileczenie, tak się ono dochowało, że aż dotąd nawet całkowity ten wypadek tajemnicą jest pokryty. Panom Łukawskiemu i Strawińskiemu życie obiecano, jeżeliby wydali, kto ich namawiał i do tego należał; woleli być straconymi, niż kogokolwiek pociągnąć, bo przysięga nie fraszka. Wszystko to dawno minęło, już i to wszystko dla czego się robiło, przeżyliśmy; a przecie pomimo tylu, którzy w to wchodzili, nie się dotąd nie objaśniło, bo co piszą o tém ludzie, to tylko same są domysły. Teraz ostatnim będąc z żyjących, co do tego należałem, napiszę z ką wyszła pierwsza myśl tego, a może kiedyś i cały wypadek opiszę: raz, że nie mam się czego wstydić, bo przez to nie ominałem się z obowiązkami obywatela; powtóre, radbym oczyścić pana Kazimierza Puławskiego, starostę Wąreckiego, z najmniejszego podejrzenia, krzywdę tak znakomitemu mężowi przynoszącą.

Po naszej porażce pod Oborną, gdzie pan Szye odbił pana Puławskiego, już w rękach Dońców będącego, tułaliśmy się w Niepołomickiej puszczy jakby jacy rozbójnicy. Było nas trochę więcej od tysiąca niedobitków, ale sama rdzeń konfederacyi Barskiej. Zasłaliśmy aż

w głąb puszczy, i tam oszańcowawszy się zasiekami, założyliśmy nasz obóz. Porozpalaliśmy ogniska, tak, że szpilki można było zbierać po ziemi, chociaż noc była ciemna. Ale że już to było w późnej jesieni, deszcz, wilgoć, ogień więc ten ledwo nas dosuszał, a tak byliśmy znużeni, że duch tylko nas pokrzepił, a członki ledwo się ruszały. Nam nie żal było cierpieć; ale mój Boże! serce się krajało, widząc naszych panów, do zbytków i miękkości nawykłych, leżących na błocie. Ksiądz Marek siedział na kłodzie i modlił się z brewiarza przy świetle ogniska, a na drugiej kłodzie siedział pan Kazimierz Puławski zamysłony, i drażkiem dłużał w ognisku, jakby się tém bawił, a jego myśli o sto mil były od niego. Obok księdza Marka na téj samej kłodzie leżał, na wpół na łokciu oparty, JW. Rzewuski chorąży wielki Litewski, jeden z regimentarzów generalnych naszej Barskiej konfederacji, i stękał, bo rana, co ją był dostał w nogę przy dobieciu Krakowa, dokąd nas prowadził, a która nigdy się zupełnie nie zagoiła, odnowiła mu się była i wielkie mu czuć dawała boleści, rozdrażniona takimi niewygodami. Każdy z nas rad był mu swojego zdrowia ustąpić, bo to był wódz dobry, żołnierz śmiały, a do tego pan z rzadkiem sercem, z wielkim dowcipem i skromnością; a przy nich i inni leżeli i zabierali się do spoczynku. Ksiądz Marek widząc JW. chorążego cierpiącego, obwinał mu nogę w swoją opończę, a sam w habicie tylko siedział; ale to jemu bólu nie zmniejszało, stękał coraz mocniej, a nakoniec się odezwał: — Oj boli! kto w Boga wierzy dobij, bo więcej nie wytrzymam. Księżu Marku! jam patrzył na twoje cuda: zrób, żeby mnie noga nie bolała, większą u Boga mieć będziesz zasługę, niż za swój brewiarz. — Poradzić ci nie mogę, panie regimentarzu, wola Pana Boga, byś cierpiał. — Otoś mnie pocieszył, księżu Marku! A co ja Panu Bogu winien, by się nademną nędznym pastwił? — Nie bluźń, mości chorąży, ani wchodź w Boskie rozporządzenia, ale ufaj, że one są zawsze sprawiedliwymi. Oj! gdybyście mogli pojąć jaką jest potęga w cierpieniach, nie tak bylibyście niecierpliwi. Kiedy bydlę się męczy, mnie żal, bo nienagrodzonej doświadcza krzywdy; ale człowiekowi kiedy Pan Bóg cierpienie posęła, daje mu wielki skarb, byle z niego korzystał. Uderz się w piersi, panie regimentarzu, a wyznaj, że chociażżeś godny ze wszech miar, nie bez tego, byś nie miał coś do przemazania w rachunku twoim z Panem Bogiem. Teraz cierpisz na ciele, a może kiedyś znowo mu dogadzałeś; twój spowiednik lepiej wie, a coś tylko nabroił, djabeł natychmiast na swojej karcie zapisał, a jak cierpisz to mu mażesz robotę, że przy śmierci karta będzie biała, i już nigdy cierpieć nie będziesz. Gdybyśmy tu tylko mieli żyć z sobą, na pazurybym brał, by szanownemu regimentarzowi ulżyć bóle; ale że tuszę, iż zawsze będziem z sobą mieszkać tam, gdzie szczęście niczem się nie przerywa, mniej się

o jego zdrowie frasuję, bo niedługo będziesz mię przypominać, jak dobrze wyszedłeś na tém, że póki byłeś na ziemi, pocierpiałeś trochę. — Oj trochę, nie daj ci Boże takiego trochę, co go doświadczam, a czego, chwała niech będzie Najwyższemu, nigdy doświadczać nie będziesz, bo ciebie księżu ni kula ni spisa nie chwytą; sam nieraz widziałem, jakęś laźl, gdzie każdemu innemu aż nadto było łatwo po kościach dostać, a tam byłeś bezpieczny jak na ambonie. Ja wiem, że za grzechy pokutować trzeba, ale czyż koniecznie tak, żeby szynami żelaza rozpalonego od golenia do pięty pieczono, bo takiego rodzaju jest mój ból. Niechno mi się noga wygoi, a ja dobrowolną przyjmę pokutę, jakby jaki zakonnik. Modlitwy, posty, dyscypliny nawet, wszystkiemu się chętnie poddam. — Tak, tak, każda pokuta się przyjmie, oprócz téj, którą Pan Bóg sam posęła; wiesz, panie chorąży dobrodzieju, że nie pomyślawszy odezwałeś się; bo jak sam wybierzesz pokutę, chociaż najtwardszą, to jeszcze zadanie: przyjmie ją li Bóg, lub nie przyjmie? a ta, którą On sam posęła, bez najmniejszej wątpliwości jest dlań miłą. Ale dotąd mówiłem z tobą, JW. chorąży, jako z chrześcianinem i człowiekiem; teraz pozwól, niech się odezwę do regimentarza generalnego naszej konfederacji. Kochasz ziomeków, służył im z takim poświęceniem a cierpieć dla nich nie chcesz. — A już to znowo, księżu Marku; od ciebie pierwszego taki zarzut słysz, a nikomu innemu tegobym nie dał sobie powiedzieć. Ja za swoich cierpieć nie chcę?... ja! a któż dla nich odemnie jest większym męczennikiem? a gdybym ich chciał odstąpić, czyżbym nie żył w dostatku spokojny? Ojciec i brat jęczą w niewoli, od pięciu lat żony nie widzę, dzieci rozproszone po całym świecie, majątek złupiony. A całe moje jakież było życie, odkąd ze szkół wyszedłem? Nastąpiła konfederacja Nieświeżska; ja się biję, ona rozwiązana, a ja na banieję wskazany, tułam się po dżumach na Turczyźnie; wracam do kraju i więzienie w nim znachodzę; Radomska konfederacja mnie uwalnia. Konfederacja Barska się zawiezuje, a ja byłem z pierwszych, co się na nią podpisali, i jak widziś szósty rok się biję i rany dostaję. Ty księżu, co wszystko wiesz, wiesz i to, ile krwi i łez przelałem dla kraju: czterdziestu lat nie mam, a biedą i zgryzotami tak zgrzybiałem, że na starca wyglądam. A Bóg świadek, że moje wytrwanie nie z żadnych płonnych nadziei pochodzi, bo znam dobrze, że z tego nic nie będzie; ale co się robi, robi się aby się wywiązać z tego co działać należy, żeby było czyste niezapruszone oko! Nie żałby cierpieć i nadal choćby za grzechy, których tak wiele jest: ale pozwól na ból popłakać, bo już nie z żelaza. — Opuść dla miłości Chrystusa Pana, panie regimentarzu dobrodzieju, żem cię obraził mimowolnie, ale ile to mnie pociechy przynosi, żeś się tak obruszył na samo wspomnienie, że nie chcesz cierpieć. Panie regimenta-

rze! nie wąż o mojem przywiązaniu; zreniecy oka mojego tyle nie miłuję, ile ciebie. W mojej rubrycelli wyczytasz imię Stanisława Ferdynanda, bo zawsze za ciebie się modłę, jako za wielu współczesnych, za których powodzenie często Bogu czynię ofiary; a obok tych imion znajdziesz niemniej innych, co już swoje odbyli, a dla których wiecznego odpoczynku błagam; a są tam przytęm imiona tych, którzy się jeszcze nie narodzili, a dopiero za lat kilkadziesiąt się pokażą, ale których mi Pan Bóg objawił, żem ich widział jak na mojej dłoni. Co to będą za nadzwyczajni ludzie! a ja zawczasu za nich się modłę, bo im człowiek większy, tęg więcej modlitw potrzebuje. Przyznaj, panie chorąży.... — tu wpadł ksiądz Marek w zachwycenie, i dwa strumienie łez zaczęły się mu sączyć po jagodach. A my milcząc patrzali tylko na niego, bo coś było w nim takiego, że nie można wątpić, iż on święty człowiek, z Panem Bogiem rozmawiał. Kiedy mówił, my zapominali o dolegliwościach naszych; a nie tylko my cokolwiek okzesani, ale i prostaczkowie nawet, co dzielali nasze trudy, leżąc na przemoczonych ziemi, głowy podnosili by go słuchać, i mówiłby do białego dnia, a żadenby nie zasnął. Skrzępie dopiero członki rzeźwiły się jakąś siłą niewiadomą; radziśmy byli odnawiać boje, by odwetować przegrane.

Po kilkogodzinny spoczynku, obóz na nowo przybierał postać ruchu i czynności. Pieśń Boga-Rodzicy już powitała była nadchodzące zorze, słysząc się dawały rżenia rozweselające obozy, z troków już były poobdzielane obroki dla wiernych towarzyszy, a kiedy jeździec swojego konia nakarmi, jemu samemu nędza wtedy znośniejsza. *Zowiesz się naszą królową*, śpiewali pancerni, *Bądź nam obroną gotową*, odpowiadali uszarze. A wodzowie siedzący na kłodach na nowo rozmawiali z sobą przy ognisku. Blisko regimentarżów, wielu siedziało lub leżało na ziemi, radzi się im przysłuchiwać. Byli tam nasi Litwini: pan Józef Kiersnowski i pan Julian Staniewicz, i pan Korsak porucznik Petyhoreów, starzec w boju nieustraszony, a który mnie kochał jakby rodzzonego syna; był pan Szye, jeden z najlepszych kawalerzystów nawet między nami; i pan Dzierżanowski, smutny, obwinęty w burkę siedząc nieruchawy, bo pod Oborną prawie cały jego pułk został zniszczony, i pan Cyryak Potocki co go tytułowano starostą Żydaczewskim, lubo w rok niespełna po wstąpieniu króla Poniatowskiego odsadzili go od niego z powodu, iż on miał sobie to starostwo odstąpione darem od Brühla cześnika koronnego, a że sejm koronacyjny nie przyznał panu Brühlowi szlachectwa, więc i posiadanie starostwa i jego ustępstwo za nieprawę uważano. To do ostatniego stopnia rozdrażniło naprzeciw króla pana Cyryaka, który oprócz tego dawne z nim miał zatargi. Jeszcze to się zaczęło, kiedy za króla Sasa, pan stolnik Poniatowski, będąc posłem Mazowieckim,

zerwał sejm dla uciśnienia pana Brühla, na którego dworze był pan Cyryak, a że do wielkiego przywiązania do swego pana łączył dziką odwagę, wyzwał był na pojedynek pana stolnika, a jego nie doczekawszy plac ostrzelał. Otóż ten pan Cyryak, który był konsyliarzem konfederacyi, lubo więcej w boju niż w radzie popisywał się, broń swoją czyścił, siedząc na ziemi przy kłodzie, na której siedział pan chorąży Rzewuski. I innych kilku było w tęg gronie, między którymi weisnałem się, by się przysłuchać, co starsi mówią; jakoż ani słówka nie straciłem, i tak to zachowałem w pamięci, że teraz z nię na starość wszystko jak z kłębka wysnuwam. — Patrz, panie Kazimierzu — odezwał się do pana Puławskiego pan Rzewuski, chorąży wielki Litewski, nieco uspokojony ale jednak cierpiący — co to my znosić musimy z łaski tego, co swojego dziada nie umię nam pokazać, a uroiło mu się panować nad nami, starożytną szlachtą. My tu leżym tam, gdzieby myśliwy pocziwego psa nie położył, a ten pieszczołch wylęga się gdzieś na puchu podobnych jemu panów jego rady, co mu za chleb rzeczypospolitęj swoje własne żony zadzierżawiają. A nie łatwiejszego, jak tego babiarza na nasze gody zaprosić. — Djabła tam, panie Stanisławie; on słyszę w Warszawie tak osaczony, jak obraz cudowny w czasie odpustu. — Nie wierz waćpan temu, panie Kazimierzu, jam wszystko własnymi oczyma namacał; nie jest to lis tak ostrożny, aby go od jądźwiny nie oderznąć, — wszak nie najdawniej byłem w Warszawie. — Ale, ale! dobrze że o tęg wspominasz! Dotąd ci nie wypadło zemną mówić o tęg twojęg podróży; teraz ku temu pora, opowiedz panie regimentarzu, jakeś ją odbył i jak tam było? — Wszak wiesz, panie Kazimierzu, że najstarszy mój syn w konwikcie u Jezuitów. Otóż stojąc pod Kozienicami, nimeś przybył nad nami objąć dowództwo, byliśmy w zupełnęg nieczynności; ja się bić chciałem, i o to się spierałem z panem Zarembą, ale ten mnie pokazał wyraźny rozkaz od generalności, by nie nie zaczynać, pokąd generał Demulier przybędzie; jęgośmy nie doczekali, a tylko czasu nakwasili. Razu więc jednego przysniło się mi, że mój chłopiec obłoźnie zachorzał: takem się nafrasował, że bądź co bądź, postanowiłem sobie go nawiedzić. Przebrałem się w starą oponię, jako szlachcie z zagrody, o służbę starający się, i puściłem się samopas piechotą do Grójca. Tam zaszedłem na przedmieście do czynszowego szlachcica, prosząc go, by dla miłości Pana Boga na noc mnie przyjął. Gospodarz gościnny, chociaż ubogi, był mnie rad, i lubo nieznanomego, gorzałeczką poczęstował, prażuchami nakarmił i pozwolił mi przespać się w swojej izbie na słomie. A jakkolwiek sześć mil gościnca piętami nabiwszy w jednym dniu, uczułem, że jego przyjęcie było mi lepsze nad wszystkie biesiady nieświeżskie. Ale nimeśmy się spać pokładli, bawiliśmy się jeszcze gorzałeczką i gawędką, bo szlachcie co i po

klasztarach kiedyś służywał i lat kilka furmanką się bawił, miał o czém mówić. Wymówił się jakoś, że skoro świtać zacznie, on z żoną i z podkarmionemi gęsiami na fernalce parokonnęj puści się do Warszawy. A ja mu przerywając: — Ach! tatku, ach dobrodzieju, zabierz mnie z sobą, azaliż przy waćpana szczęściu służby tam nie znajdę dla siebie. — Panie bracie — odpowiedział szlachcic — to nie lada sprawa: moje chabety mizerne, a jak na furę trzy kojce pełne nałożę, a do tego moję babę, co ją, jak widzisz, mospanie porządne pościami Bóg opatrzył, to ja całą drogę piechotą iść muszę, bo i bezemnie tego nadto, że aż konie noga za nogą wloką towar. A gdzie waści umieszczę? Jahym rad dogodzić, ale jest nad czém głowę sobie podrapać, jakby to zrobić, żeby i wilk syty i koza była cała. — Poczciwą miał twarz stary, że można było mu się powierzyć; i miałem pokusę dobyć z zanadca parę złotych brzęczących, aby żydka z końmi najął dla mnie aż po pod Warszawę, ale wstrzymałem się, bo taki djabeł nie śpi; a coś imość przebąkiwała, że król przez Grójec przejeżdżał, że jęj chłopca głaskał, że bardzo król piękny, i że nie pojmuje czego od niego chcą konfederaci. Wszak wiesz, panie Kazimierzu, że wszystkie baby za niego duszę oddały. O przebrzydła potępienico! pomyśliłem sobie, tu trzeba być ostrożnym, bo chociaż gospodarz lepij o nas trzymał, jakoż był nawet ofuknął żonę, mówiąc: — Co waćpani znasz? To nie gęsi karmić! Gdyby tam było nie potem, pan Załuski starosta Grójecki, z którego łaski grzędy kopiem, do tegoby nie należał. — Ale pomimo tego widać było, że go imość osiodłała, więc nie chciałem wpaść w podejrzenie po pańsku występując; bezpieczniej było chudopacholstwa się trzymać. — Panie ojcie — odezwałem się — jeżeli waćpana łaska, łatwa rada: imość z kojcami na fernalce, a ja z waćpanem piechotą przy koniach. — Toćby to było niezłe, ale moją imość znają u rogatka, bo co dwie niedziele po pod niemi przewozi drób, albo zemną albo z sąsiadem; ale jak dwóch obacza przy koniach co nigdy nie bywało, żeby nie wpaść w podejrzenie, bo teraz czas niespokojny, — a jak zatrzymają, żeby opytać: zkąd? dokąd? i po co? bo to wszystko teraz bywa. Żeby to waszec miał i o czém czas tracić, toby parę dni tłómaczyć się o swoim chlebie nie byłoby wielkie święto, bo na waszeci czapka nie gore; ale jak uważam, panie bracie, nie wiele musisz mieć grosiwa przy duszy, niech cię to nie obraża, bo z tém się nie taisz, że szukasz kawałka chleba przy opończy nie najnowszėj. A i my niewiele, od waszeci bogatsi: nie swoim ale kupnem ziarnem drób karmim, bo całe nasze gospodarstwo ogród, a cały majątek dwa podjezdki. Zestarzeliliśmy się z żoną krwawo pracując, a nie możemy przyjść do cynowego naczynia, jak to po szlachcicie bywa, ale na glinie z drewnianych łyżek jemy jak chłopci. Co mamy się taić? wszak to widzisz! Czy się co zarobi, czy straci, nie

pytają, a co roku i czynsz trzeba zapłacić, i dyrektorowi, co chłopeów uczy, żeby kiedyś na ludzi wyszli, a Bóg świadek, że szczerze chcą waszeci się przysłużyć. — Potém naradzał się ze swoją żoną w alkierzyku, a jak się pokazało, że kobieta, choć z Poniatowskim obstawała, niezgorse miała serce, bo prędko konferencyę skończywszy, wrócił gospodarz do izby i powiedział mi: — Ciesz się, panie bracie, będziesz w Warszawie jutro; ja choćbym tam rad być, trzeba mi w chałupie zostać, a skoro świt, moja żona z kojcami na fernalce, a waś z batogiem przy koniach piechotą. Tylko ich nie zacinać, bo żona takiego wrasku narobi, że podróży się odrzekniesz, a na wozie nie siadaj, jakby jaki piecuch. A jeśli ci Pan Bóg dopisze, że się w jakim dworze umieścisz a dobrze, nie zapominaj o Małużyńskim herbu Lis, co ci do tego dopomógł. Ręka rękę myje, jak ludzie powiadają, bo to u nas tak zdawien dawna. Waćpan dziś się mnie kłaniasz, choć nie ma komu, a ja za rok waćpanu. A jak się kiedyś wzmożesz, bo wszystko u nas bywa, a mnie już nie stanie, pomagaj moim synom. A teraz żonkę ci powierzam, byś mi ją szczęśliwie do Warszawy przywiózł. — I tak, mój panie Kazimierzu, pan chorąży wielki Litewski, orla białego kawaler, pani Małużyńskiej służył za furmana. Ale równy równemu bez hańby służyć może, a choć uboga ona była, jednak tak zanie urodzona, jak my obydwaj. Przy pomocy Pana Boga trafiliśmy gdzie nam trzeba było; przy rogatkach ani nas spytano, co ja za jeden, bo celnicy dobrze się znali z imością. A ja ją odwiózłszy do Żelaznej Bramy wedle jęj woli, tam ją zostawiłem, obiecując jęj starać się o kupca. A sam poszedłem do Kapucynów, moich znajomych i dla mnie wylanych, raz że ich klasztor w Olesku naszej fundacyi, powtóre, że jak ci wiadomo, wszystkie u nas klasztory za dobrą sprawą. Ale przez drogę myślałem sobie: Oj gdyby mnie poznał jaki brys z Poniatowskiego psiarni, nie wiem czyja dola byłaby lepsza: czy moja, czy tych gęsi, com je przywiózł do miasta. Tak więc obwitawszy się z naszymi poczciwymi brodacami, poszedłem do Żelaznej Bramy z kanafarzem, który mnie od razu poznał, bo bywał w Podhorcach u mojego ojca na kweście, i pani Małużyńskiej przyprowadziłem kupca wedle mojej obietnicy. Brat kanafarz zaprowadził ją z gęsiami do blichu, gdzie blicharz na ustroniu mieszkający ułatwiał wszystkie wydatki klasztorne. A on, co tylko zacepiła, bez targu zapłacił, bo ja to już był ukartował i ją pożegnałem, prosząc by się mężowi kłaniała, a dziękując jęj za łaskawe przywieszenie. Przez dzień u gwardyana siedziałem, a wieczorem poszedłem do Jezuitów, których nie miałem powodu się obawiać, bo oni nie ustępują Kapucynom w poczciwości. Jakoż, lubo większa ich część wiedziała kim jestem, i nawet wielu z uczniów, byłem bezpieczny jak w obozie, bo u nas najzaciejsze uczucia w zakonach i w młodzieży.

Ucałowałem mego Adasia; przebył on wprawdzie febrę, ale już był zdrow, znacznie podrośł; co to za piękny chłopczyk, panie Kazimierzu, a jak się uczy! Będzie kiedyś z niego pociecha dla Rzeczypospolitej. To ja pięć dni przebyłem między Kapucynami i Jezuitami, po mieście się szastałem, a jakoś Pan Bóg dał, że kto mi był niepożądany, ten mnie nie poznał. Otóż późno nocą wracając do Kapucynów, gdzie był mój nocleg, codziennie spotykałem Poniatowskiego w karcie ale bez straży, że gdybym chciał, byłbym mu w łeb wypalił. — Czemuś się o to nie postarał? — zawołał starosta Żydaczewski. — Zbrodnia nie jest nam właściwą — odrzekł na to Puławski. — Tu zacięta wszczęła się sprzeczka: jedni byli za Cyrykiem, inni przeciwno niemu. Cyryk chciał przedrzeć się do Warszawy, i tam dokonać tego, czego pan chorąży wielki Litewski dokonać nie chciał. Zapędy te uśmierzał wymową swoją i perswazją ksiądz Marek, aż nareszcie do nieukróconego niczem Cyryka ozwał się pan Puławski temi słowy: — Panie Cyryku! my starzy z sobą przyjaciele kłócić się nie będziemy, a tylko o ufność proszę. Co trzeba, swego czasu się zrobi; zamiast zbrodniczego odjęcia życia królowi, lepiej go żywcem w nasze ręce dostać, i potem nim kierować według naszej woli; a ja wam daję słowo, że jak tylko dojdziem do Częstochowy, do tego się weźmiemy. — Uspokoili się na te słowa rozburzone umysły, a w tém świtać zaczęło. — Dosyć tych sporów i gawędki — ozwał się pan chorąży wielki Litewski — potem o tém! A teraz, panowie bracia, gotujmy się do pochodu, bo już dzień, a Najświętsza Panna Częstochowska na nas czeka; — i kazał trębaczom zatrąbić pieśń *Boga-Rodzicy*, która zwykle towarzyszyła naszym poruszeniom. A my na koń, i po różnych przygodach dostaliśmy się do Częstochowy. Ale pan chorąży wielki Litewski z księdzem Markiem zaraz się odłączyli od nas po wyjściu naszym z Niepołomickiej puszczy. Pan chorąży dostał się do Preszowa gdzie była generalność, i widziałem go w Nieświeżu, kiedy już było po wszystkim, ale już księdza Marka odtąd nie widziałem. Otóż takim sposobem rzucona była pierwsza myśl porwania króla, która wyszła z ust JW. chorążego Litewskiego, a która, jeżeli skutku nie otrzymała to dlatego, że pan pułkownik Łukowski, daj mu Boże wieczne odpocznienie, podrwił głowę, jako się kiedyś może o tém wspomni.

XXI.

Błogosławiona Anna z Omiecińskich.

Nic nie jest lepszego, jak we wszystkim spuszczać się na Opatrzność, bo bez Jój pomocy na nic się nie zda najprzenikliwszy rozum. Pan Bóg stworzył człowieka, o nim nie zapomni, i wszystkie okoliczności tak mu skieruje, by najłatwiej swoje zbawienie mógł otrzymać. Dobrze-li się dzieje, Panu Bogu dziękuj; źle, zgadzaj się z Jego wolą; a jak szemrać będziesz, cóż zyskasz? Jego nie nastraszysz, ani zmusisz. Jeżeli nie uważa na twoje szemrania, jako na głupstwo, więc one ci się na nic nie przydadzą; jeżeli uważa, to ze wszystkim zginięsz. Kogo nie zmożesz, temu ulegaj. Módl się w złych przygodach, płacz przed Nim, proś, błagaj, póki Go nie zmiękczysz, a nie bój się być natrętnym, bo On jest Pan dobry, miłośliwy, kochający swoje stworzenie. On nie tylko Stwórcą, ale i Zbawicielem, nie tylko Bogiem, ale i człowiekiem; Sam cierpiał i wié, czém są cierpienia ludzkie. Błogosławiona Anna z Omiecińskich, miała dziwne w tym względzie objawienie, które wyczytałem w Supraślu u OO. Bazylianów, z rękopismu wkrótce po jój śmierci przez jój spowiednika napisanego, pod tytułem: „Potok łask Pana Boga w Trójcy Świętej jedyne, wezbrany na Koronę Polską i Wielkie Księstwo Litewskie“, a który to rękopism ze drukiem nie został ogłoszony, to z tego powodu, że byliśmy już pod gwarancją; a że w tych objawieniach były przepowiednie któreby może nie wszystkim były do smaku, więc książę biskup Wileński postanowił, żeby utaić co Bóg objawił, aby się nikomu nie narazić. Toć to wszystko się wydoskonalilo, Apostołowie głośno się z tém oświadczały, że najlepiej Bogu być posłusznym. Teraźniejsi pasterze uczą, że posłuszeństwo Panu Bogu na tém się zasadza, aby i urzędowi być we wszystkim posłusznym. A książę biskup był wielkim wyznawcą téj nauki, i nieraz dał tego dowody, a mianowicie z ojcem Atanazym Hołownią, Bazylianem. Po dziś dzień głośno w Słuczyźnie missye ojca Hołowni. Książę biskup zabronił ojcu Atanazemu missyonarzować, i ustnie go strofował, a biedny Bazylian, co lubo bardzo uczony, wyglądał jakby prostaczek, na to: — Przewielebny panie, wszakże apostoł urzędowi powiedział: *Si justum*

est in conspectu Dei, vos potius audire quam Deum? — Książę biskup obruszył się na to okropnie i zdobył się na koncept: — Zrób waszeć, aby chromi wstawali, jak powiem: *Surge et ambula!* a ureczam że z apostołskiem meztwem na wszystkich się porwę. — A Bazyliana w ciemnie nie bito. — JO. pasterzu — powiedział mu — będą chromi wstawać na te słowa, byle były zupełnie w tym samym porządku wymówione, bo św. Piotr nie wyrzekł: *Surge et ambula!* aż wprzód powiedział: *Argentum et aurum non est mihi.* — Zmieszzał się biskup, a nie nie mógł powiedzieć, ani go ofuknąć; raz, że było wielu obecnych, przed którymi nierad był źle się wystawić; powtóre, że wszystkim było wiadomo, iż ojciec Atanazy od blisko lat pięciudziesiąt, co był zakonnikiem, ręką nie dotknął kruszcem, chyba kielicha przy ołtarzu, i miał za wielkie ubliżenie świętobliwości kapłańskiej zajmować się interesami świeckimi, i posiadać złoto i srebro przeciw radom ewangelicznemu, a jako niczém nieposzlakowany, śmiało przypisywał łakomstwu duchowieństwa upadek wiary w oweżarni i tym podobne klęski. On omal na całe życie nie był zamknięty za to, że w Wilnie każąc na konsekracyi biskupa, miał powiedzieć: — Teraz duchowieństwo za pieniądze poświęca dary Ducha Św., a na tém skończy, że ani Ducha Św. ani pieniędzy mieć nie będzie, bo Pan Bóg swoje, a djabł swoje odbierze. — Duchowieństwo łacińskie bardzo się na niego było oburzyło; nawet książd Witoga jezuita wydał był książkę, w której usiłował dowieść, że ojciec Atanazy wznawia błędy *Hussa*, ale mu to wszystko w niczém nie zaszkodziło, bo duchowieństwo jego obrządku, mniej pieniężne od łacińskiego, jego poparło, a Bazylianie na Litwie byli mocni; a powtóre szlachta i pospólstwo za nim obstawały, ile że on niczego nie pragnął, żadnego urzędu zakonnego nigdy nie posiadał, missye o żebranym chlebie odprawiał, od ludzi możnych uciekał, tylko z chłopkami i nędzarzami przestawał. A nakoniec, niechętni mu pasterze i kapłani nie bardzo śmieli naprzeciw niemu zadaleko się posuwać, bo chodzili wieści, że nieraz Pan Bóg jego świętobliwość błogosławił cudami. Jakoż w czasie głodu, który Litwę trapił roku 1744, w Lidzie na rynku wśród dnia, stos kamieni w stos bochenków chleba znakiem krzyża świętego przemienił, co stwierdziło zeznanem lub podpisanem świadectwem więcej tysiąca chłopów i kilkudziesiąt szlachty tymże chlebem nakarmionych. Ale ojciec Hołownia oddalił mnie od materyi. Błogosławiona Anna Omiecińska nie tyle mądrością słynęła, ile miłością pałała dla Chrystusa Pana, i tą właśnie miłością doszła do najwyższej mądrości. Napróżno djabł chciał ję tę miłość nadwątlić; zawsze ze wstydem był odparty, ale przecie dokazał, że spokojność ję umysłu zamącił następną pokusą. Dłaczego jest jedno piekło dla wszystkich nie pokutujących statecznie grzeszników, a przecie nie jednaki los wszystkim na ziemi

przeznaczony? Człowiek np. urodzony w nędzy, lub wyrzuty obcemi niepodwładnemi mu okolicznościami z dóbr, chwytą się niegodziwych zysków, nakoniec rozboju, i umiera nie opamiętawszy się; sprawiedliwość Boska do piekła go odsęła, a gdyby on się był urodził jak ów drugi, bogatym, lub gdyby mu zawsze jak innemu los dopisywał, nie miałby potrzeby śmiertelnie grzeszyć dla pieniędzy, mając ich i tak do sytości, i byłby może uszedł wiecznego zatracenia. Toż i inni, do których zguby obce wpłynęły okoliczności, w jakich nie własną, lecz Opatrzności wolą zostawali. Ta pokusa tyle ją dręczyła, iż łez strumienie wylewała, modląc się przed Zbawicielem, aby ję umysł od takowego zaciekania się uwolnił, protestując się przed Nim, iż o niczém wiedzieć nie pragnie, byle przy największej ciemności nie ję od miłości Jego nie oderwało. I na modlitwach nie poprzestając, takimi pokutami siebie wycieńczała, że wyszła do kości, aż zwierzchność klasztoru w którym mieszkała, doszedłszy to ję nad sobą katowanie, zabroniła ję postów i innych umartwień cielesnych, któremu rozkazowi z największą pokorą się poddała, lubo to poddanie się było dla niej większem nad wszystkie dawniejsze umartwienie. Nakoniec Pan Bóg zlitował się nad nią, w Swojej łasce ją utwierdził, i zachywił raz jednego ję duszę przed Swoje oblicze, aby ję odkryć tajemnice świętej Swojej sprawiedliwości. Ujrzała przed Bogiem dusze wszystkich ję znajomych żyjących; byli tam kapłani, co w dom ję rodziców uczęszczali, i sami ję rodzice, krewni i poddani, słudzy i żebracy, kogokolwiek tylko znała; było też kilku magnatów, co szczególniemi względami zaszczycałi ję rodziców, i sam król August, szczęśliwie wówczas panujący na Polsce, Litwie i Saksonii, a którego przed rokiem widziała w Warszawie, kiedy ję ojciec będąc delegowanym z województwa Wołyńskiego, dla powinszowania królowi szczęśliwie zawartego karłowickiego traktatu, przedstawiał mu żonę i córkę. Jeszcze w tym dniu król bardzo zmieszzał świętobliwą panienkę, zbytnie chwalcę ję piękność, a będąc wesołym i nieco za poufałym z kobietami, kiedy ona rękę pańską do ust przybliżała, chciał ją w twarz pocałować, co u dworu było uważane jako grzeszność królewska poddaniec wyświadczona. Wtedy Anna, acz błogosławiona, tak się przejęła iż zemdląca, czém i króla i dworzan, a szczególnie rodziców, nie mało nafrasowała. Otóż tedy te wszystkie dusze stały u podnóża stolicy Bożej, jak staną kiedyś do sądu po zupełnem rozstaniu się z ciałem (te są dosłowne wyrazy rękopismu), a każda dusza o wszystkich grzechach najdokładniej wiedziała, i o wszystkich grzechowych okolicznościach, bo to wszystko było na nichże wyrażone, że i błogosławiona Anna na nie patrzyła, jakby na swojej dłoni. A Pan Bóg nie miał potrzeby ich sądzić, bo każda dusza sama siebie jak najsprawiedliwiej osądziła. Strach był wielki, bo póki

z ciałem dusza, sama siebie niby oszukuje, ale bez niego nie ma omania: każda rzecz przed nią na wierzch wychodzi. A bardzo było dusz mało, wedle relacyi naszej Świętej, któreby sobie przyznały prawo do nieba; niewiele też było wprawdzie, coby na wieczne potępienie zasłużyły, ale najwięcej takich, którym trzeba było oczyszczać się jeszcze pokutą. Nam się zdaje, że czyścić niewielka rzecz, ale dusza srodze się jego boi, bo tam takie cierpienia, że wszystkie nasze są fraszkami, a nad wszystkie cierpienia wstyd, że aż poniewolnie pokutować trzeba, a tak łatwo było za żywota od téj biedy się ustrzedz. Truchlały więc dusze, chociaż Pan Bóg żadnego na siebie duszy wyroku nie zastrzył, a wiele ułagodził; a taka była trwoga, że i błogosławiona Anna rozbiłaby się na widok udręczenia tych dusz, gdyby ję Pan Bóg nie dodał siły do zniesienia tego, na co patrzała. Otóż Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel i Sędzia, powiedział tym wszystkim душom: — Jeszcze na was ostateczny koniec nie przyszedł, wracajcie do ciał, które na was czekają. A jeżeli stan, w jakim którego z was umieściłem, myślicie iż jest na przeszkodzie zbawieniu, każdy niech sobie wybierze dogodniejszy; a który wybierze, w tym go postawię. — Tu wszystkie dusze zaczęły prosić, aby do końca im pozwolił zostać w takim, co go im przeznaczył, bo w żadnym innym z taką łatwością się nie zbawią. Król chciał być królem, szlachciec szlachciem, włościanin włościaninem, nędzarz nędzarzem, a jako tu nikt nie rad ze swojego stanu, tam każdy błogosławił Pana nad pany, iż żadnemu nie dał tego, coby było z jego szkodą, a to tylko uszkodziło, co nie było z własnej woli i ze swoich usilności, a nie wymodlił u Boga. Dopiero każdą duszę odesłał do jej ciała na naszym padole płaczu, i każdy obudził się jak ze snu twardego, nie pamiętając co się z nim stało. Tylko błogosławiona Anna z rozporządzenia Bożego zachowała w pamięci, jak nasz Zbawiciel swoje rządy usprawiedliwił przed swoim stworzeniem. I za Jego pozwoleniem, dla większego zbudowania Kościoła, to wszystko wyznała przed swoim spowiednikiem, a ów kapłan to zeznanie między wieloma innymi umieścił w rękopiśmie, o którym dopiero wspominałem. Tém się utwierdzić możemy, że najlepsza modlitwa ta, co ją wprost od samego Boga mamy. *Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi*, a co nam potrzebnego, On to nam da. Lubo i o doczesne rzeczy prosić trzeba; bo jak się otrzymają, coby mogło być w nich szkodliwego, tą prośbą wnet się oddziela, jak plewa od ziarna. A uchowaj nas Boże, abyśmy szemrali, kiedy nam odmawia o co Go prosimy; dla naszego dobra może daru udzieli, może go też zupełnie odmówi, a w takim wypadku, choć niemiłym, dziękować Mu trzeba, bo Jego mądrość i miłosierdzie ochronią nas od zguby, za którą nasza wola nieoświecona łaknie. O! wie-

leż to razy każdemu z nas zdarzyło się napróżno pragnąć takich rzeczy, co później bardzo się cieszył, że ich nie dostał!

XXII.

Zdanie szlachcica o Wolterze.

Jeszcze to nienajdawniej, ustawicznie o Wolterze rozprawiano, aż uszy bolały jedno a jedno słuchać. Jakoś to jeszcze za konfederacyi Barskiej, to nazwisko pierwszy raz obito się o uszy moje. Pamiętam że w Preszowie, u przewielebnego Krasińskiego biskupa Kamienieckiego, który był i świętobliwym kapłanem i wielkim senatorem, bywał często pan August Siedlnicki, wojewodzie Podlaski. Ten pan wojewodzie dworakował u króla Poniatowskiego; ale że był krajowi życzliwym, więc chociaż go grafem nazywano i po niemiecku się ubierał, do nas akces zrobił, i przy łasce Bożej dotrwał do końca. Książę wojewoda Wileński, co go nie lubił, raz, że nie po naszymu się stroił, powtóre że miał we zwyczaju zbyt przy starszych rozprawić, bywało mawiał o nim: — Ten Francuz z Mokotowa, chce nam wmówić panie kochanku, że wszystkie rozumy pojadał. — Otóż razu jednego, gdy u biskupa Krasińskiego w przytomności księcia wojewody i innych panów i szlachty, wojewodzie rozszerzał się nad swoimi peregrynacyami po zagranicznych dworach i ziemiach, gdy przyszło do Francyi, zaczął się rozwodzić nad Wolterem, jak on to niszczy w swoim narodzie przesady i zabobony, i daje mu światło widzieć, i że co to byłoby za szczęście, gdyby w naszym kraju podobny do niego wielki człowiek się zjawił, i tym podobne rzeczy. Książę wojewoda przerwał mu dyskurs, mówiąc: — Panie kochanku widziałem tego Woltera, at! zwyczajnie Francuz, pochwytał koncepta od księdza Bohomolca, i temi swoim baki świeci. — A trzeba wiedzieć, że ksiądz Bohomolec wydał był wtedy świeżo bardzo piękną książkę, pod tytułem „Djabel w swojej postaci“, gdzie szdydził z upiorów, o czém książę wiedział, a że sam wierzył w upiory i mocno się ich obawiał, więc z tego powodu zbrzydził księdza, i już mu do siebie przystępu nie dopuszczał.

Tylem tylko przez długi czas wiedział o Wolterze; człowiek, to wojując, to w palestrze obywatelom służąc, to koło roli pracując, nawet czasu nie miał dowiadywać się, co też tam się dzieje za górami. Ale gdy się doczekało dobrze osiwić, a siła i ochota do pracy się zmniejszyły, człowiek rozrywki potrzebując, na starość wziął się do czytania. A że wtenczas o Wolterze bardzo mówiono, wyznając, że uczulem chętkę dokładnie poznać, co też ten pan Wolter tak mądrego wymyślił; ale trudno było w podeszłym wieku po francuzku się nauczyć, żeby go zrozumieć. I z tém niejednokrotnie słysząc się dawałem przed swojemi.

Aż tu na moje imieniny, Staś, mój wnuk, dopiero skończywszy nauki w Wilnie i z francuzczyzną jak się należy obeznany, dał mi na wiązanie, przez siebie tłómaczoną tragedję Woltera, *Zairę*, gdzie to miał niby wystawić Turków i chrześcian w czasie wojen krzyżowych. Właśnie na ten dzień zjechało się do mnie łaskawe sąsiedztwo, a między innymi pan Azulewicz, Tatar ale szlachcic, przyjaciel i kolega mój. On to kiedyś posłował na Krymie w czasie konfederacyi Barskiej, i w Stambule lat dziesiątek przepędził w usługach rzeczypo-spolitej, i pułkownikiem był w wojsku, a potem w mojem sąsiedztwie osiadł na dziedzicznej wiosce. Nasza przyjaźń nie wczorajsza była; kolegowałem z nim w poselstwie do Sieczy zaporozskiej, i JW. Ogiński wojewoda Witebski wyprawił nas obu do Chocimia, ażeby wręczyć konia w bogaty rząd ubranego Emir Jussufowi, tamecznemu baszy, który nam sprzyjał, a to wywdzięczając się jemu, że jego ludzi zbrojnych, którzy przez Dniestr przeprawili się uchodząc przed ścigającym nieprzyjacielem, swoim kosztem podejmował i przez swój kraj przeprowadził aż na Pokucie, gdzie z konfederatami się złączyli. To ów basza wedle ich obyczajów okazał się, iż nam był rad; kawą i sorbetem nas częstował, obdarzył pana Azulewicza kosztownymi paciorkami, nakształt naszych różańcowych, do odprawiania jakichś tam muzułmańskich modlitw, a mnie dostała się szablą, prawdziwy Damaszek, na którym można dukatem pisać, jak kredą na tablicy, którąto szablę na Bilsku po naszymu kazałem oprawić. Ale potem, gdy mi do głowy nieco skrupułu przyszło, że chociaż Emir Jussuf uczciwy mąż, przecie jako bisurman może coś niedobrego do téj szabli przyczepił, — ja zaś broni chciałem używać po szczeremu, bez żadnych inkluzów, jako katolickiemu szlachcicowi przystoi, otóż uprosiłem księdza Marka, ażeby na wielkim ołtarzu podczas mszy świętej ją poświęcił, i taką po dziś dzień chowam, którą po mojej śmierci wnukowie znajdą. Kiedy Staś wziął się do czytania, wszyscy z uwagą słuchali go, a szczególnie pan Azulewicz, co znał Turków na pamięć; i ja nieco z niemi obeznany, oddając sprawiedliwość i pracy tłómacza, przez którą dziadowi chciałem zyczliwość swoją okazać, i niektórym czu-

łym kawałkom; ile razy Turcy występowali, ledwośmy za boki siebie nie brali ze śmiechu. Sułtan narodu, gdzie wielomówstwo jest w obrzydzeniu i pogardzie, byle o co rozprawia, jak Piekarski na mękach. Któż o tém nie wie, że Turczyn tak jest zazdrosny, że bratu rodzonemu na swoje żony patrzeć nie pozwoli? a do tego wstydlivy, że nie tylko kobiety i rzeczy jój tyczące się nie wspomni, ale słuchać coś podobnego, pódzycuje za największą nieobyczajność i zgorszenie? Otóż u pana Woltera sułtan nie tylko że ze swoim powiernikiem, jak i on Turczyńcem, tak szeroko plecie o miłości, że i warszawskiego nawet panicza mógłby czegoś nowego nauczyć; ale rycerzy chrześciańskich, z którymi od dzieciństwa wojował i dotąd wojuje, do komnaty swych kobiet dopuszcza, z niemi rozmawiać pozwala, i takich im wolności udziela, jakieby u nas nawet za dawnych czasów nie uchodziły; — a nakoniec ów sułtan Turecki sam się zabija, jak Niemiec, który zbankrutował. Otóż to wielki człowiek, któremu wierzone, jakby jakiemu prorokowi! Co mi po dowcipie, kiedy kawałka prawdy nie ma? I on to przeciw religii naszej pisał i bałamucił młodzież, jak mnie światli ludzie o tém zapewniali! Na biedę przyszło, kiedy tak wierutny łgarz wiarę znalazł.

XXIII.

Zamek Kaniowski.

Zadna rzecz ludzka nie jest doskonałą, a co tylko ludzie wymyślą, to inni ludzie ulepszyć mogą; albo-li, co często bywa, zepsują. Lecz te rzeczy, co już w obyczaj weszły, częstokroć takim podlegają zawilościom, że bez zbytecznej zarozumiałości przyganiać im nie można. Wiele jest na świecie rozmaitych narodów, a każdy z nich podlega pewnym prawom, krępującym go bez wątpienia, ale razem zabezpieczającym byt jego. W tych wszystkich prawach jest wielki stosunek i wielka odmiennosc: stosunek w tém wszystkim, co się odnosi do wyobrażeń danych człowiekowi wprost od Boga, — różnica we wszystkich względach jedynie ludzkich. Jak to bywało, mówiono o dekretach, że niektóre z *nogami*, to jest nabiegane, drugie z *rękoma*, to jest

po prostu opłacone, a przecież najwięcej takich, co wedle Boga i sumienia, bo inaczej nie byłoby sprawiedliwości między ludźmi. Toż i o prawach powiedzieć można: są między niemi takie, które oczywiście dla osobistych a chwilowych okoliczności napisanemi były, i te wylęgły się w czasach, kiedy już prawodawstwo wąlić się zaczęło, kiedy u prawodawców uczucia już z serca do głowy przenosić się zaczęły. Ale każdy naród, jeżeli zechce się opatrzyć, przekona się, że wszystkie jego starożytne prawa wedle Boga napisane były. Nie wiele pokładam ufności w prawie świeżo utworzonem, ale co się dotyczy tych, co już przeszły przez probierczy kamień czasu, dla nich jestem przejęty głębokiem uszanowaniem tak dalece, że chociażby i dziwaczniemi się zdawały, zaraz przychodzi mi na myśl, że muszą się odnosić do jakich okoliczności, które, gdyby wiadome były, przekonałyby o ich mądrości i właściwości. Prawo jest historią narodu, i taką, która zaprzeczeniu nie podpada, jak dzieje, które mogły się wydarzyć lub nie. Albo pozwólmy, że się wydarzyły rzeczywiście; jakaż pewność że ten, co je opowiada, zachował czystą prawdę bez nadwątlenia jej ozdobami? Czy raz bywało, że z kilku naocznych nawet świadków jednego zdarzenia, każdy je po swojemu opowie? Jeden wspomina o okoliczności takiej, drugi o innej, która pierwszą zbija; domyśl się wtedy, czyja prawda! Ale w prawach nie ma obłudy; z nich jak oliwa z wody na wierzch wychodzą obyczaje narodów, i to jest właśnie prawdziwa historia. Wyrzucają naszemu dawnemu prawodawstwu, że nie było w niem środków wykonawczych i dość sprężystych; ztąd prawo równano do pajęczyny, w której mucha się wikła, a bąk ją przebijają. Nie przeczę, by nie miało być coś gruntownego w tym zarzucie, ale nigdzie jeszcze nie usnuto pajęczyny na bąka; wszędzie bięda z bąkami. Każdemu narodowi można powiedzieć z ruska po polsku: *kruty ne kruty, hołowu neboże nie dokażesz*, żeby chudemu pachółkowi było to samo co panu. Choćbyś się pozbył wszystkich panów, wkrótce oni się znowu pokażą; alboż co jesieni pszczoły nie wybijają swoich trutniów co do nogi? a przecież na wiosnę znowu ich pełno. W czasie sejmu czteroletniego my wszyscy się zapalali do tego, co się wówczas we Francji działo: jak to było pięknie równością naszą szlachecką całkowity naród obdarzyć, króla osądzić, dworaków się pozbyć, uwolnić się od wszystkich tych, co dotąd ciążyli na równości obywatelskiej, jednym słowem, wytepić szerszenie i baki, żeby tylko zostały same muchy, na które pajęczyna prawa jest dostateczną. Śliczna myśl! A długo-li ona była stateczną? Z pomiędzy much niektóre powyrastały, tak, że już stały się wgromniejszemi od tych baków, które się naprzykrzyły; wszystko się okrótkie odnowiło: i król i dwór i magnaci, a co wygnano wszystkiemi drzwiami, oknami wróciło; to, kiedy po upłynionych latach

Francya przysłała do naszej Litwy, był to dla nas czas wielkich nadziei, ale który zrodził nam tylko nowe nieszczęścia, bo przeciw nam był mocarz silny i przeznany, a za nami przyjaciel nieszczerzy i nieroztropny. Otóż wtedy napatrzyłem się na kozery francuzkie: taki, co przed kilkunastoma laty bił się za równość ziomków, tak spyszniał, że ani dostąpić do niego. Będąc członkiem komisji centralnej w Grodnie, z urzędu mego musiałem codziennie odnosić się do francuzkiego gubernatora; jak mówiono, był on kiedyś blacharzem, co mu nie krzywdę, ale zaszczyt owszem przynosiło; bo któżby miał mu za złe, że mężstwem i zasługami do wysokich dostojenstw się wyniósł? Ale co to była za duma, za nadętość! Obwiniają naszych magnatów, że byli wyniosłymi. Oj! wolałbym z najdumniejszym naszym magnatem rok przeżyć, niż godzinę z podobnym gubernatorem. Nie taję mego wyznania; może byłoby dobrze, by żadnego nie było magnata; zgoda! piszę się na to, i krwią własną podpiszę. Od pastucha do senatora niech wszyscy będą równi; ale mają-li być koniecznie magnaci, niech-że będą przynajmniej tacy, których krew z wielkich przodków na nich się zlała. Uchowaj nas Boże od podpanków, od takich, co lubo teraz możni, lecz ich dziadowie w palce chuchali, dla ogrzania się w zimie, bo im świeższe u nas szlacheństwo, tém więcej cuchnąca duma. Alboż to nie widzimy codziennie, że ekonomskie syny dzisiaj więcej nosa do góry zadzierają, niż dawniej senatorskie dzieci? Dawniej magnat był dumny, ale względem równego mu magnata; względem szlachty i sług był poufałym i braterskim. Teraz syn ekonomski, czy tam wnuk, jak się dodrapie przestronnego dziedzictwa, ani patrzy na zacnego człowieka, pokrzywdzonego losem; nie ma upokorzenia, którego by względem niego nie ważył się dopuścić. Słabe były środki wykonawcze w naszym prawodawstwie; dajmy, że tak było rzeczywiście. Cóż ztąd za wniosek? że obywatele źli byli? owszem musieli być bardzo cnotliwi, kiedy prawodawcy na ich charakter jedynie się spuszczali. Bywały czyny dowodzące przemocy magnatów, ale nie myślcie, by to wszystko było prawdą, co teraz o nich mówią. Niejednemu się zdaje, że u nas były ciągle najazdy, — że magnaci nie mieli innej rozrywki, tylko batożenie szlachty, — że gwałt był ciągłym stanem narodu. Czyż to wszystkiemu wierzyć, co ludzie mówią? W całej Wielkopolsce ani słyhu nie było o najazdach; toż samo w Małopolsce, a na naszej Litwie przez całe moje życie trzy były tylko wypadki, że pan szlachezca najechawszy, ukrzywdził. Nasz książę napadł był w karczmie na pana Zarembe i jego skrzywdził, — a JW. Tyzenhauz, podskarbi wielki Litewski, panu Turowi przez jedną noc wszystkich poddanych na swoje grunta przeniósł, i tak chałupy i dwór sprzątnął, że gdzie była wieś, zostało samo orne pole. Był głośny proceder między JW. Żabą wojewodą Połockim, a panem Hu-

torowiczem osiadłym szlachecciem, którego tenże JW. Żaba pięć lat więził okutego w piwnicy, że aż po pas broda mu urosła. Otóż i wszystkie gwałty litewskie przez lat dwadzieścia, a jeśli szlachta między sobą się powadziła, i przyszło do uczynków, to już nie prepotencya, na całym świecie ludzie siebie krzywdzą, i na to jest prawo. A ktoby tam urzędy stanowił, gdyby ludzie żyli jak anieli? A i te czynności, o których nadmieniałem, na sucho nie uszły. Nasz książę pięćdziesiąt tysięcy musiał bezwarunkowo zapłacić panu Zarembe, a taki dwanaście niedziel w wieży *personaliter* wysiedział w Nowogródku. Z panem Tyzenhauzem gorzejby się stało, gdyby go nie był zakwitował z procederu pan Tur, wzięwszy za to kamienicę na Antokolu, i ustępstwo starostwa Sutorowickiego, na co JW. podskarbi przywilej panu Turowi od króla wyrobił; a na JW. Żaby wypadł dekret grodzki, w którym rozdział II artykuł XXVIII statutu Litewskiego z całym rygorem do niego zastosowany został. To ledwo wyłamał się z niego w trybunale, sownie wprzód zagodziwszy pana Hutorowicza, by mu w tym wyrobku nie przeszkadzał. Sprawa więcej dwukroć go kosztowała, chociaż i strona powodowa była zaspokojoną, i sam książę wojewoda Wileński zjechał na trybunał, by za przyjaciela forsować. O żadnej innej prepotencji magnata względem szlachcica nie słyszałem, a pewnie po aktach ciągle szperając, a z ludźmi obcując, nie takiego przedemnąby się nie utaiło. Ukraina była jedyną częścią Rzeczypospolitej, w której podobne bezprawia nie były rzadkie. Tam było kilku panów możnych, a szlachty nadto mała liczba, by im jakąś przeciwwagę położyć; nawet w tej małej liczbie szlachty osiadłej na Ukrainie, ledwo dziesiąty był prawdziwym szlachecciem; reszta z poddanych dworskich, co ich panowie z Wielkopolski i z Krakowskiego lub z Podlasia wywieźli, którzy po polsku mówiąc, a w usługach pańskich jakiegoś grosza nabierawszy, przyszli powoli do roli dziedzicznej czy zastawnej, i tak wdarli się cichaczem do szlachestwa, nim je sobie i potomkom zabezpieczyli, korzystając z pozwolenia danego królowi konstytucją 1766 r., która to konstytucya, samowolnie rozciągnięta nad jej wyraźne brzmienie, nie mała pieniędzy ukraińskich do kassy króla Stanisława przywabiała. Komuż nieznany pan Potocki, starosta Kaniowski, na którego rachunek nakarbowano wszystkie gwałty, jakie przez półtora lat może robiły się na Rusi? a bez wątpienia że i on sam nie mała ich napłatał. Ale i on pod pewnym względem służy na dowód, że była u nas sprawiedliwość; wszak ci on żadnego szlachcica nie zabił, tylko gęsto sypał plagi na tych, do których coś upatrzył, co nie było trudno, bo był chimeryk. Przecię miliony miał po rodzicach, posiadał starostwa intratne, grosza na przepych nie marnował, owszem był wielkim gospodarzem, żadnemu panu trzy wsi nie przynosiły tyle,

ile jemu jedna, a po śmierci nie wiem czy dwakroć sto tysięcy na jego synowca spadło. Ile bowiem batogów sypnął był jedną ręką, tyle potem tysięcy drugą na zagojenie pierwszych dawał. A wieleż to na Ukrainie liberbaronów na dziedzictwo wyszło, z łaski jego batogów! To tu razu jednego powiedział pewnemu szlacheccowi, co mu naprzykrzał się w karczmie: *Nema hroszy, ne budu byty*. Wszyscy słyszeli o staroście Kaniowskim, a ja byłem mu osobiście znany, nawet miałem z nim interes, z którego powodu cały tydzień służyłem mu w Kaniowie, i mogę się pochwalić, że najmniej przykrości z jego strony nie doświadczyłem. Owszem, tyle okazał się dla mnie łaskawym i łatwym w interesie, że daj Boże moim wnukom każdy swój interes podobnie kończyć! Moja bytność w Kaniowie nastąpiła z następnego powodu.

Książę Wiśniowiecki, hetman wielki Litewski, którego córka jędnaczka była matką naszego księcia, miał starostwo Kaniowskie, nadane jeszcze od króla Augusta starego. Tam, jak zwyczajnie wtedy na Ukrainie, zastał same pustki. Ale w przeciagu swojego władania wymurował zamek, wystawił folwarków, młynów i zabudowań co niemiara, o co po jego śmierci successorowie poszukiwali swojej należytości w Rzeczypospolitej, że kiedy później to starostwo dostało się panu Potockiemu, on wziął na siebie obowiązek zaspokojenia książęcego Radziwiłłowój. Za wstawieniem się przyjaciół, interes został ukończonym. Jeszcze księciu wojewodzie Wileńskiemu *residuitatem* zostawało u pana Kaniowskiego czternaście tysięcy, które się zawiodły z powodu zamieszek krajowych od śmierci Augusta III. Książę pan, wróciwszy do Ołyki z Lublina, po ukończonym interesie z książętami Lubomirskimi przypomniał sobie, że mu jeszcze coś należy od starosty Kaniowskiego, a chcąc mi łaskę wyświadczyć za moje usługi, darem darując, odstąpił mnie te czternaście tysięcy, dodając: — Panie kochanku! waszeć teraz na Rusi, ruszajże sobie do Kaniowa po pieniądze, abyś z gołemi rękoma nie pokazywał się żonce, której od wasci kłaniać się będę. — Padłem do nóg mojemu JO. panu. Czternaście tysięcy wtedy był piękny grosz, a nawet i teraz, ktoby ich na drodze znalazł, nie szczędziłby rąk swoich do ich podniesienia. Ale jak zaczęli mi ludzie mówić o dziwactwach pana starosty, że zamiast monety srebrnej nietrudno w Kaniowie o rzemienną, nie małom się nafrasał, lecz powiedziałem sobie: — Najprzód, panie Sewerynie, czyż już dla wilka nie iść do lasu, choć skóra w strachu? Ojciec dzieciom czternaście tysięcy dla strachu nie opuści, czybaj już oczu nie pokazać między ludźmi. — Postanowiłem tedy odebrać list od księcia pana do pana starosty, nazajutrz puścić się w podróż. Pan Bartłomiej Chodźko napierał się być moim towarzyszem, ale mnie na to nie namówił, bym siedł z żarem do prochowni.

Cały wieczór na pokojach miną nadrabiałem, ale w sercu była wielka niespokojność, tak, że przed wyjazdem na intencję pomyślną podróży opatrzyłem się Przenajświętszym Sakramentem w kollegiacie ołyckiej, i uczyniłem ślub, że po odrzuceniu wszelkich wydatków, z całej kwoty co ją odbiorę, opłacę dziesięcinę w połowie kollegiacie, a w połowie siostrze miłosierdzia w Nowogródku. A lubo wiedział, że pan starosta wówczas znajdował się w Kaniowie, puściłem się jednak ku Podolu, a to: żeby przypomnieć się JW. Potockiemu, podczaszemu Litewskiemu, u którego kilkakrotnie byłem na ordynansie w czasie konfederacyi Barskiej. Ba! omal że nie zabrał mnie wtedy z sobą do Stambułu, co mi się bardzo podobało, bo który młodzian nierad jak najwięcej świata przebiedzie? Ale wola Pana Boga była, bym w swoim kraju służył, bom tak na malignę zapadł był, że JW. podczaszy bezemnie wyjechał, lecz mogłem sobie pochlebiać, że jakiś wstęp mam do jego osoby.

Pojechałem więc do Morafy, raz dla złożenia czołobitności ziomkom poświęconemu panu, powtóre, że on zasługami swojemi mógł być uważanym za głowę domu Potockich. Chciałem się więc ubezpieczyć w Kaniowie jego listem do pana starosty. Jakoż, chociaż tuzin lat i więcej minęło, jak mnie widział ostatni raz pan podczaszy, od razu mnie poznał, nazwał mnie po chrzestnym imieniu, i tak łaskawie mnie przyjął, że padłem mu do nóg łzami się zalawszy. Z wielką czułością wypyttywał mnie o JO. księciu, moim panu, i o innych magnatach Litewskich, z którymi miał przyjaźń, a których od dawna nie widział. bo od sejmu podziałowego zamknął się był w Morafie, i zajmował się gospodarstwem, usunawszy się od życia publicznego, w którym wedle jego przekonania nie godziło mu się być czynnym. I tyle okazał się dla mnie łaskawym, że chociaż zostawał w obojętności względem pana starosty Kaniowskiego, z powodu, iż ten świeżo kazał był powiesić żyda z Morafy, nie odniósłszy się do niego, jednak własną ręką napisał za mną list instancyonalny, co mi go przed wyjazdem wręczył JPan Wirski, marszałek jego dworu, a niegdyś jak ja konfederat Barski. Pan Wirski przyjął mnie był na swoją kwaterę, i przez dwie doby, com przebył w Morafie, miałem u niego wszelką wygodę. Nie był mu tedy tajny mój interes z panem starostą, a że go znał dobrze i sam bywał nieraz świadkiem jego dziwactw, różne dał mi informacye o trybie życia, jakie on przybrał. Szczególnie mi radził, bym nie ważył się kołami zajeżdżać przed jego zamek, ale konno przybyć, gdyż pan starosta zaraz się kwasi na szlacheica, co nie będąc chorym ani zgrzybiałym, pozwala sobie podobnych zniewieściałości. Utrzymywał albowiem, że w Polsce temu tylko pojazd godziwy, kto ma krzesło w senacie lub trybunale, albo miejsce na ławach poselskich, dając z siebie przykład, że będąc tylko starostą, podróże chociażby najdłuż-

sze, wierzechem odbywał. Tak więc listami, radami, a najwięcej ufnością w Bogu opatrzony, puściłem się do Kaniowa dnia 4-go Sierpnia, w wigilią N. Panny Śnieżnej. Nie omieszkalem kupić po drodze w Niemirowie terlicę kozacką z całym moderunkiem, a miałem wleju klacz skarogniadę, która w potrzebie niezgorzej pod siodłem chodziła, i szczęśliwie po czterech dniach podróży, już po zachodzie słońca, zajechałem do żydowskiego domostwa na przedmieściu kaniowskiem. A nazajutrz raniuteńko wysłuchałem mszy świętej u Ojców Bazylianów. Do południa nachodziwszy się po mieście i namedytowawszy, kazałem chłopcu klacz okulbaczyć, i w Imię Boskie ruszyłem na nią wprost do zamku. Przed bramą spostrzegłem trzy słupy, z uszami żelaznemi do zawiązywania przy nich koni. O, tu pan Wirski zapominał mnie oświecić, że ja samym instynktem tylko uniknąłem napaści. Jeden słup był karmazynowy, drugi biały, a trzeci czarny; przy pierwszym uwiązałem klacz i dobrze mi się udało, bo jakem się później dowiedział, ten słup był dla szlachty, drugi dla chłopów, trzeci dla żydów, a jak kto wybierze słup niewłaściwy swojemu stanowi, a pan starosta to spostrzeże, temu już bieda, zwłaszcza, jeżeli podobochony. Że to była Sobota, pan starosta ten dzień suszył, i żadnego mocnego napoju nie używał, o czém się dowiedziałem u Bazylianów, więc miałem dobrą nadzieję o pierwszym spotkaniu, a wziąłem na siebie mundur albeński, do którego noszenia świeżo byłem upoważniony. Uwiązawszy tedy kobylinę u szlacheckiego słupa, poszedłem na dziedziniec, gdzie zastałem wychodzących z kaplicy zamkowej, i rozpierchających się po dziedzińcu dworzan i sług kaniowskich; kilku zostało tylko przed kaplicą z czapkami pod pachą, a jeden miał głowę nakrytą, którego po tém samém można było poznać, że to był sam pan starosta. Chociaż wzrostu niskiego, a chudy i ogorzały jak cygan, było coś odznaczającego się w jego obliczu, coś okazującego, że był nawykłym do dawania rozkazów, a jeszcze więcej do tego, by je natychmiast spełniano. Z dworzan otaczających go, żadnego nie było, coby go przynajmniej głową nie przenosił, a szczególnie jeden bliżej jego stojący (do którego właśnie w téj chwili przemawiał, i można było zaraz poznać, iż się zaszczyca ściślejszą poufałością pana), był i ogromnej tuszy, i olbrzymiego wzrostu; przecie gdyby nawet pan starosta wraz z nimi miał głowę odkrytą, aniby się wahał domyślić, że on nad nimi wszystkimi starszy. *Poznał pana po cholewach.* Jego czupryna czarna i kędzierzawa, u spodu podgolona, długim spadała kudłem niżej prawego ucha, więcej z kozacka, niż z polska; małe oczy czarne błyszczały jakby jaszczurcze w twarzy, po której kilka szramów świadczyło, że w burdach swoich własnego ła nie szedził; a największa kręsa, co mu lewy policzek na dwie części ledwo nie równe przedzielała, jakem się później dowiedział, była pamiątką tego najpoufalszego

dworzanina, z którym rozmawiał, a który tém iż go przemógł, zaskarbił sobie szczególne pańskie względy. Wszyscy dworzanie byli odziani porządnie, nawet nie bez jakiegoś przepychu. Ale on sam miał na żupanie płótno domowej roboty, z pod którego wyglądały karmazynowe hajdawery, długą kurtkę granatową z potrzebami, a żupan był opasany rzemienném tykiem, przy którym wisiała ogromna szablica. Właśnie zapalał mu lulkę kozaczek, mający za pasem nahaj w srebrną skówkę oprawny. Zbliżyłem się ku niemu, i nisko skłoniwszy się, zabierałem się do opowiedzenia siebie; ale jak utkwiał we mnie wzrok swój, zmierzwiwszy mnie wprzód od głowy do pięty, zmieszał mnie z razu tak, że zapomniałem języka w gębie. Zaraz wszelako przyszedłem do siebie, jak się odezwał pan starosta: — Co to, waszeć jak widzę Albeńczyk; a co nam z Litwy przynosisz? — Odpowiedziałem śmiało: — Mam listy do JW. pana, które dadzą mi wstęp do mówienia o interesie — i dobywszy z zanadru list z Morafy, złożyłem go w jego ręce. Ale ledwom wspomniał Morafę, nadstawił marsa. — To znowu wymówki za żyda, co go w Kaniowie powiesili! Pan podczaszy za żydem się ujmuje, jakby za rodzonym bratem: aż Albeńczyka na mnie sprowadził. A wiész waszeć, że to Kaniów? Jeśli z Morafy przyjeżdżasz, to musisz wiedzieć, że Boćki do pana podczaszego należą, i że ja ztamtąd co roku kilkadziesiąt nahajów sprowadzam. — Tu wzięwszy nahaj od kozaczka: — Widzisz waszeć *timor Domini*, alias pióro? Ja mówiam we zwyczaj, że na listy z wymówkami odpisuję nim na skórze tych, co mi je oddają. — Tu się obruszyłem jakby nie było, a nadto dobrym się czułem szlachcicem, bym dał sobie mówić o batogach. — JW. starosto! — powiedziałem śmiało — może na Ukrainie we zwyczaj, nahaj za pióro, a skórę szlachecką za papier uważać. Ja jestem dworzaninem księcia wojewody Wileńskiego, od niego w swoim interesie przyjeżdżam, o czém list od JO. mojego pana przekona. O żadnym żydzie morafowskim nie wiem, tylko JW. podczaszego o list instancyonalny prosiłem do JW. pana, i dostałem go, bo mnie znał JW. podczaszy, kiedyśmy razem nie nahajem ze szlachtą, ale szabłą z wrogiem wojowali. Ja jestem Litewskim szlachcicem, a do tego Albeńczykiem, i mam przy sobie pałasz, który moją skórę przegrodzi od batogów: a jeżeli mnie liczbą rozsiekacie, znajdą się koledzy moi, którzy choćby w zamku Kaniowskim, po mojej śmierci nawet odszukają mojej krzywdy. — Wypogodził oblicze swoje pan starosta, a obróciwszy się do poufatego dworzanina: — Oto nawizenny Litwak, czortaby nałukaw; — widzę żeś prawdziwy Albeńczyk, panie bracie, samopas gotoweś mnie najechnąć w moim zamku. Mospane Łopuski! przeczytajno, czoho chozczet wid nas pan podczaszy. — Odczytał głośno ogromny dworzanin list pana podczaszego, w którym żadnych nie było wymówek, tylko za mną instancya w nader chlubnych o mnie wyra-

zach, którechem się ani spodziewał, anim na nie zasłużył. — Dobre bratku, dobre, pomyrymsia: na szczo nam z soboju wojowaty? — i podał mi rękę, którą z uszanowaniem pocałowałem. — Dawaj no teper piśmo księcia Radziwiłła. — List był krótki, w którym mój książę prosił o łaskawe przyjęcie swego sługi. Pan starosta z przymileniem powiedział: — Proszę, panie bracie, rozgoście się w moim domu; nie puszczeć waszeci od siebie, pokąd tydzień nie upłynie. Dziś Sobota, wodu piję jak Sełczyn, ale jutro upijem się z sobą, bo ty dobra detyna i zuch, a do tego sługa (tu zdjął czapkę) JO. księcia wojewody Wileńskiego. To pan nad pany, koły ty jeho dworzanin, to ty ne hirszy za mene, jaby sam u niego służył. — Na to pan Łopuski: — A juźci tego nie pozwolim; tam-to Litewski pan, a pan nasz pan. Nam szlachcie służyć, a wam równym sobie panom, panować. — Pokiń, pokiń, Pane Łopuski, daleko kuciomu do Zajeia. Kołyb ja wsich moich luděj i żydów z ich żynkami i detmi w kuezu nahromadyw, i połowyne ne bułoby toho, szczo on towko maje w swojej milicji. A szczo za dwir jeho! Marszałek bilszy pan za mene. Wiesz waszeć, mospanie Soplico! że przed kilkunastoma laty całe półrocze przesiedziałem u waszego pana w Nieświeżu; widzisz tę kręse, co ja mam na łbie? To pamiatka po panu Ignacym Wołodkowiczu. O se buw mołodec, i z rodu takoho ne baczysz, bywało sablu jak sykiru rubaje; aż triski litajut. Powadziłem się był z panem Józefem Rejtanem, i dwa palce jemu odrąbałem, a pan Wołodkowiec ujął się za nim. — A no zemną, mospanie Kaniowski. — Dobre, każu, poborym sia, ale jak dał meni po hołowi, wsi nebesne zwizdy mohbym porachowaty. To my pisle toho tak sia polubyły, szczo bez sibia żyty nie mohły. Oy! kołyb ja buw tohda w Nowohrodku: jak jemu konieczyna prychodyła! Sey proklaty pip anyb ieyo łyznuw. Szczoż robyty? Ja za nym płakał jak detyna, szest nidyl pyw diń i noczu, a smutku ne moh zabuty. A waścin książę, oto ale pan! W Koronie tylko podpanki, nema z kim żyty. Mospanie Soplico! przepraszam, że waszeci z razu źle przyjął, ale jakżeś mnie oddał list pana podczaszego, anim się mógł spodziewać, że i od waszego księcia mnie drugi przynosisz. Myślałem, że znowu mnie łaje, bo gniewa się na mnie podczaszy, a sam osądź, czy ma słusność: — kiedy wasz książę przed nieprzyjacielem uchodził Podolem na Wołoszczynę, ja w Buczaczu zacząłem zbierać szlachtę i kozaków. Juź było wszystko gotowém do boju, — a żyd cyrulik sohaacza wira, który miał przystęp do mnie, o każdym moim kroku donosił generałowi Zagrajskiemu, który stał z komendą w Płoskirowie. Ja o niczém nie wiem, — aż tu nyszczenkom przysły wrahi do Bucacza, mene uchopyły, potaszczyły do Kijowa, i trzymały zapertaho, póki ne buło uże po wsim. To za teye, jak wpade w moje ruki jaki żyd, ne pytaju sia zwydki, a woddaju za swoje. Jakiś żyd pokazał się w Kaniowie na Mikołę, i zaczął mo-

ieh chłopów w kubki ogrywać. A czort wiedział, że on z Morawy! Ja na niego Magdeburgię sprowadził i żyda powiesili; wielkie święto! a pan podczaszy do mnie z wymówkami. Ja sześć bryk kazałem naładować żydami śniatyńskimi i buczackimi, i te wszystkie bryki przewrócić na dziedzińcu morafskiego zamku. Za jednego żyda, wid daju bilsze sto, a odepysia. A pan podczaszy jeszcze gorzej się rozgniewał, i taki wypalił do mnie list, że kołyb to nie buw Potocki, jak i ja, tob ja jemu... ale pokniemo o tym. Pane Łopuski! szczyby pan Soplica u nas wsiu maw wyhodu. Bo to radziwiłłowska czeladka. A teraz, panie bracie, powiedz-no, w jakim interesie do mnie przyjechałeś? — Niech się nacieszę jeszcze JW. panem; o interesie będzie pora mówić, jak się rozgoszczę, to o wszystkiem objaśnię. Dziś Sobota, pan zwykłeś dziś suszyć, i mnie sługę swojego na zbawienną drogę naprowadzisz; przy kielichu jutro gładziej pójdzie, a tylko panny o wodzie rozprawiają. — Prawdziwy Albeńczyk, i zuch, i mądry; kołyb ta Sobota swytsze minuta, szczyby z Lytwakom pobawyty sia. W Nieświeżu tego piją, albo ja tam pół roku nie siedział? Jak się téż powodzi panu Leonowi Borowskiemu? — Zdrow panie! zawsze wesoly i w łaskach u JO. mojego pana. — Albo on tego nie wart? Se hołowa! jemu kanclerom buty! A jak pyje! Ja na neho z desiat raz porywawsia, ne można było rady daty, tak mene buwało położyt, szczo ny ruku ny nohu pidniaty ne mohu, a pan Leon tylko się śmieje i mówi: śpij, nieboże, śpij! i szuka świeżego, żeby z nim dopić. Co to mospanie! półgarnca wina duszkiem w żywot wleje, ani oddechne; kołyb on do Kaniowa przyechaw, toby ja jewo jak korola pryniaw. Mospanie Soplico! z najślawniejszymi próbowałem się; pijało się ze Świękowskim, podstolim Wołyńskim, i z Janikowskim, co to ma przysłowie: *quinque djabłów*, i z Branickim, kiedy jeszcze był łowczym Koronnym, i z Łahodowskim, co kielichem całą Wielką Polską rządzi: wsio drań pry Borowskim! I książę wojewoda Wileński dobrze pije, ale daleko mu do niego; na całej Koronie i Litwie jeden tylko Konarzowski, co obok niego stanąć może. Oj se młody czołowik, ale krepki także, a prócz Konarzowskiego jak świat szeroki, nie ma równego Borowskiemu. To mospanie, kiedy pan Ignacy mnie nakiereszował, doktor nadworny księcia pana obwiał mi głowę, krew puścił, i wymógł na mnie, żem się na N. Pannę zaklął, iż póki mnie nie pozwoli, wodę tylko pić będę, i nie wyjdę z kwatery. Tęskno mi było w ciupie, modlił się człowiek, modlił, aż się przemodlił. Przyjaciele i sam książę pan z łaski swojej mnie nawiedzali, a ja im mówię: dla miłości Pana Boga, bawcie się u mnie; Choć mi pić nie wolno, niech przynajmniej się napatrzę, jak drudzy piją. — A książę pan zaraz posłał po Borowskiego, bo bez niego zabawa nie warta. A mnie przyszedł koncept do głowy. — Panowie! — odezwałem się — doktor każe mnie pić wody jak najwięcej; zafar-

bujeie mnie wodę, oszukamy pana Leona, będzie potem śmiech, że będąc słabym, przepiłem go. — Na to książę wojewoda: — Dobrze, panie kochanku, ale czy doktor pozwoli waści tyle wody nałapać? — Właśnie doktor był przy tém, doktor Morysson, który jak wiesz nie był od kielicha. — I owszem — odezwał się — niech pan starosta zdrow pije wodę, ile jej się wleje, a ja sam zajmę się jej zafarbowaniem. — Jak przyszedł pan Leon, wszystko było na pogotowiu, i zabawa się zaczęła. Piwniczy wszystkim nalewa wina, a mnie wodę; gładko szło, już wszyscy byli podochoceeni, tylko pan Leon zawsze świeży do kielicha. A ja piję wodę a piję, ledwo trzcina w brzuchu nie wyrosła; nareszcie takem się odał, że ani sposobu wytrzymać. Patrzę na Morysona, i oczami modłę się do niego, by mi pozwolił aby jeden kielich wina wypróżnić, bo dalej pękne. Domyślił się doktor, czego chcę, i wyszedłszy zrobił porządek, by mi prawdziwego wina przynieśli; ale jak mi go nalano w kielich, a ja go do ust przybliżył, pan Leon mnie za rękę: — Nie uchodzi drzwi z ludzi, panie starosto; czemuś zaczął, tém kończ. — Domyślił się jucha, — ja w prośby, spuścił mnie od dalszego picia wody, ale wina pić nie pozwolił ani kropelki. — Nie porywaj się z wodą na wino! śpij teraz, i swoją wodę wypoć, a jak doktor da ci indult, służę na gołe łby bez tych figlów studenckich. — Wszystkim śmiech, a mnie wstyd — ale odtąd nigdy głowy przed panem Leonem nie nakrywał. — Po téj gadce, przybliżyli się do pana starosty jego kapelani, których miał dwóch: Dominikana i Bazyliana. Nawet szczególnie ruski obrządek miłował, a ja, by się nie naprzykrzyć, poszedłem sobie z panem Łopuskim, który mnie odprowadził do naznaczonej mi kwatery, i kobyłę kazał wiażać na obrok pański, a wózek zostawiłem z chłopcem na gospodzie, bo taki nie dowierzałem panu staroście, by nie była jakaś napaść, jak się dowięd, że pozwałam sobie wózka. Roztasowałem moje mizerye na kwaterze; ale niedługo w niej siedziałem, bo dano mi znać, że pan starosta każe sobie służyć na obiad. Na tym obiedzie, i wstawszy od stołu, ciągle był zajęty mną chudym pacholkiem, — wszystko mię wypytywał o znajomych mu Litwinach, i nie było mowy, tylko o życiu nieświeżskim. I było tego dobrego do wieczora, który się jednak bez burzy nie obszedł, bo woźny trzy pozwy położywszy na ekonomii, a któremu już kilkakrotnie udało się ująć z Kaniowa bez szwanku, gdyż geste pozwy sypały się na pana starostę, jakoś nie uwinął się, i wpadł w ręce kozaków, którzy mu relacje gotowe wytrzęśli. Biedny woźny sto nahajów dostał, a nie dwieście wedle obyczaju kaniowskiego, bo na jego szczęście to było w Sobotę, a na cześć N. Panny w dniu tym pan starosta zawsze pół kary odpuszczał. Można było uważać, że przy końcu dnia JW. gospodarzowi bardzo się ta Sobota przykrzyła, i że niecierpliwie wyglądał niedzieli, aby co prędzej popieścić się z kielichem. Zakoń-

czył nareszcie Sobotę, ale w taki sposób, że nawet zakonnicy jego otaczający mogli być wielce zbudowani. Bo i koronki odmówił, i godzinki Niepokalanego Poczęcia śpiewał, i to z całym dworem, a tak gorliwie, że sto różeg kazał dać jednemu ze swoich paziów za to, że ziewnął podczas jednej Antyfony. A jakżeśmy się porozehodzili do wieczoru, ledwom mógł zasnąć na kwaterze, bo aż do północy wszystkie dzwony kaniowskie kołysały się na cześć N. Panny *in gratiam* Soboty. W panu staroście była wielka mieszanina pobożności i chimer. Nazajutrz, jako w Niedzielę, za przykładem pana, goście, dwór, czeladź i poddaństwo, jak się zebrali w kościele na jutrznią, to dopiero aż po summie z niego wyszli: a wszystko się modliło gorąco. Dałby pan starosta temu, coby w prawo i lewo okiem rzucał, bo chociaż sam modlił się z wielką skrupułą, ciągle kłęcząc, co chwil kilka patrzył, czy wszyscy obchodzą się przyzwyczajenie. Obaj kapelani kazali, jeden po polsku, drugi po rusku; jedli oni chleb pański, ale dlatego nie oszczędzali pana starosty. Pełno było w kazaniu dla niego nie wstróbek, jak to ludzie mówią, ale głógów i cierni. Jeszcze Dominikan jakoś zdaleka mu przymawiał, ale Bazylian po prostu siepał, bez ogródek piorunował naprzeciw pijaństwu, popędliwości, nieludzkiemu obejściu się z podwładnymi, tak, że choć nazwiska nie wymieniał, właśnie jakby palcem go wytykał. Pan starosta, jakby nie o nim, tylko głową kiwa, oczy mrużąc, do *Sanctissimum* obrócony, i w piersi się bije kuliakiem. Może komu z tego był śmiech, ale ja się budowałem, i wielkie powziąłem uszanowanie dla pana starosty za to, że tak poczeiwie wierzył. A czemu, powie kto, nie tak dobrze czynił, jak dobrze wierzył? To źle bezwątowania, ale gdyby taka wiara była, jak uczynki, to byłoby jeszcze gorzej, co złego, temu przyganiajmy; lecz czemu nie pochwalić, co jest dobrego? Po nabożeństwie była sessya ekonomiczna, na której sam starosta, jako zwykle, zasiadał, o wszystkiém wiedział, nie bez jego rozkazów się nie robiło. To był zawołany gospodarz, a nie tylko dyspozytorowie nagromadzili się, ale i Ciwunowie, których tam *przysiężnymi* zowią, a każdego wysłuchał i badał tém łatwiej, że po ukraińsku mówił jak Diak. A kozacy z nahajem stali przed oknami kancelaryi, gotowi sypać plagi na znak pański. Jakoż nie obeszło się bez kilku egzekucyj. Strach się malował po twarzach wszystkich officyalistów. Jedna z pomiędzy wielu egzekucyj dnia tego, chociaż bólała, nieco mnie rozśmieszyła. Przed kilkoma tygodniami p. starosta był sprzedał *certum quantum* pszenicy Philiponom kaniowskim. Otóż w jednym folwarku, dyspozytor zniosłszy się z przysiężnym, kilkanaście korey czelnej pszenicy w poślad wmięszał, i sobie zabrał w moc ordynaryi, bo że w tym roku jarzyna chybiła w Kaniowczyźnie, poślad pszenicy w miejscu owsa przyjmowali ordynaryusze. Ale pan starosta, co wszystkiego zawsze doszperał przez swoich kozaków, po nitce dobrał

się do kłębka; rozgniewał się tedy okropnie i krzyknął na kozaków, by położyli dyspozytora. Ale ten zaczął się wymawiać swoim szlachectwem, że nie jest on z takich, co ich najwięcej na Ukrainie i Wołyni u, co to tylko szlachciec alias, ale że on jeszcze z dziada i pradziada ma zasługi w domu Potockich. A trzeba wiedzieć, że pan starosta zawsze miał wzgląd na szlachectwo, o którego rzetelności był przekonany. Zaraz się opamiętał. — Otoś mnie zagadł! prawda, synu, prawda, tyś szlachcie, twój ojciec był towarzyszem w mojej chorągwi. byty ne budu, ale koły ty szlachtye, na szczo kradesz? a taki ne zabud budesz maty. — Kazał położyć dyspozytora, a na nim przysiężnego, i temu dwieście nahajów odliczono tak, że szlachcie służył chłopowi za ławę. A jak oba wstali, przysiężnemu powiedział: — Pamiętaj sobaczy synu, szczo by z ekonomom ne zmawlaty sia na szkodę pańsku; szlachtye sia wykpyt, a tobi bude bida. Teperki pokłonysia ekonomowi i podiakuy jemu, szczo on pozwoływ tobi na nym leżaty. A wać pana, panie szlachcieu, proszę dziś do siebie z innymi na obiad. — Było tam jeszcze rozmaitych kawalków, ale Bóg świadek, że w tém wszystkiém było silne wyobrażenie sprawiedliwości. Sessya ekonomiczna skończyła się przed samym obiadem. Wszyscyśmy doszli do stołu za panem starostą. Co było na sessyi, to było, ale po niej każdego uprzejmie zaprosił, tak, że kilkadziesiąt osób siedziało za stołem. Mnie niedaleko siebie posadził; piwniczy nam wino nalewał, a na szarym końcu stał miód w dzbankach na stole, ale tak obficie, że każdy mógł się opić jak bąk: jakoż uważałem, że nikt tam swojego gardła nie oszczędzał. A pan starosta po sztuce mięsa już rozpoczął zdrowia kolejnym kielichem. Pierwsze zdrowie było mojego pana, JO. księcia wojewody Wileńskiego, po którego spełnieniu, za daném hasłem wszystkie armaty kaniowskie huknęły, a inne zdrowia spełniano, ale bez wiwatów. Wszystkich mu znanych Litwinów pił zdrowie, i kazał mi za powrotem moim ich uwiadomić, jak zachowuje ich pamięć, a szczególnie by księciu wojewodzie oświadczyć, że nigdy w nim nie przestanie mieć gorliwego i poświęconego sługi, który żadnej nie opuszcza okoliczności, aby uczcić tego wielkiego męża, któremu równego ani świat, ani korona Polska nie wydały. To był prawdziwie dzień świetny dla naszej Litwy; gdyby cała mogła być obecna téj uczcie, takby się rozrzewniła, jak ja, który w jój imieniu ze łzami dziękowałem, i odpijałem wdzięczność za to zachowanie, co jój syny uskarbili sobie na Ukrainie, a którą wynurzał jeden z najznakomitszych magnatów téj strony od nas oddalonych. Byłem przejęty uczuciami najgłębszej wdzięczności, po pierwsze za cześć kilkakrotnie wynurzoną JO. wojewodzie Wileńskiemu, panu i dobroczyńcy, którego smaczny chleb od tylu lat jadłem, a którego szczodrota i wówczas wstęp mi dała do zamku przemożnego pana, gdzie byłem przyjęty nie jak sługa równego

jemu magnata, ale jak przyjaciel. Bo powinny nawet, lepiej niż ja nie mógłby być ugoszczonym. Powtóre za tę zaszczytną pamięć, co ja serce pana starosty kaniowskiego zachowało o tylu Litwinach zanych, po większej części z mojego województwa, a z którymi wychowałem się i kolegowałem: a nawet wprost za siebie samego kilkakrotnie musiałem dziękować. Bo nie tylko że jedna kolęj obeszła za szczęśliwe powodzenie szlachty wielkiego księstwa Litewskiego, do którego grona mam zaszczyt należeć, i to wyznaję bez obawy by mnie o chępliwość posądzono; ale pan starosta pił zdrowie bandy albeńskiej, co mnie jeszcze bliżej dotykało, bo jakom wspomniał, świeżo byłem przypuszczony do tego towarzystwa, którego barwę ciągle w Kaniowie na sobie miałem. A nakoniec pan starosta, niech go za to Pan Bóg stokrotnie i na tamtym świecie błogosławi, mnie chudego pachółka zdrowie stojąc spełnił, jak wszystkich innych. Bogiem i ludźmi się świadcę, że tak było, a nie inaczej, a ja klęcząc spełniłem kielich dziękczynny, i nie taję się, że mu kolana ucałowałem. Już dawno było po obiedzie, a my pijem a pijem, a pan starosta tak wylany, nie tylko dla mnie, którego się usadził okryć szczególnymi względami, ale i dla oficyalistów swoich, tych nawet, co ich ofukiwał na sessyi. A jaki miły w opowiadaniu! ciągle coś wesołego miał do mówienia. — Mospanie Soplico — mówił mi — ogadano mnie przed światem, że tyran na szlachtę; broń mnie waćpan przed ludźmi! Wszak ja sam szlachcie, a podły ptak, co swoje gniazdo paskudzi. Byłeś świadkiem, że choć tak uniosłem się na ekonoma, skoro tylko się złożył szlachectwem, dałem mu pokój, i choć okradł mnie, na sucho go puściłem. Prawdziwemu szlachcicowi nigdy w skórę nie dałem, chyba nie wiedziałem o jego zaszczycie; natenczas *ignorans peccavi*, a że mnie dekretami osypano, nie dziw, bo tutejsi sędziowie takiego samego szlachectwa, jak ci, którym rozpruwszy musiałem ja moją kieszeń nadłatać. Kruk krukowi oka nie wykole. Ot tepir, jak ekonomska detyna nad nami panuje, kto w Boha wiryt i ne wiryt, to szlachtyc. Kiedyś to szlachectwo nasze było zaszczytem nad zaszczytami, a nyne tak go Poniatowski zasmerdyw, szczo sorom do szlachectwa przyznawaty sia; Bih mene osudyt, a lude nechaj brechajut. Waćpan sobie nie wyobrazisz, co to się dzieje w naszej Ukrainie. Mam sąsiada Wołyneckoho, dorobił się dziedzictwa, ale ladaszczu; jak zaczął mnie dokuczać, cierpliwości mnie nie stało. To karczmy stawił mnie na podryw, to w grunta kaniowskie się worywał, to zające szczuł na mojem polu. Ja jemu raz kažu: — Oj mosanie Wołynecki, odczepy sia, bo dohrajesz sia. Nakonec na mojej zemli ja jeha uchopył, i piatsot tam kazał mu nasypaty hde potrybno, a win jak sia wylizaw, na mene z pozwom do Grodu. Ja tłómaczę się, że on Popowicz, i stawię ludzi, szczo jeha matka znały; ale i sudia i pidsudki takoweże rodu, szczo i win, i szla-

chectwo proti Bohu mu przyznały, i wieżę kazali mi wysiedzieć, że musiałem pięćdziesiąt tysięcy zapłacić, a tak moju krywdę podiliły sia. Zgubić mnie cheieli. Ja tu szlachtę robię, jakby jaki hetman; komu dam w skórę, ten zaraz i szlachcicem się robi, a potem za moje pieniądze zostaje osiadłym. Od Kaniowa aż po Skwyru kto didycz, to szlachtycz mojej roboty. Jeszcze za to na mnie psy wieszają, taka to tutaj wdzięczność, że na ludzi kieruję. Meni ne hroszy žal, ale kraju; my szlachtą stali, a jak szlachectwo się spaskudziło, obaczysz, że i kraj upadnie. Szczoż robyty? jaki pan taki kram! Co tylko złego, to od Poniatowskiego wyszło; pojedź-no do Warszawy a obacz, kim się otoczył. Aż ksiądz Naruszewicz, który choć wiersze pisze, przecie dobry szlachcic, a nawet waszego księcia koligat, to on, lubo zausznik króla, nie może wytrzymać i mawia, czy król myśli papiernie zakładać, że tak zbiera gałgany? Warszawa gorsza niż Sodoma: same farmazony i lustry. Boha ne bojutsia, a takie teper senatory i dygnitary, szczo by kołyś ny ktob ich na ekonomów ne wziaw. Pan Potocki, chorąży Koronny, didycz Humanieczyny kołyś meni każe: — Bracie Kaniowski, już waszeć dawno starostą; pojedź do Warszawy, żeby nowe krzesło do domu Potockich przybyło. — A ja mu na to: — Uwa! a szczo to ja soroci z pod chwosta wyliz, szczo by mene Poniatowski mežu senatory posadyw? Chwałyty Bohu, z jeha łaski nyczoho ne maju i ne budu maty. Buczac z Sniatyn, to mojeha Batka pracia, a starostwo Kaniowskie dał mnie nieboszczyk Sas, szczo ale buw korolom. Bude z mene, żyunki i deti ne ma i nebudet, do śmierci wystarczy, a krewni choć nie nie znajdą, z siebie bogaci; na co tłusty połeć smarować!

I tak piliśmy i gawędziliśmy cały tydzień, jako z tém się oświadczył na wstępie pan starosta — a przyznam się, że choć zabawa miła, i umiałem cenić poufałość magnata, rad byłem, że tydzień się kończy, bo zdrowia dalejby nie stało, co nocy iść do wczasu bez przytomności, a nazajutrz toż samo powtarzać. Dopiero w Piątek odważyłem się mówić o moim interesie, bo już w dniu tym był koniec zabawom, gdyż w Sobotę pijatyki nie było, a w Niedzielę zaraz po mszy świętej miałem opuścić Kaniów. Pan starosta nie tylko że się nie zasępił, ale z uprzejmym obliczem przyznawszy mi wszelką słusność, powiedział: — Jeszcze dziś się pobawim, a jutro skończym interes. I w samą rzecz; nazajutrz, że nie było pieniędzy w kassie, dał mi prosty skrypt, którym do kapitalnej summy dołączył najskrupulatniej wszystkie zaległe procenta, z których, gdy część odstąpiłem panu Łopuskiemu, ten gotówką spłacił mnie sumę. A tak z kabzą napełnioną wróciłem do żonki, wedle słów JO. mojego pana, do którego pan starosta własną ręką przezemnie napisał list niekrótki, choć pisać nie lubił; jeszcze na niezapad darował mnie smycz chartów personatów, co każdy z nich pojedynczo wilka chwytal. Te charty były głośne na całej Litwie,

a ich gniazdo, lubo u mnie się zwiodło, dotąd jednak w psiarni radziwilimontskiej się zachowuje.

Nikt nie jest bez ale, i pan starosta Kaniowski za życia nie był świętym. — Ale że miał dobre serce, że był gorliwym katolikiem, że było w nim wiele wspaniałomyślności, jest to prawda, o której wątpić nie mogłem. Wprawdzie wiele złego o nim słyszałem, ale wiele dobrego sam widziałem i doświadczyłem. Bynajmniej nie zadziwiło mnie, jakem się dowiedział, że w lat kilka potem skończył życie w Poczajowie, w wielkiej świątobliwości, i że prostaczkowie pobożnie nawiedzają jego zwłoki.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

	Stron.
I. Pan Ogiński	7
II. Pan Dzierżanowski	13
III. Pan Bielecki	16
IV. Rejtan	20
V. Ksiądz Marek	24
VI. Kazanie księdza Marka	29
VII. Pan Rewieński	34
VIII. Księżę Radziwiłł Panie Kochanku	45
IX. 1. i 2. Trybunał Lubelski	56
3. Pan Wołk, pisarz Siczowy	66
X. Karol Ryś	81
XI. Ożenienie	97
XII. Wołodkowiec	104
XIII. Sawa	112
XIV. Pan Leszczyc	122
XV. Pan Borowski	127
XVI. Palestra Staropolska	139
XVII. Klasztor Surlański	146
XVIII. Pawlik	150
XIX. Król Stanisław	163
XX. Stanisław Rzewuski	180
XXI. Błogosławiona Anna z Omiecińskich	191
XXII. Zdanie szlacheica o Wolterze	195
XXIII. Zamek Kaniowski	197